

Michael Connelly
POGOŃ ZA PIENIĄDZEM
Tego samego autora ukazały się:

Krwawa profesja
Poeta
Schody Aniołów
Martwy księżyc
Ciemność mroczniejsza niż noc

Michael Connelly

**Pogoń
za pieniądzem**

Przełożył Marek
Mastalerz

T-Voszyński i S-ka

Tytuł oryginału:
CHASINGTHE DIME

Copyright © 2002 by Hieronymus, Inc.
This edition published by arrangement with
Little, Brown and Company (Inc.), New York, New York, USA
All Rights Reserved

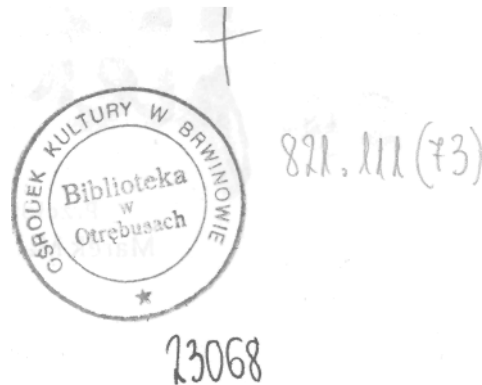
Ilustracja na okładce:
Jacek Kopalski

Redakcja:
Jacek Ring

Redakcja techniczna:
Małgorzata Kozub

Korekta:
Dorota Wojciechowska

Łamanie: Monika
Lefler



ISBN 83-7337-309-8

Warszawa 2003

Wydawca:
Prószyński i S-ka SA
02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

Druk i oprawa:
OPOLGRAF Spółka Akcyjna
45-085 Opole, ul. Niedziałkowskiego 8-12

Głos w słuchawce to był w zasadzie szept, pełen ponaglenia, nieomal desperacji.

- Gdzie ona jest? - spytał mężczyzna.
- Nie wiem - odpowiedział Henry Pierce. - W ogóle jej nie znam.
- To jej numer. Widnieje na stronie internetowej.
- Nie, to pomyłka. Nie mieszka tu żadna Lilly i nic nie wiem o żadnej stronie, rozumie pan?

Rozmówca rozłączył się bez odpowiedzi. Zirykowany Pierce odłożył słuchawkę. Podłączył nowy aparat kwadrans wcześniej i przez ten czas już zdążył odebrać dwa telefony do jakiejś kobiety imieniem Lilly. Zapowiadało się, że będzie miał z tym spory problem.

Odstawił aparat na podłogę i rozejrzał się po niemal pustym mieszkaniu. Była w nim tylko czarna skórzana kanapa, na której siedział, sześć pudeł z ubraniami w sypialni oraz nowy telefon. Na domiar złego chyba będzie z nim kłopot.

Nicole zatrzymała całą resztę - meble, książki, płyty kompaktowe, no i dom przy Amalfi Drive. Nie musiała o nic walczyć - Pierce sam jej to zostawił. Jako cenę za dopuszczenie do rozpadu ich związku. Nowe mieszkanie było eleganckie: luksusowe i strzeżone, w najlepszej okolicy Santa Monica. Pierce wiedział jednak, że będzie brakowało mu domu przy Amalfi. I kobiety, która w nim mieszkała.

Opuścił wzrok na telefon stojący na beżowym dywanie, zastanawiając się, czy powinien do niej zadzwonić, że wyprowadził się z hotelu, i podać jej nowy numer. W końcu potrząsnął głową. Wysłał jej już pocztą elektroniczną wiadomość z wszystkimi aktualnymi danymi. Telefon oznaczałby złamanie ustalonych przez siebie zasad, których przyrzekł dotrzymywać podczas ostatniego spędzonego wspólnie wieczoru.

Telefon znów zadzwonił. Pierce pochylił się i tym razem najpierw popatrzył na wyświetlacz numeru, z którego dzwoniono. Znowu z Casa Del Mar - ten sam facet. Pierce zastanowił się, czy nie pozwolić, żeby uruchomiła się automatyczna sekretarka, wchodząca w skład usług dla nowego numeru, ale doszedł do wniosku, że i tak musiałby oddzwonić.

Podniósł słuchawkę i wcisnął guzik.

- Posłuchaj, człowieku, o co ci chodzi? Dzwonisz pod niewłaściwy numer. Nie ma tu nikogo...

Dzwoniący mężczyzna rozłączył się bez słowa.

Pierce wyciągnął rękę po plecak i wyjął żółty notes, w którym jego asystentka zapisała instrukcje dotyczące poczty głosowej. Monika Purl zajęła się założeniem telefonu, ponieważ Pierce był przez cały tydzień zbyt zajęty w laboratorium przygotowaniami do czekającej go za kilka dni prezentacji. Poza tym ostatecznie właśnie po to istniały asystentki.

Spróbował odczytać instrukcje w dogasającym dziennym świetle. Słońce dopiero co osunęło się za Pacyfik, a w nowym mieszkaniu nie zamontowano jeszcze lamp. W nowym budownictwie światła były na ogół wpuszczone w sufit, ale nie tutaj. Mieszkania zostały ostatnio odnowione, wstawiono nowe armatury kuchenne i okna, ale sam budynek był stary. Nie opłacało się ryc wgłębień na kable w płytach stropowych - co w ostatecznym rozrachunku oznaczało, że Pierce czekało kupno lamp.

Przeczytał szybko instrukcje dotyczące posługiwania się wyświetlaczem numeru połączenia oraz obsługi klienta. Zorientował się, że Monika uzgodniła dla niego korzystanie z czegoś nazywanego „pakietem udogodnień”, obejmującego zawieszanie i przełączanie połączeń, identyfikację dzwoniącego numeru, zgłaszanie życzeń - wszystko, czego dusza zapagnie. Monika zapisała też, że rozesłała już nowy numer do wszystkich adresatów poczty elektronicznej z priorytetowej listy Pierce'a. Było na niej prawie osiemdziesiąt osób. Ludzi, którzy winni mieć możliwość w każdej chwili skomunikowania się z Pierce'em. Byli to prawie wyłącznie partnerzy w interesach, a wśród nich ci, których uważał równocześnie za przyjaciół.

Ponownie nacisnął uruchamiający słuchawkę klawisz i zadzwonił pod zapisany przez Monikę numer konfigurowania programu poczty głosowej oraz łączenia się z nią. Zgodnie z instrukcjami zszytyzowanego elektronicznie głosu wprowadził numer - kod dostępu. Zdecydował się na 92101 - dzień, w którym Nicole powiedziała mu, że ich trzyletni związek dobiegł końca.

Postanowił nie nagrywać osobistego komunikatu. Wolał ukryć się za odcieleśnionym elektronicznym głosem, recytującym numer i wydającym instrukcję, by zostawić wiadomość. Było to bezduszne, ale ostatecznie żyjemy w bezdusznym świecie.

Gdy skończył konfigurować program, kolejny elektroniczny głos poinformował go, że ma dziewięć wiadomości. Był zaskoczony ich liczbą - jego numer został podłączony dopiero tego ranka - ale natychmiast zaczął się łudzić, że któraś pochodziła od Nicole. Może nawet kilka. Może Nicole zmieniła swoją decyzję. Nagle wyobraził sobie, że zwraca całe umeblowanie, które asystentka zamówiła dla niego przez Internet. Stał mu przed oczyma obraz samego siebie, jak wnosi pudła z ubraniami z powrotem do domu przy Amalf i Drive.

Żadna z wiadomości nie pochodziła jednak od Nicole. Ani od partnerów Pierce'a czy też jego wspólników przyjaciół. Tylko jedna była adresowana do niego - powitanie w systemie poczty głosowej od znajomego już elektronicznego głosu.

Osiem pozostałych wiadomości było adresowanych do Lilly; żadna nie zawierała jej nazwiska. Do tej samej kobiety, do której Pierce odebrał już trzy telefony. Wszystkie wiadomości były od mężczyzn. Większość zawierała nazwy hoteli i numery, pod które należało oddzwonić. W kilku podano numery telefonów komórkowych lub prywatne biurowe. W paru wspomniano, że telefonujący wynaleźli numer Lilly w Sieci lub na stronie internetowej, ale bez dalszych szczegółów.

Po odsłuchaniu Pierce skasował wszystkie wiadomości. Potem odwrócił kartkę w notesie i zapisał imię: Lilly. Podkreślił je z zadumą. Lilly - kimkolwiek była - niewątpliwie korzystała dawniej z tego samego numeru. Firma telefoniczna puściła numer ponownie w obieg i tak się złożyło, że trafił on do Pierce'a. Sądząc po tym, że wszyscy dzwoniący to mężczyźni, a w ich głosach brzmiało oczekiwanie i niepewność, Lilly zapewne była prostytutką. Lub też hostessą - jeśli te dwie profesje czymkolwiek się różniły. Pierce poczuł, że przenika go ulotny dreszczyk ciekawości i zaintrygowania - jakby poznał sekret, na którego trop nie powinien wpaść. Tak samo jak wówczas, gdy przełączał monitor w swoim gabinecie na obraz z kamer systemu bezpieczeństwa i ukradkiem obserwował, co dzieje się w garażu, na korytarzach i w ogólnie dostępnych pomieszczeniach biura.

Zastanowił się, jak długo numer był w użyciu, zanim został przypisany jemu. Liczba telefonów w ciągu jednego dnia świadczyła, że numer wciąż gdzieś figurował - zapewne na stronie internetowej, o której wspomniano w kilku telefonach - i ludzie wciąż uważali, że Lilly można pod nim zastać.

- Pomyłka - powiedział na głos, chociaż rzadko to robił, gdy nie patrzył na monitor komputera bądź nie był pochłonięty eksperymentowaniem w laboratorium.

Odwrócił kartkę z powrotem i popatrzył na spisane przez Monikę informacje. Asystentka zapisała między innymi numer biura obsługi klienta firmy telefonicznej. Mógłby - i powinien - zadzwonić z prośbą o zmianę numeru telefonu. Wiedział również, że konieczność wysłania pocztą elektroniczną kolejnej informacji o zmianie numeru i odbierania potwierdzeń stanowiłaby dodatkowe utrapienie.

Do niezmienniania numeru skłoniło go coś jeszcze. Pierce był zaintrygowany i zdawał sobie z tego sprawę. Kim była Lilly? Gdzie mieszkała? Dlaczego zrezygnowała z numeru telefonu, ale pozostawiła go na stronie internetowej? Naruszało to prawidła logiki i to właśnie nie dawało spokoju Pierce'owi. Jak mogła utrzymywać swój interes, skoro klienci trafiali pod niewłaściwy numer? Odpowiedź brzmiała: nie mogła. Działo się coś dziwnego, a Pierce zapragnął dowiedzieć się co i dlaczego.

Był piątkowy wieczór. Postanowił, że zabierze się do tego w poniedziałek. Zdecydował, że dopiero wtedy zadzwoni z prośbą o zmianę numeru.

Wstał z kanapy i przeszedł przez pusty salon do głównej sypialni, gdzie pod jedną ścianą stał rząd sześciu kartonowych pudeł, a pod przeciwną leżał rozwinięty śpiwór. Zanim stał się mu potrzebny po przeprowadzce, Pierce nie korzystał z niego prawie *przez* trzy lata - od wyjazdu z Nicole do Parku Narodowego Yosemite. Wtedy miał jeszcze czas na różne rzeczy, dopóki nie *zaczął* się wyścig, a jego życie sprowadziło się do jednego.

Wyszedł na balkon i zapatrzył się na ocean barwy zimnego błękitu. Mieszkanie znajdowało się na jedenastym piętrze. Roztaczał się stąd widok od Venice na południu po opadające ku morzu stoki gór za Malibu na północy. Słońce zaszło, ale niebo znaczyły jeszcze smugi ostrej purpury i oranżu. Na tej wysokości bryza morska była zimna i odświeżająca. Pierce wsunął ręce w kieszenie spodni. Palce dłoni zacisnęły się na monecie. Wyjął ją; pięciocentówka. Kolejne przypomnienie, w co zamieniło się jego życie.

Neony na diabelskim młynie na molo w Santa Monica rytmicznie zapalały się i gasły. Przypomniało to Pierce'owi dzień sprzed dwóch lat, kiedy wynajął całe nadbrzeżne wesołe miasteczko na przyjęcie z okazji zatwierdzenia pierwszej partii patentów, dotyczących architektury pamięci molekularnej. Wszyscy świetnie się bawili. Wraz z Nicole spędzili w otwartej żółtej gondoli diabelskiego młyna co

najmniej pół godziny. Tamtego wieczora też panował przenikliwy chłód. Tulili się do siebie i patrzyli na zachodzące słońce. Teraz Pierce nie potrafił popatrzeć na moło czy choćby na zachód słońca, żeby o niej nie pomyśleć.

Uświadomił sobie, że wynajął mieszkanie z widokiem na miejsca, przypominające mu Nicole. Była w tym jakaś podświadoma patologia, nad którą nie chciał się w tej chwili zastanawiać.

Położył pięciocentówkę na kciuku i cisnął ją w powietrze. Patrzył, jak spada i wreszcie niknie w ciemności. W dole ciągnął się park - pas zieleni między budynkiem i plażą. Pierce zdążył już wcześniej zauważyć, że w nocy pod drzewami kryli się w śpiworach bezdomni. Może któryś z nich znajdzie wyrzuconą monetę.

Zadzwoił telefon. Pierce wrócił do salonu i spostrzegł mającące w mroku okienko ciekłokrystalicznego wyświetlacza. Podniósł słuchawkę i popatrzył na ekranik. Telefonowano z hotelu Century Plaża. Przez dwa kolejne sygnały Pierce zastanawiał się, aż wreszcie odebrał połączenie.

- Dzwoni pan do Lilly? - spytał.

Przez długą chwilę panowało milczenie, lecz Pierce orientował się, że rozmówca nadal tam jest. W tle słychać było telewizor.

- Halo? Czy to telefon do Lilly?

- Tak. Jest tam? - odezwał się wreszcie męski głos.

- W tej chwili jej nie ma. Mogę zapytać, skąd ma pan ten numer?

- Ze strony w Internecie.

- Jakiej?

Mężczyzna się rozłączył. Pierce przez chwilę trzymał słuchawkę przy uchu, po czym się rozłączył. Przeszedł przez pokój, by odłożyć ją na bazę, gdy aparat zadzwonił ponownie. Pierce nacisnął na guzik, nie patrząc nawet na wyświetlacz.

- To pomyłka - powiedział.

- Zaczekaj, Einsteinie - to ty?

Pierce o mało się nie roześmiał. Rozpoznał głos. Należał do Cody'ego Zellera, jednego z ludzi informowanych o zmianie numeru. Zeller często nazywał go Einsteinem; było to jedno z kilku przydomków, jakie Pierce musiał znosić w college'u. Cody był w pierwszej kolejności przyjacielem, a dopiero potem partnerem w interesach. Wynajmował się jako konsultant do spraw bezpieczeństwa komputerowego i w ciągu lat opracowywał dla Pierce'a kolejne systemy, w miarę jak firma rozrastała się i przenosiła do coraz większych siedzib.

- Przepraszam, Code - powiedział Pierce. - Myślałem, że to ktoś inny. Mnóstwo osób wydzwania pod ten numer.

- Nowy numer, nowe mieszkanie - czy to znaczy, że jesteś znowu wolnym, białym kawalerem?

- Pewnie tak.

- A co z Nicki, człowieku?

- Sam nie wiem. Nie chcę o tym rozmawiać.

Czuł, że zwierzenie się przyjaciołom przypieczętowałoby ostateczność rozpadu jego związku.

- Powiem ci, co się stało. Za dużo czasu w laboratorium i za mało w pościeli. Ostrzegałem cię, czym to grozi, człowieku.

Zeller się zaśmiał. Zawsze potrafił podsumować sytuację czy fakty bez owijania w bawełnę. Jego śmiech świadczył też o tym, że Cody niezbyt współczuje przyjacielowi w jego niedoli. Zeller był kawalerem, a Pierce nie przypominał sobie, by kiedykolwiek związał się z kimś na dłużej. Jeszcze w college'u poprzysiął Pierce'owi i ich przyjaciołom, że nigdy w życiu nie nawróci się na monogamię. Zeller znał też Nicole. Jako ekspert do spraw bezpieczeństwa zajmował się dla Pierce'a między innymi weryfikowaniem poprzez sieci informacyjne ubiegających się o pracę kandydatów i potencjalnych inwestorów. W tym charakterze współpracował ściśle z Nicole James, kierowniczką wywiadu gospodarczego firmy. Poprawka: była kierowniczką.

- No, wiem - odpowiedział Pierce, chociaż nie miał ochoty rozmawiać na ten temat z Zellerem. - Powinienem być słuchać.

- Cóż, może dzięki temu zdołasz wyciągnąć dechę z odstawki i spotkać się któregoś ranka ze mną koło Zumy.

Zeller mieszkał w Malibu i codziennie surfował. Minęło dziesięć lat, odkąd Pierce systematycznie pokonywał z nim fale. Gdy zamieszkał przy Amalfi Drive, nie wybrał się nigdzie z deską, wisiała pod belkami dachu w garażu.

- Bo ja wiem, Cody? Wiesz przecież, że został mi jeszcze program. Nie sądzę, żebym zyskał wiele czasu tylko dlatego, że...

- Pewnie, ostatecznie nie chodzi o program, tylko o narzeczoną.

- Co ty? Po prostu nie sądzę, żebym...

- A co z dzisiejszym wieczorem? Mogę przyjechać do ciebie. Wy skoczmy na miasto jak za dawnych czasów. Nakładaj czarne dżinsy, mały.

Zeller roześmiał się dla zachęty, ale Pierce się nie przyłączył. Dawne czasy, o jakich mówił Cody, nigdy nie istniały. Pierce nigdy nie lubił imprezować. Wolał spędzić wieczór w laboratorium, niż popić i uganiać za dziewczynami.

- Chyba sobie odpuszczę, stary. Mam mnóstwo roboty i muszę jeszcze dzisiaj wpaść do laboratorium.

- Hank, człowieku, daj tym cząsteczkom trochę odpoczynku. Chociaż jedną wolną noc. Daj spokój, przynajmniej raz przetrząśnij swoje molekuły, to cię wyprostuje. Będziesz mógł mi opowiedzieć wszystko o tym, co się wydarzyło między tobą i Nicole, a ja będę udawał, że ci współczuję. Obiecuję.

Zeller jako jedyny człowiek na ziemi mówił „Hank” do Pierce'a, który nie znosił tego zdrobnienia. Pierce jednak był dostatecznie inteligentny, by zdawać sobie sprawę, że zakazanie tego Zellerowi jest wykluczone, bo spowodowałoby jedynie, iż Cody zwracałby się do niego w ten sposób przez cały czas.

- Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz wybierał się następnym razem, dobrze?

Zeller niechętnie zrezygnował, ale wymógł na przyjacielu obietnicę, że w przyszłym tygodniu zarezerwuje wieczór na wspólny wypad. Co do surfowania niczego nie obiecywał. Gdy skończyli rozmawiać, Pierce odłożył słuchawkę na bazę. Podniósł z podłogi plecak i zebrał się do wyjścia.

Pierce nie skorzystał z magnetycznej karty szyfrowej, żeby dostać się do garażu w siedzibie Amedeo Technologies i zaparkować swoje bmw 540 na zarezerwowanym dla niego miejscu. Bramę otworzył mu nocny strażnik siedzący za biurkiem za drzwiami z podwójną szybą.

- Dzięki, Rudolpho - powiedział Pierce.

Korzystając z klucza elektronicznego, wjechał windą na drugie piętro, gdzie mieściła się administracja. Podniósł wzrok ku kamerze w kącie i skinął głową, chociaż wątpił, czy Rudolpho go obserwuje. Zapis był przetwarzany w postać cyfrową i utrwalany, na wypadek gdyby kiedykolwiek go potrzebowano.

- Światła - powiedział, idąc w stronę swojego biurka.

Zapaliły się lampy pod sufitem. Pierce włączył komputer i wprowadził hasła. Uruchomił się system. Pierce podłączył linię telefoniczną, by móc szybko sprawdzić pocztę elektroniczną przed zabraniem się do pracy. Była ósma wieczór. Lubił pracować o tej porze i mieć całe laboratorium dla siebie.

Ze względów bezpieczeństwa nigdy nie zostawiał włączonego komputera ani podłączonej linii telefonicznej, gdy opuszczał biuro. Z tego samego powodu nie wnosił tu telefonu komórkowego, pagera ani palmtopa. Chociaż miał laptop, z niego również rzadko korzystał. Pierce cierpiał na lekką paranoję - według Nicole został mu tylko jeden gen do wszczęcia, by stał się schizofrenikiem - ale jednocześnie był ostrożnym i praktycznym badaczem. Wiedział, że każde podłączenie się do linii zewnętrznej czy połączenie przez telefon komórkowy jest równie niebezpieczne jak wbicie sobie przypadkowej igły czy seks z nieznajomą. Nigdy nie wiadomo, czego można sobie napytać. Dla niektórych w tym właśnie krył się urok seksu. Nie na tym jednak polegał dreszcz pogoni za pieniądzem.

Na Pierce'a czekało kilka wiadomości, ale zdecydował się na przeczytanie tylko trzech z nich. Pierwsza była od Nicole. Otworzył ją natychmiast, ponownie z nadzieją w sercu, a równocześnie z przykrą świadomością, że taki pośpiech graniczy z rozmamłaniem.

Spodziewał się jednak innej treści. Wiadomość była krótka, rzeczowa i tak profesjonalna, że brakowało w niej jakiegokolwiek aluzji do ich fatalnie kończącego się romansu. Stanowiła jedynie finalny komunikat byłej pracownicy, przed którą *roztaczała* się wspanialsza przyszłość - zarówno w sprawach zawodowych, jak i osobistych.

Hewlett

Odchodzę.

Wszystko jest w aktach. (Przy okazji, media dowiedziały się wreszcie o interesie z Bronsonem - pierwsza wywęszyła go „SJMN”. Nic nowego, ale powinieneś' to przeczytać).

Dzięki za wszystko i powodzenia.

Nic

Pierce długo wpatrywał się w wiadomość. Spostrzegł, że wysłano ją o 16.55 - zaledwie kilka godzin wcześniej. Nie miało sensu na nią odpowiadać, bo adres poczty elektronicznej Nicole został usunięty z systemu o siedemnastej, kiedy zwróciła kartę szyfrową. Odeszła, i nic nie dowodziło tego równie dobitnie jak wykasowanie z systemu.

Długo zastanawiał się, dlaczego zwróciła się do niego: Hewlett. W przeszłości było to czułe określenie - sekretne imię, jakim posługują się kochankowie. Wzięło się od inicjałów Pierce'a - HP, jak Hewlett-Packard, gigant komputerowy, odpowiednik Goliata dla Pierce'a-Davida. Nicole zawsze wypowiadała to słowo z pełnym słodczy uśmiechem. Tylko jej mogło ująć na sucho przezywanie go imieniem wziętym od nazwy konkurencji. Co jednak oznaczało jego użycie w pożegnalnej wiadomości? Czy również uśmiechała się słodko, gdy je pisała? Czy też ze smutkiem? Może wahała się, zastanawiała, czy nie zmienić decyzji? Czy istniała jeszcze szansa, nadzieja na pogodzenie?

Pierce nigdy nie potrafił przeniknąć motywów, jakimi kierowała się Nicole James. Nie udawało mu się to również w tej chwili. Położył dłonie na klawiaturze i zachował wiadomość, przenosząc do katalogu, w którym znajdowały się wszystkie listy od niej z trzech lat trwania ich związku. Na podstawie tych wiadomości - dobrych i złych, obrazujących, jak ze współpracowników stali się kochankami - dałoby się sporządzić historię ich związku. Wiadomości było prawie tysiąc.

Wiedział, że trzymanie ich to zachowanie obsesyjne, ale weszło mu w krew. Miał też inne katalogi - do przechowywania korespondencji elektronicznej, dotyczącej partnerów w interesach. Katalog dla Nicole powstał w ten sam sposób, chociaż później przestali być tylko współpracownikami i zostali darzącymi się uczuciem partnerami.

Pierce zaczął przewijać listę wiadomości w katalogu Nicole James i odczytywać ich tematy tak, jak ogląda się zdjęcia dawnej dziewczyny. Mimowolnie uśmiechnął się na widok kilku z nich. Nicole zawsze była mistrzynią dowcipnych i sarkastycznych nagłówek. Później opanowała - jak wiedział, z konieczności - ironię, a wreszcie zdolność ranienia. Jeden z nagłówek zwrócił na siebie jego uwagę podczas przewijania: „Gdzie mieszkasz?”. Otworzył wiadomość. Została wysłana cztery miesiące wcześniej. Uznał, że wyznacza początek równi pochyłej, z której nie było już odwrotu.

Po prostu zastanawiałam się, gdzie mieszkasz, bo od czterech dni nie widziałam cię na Amalfi.

Najwyraźniej to wszystko na nic, Henry. Musimy porozmawiać, ale nigdy nie ma cię w domu. Czy mam przyjechać do laboratorium, żebyśmy mogli pogadać? To byłoby żałosne.

Przypomniał sobie, że po tej wiadomości wrócił do domu i wówczas właśnie zerwali ze sobą po raz pierwszy. Przesiedział cztery dni w hotelu, żyjąc na walizkach oraz nękając Nicole telefonami, pocztą elektroniczną i kwiatami, nim zgodziła się, żeby wrócił na Amalfi Drive. Starał się później ze wszystkich sił. Przez ponad tydzień wracał co wieczór najpóźniej o ósmej - takie przynajmniej miał wrażenie - nim zaczął się znowu zapominać i przesiadywać w laboratorium do rana.

Pierce zamknął wiadomość i cały katalog. Zamierzał któregoś dnia wydrukować wszystkie wiadomości i przeczytać je jak książkę. Wiedział, że byłaby to bardzo pospolita, mało oryginalna historia o tym, jak obsesja doprowadziła człowieka do utraty tego, co było dla niego najważniejsze. Taka powieść zasługiwałaby na tytuł „Pogoń za pieniądzem”.

Wrócił do listy bieżących wiadomości. Kolejna, którą otworzył, pochodziła od jego partnera Charliego Condon. Przypomniała o prezentacji, wyznaczonej na następny tydzień, jakby Pierce mógł o tym zapomnieć. Tytuł wiadomości brzmiał: „Dot.: Proteus”; była to odpowiedź na informację, jaką Pierce wysłał Charliemu kilka dni wcześniej:

Z Bogiem wszystko uzgodnione. Przylatuje w środę i spotykamy się w czwartek o dziesiątej. Harpun naostrzony i gotowy. Masz być, jeśli nie jesteś frajerem.

CC

Pierce nie fatygował się z odpowiedzią. Wiadomo, że przyjdzie na spotkanie. Zależało od tego bardzo wiele - nie, wszystko. Bogiem, o którym wspomiano w wiadomości, był Maurice Goddard: nowojorczyk specjalizujący się w inwestowaniu w rozwojowe gałęzie przemysłu. Charlie miał nadzieję, że uda się im upolować tego wieloryba. Goddard przyjeżdżał po raz drugi, by dowiedzieć się czegoś więcej o programie Proteus przed podjęciem ostatecznej decyzji. Miał mu się przyjrzeć dokładniej, gdyż liczyli, że wpłynie to decydująco na zawarcie umowy. W następny poniedziałek chcieli złożyć wniosek patentowy dotyczący Proteusa i zabrać się do szukania innych inwestorów, jeśli Goddard się rozmyśli.

Ostatnia z przeczytanych przez Pierce'a wiadomości pochodziła od Clyde'a Vernona, szefa bezpieczeństwa Amedeo. Pierce domyślał się, co w niej będzie, zanim ją otworzył. Nie pomylił się.

Próbowałem się z tobą skontaktować. Musimy porozmawiać o Nicole James. Proszę, zadzwoń jak najszybciej.

Clyde Vernon

Vernon chciał się zorientować, ile wiedziała Nicole i jakie były okoliczności jej odejścia. Pragnął ustalić, jakie działania będzie musiał podjąć.

Pierce uśmiechnął się, gdy zobaczył, iż szef bezpieczeństwa podpisał się pełnym imieniem i nazwiskiem. Doszedł do wniosku, że nie ma co marnować czasu na pozostałe wiadomości i wyłączył komputer, nie zapominając o wyjęciu kabla telefonicznego. Wyszedł z pokoju, minął dokumentującą osiągnięcia firmy galerię i stanął przed gabinetem Nicole. Jej byłym gabinetem.

Pierce dysponował kombinacją, która pozwalała na otwieranie wszystkich drzwi na drugim piętrze. Skorzystał z niej, otworzył drzwi i wszedł do środka.

- Światła - powiedział.

Lampy pod sufitem jednak się nie zapaliły. Odbiornik audio wciąż był nastawiony na głos Nicole, co prawdopodobnie zostanie zmienione w poniedziałek. Pierce podszedł do kontaktu i włączył światło.

Blat biurka był pusty. Nicole zapowiedziała, że posprząta po sobie do piątej po południu w piątek, i spełniła swoją obietnicę. Wysłanie wiadomości Pierce'owi zapewne stanowiło jej ostatnią oficjalną czynność w Amedeo Technologies.

Pierce obszedł biurko i usiadł w fotelu. Wciąż wyczuwał woń perfum Nicole - ulotną, kojarzącą się z bzem. Otworzył najwyższą szufladę. Znalazł w niej jedynie samotny spinacz. Odeszła, bez wątpienia. Zajrzał do trzech pozostałych szuflad. Tylko w najniższej leżało małe pudełko. Pierce wyjął je i otworzył. Do połowy było wypełnione wizytówkami. Wyjął jedną z nich i przeczytał:

Nicole R. James
Kierownik działu ochrony informacji
Amedeo Technologies

Po chwili schował wizytówkę do pudełka, które ponownie umieścił w szufladzie. Wstał i podszedł do szafek na akta stojących pod ścianą.

Nicole upierała się, by trzymać wydruki wszystkich materiałów wywiadowczych. Zajmowały cztery podwójne szafki. Pierce wyjął klucz i otworzył szufladę oznakowaną: Bronson. Wyjął z niej niebieską teczkę - zgodnie z systemem klasyfikacyjnym Nicole barwę tę miały najświeższe dane o konkurentach. Otworzył ją i przewertował wydruki. Natrafił na fotokopię artykułu z działu biznesowego „San Jose Mercury News”. Czytał już wszystko z wyjątkiem wycinka.

Była to krótka informacja, iż jeden z głównych rywali Pierce'a z sektora prywatnego otrzymał zastrzyk gotówki. Datowano ją dwa dni wcześniej. Pierce słyszał od Nicole ogólnikowe wzmianki o tym interesie. W świecie nowatorskich technologii wieści szybko się rozchodziły, o wiele szybciej niż poprzez środki masowego przekazu. Artykuł stanowił jednak potwierdzenie wszystkiego, czego Pierce zdążył się już dowiedzieć - z nawiązką.

Bronson Tech otrzymuje wsparcie z Japonii
Raoul Puig

Firma Bronson Technologies z siedzibą w Santa Cruz zgodziła się na partnerstwo z japońską korporacją Tagawa, od której otrzyma fundusze na program rozwoju elektroniki molekularnej. Obydwie strony oznajmiły o tym w środę.

W myśl umowy Tagawa wyłoży w ciągu następnych czterech lat 12 milionów dolarów na badanie. W zamian korporacja otrzymuje dwadzieścia procent udziałów w firmie.

Elliot Bronson, prezes założonej sześć lat temu firmy, oznajmił, iż pieniądze te pomogą wyjść na prowadzenie w wyścigu o skonstruowanie pierwszego praktycznego komputera molekularnego. Bronson oraz wiele firm prywatnych, uniwersytetów i agencji rządowych walczy o opracowanie pamięci o dostępie swobodnym (RAM), opartej na architekturze molekularnej, oraz zintegrowanie jej z innym oprzyrządowaniem. Chociaż niektórzy uważają, że od praktycznego zastosowania komputerów molekularnych dzieli nas nadal co najmniej dziesięć lat, ich propagatorzy wierzą, że zrewolucjonizują one świat elektroniki. Są również traktowane jako potencjalne zagrożenie dla multimiliardowego przemysłu komputerów opartych na krzemie.

Uważa się, że ewentualne zastosowania i zalety komputerów molekularnych są nieograniczone, dlatego też wyścig o ich skonstruowanie jest zażarty. Chipy molekularne będą nieskończenie potężniejsze i mniejsze od obwodów krzemowych, na których opiera się dzisiejsza elektronika.

„Począwszy od komputerów diagnostycznych, które będzie można wprowadzać do krwioobiegu, po układanie ((inteligentnych ulic» z zatopionymi w asfalcie mikroskopijnymi komputerami, technologia molekularna zmieni obraz świata — powiedział we wtorek Bronson. — Nasza firma zamierza pomóc w tej przemianie”.

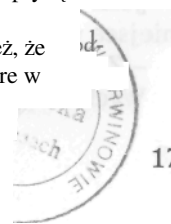
Do głównych rywali Bronsona w sektorze prywatnym należą Amedeo Technologies z Los Angeles i Midas Molecular z Raleigh w Karolinie Północnej. Firma Hewlett-Packard współdziała natomiast z naukowcami z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles. Co najmniej tuzin innych uniwersytetów i firm prywatnych angażuje znaczne fundusze w badania poświęcone nanotechnologii i molekularnej pamięci RAM. Wiele tych programów finansuje częściowo lub w całości Agencja Badawcza Zaawansowanych Programów Obronnych - DARPA.

Garść firm zdecydowała się na szukanie prywatnego wsparcia, zamiast polegać na rządzie czy uniwersytetach. Bronson wyjaśnił, że decyzja taka pozwala firmie na większą elastyczność oraz łatwość zmiany profilu badań i eksperymentów bez konieczności czekania na zgodę rządu czy uniwersytetu.

„Rząd i wielkie uniwersytety są jak okręty wojenne — powiedział Bronson. — Kiedy tylko ruszą we właściwym kierunku, trzeba się strzec. Zwrot we właściwą stronę zabiera im jednak mnóstwo czasu. Chodzi o dziedzinę zbyt konkurencyjną i zbyt szybko się zmieniającą, by to tolerować. Lepiej na razie..płynąć motorówką”.

Brak udziału rządu czy uniwersytetów sprawia również, że odpada konieczność dzielenia się zyskami za patenty, które w miarę^i upływu czasu będą coraz wartościowsze.

2. Pogoń za pieniądzem



W ciągu ostatnich pięciu lat nastąpił istotny postęp w dziedzinie komputerów molekularnych i wydaje się, że na prowadzenie wysunęła się firma Amedeo Tecknologies. Jest ona najstarsza z biorących udział w wyścigu. Henry Pierce, trzydziestoczteroletni chemik, założył ją w rok po ukończeniu Uniwersytetu Stanforda. Zarejestrował liczne patenty, dotyczące obwodów molekularnych oraz tworzenia pamięci molekularnej i bramek logicznych — podstawowych elementów komputerów.

Elliot Bronson twierdzi, że fundusze z Tagawy umożliwią mu równiejszy start. „Myślę, że wyścig będzie długi i interesujący, ale dotrzemy do mety — powiedział. — Dzięki temu interesowi mogę to zagwarantować .

Zdobycie źródła znacznego wsparcia finansowego — „upolowanie wieloryba” w żargonie inwestycji w rozwojowe gałęzie przemysłu - staje się ulubioną strategią mniejszych firm. Ruch Bronsona odpowiada posunięciu firmy Midas Molecular, której w tym roku udało się uzyskać dziesięć milionów od kanadyjskiego inwestora.

„Żeby brać udział w rywalizacji, trzeba mieć pieniądze, i nie ma na to rady — oświadczył Bronson. — Podstawowe oprzyrządowanie w tej dziedzinie jest kosztowne. Na wyposażenie laboratorium trzeba wydać ponad milion dolarów, a dopiero potem można zaczynać badanie”.

„Amedeo Technologies nie odpowiadała na nasze telefony, ale źródła w branży sugerują, że firma również szuka bogatego inwestora”.

„Wszyscy polują na wieloryby — oznajmił Daniel F. Daly, partner z Daly & Mills, firmy inwestycyjnej z siedzibą na Florydzie, śledzącej powstający rynek nanotechnologii. — Inwestycje rzędu stu tysięcy dolarów rozchodzą się błyskawicznie, dlatego wszyscy nastawiają się na jednorazowy połów — wyszukanie inwestora, który sfinansuje cały program od początku do końca”.

Pierce zamknął teczkę z wycinkiem z gazety. Artykuł nie zawierał prawie nic, czego by nie wiedział, ale zaintrygował go pierwszy cytat, w którym Bronson wspominał o diagnostyce molekularnej. Zastanawiał się, czy Bronson jedynie trzymał się branżowej linii i podkreślał najbardziej pociągające aspekty nowej nauki, czy też wiedział coś o Proteusie. Czy zwracał się bezpośrednio do Pierce'a, wykorzystując gazetę i świeżo zdobyte japońskie pieniądze do rzucaenia rękawicy?

Jeśli tak, to niebawem czekał go wstrząs. Pierce odłożył teczkę na miejsce w szufladzie.

- Za tanio się sprzedałeś, Elliot - powiedział, zamykając ją.
Wychodząc z gabinetu, zgasił światło.

Na korytarzu przelotnie rzucił okiem na tak zwaną galerię chwały. Na odcinku siedmiu metrów ścianę pokrywały oprawione artykuły, dotyczące Pierce'a, firmy Amedeo oraz jej patentów i badań. Za dnia, kiedy między gabinetami krążyli pracownicy, nigdy na nie nie patrzył. Jedynie w takich jak ten momentach odosobnienia spoglądał na ścianę i czuł dumę. Była to swego rodzaju tablica osiągnięć. Większość artykułów pochodziła z prasy fachowej i była napisana niezrozumiałym dla laika językiem, jednak kilka razy firma i jej działania przebiły się do popularnych środków masowego przekazu. Pierce zatrzymał się przed artykułem, który wprawiał go w największą dumę. Była to okładka magazynu „Fortune” sprzed pięciu lat ze zdjęciem Pierce'a - wówczas jeszcze z kucykiem - trzymającego w ręce plastikowy model prostego obwodu molekularnego, który właśnie opatentował. Nagłówek po prawej stronie jego uśmiechniętej twarzy głosił: „Najważniejszy patent następnego tysiąclecia?”.

Pod spodem znajdował się tekst mniejszą czcionką: „Henry Pierce tak uważa. Dwudziestodzieciolatek cudowne dziecko prezentuje przełącznik molekularny, mogący stanowić klucz do nowej ery komputerów i elektroniki”.

Działo się to zaledwie pięć lat temu, ale spojrzenie na oprawioną okładkę napełniło Pierce'a nostalgią. Mimo nieco żenującej etykiety cudownego dziecka jego życie zmieniło się od chwili, gdy magazyn trafił do rąk czytelników. Od tej pory naprawdę zaczął się wyścig. Inwestorzy zaczęli przychodzić do niego, a nie odwrotnie. Pojawili się konkurenci. Nastąpiły czasy Charliego Condon. Zgłosili się nawet ludzie Jaya Leno, którzy dopytywali się o długowłosego, surfującego chemika i jego cząsteczki. Najwspanialszym z zapamiętanych przez Pierce'a momentów było podpisanie czeku na elektonowy mikroskop skaningowy.

Wtedy też zaczęła się presja. By zdobywać kolejne stopnie, by robić następne kroki. A potem jeszcze dalsze. Mając możliwość wyboru, Pierce nie cofnąłby przeszłości. Za nic. Lubił jednak wspominać tamtą chwilę, gdy jeszcze nie wiedział, co go czeka. Nie było w tym nic złego.

Winda zjeżdżała do laboratorium tak powoli, że w ogóle nie wyczuwało się jej ruchu. Świadczyły o nim jedynie zmieniające się światelka nad drzwiami. Specjalnie ją tak zaprojektowano - by jak najbardziej zminimalizować wstrząsy. Drgania były wrogiem, powodowały zakłócenia w pomiarach i odczytach w laboratorium.

Drzwi otworzyły się powoli i Pierce wszedł do piwnicy. Dzięki karcie szyfrowej pokonał pierwsze drzwi śluzy, stanął w wąskim przejściu i wystukał na klawiaturze przy drugich drzwiach kod na wrzesień. Wreszcie wkroczył do laboratorium.

Było to w istocie kilka pomieszczeń, usytuowanych wokół sali głównej, zwanej też pokojem dziennym. Laboratorium nie miało okien. Jego ściany wyłożono od środka materiałem izolacyjnym z miedzianymi opilkami, tłumiącymi szum elektroniczny z zewnątrz. Dekoracji wewnątrz było niewiele i w znacznym stopniu stanowiły je oprawione w ramki reprodukcje rysunków z dziecięcej książki dr. Seussa „Horton Hears a Who”.

Znajdowało się tu między innymi dodatkowe laboratorium chemiczne, położone na prawo od wejścia. Była to „czysta sala”, w której sporządzano roztwory z przełącznikami molekularnymi i je mrozono. Stał w niej również inkubator programu Proteus, nazywany fermą komórkową.

Po prawej stronie pokoju dziennego znajdowało się laboratorium okablowania, nazywane przez niektórych kotłownią, a za nim laboratorium obrazowania z mikroskopem elektronowym. W głębi było laboratorium laserowe. Salę wyłożono miedzianą blachą dla dodatkowej ochrony przed szumem elektronicznym.

Laboratorium wyglądało na puste. Nikogo nie było przy komputerach i stojakach z probówkami, ale Pierce wyczuł znajomą woń

spiekanego węgla. Zajrzał do rejestru i stwierdził, że Grooms wpisał się, ale jeszcze nie wypisał. Pierce podszedł do laboratorium okablowania i zajrzał *przez* drzwi z niewielką szybkością. Nie zobaczył nikogo. Otworzył drzwi i wszedł do środka. Natychmiast uderzyły weń żar i zapach. Piec próżniowy był włączony - przygotowywała się nowa partia przewodów węglowych. Pierce domyślił się, że Grooms ją nastawił i wyszedł z laboratorium zrobić sobie przerwę lub kupić coś do jedzenia.

Henry opuścił pokój i zamknął za sobą drzwi. Podszedł do komputera przy stojaku na próbki i wprowadził swoje hasła. Otworzył dane z testów przełączników, które zamierzał przeprowadzić Grooms - powiedział mu o tym, zanim Pierce pojechał do siebie zająć się instalacją telefonu. Według komputerowego rejestru Grooms przeprowadził dwa tysiące testów na zestawie dwudziestu nowych formuł dla przełączników.

Pierce odchylił się na oparcie. Obok monitora zobaczył wypełniony do połowy kubek z kawą. Wiedział, że nalał ją sobie Larraby, bo tylko on pił czarną. Z wyjątkiem przydzielonego do programu Proteus immunologa wszyscy w laboratorium używali śmietanki.

Podczas gdy Pierce zastanawiał się, czy przeglądać dalej dane z testów funkcjonowania bramek, czy też przejść do laboratorium obrazowania i sprawdzić najnowsze prace Larraby'ego nad Proteusem, jego wzrok zbłądził na ścianę za komputerami. Była do niej przyklejona taśmą pięciocentówka. Zrobił to kilka lat wcześniej Grooms. W zasadzie był to żart, ale równocześnie przypomnienie o ich celu. Czasami moneta wydawała się szyderstwem. Roosevelt miał twarz odwróconą w bok - nie chciał na nich patrzeć, nie zwracał na nich uwagi.

Dopiero w tym momencie Pierce zdał sobie sprawę, że nie da rady pracować tej nocy. Spędził zbyt wiele wieczorów w zamkniętym laboratorium i stracił przez to Nicole. Ją i inne rzeczy. Po jej odejściu mógł pracować bez poczucia winy, ale nagle uświadomił sobie, że nie jest w stanie. Powie jej to, jeśli jeszcze kiedykolwiek będą rozmawiać. Niewykluczone, że się zmienia. Może coś to dla niej będzie znaczyło.

Za jego plecami rozległ się nagle łoskot. Pierce podskoczył w fotelu. Odwrócił się, spodziewając się powrotu Groomsa. Do służby wszedł jednak Clyde Vernon. Był to szeroki w barach, krępy i prawie łysy mężczyzna, jedynie na skroniach biegło wąskie pasmo włosów. Miał naturalnie rumianą cerę, która przydawała mu wygląd stale skonsternowanego. Dobiegał sześćdziesiątki, co czyniło go najstar-

szym pracownikiem firmy. Na drugim miejscu lokował się zapewne czterdziestoletni Charlie Condon.

Tym razem konsternacja na twarzy Vernona była autentyczna.

- Ej, Clyde, przestraszyłeś mnie - powiedział Pierce.

- Niechący.

- Przeprowadzamy tu mnóstwo czułych pomiarów. Takie trzaska nie drzwiami może zrujnować eksperyment. Na szczęście tylko przezglądałem wyniki.

- Przepraszam, doktorze.

- Nie zwracaj się tak do mnie. Pozwól, że się domyśle: wysłałeś list gończy za mną, a Rudolpho zadzwonił do ciebie, kiedy przyszedłem. Dlatego przyjechałeś aż z domu. Mam nadzieję, że nie mieszkasz zbyt daleko, Clyde.

Vernon zignorował błyskotliwą dedukcję Pierce'a.

- Musimy porozmawiać - powiedział. - Dostał pan moją wiadomość?

Znajdowali się dopiero we wstępnych stadiach procesu zapoznawania. Vernon był najstarszym pracownikiem Amedeo, ale równocześnie najświeższym. Pierce już zauważył, że Clyde ma trudności z mówieniem mu po imieniu. W odczuciu Henry'ego chodziło zapewne o wiek. Pierce był prezesem firmy, ale miał co najmniej dwadzieścia lat mniej niż Vernon, który został przyjęty kilka miesięcy wcześniej po przepracowaniu dwudziestu pięciu lat w FBI. Vernon sądził zapewne, że zwracanie się do Pierce'a po imieniu byłoby niewłaściwe, a dzieląca ich przepaść wieku i doświadczenia życiowego uniemożliwiała mu mówienie do niego „panie Pierce”. Zwrot „doktorze”, chociaż dotyczył stopnia naukowego, a nie zawodu, wydawał się Vernonowi nieco łatwiejszy do przyjęcia. Najchętniej jednak zwracałby się do pracodawcy całkowicie bezosobowo. To się wyczuwało, zwłaszcza w poczcie elektronicznej i rozmowach telefonicznych.

- Odebrałem wiadomość od ciebie dopiero kwadrans temu - powiedział Pierce. - Nie było mnie w biurze. Pewnie i tak bym do ciebie zadzwonił po skończeniu pracy. Chcesz porozmawiać o Nicole?

- Tak. Co się stało?

Pierce wzruszył bezradnie ramionami.

- To się stało, że odeszła. Zostawiła pracę i, hm, mnie. Pewnie można by powiedzieć, że mnie zostawiła pierwszego.

- Kiedy to się stało?

- Trudno powiedzieć, Clyde. Działo się to od jakiegoś czasu. Jak w zwolnionym tempie, ale wszystko łupnęło w zeszłym tygodniu. Zgodziła się zostać do dzisiaj. Dzisiaj pracowała ostatni dzień. Wiem,

że kiedy cię przyjąłem, ostrzegałeś mnie przed połowami w basenie firmy. Chyba miałeś rację.

Vernon zrobił krok w kierunku Pierce'a.

- Dlaczego mnie o tym nie poinformowano? - zapytał z wyrzutem. - Powiniennem wiedzieć.

Pierce spostrzegł, że na policzki Vernona wypełza rumieniec. Szef ochrony był zły i starał się to opanować. Chodziło nie tyle o Nicole, ile o umocnienie jego pozycji w firmie. Ostatecznie nie po to opuszczał po wielu latach Biuro, żeby bawił się z nim w ciuciubabkę jakiś niedomyty naukowiec, który pewnie w wolne dni popalał trawkę.

- Posłuchaj, wiem, że powinieneś się dowiedzieć, ale ponieważ chodziło także o pewne sprawy osobiste, po prostu... Po prostu nie miałem ochoty o tym rozmawiać. Mówiąc prawdę, pewnie ostatecznie i tak bym dzisiaj do ciebie nie zadzwonił, bo nadal nie mam chęci o tym dyskutować.

- No cóż, musimy o tym pogadać. Chodzi o kierowniczkę wywiadu przemysłowego w tej firmie. Jak można było dopuścić, żeby tak po prostu złożyła wypowiedzenie i sobie poszła?

- Wszystkie akta zostały. Sprawdziłem to nawet, chociaż nie musiałem. Nicki nigdy nie zrobiłaby tego, co usiłujesz zasugerować.

- Nie sugeruję żadnych wykroczeń. Po prostu staram się być do kładny i ostrożny, to wszystko. Wiadomo, czy dostała kolejną pracę?

- Nie, przynajmniej do naszej ostatniej rozmowy. Kiedy jednak ją zatrudnialiśmy, podpisała kontrakt, że nie zatrudni się u konkurencji. Nie musimy się tym martwić, Clyde.

- Tak się panu wydaje. Jakie były warunki finansowe odejścia?

- Dlaczego cię to interesuje?

- Ponieważ osoba potrzebująca pieniędzy jest łatwym celem. Muszę wiedzieć, czy były pracownik, który zna na wylot program badawczy, jest łatwym celem, to należy do moich obowiązków.

Pierce'a zaczynały denerwować pytania Vernona i jego protekcyjny zachowanie, chociaż na co dzień sam traktował w identyczny sposób szefa bezpieczeństwa.

- Po pierwsze, niewiele wiedziała na temat programu. Zbierała informacje o konkurencji, nie o nas. Aby to robić, musiała się orientować, czym się zajmujemy. Nie sądzę jednak, by wiedziała dokładnie, co robimy ani na jakim stadium są poszczególne programy. Tak samo jak ty tego nie wiesz, Clyde. Tak jest bezpieczniej. Po drugie, odpowiem na twoje kolejne pytanie, zanim je jeszcze zadasz. Nie, nigdy nie opowiadałem jej o szczegółach tego, co robimy. Ten temat nigdy nie wypłynął. W istocie sądzę, że jej to nawet nie interesowało.

Traktowała pracę normalnie i to pewnie stało się naszym głównym problemem, bo dla mnie praca jest całym życiem. Coś jeszcze, Clyde? Chcę wreszcie trochę popracować.

Miał nadzieję, że uda mu się przemycić pojedyncze kłamstwo, ukrywając je wśród wielu słów i rozdrażnienia.

- Kiedy dowiedział się Charlie Condon? - zapytał Vernon.

Condon był dyrektorem do spraw finansowych firmy, ale przede wszystkim człowiekiem, który osobiście zatrudnił Vernona.

- Powiedzieliśmy mu wczoraj - odparł Pierce. - Razem. Wiem, że umówiła się z nim na rozmowę wczoraj przed wyjściem. Nic nie poradzę, jeśli Charlie cię nie poinformował. Domyślam się, że również nie uznał tego za konieczne.

Uwagą tą Pierce przypomniał Vernonowi, że w ciuciubabkę zagrał z nim również jego poplecznik. Były agent FBI zbył to jednak przelotnym zmarszczeniem brwi.

- Nie otrzymałem wcześniej odpowiedzi - kontynuował. - Czy do stała odprawę?

- Oczywiście, że tak. Wypłatę za pół roku, dwa lata ubezpieczenia medycznego i na życie. Sprzedaje też dom i zachowuje całą kwotę dla siebie. Usatysfakcjonowany? Nie sądzę, żeby była w potrzebie. Za sam dom powinna dostać ponad sto tysięcy.

Wydawało się, że Vernon nieco się uspokoił. Przyczyniła się do tego informacja, że Charlie Condon o wszystkim wiedział. Pierce zdawał sobie sprawę, że Vernon traktuje Charliego jako faktycznego szefa, który zajmuje się praktyczną stroną prowadzenia firmy, a Pierce'a jako bardziej efemerycznego reprezentanta talentu. To natomiast, iż u Pierce'a dominował talent, w jakiś sposób obniżało jego ocenę w oczach Vernona. Charlie był inny - poświęcił się bez reszty interesom. Skoro kontrasygnował wypowiedzenie Nicole James, wszystko było w porządku.

Jeżeli jednak Vernon odczuwałby zadowolenie, i tak nie powiedziałby o tym Pierce'owi.

- Przepraszam, jeśli moje pytania były nieprzyjemne - powiedział Vernon. - Pilnowanie bezpieczeństwa firmy i jej programów to moja praca i obowiązek. Muszę chronić inwestycje wielu ludzi i spółek.

Zrobił w ten sposób aluzję do powodu, dla którego tu się znalazł. Charlie Condon zatrudnił go przed rokiem na pokaz. Vernon miał za zadanie uspokajać potencjalnych inwestorów, pragnących mieć pewność, że programy firmy - a przez to i ich wkłady finansowe - będą bezpieczne i dobrze strzeżone. Imponujące dossier Vernona było dla firmy istotniejsze niż faktycznie wykonywana przez niego praca ochroniarska.

Gdy Maurice Goddard po raz pierwszy przyleciał z Nowego Jorku, został oprowadzony po siedzibie firmy i wysłuchał wstępnej prezentacji, przedstawiono mu też Vernona, z którym dyskutował przez dwadzieścia minut o zabezpieczeniach zakładu i kontroli personelu.

Pierce popatrzył na Clyde'a Vernona, miał ochotę na niego narzecz - żeby dotarło do niego, że kończą im się fundusze i były agent mało znaczy w ostatecznym rozrachunku. Powstrzymał się jednak.

- Rozumiem doskonale twoją troskę, Clyde, nie sądzę jednak, że byś musiał się przejmować Nicole. Wszystko gra.

Vernon skinął głową i wreszcie ustąpił, zapewne wyczuwając narastające w Pierce'u napięcie.

- Pewnie ma pan rację.
- Dziękuję.
- Hm, powiedział pan, że sprzedaje dom.
- Powiedziałem, że ona go sprzedaje.
- Istotnie. Już się pan wyprowadził? Ma pan numer, pod którym mógłbym się z panem skontaktować?

Pierce się zawahał. Vernona nie było na priorytetowej liście ludzi, którym rozesłano jego nowy numer telefonu i adres. Respekt to mechanizm działający w obydwie strony. Chociaż Pierce uważał Vernona za kompetentnego, wiedział również, że zdobył on swoją posesję wyłącznie dzięki służbie w FBI. Połowę tego ćwierćwiecza Vernon przepracował w biurze terenowym w Los Angeles, zajmując się przestępczością gospodarczą i dochodzeniami w sprawie wywiadu przemysłowego.

W oczach Pierce'a Vernon był jednak przede wszystkim pozerem. Nigdy nie stał w miejscu: gnał korytarzami i trząsał drzwiami jak człowiek z doniosłą misją. W ostatecznym rozrachunku trudno było uznać za takową pilnowanie bezpieczeństwa firmy, zatrudniającej trzydziestu trzech ludzi, z których zaledwie dziesięciu mogło przejść przez służbę do laboratorium komputerowego, gdzie były przechowywane wszystkie sekrety.

- Mam nowy numer, ale go nie pamiętam - odparł Pierce. - Po staram się podać ci go najszybciej.

- A adres?
- Mieszkam w The Sands nad plażą. Tysiąc dwieście jeden.

Vernon wyjął mały notes i zapisał informację. Wyglądał dokładnie tak, jak gliniarz ze starego filmu; notesik ginął w jego wielkich rękach. Dlaczego policjanci zawsze noszą tak małe notatniki? Pyta-

nie to zadał kiedyś Cody Zeller, gdy razem z Pierce'em obejrzeni jakiś kryminał.

- Wracam do pracy, Clyde. Ostatecznie wszyscy inwestorzy liczą na nas, prawda?

Vernon podniósł głowę znad notesu, uniósłszy brew, jakby starał się odgadnąć, czy Pierce nie jest sarkastyczny.

- Właśnie - powiedział. - W takim razie nie przeszkadzam.

Kiedy szef ochrony wyszedł przez służbę, Pierce stwierdził, że nie da rady zająć się pracą. Opanowała go bierność. Po raz pierwszy od trzech lat nie przeszkadzały mu żadne sprawy spoza laboratorium i mógł swobodnie pracować, ale po raz pierwszy nie miał na to ochoty.

Zgasił komputer, wstał i podążył śladem Vernona przez służbę.

!Po powrocie do swojego gabinetu Pierce włączył światło dłonią. & Zdawał sobie sprawę, że system rozpoznawania głosu to tylko bajer, zainstalowany dla robienia wrażenia na potencjalnych inwestorach, których ściągał co kilka tygodni Charlie Condon. Gadżet. Taki sam jak wszystkie kamery i Vernon. Charlie upierał się jednak, że jest niezbędny, bo symbolizował pionierską naturę ich prac. Twierdził, że pomaga inwestorom pojąć znaczenie programów firmy. Dzięki temu nie odczuwali wahania przy podpisywaniu czeków.

W rezultacie gabinety dyrekcji wydawały się jednak czasem Pierce'owi równie nowoczesne, jak bezduszne. Otwierał firmę w magazynie w Westchester, zmuszony do prowadzenia pomiarów w przerwach między startami i lądowaniami na lotnisku międzynarodowym w Los Angeles. Nikogo wtedy nie zatrudniał. Obecnie miał zbyt wielu pracowników, by ich spamiętać. Wtedy jeździł volkswagenem garbusem - starego typu. Teraz miał bmw. Nie było wątpliwości, że on i Amedeo daleko zaszli. Pierce jednak coraz częściej wracał wspomnieniami do laboratorium w magazynie pod korytarzem powietrznym pasa startowego numer 17.

Usiadł przy biurku i zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Cody'ego Zellera i powiedzieć, że zmienił zdanie i ma ochotę na wyskok na miasto. Chodziło mu też po głowie, by zatelefonować do domu i zorientować się, czy Nicole nie ma ochoty na rozmowę. Wiedział jednak, że się na to nie zdobędzie. Była jej kolej na ruch, a on musiał na niego czekać - nawet jeśli nigdy nie nastąpi.

Wyjął notes z plecaka i wybrał numer zdalnego dostępu do poczty głosowej. Wystukał hasło i usłyszał elektroniczny głos, że ma jed-

ną nową wiadomość. Wybrał jej odtwarzanie i usłyszał nerwowy głos nieznanego mężczyzny:

„Halo, jestem Frank. Frank Behmer. Dzwonię do Lilly. Znalazłem ten numer na stronie internetowej i postanowiłem dowiedzieć się, czy jesteś wolna dzisiaj wieczorem. Wiem, że jest późno, ale pomyślałem, że spróbuję. Jestem w hotelu Pennisula. Zadzwoń, kiedy będziesz mogła. Jestem w pokoju czterysta dziesięć. Nazywam się Frank Behmer”.

Pierce skasował wiadomość, ale ponownie poczuł zadziwiającą magię wniknięcia do czyjegoś ukrytego świata. Zastanowił się przez parę chwil, po czym zadzwonił do informacji i dowiedział się o numer hotelu Pennisula w Beverly Hills. Frank Behmer tak denerwował się podczas nagrywania wiadomości, że zapomniał o podaniu swojego numeru.

Pierce zadzwonił do hotelu i poprosił Behmera z pokoju 410. Telefon odebrano po pięciu sygnałach.

- Halo?

- Pan Behmer?

-Tak?

- Witam. Dzwonił pan do Lilly?

Behmer zawahał się przed odpowiedzią.

- Kto mówi?

Pierce nie wahał się - przewidział to pytanie.

- Mam na imię Hank. Odbieram telefony do Lilly. W tej chwili jest nieco zajęta, ale staram się skontaktować z nią w pańskiej sprawie. Żeby umówić wasze spotkanie.

- Tak? Próbowałem dodzwonić się na pager, ale nie odpowiadała.

- Na numer pagera?

- Podany na stronie.

- Ach, rozumiem. Wie pan, Lilly figuruje na kilku stronach. Wolno zapytać, na której ją pan znalazł? Staramy się ustalić, która jest najefektywniejsza, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

- Na stronie L.A. Darlings.

- Ach, L.A. Darlings. Jedna z naszych lepszych witryn.

- To naprawdę ona, tak? Na zdjęciu?

- Hm... tak, proszę pana, to naprawdę ona.

- Piękna.

- Tak. No dobrze, jak powiedziałem, przekażę jej, żeby do pana zadzwoniła, kiedy tylko się z nią skontaktuję. Jeśli jednak ani ja, ani Lilly nie zadzwonimy do pana w ciągu godziny, to nic z tego.

- Naprawdę? - w głosie mężczyzny zabrzmiało rozczarowanie.

- Jest bardzo zajęta, panie Behmer, ale zrobię wszystko, co w mojej mocy. Dobranoc.

- No to proszę jej przekazać, że jestem *przez* kilka dni w mieście w interesach i ugościłbym ją naprawdę porządnie, jeśli pan rozumie, co mam na myśli.

W głosie mężczyzny zabrzmiała nieco błagalna nuta, która sprawiła, że Pierce zawstydził się swojego podstępu. Poczul się nagle, jakby wiedział za dużo o Behmerze i jego życiu.

- Wiem, co pan ma na myśli - odparł. - Do widzenia.

Rozłączył się. Spróbował odgonić od siebie wyrzuty sumienia. Nie wiedział, co robi ani dlaczego, ale czuł się, jakby coś ciągnęło go z góry wytyczonym szlakiem. Włączył z powrotem komputer i wtknął końcówkę kabla telefonicznego. Połączył się z Internetem i wypróbował różne kombinacje, aż natrafił na www.la-darlings.com i otworzyła się witryna.

Pierwsza strona zawierała tylko tekst: ostrzeżenie, że dalsze strony zawierają materiały tylko dla dorosłych, stanowiące równocześnie zrzeczenie się przez wchodzącego dalej prawa do wszelkich skarg. Kliknięcie na prostokąt „wchodzę” równało się potwierdzeniu *przez* odwiedzającego witrynę, że jest pełnoletni i nie czuje się urażony nagością czy treściami dla dorosłych. Nie czytając szczegółowych klauzul, Pierce nacisnął klawisz myszy, a na monitorze pojawiła się strona główna witryny. Po lewej stronie znajdowała się fotografia nagiej kobiety, zasłaniającej się ręcznikiem i trzymającej palec przy ustach w zachęcającym do zachowania tajemnicy geście. Nazwa strony była podana dużą, purpurową czcionką:

L.A. Darlings

Darmowy przewodnik po rozrywkach i usługach dla dorosłych

Pod spodem znajdował się rząd czerwonych tabliczek z nazwami dostępnych usług, od towarzystwa hostess, pogrupowanych według rasy i koloru włosów, po masaż i zabawy z użyciem fetyszy, oferowane *przez* reprezentantów wszystkich możliwych płci i orientacji seksualnych. Była nawet tabliczka, proponująca wynajmowanie prawdziwych gwiazd porno na prywatne sesje. Pierce wiedział, że w Internecie znajduje się mnóstwo takich stron. Prawdopodobnie każdy dostawca usług internetowych w każdej metropolii i mieście utrzymywał co najmniej jedną taką witrynę - równoważnik burdelu w Sieci. Pierce nigdy nie zadał sobie trudu zapoznać się z jakąkolwiek, ale wiedział, że Charlie Condon skorzystał z takiej strony, by

wynając hostessę dla potencjalnego inwestora. Pożałował tej decyzji i nigdy jej nie powtórzył: inwestor dostał narkotyk w drinku i został okradziony przez panienkę, zanim doszło do jakiegokolwiek zbliżenia.

Pierce kliknął na tabliczkę hostess blondynek tylko z tego powodu, że nie przyszło mu do głowy inne miejsce do rozpoczęcia poszukiwań Lilly. Strona podzieliła się na dwie części. Po lewej znalazł się panel do przewijania z zakładkami - zdjęciami blondynek, pod którymi figurowały imiona. Po kliknięciu na zakładkę otwierała się po prawej osobista strona hostessy - powiększone zdjęcie, ułatwiające przyjrzenie się jej dokładniej.

Pierce zaczął przewijać listę, odczytując imiona. Hostess było prawie czterdzieści, lecz żadna z nich nie miała na imię Lilly. Zamknął okno i przeszedł do sekcji brunetek. W połowie listy natrafił na hostessę, pod której zdjęciem wypisano „Tiger Lilly”. Kliknął na zakładkę i po prawej pojawiła się reklama brunetki. Pierce sprawdził numer telefonu - nie zgadzał się. Był zupełnie inny niż u niego.

Zamknął stronę i wrócił do listy zakładek. Natrafił dalej na hostessę, nazywającą się po prostu Lilly. Otworzył jej stronę i porównał numer. Pasował. Odnalazł Lilly, której numer telefonu należał teraz do niego.

Zdjęcie w reklamie przedstawiało brunetkę w wieku około dwudziestu pięciu lat. Miała ciemne, sięgające ramion włosy, brązowe oczy i silną opaleniznę. Klęczała na łóżku z mosiężnymi poręczami. Miała na sobie jedynie czarny, ażurowy negliż. Wyraźnie było widać krzywizny jej piersi. Tak samo jak linie opalenizny w pachwinach. Patrzyła prosto w aparat. Usta ułożyła w sposób, który w ocenie Pierce'a miał uchodzić za kusicielski.

Jeśli zdjęcie nie zostało wyretuszowane i jeżeli naprawdę przedstawiało Lilly, to była piękna. Tak jak powiedział Frank Behmer. Czyste marzenie, ideał hostessy. Pierce zrozumiał, dlaczego telefon wydzwaniał ciągle od chwili, kiedy go podłączył. Nie liczyła się obfitość konkurencji na tej stronie i innych w Sieci. Przewijający listę zdjęć mężczyzna - w istocie szukający kobiety na sprzedaż - musiałby nie mieć oleju w głowie, żeby nie sięgnąć na widok Lilly po telefon.

Zdjęcie ozdobione było niebieską kokardką. Pierce nasunął na nie kursor i wyświetlił się napis „zdjęcie zweryfikowane przez personel”. Znaczyło to, że kobieta na fotografii jest rzeczywiście tą, która się ogłasza. Innymi słowy, jeśli wybrałeś tę hostessę, dostawałeś towar zgodny z opisem.

- Weryfikator fotografii - mruknął Pierce. - Niezła robota.

Przeniósł wzrok na tekst reklamy pod zdjęciem i zaczął przewijać tekst.

Specjalne Pragnienia

Witajcie, panowie. Nazywam się Lilly i jestem najbardziej kojącą nerwy, gorliwą i konkretną hostessą w całym Westsidzie. Mam 23 lata, wymiary 90-75-90 (wszystkie naturalne), metr pięćdziesiąt trzy wzrostu i nie palę. Jestem po części Hiszpanką, po części Włoszką i bez reszty Amerykanką! Jeśli więc szukacie rozrywki, jakiej nie mieliście jeszcze nigdy w życiu, to zadzwońcie do mnie i odwiedźcie mnie w moim bezpiecznym mieszkanku niedaleko plaży. Nigdy się nie spieszę i gwarantuję satysfakcję! W grę wchodzi wszystkie specjalne pragnienia. A jeśli pragniecie podwoić swoją przyjemność, odwiedźcie stronę mojej przyjaciółki Robin w dziale hostess blondynek. Pracujemy zespołowo - z wami czy przy was! Kocham swoją pracę i kocham pracować - więc dzwońcie! Możliwe składanie zamówień. Usługi tylko dla VIP-ów.

Pod reklamą widniał numer telefonu, przydzielony teraz do mieszkania Pierce'a, oraz numer pagera.

Pierce podniósł słuchawkę i wybrał ten drugi. Rozległy się trzy piknięcia, po czym odezwał się głos Lilly:

„Cześć, tu Lilly. Proszę, zostaw nazwisko i numer telefonu, a wkrótce oddzwonię. Nie oddzwaniam na numery automatów. Jeśli mieszkasz w hotelu, pamiętaj o pozostawieniu imienia i nazwiska, bo inaczej nie zostanę z tobą połączona. Dzięki, mam nadzieję, że wkrótce się spotkamy. Pa, pa”.

Pierce wybrał numer, zanim przemyślał, co chce powiedzieć. Rozległ się sygnał, więc zaczął mówić:

- Lilly, tak? Mam na imię Henry. Mam pewien problem, bo dostałem twój stary numer telefonu. To znaczy, przydzieliła mi go firma telefoniczna. Uważam, że chyba powinniśmy o tym porozmawiać.

Wykrztusił numer i rozłączył się.

- Cholera!

Wiedział, że wypadł jak idiota. Nie wiedział nawet dokładnie, dlaczego zadzwonił do Lilly. Jeśli zrezygnowała z numeru, nie mogła nic więcej zrobić w tej sprawie, z wyjątkiem usunięcia go ze strony w Internecie. Lilly była oszałamiająco piękna, a Pierce czuł narastający ciężar w środku - wzmagający się głód pożądania. W końcu przebiła się przez nie myśl: Co ja wyprawiam?

Było to słuszne, uzasadnione pytanie. Wiedział, że powinien wyciągnąć wtyczkę z komputera, w poniedziałek zażądać nowego numeru, skupić się na pracy i zapomnieć o wszystkim.

Nie potrafił jednak tego zrobić. Odwrócił się do klawiatury, zamknął reklamę Lilly i wrócił do strony głównej. Otworzył listę hostess blondynek i przewinął ją, aż natrafił na zdjęcie-zakładkę, pod którym figurowało imię Robin.

Otworzył stronę. Kobieta imieniem Robin była zgodnie z reklamą blondynką. Leżała nago na plecach na łóżku. Na brzuchu miała usypane płatki róż, zebrane również w strategicznych miejscach na piersiach i kroczu, tak iż częściowo je zakrywały. Jej uszmińkowane usta rozciągały się w uśmiechu. Pod zdjęciem znajdowała się niebieska kokardka dowodząca, że i ono zostało zweryfikowane. Pierce przewinął stronę do reklamy:

Amerykańska Piękność

Witaj, dżentelmenie. Nazywam się Robin i jestem dziewczyną, o jakiej śniłeś: naturalną blondynką i rasową niebieskooką Amerykanką. Mam 24 lata, prawie metr osiemdziesiąt wzrostu i wymiary 95-75-90. Nie palę, ale uwielbiam szampana. Mogę przyjechać do ciebie, ale i ty możesz złożyć mi wizytę. Zresztą to nieważne, bo i tak nie będę cię poganiała. A jeśli chcesz podwoić swoją przyjemność, odwiedź stronę mojej przyjaciółki Lilly w sekcji brunetek. Pracujemy zespołowo - z wami czy przy was! Więc dzwoń - satysfakcja gwarantowana!

Usługi tylko dla VIP-ów.

Pod ogłoszeniem były numery telefonu i pagera. Prawie bez zastanowienia Pierce zapisał je w notesie. Następnie wrócił do zdjęcia. Robin była atrakcyjna, ale nie w tak przyprawiający o ból sposób jak Lilly. Blondynka miała ostre linie wokół ust i oczu, poza tym wyglądała na chłodniejszą. Bardziej odpowiadała swoim wyglądem temu, czego Pierce oczekiwał po tego rodzaju stronach - w odróżnieniu od Lilly.

Uświadomił sobie, że reklamy na obu stronach - Robin i Lilly - napisała prawdopodobnie ta sama osoba. Świadczyły o tym powtarzające się frazy i struktura ogłoszenia. Przyjrząwszy się fotografii, Pierce doszedł również do wniosku, że na obydwóch zdjęciach było to samo łóżko. Otworzył listę „historii” internetowej i przeszedł od razu na stronę Lilly, by się upewnić.

Łóżko istotnie było to samo. Potwierdzało to, że obydwie kobiety rzeczywiście pracowały razem, ale czy coś poza tym oznaczało - nie wiedział.

Główna różnica, jaka rzuciła mu się w oczy w reklamach, polegała na tym, że Lilly przyjmowała klientów wyłącznie w swoim mieszkaniu. Robin natomiast gotowa była również jeździć do nich. Pierce i tym razem nie miał pojęcia, czy oznaczało to cokolwiek w świecie, w którym żyły i działały.

Odchylił się w fotelu, wpatrując się w monitor komputera i zastanawiając, co powinien teraz zrobić. Popatrzył na zegarek. Dochodziła jedenasta.

Nagle pochylił się naprzód i podniósł słuchawkę. Wybrał numer ze strony Robin. Stracił animusz i już miał się rozłączyć, gdy rozległ się senny, zmysłowy głos kobiety:

- Hm, Robin?

- Tak.

- Przepraszam, obudziłem cię?

- Nie, nie spałam. Kto mówi?

- Nazywam się Hank. Widziałem, mm, twoją stronę w L.A. Darlings. Dzwonię za późno?

- Nie, nic się nie stało. Co to jest Amedeo Techno?

Pierce domyślił się, że Robin ma identyfikator połączeń. Poczul silny dreszcz strachu. Obawy przed skandalem, przed tym, iż ludzie w rodzaju Vernona poznają jego tajemnicę.

- Właściwie to Amedeo Technologies. Twój czytnik pewnie nie wyświetla całej nazwy.

- Pracujesz tam?

- Tak.

- To ty jesteś Amedeo?

Pierce uśmiechnął się.

- Nie, nie ma pana Amedeo. Już nie.

- Co się z nim stało?

- Chodzi o Amedeo Avogadro. Był chemikiem około dwustu lat temu, pierwszy wyjaśnił różnicę między cząsteczkami i atomami. Było to ważne rozróżnienie, ale przez blisko pięćdziesiąt lat nie traktowano go poważnie - dopiero po jego śmierci. Wyprzedził po prostu swoją epokę. Dlatego nazwałem moją firmę jego imieniem.

- Czym się tam zajmujesz? Bawisz się atomami i cząsteczkami?

Usłyszał jej ziewnięcie.

- W pewnym sensie. Jestem chemikiem. Budujemy komputer molekularny.

Sam ziewnął.

- Naprawdę? Klawo.

Pierce znów się uśmiechnął. Nie wyglądało na to, że zrobiło to na Robin wrażenie czy choćby ją zainteresowało.

- Tak czy inaczej powodem, dla którego dzwonię, jest to, że jak widzę, pracujesz razem z Lilly. Tą hostessą brunetką?

- Pracowałam.

- To znaczy, że przestałaś?

- Tak, przestałam.

- Co się stało? Próbowałem się do niej dodzwonić i...

- Nie będziemy rozmawiać o Lilly. W ogóle cię nie znam.

Zmienił się ton jej głosu - stał się ostrzejszy. Pierce instynktownie wyczuł, że straci szansę na dowiedzenie się czegokolwiek, jeśli nie *zagra* we właściwy sposób.

- Dobrze, przepraszam. Po prostu pytałem, bo mi się podoba.

- Byłeś z nią?

- Tak, parę razy. Wydała mi się miła i zastanawiałem się, co się z nią stało. To wszystko. Ostatnim razem zasugerowała, że może na następny spotkamy się wszyscy troje. Jak myślisz, mogłabyś przeka zać jej wiadomość?

- Nie. Nie ma jej od dawna, a cokolwiek się z nią stało... po prostu się stało. I to wszystko. Niech policja się tym zajmuje, jeśli ma ochotę.

- Policja?

- Wiesz pan, naprawdę wkurzasz mnie tymi wszystkimi pytaniami, a chodzi o to, że w ogóle nie muszę z tobą rozmawiać. Może więc po prostu spędzisz nockę w towarzystwie tych swoich cząsteczek.

Robin przerwała połączenie.

Pierce siedział nadal z przyłożoną do ucha słuchawką. Kusiło go, żeby zadzwonić ponownie, ale instynktownie wyczuwał, że próby wyciągnięcia z Robin czegokolwiek okazałyby się nieskuteczne. Za-przepaścił swoje szanse niewłaściwym rozegranie sytuacji.

Wreszcie odłożył słuchawkę i zastanowił się nad tym, czego się dowiedział. Popatrzył na fotografię Lilly, nadal widniejącą na monitorze komputera. Pomyślał o wzmiance Robin o policji.

- Co się z tobą stało, Lilly? - zastanawiał się na głos.

Wrócił na stronę główną i kliknął na tabliczkę z napisem: „Ogłoś się u nas”. Stanowiła wejście na stronę z instrukcjami, jak zamieścić reklamę w witrynie. Można było to zrobić poprzez Internet, wysyłając numer karty kredytowej, tekst reklamy i zdjęcie cyfrowe. Aby jednak zamieszczono niebieską kokardkę, oznaczającą zweryfikowa-

nie zdjęcia w ogłoszeniu, hostessa musiała dostarczyć materiały osobście, by umożliwić potwierdzenie, że fotografia przedstawia właśnie ją. Siedziba firmy mieściła się przy Bulwarze Zachodzącego Słońca w Hollywood. Według informacji na stronie była otwarta od poniedziałku do soboty, w dni robocze od dziewiątej do piątej i od dziesiątej do trzeciej po południu w tę ostatnią.

Pierce zapisał w notesie adres i godziny otwarcia. Miał już wyjść z Sieci, kiedy zdecydował się jeszcze raz zadzwonić na pager Lilly. Wydrukował kolorowy egzemplarz zdjęcia hostessy. W końcu wyłączył komputer i wyjął wtyczkę linii telefonicznej. Wewnętrzny głos znów podpowiedział mu, że posunął się na tyle daleko, na ile mógł. Na ile powinien. Nadeszła pora, żeby zmienić numer telefonu i dać sobie z całą sprawą święty spokój.

Inny głos - silniejszy, pochodzący z przeszłości - podpowiadał mu jednak coś wręcz przeciwnego.

- Światła - powiedział Pierce.

Gabinet pogrążył się w ciemnościach. Pierce nawet nie drgnął. Lubił mrok. Zawsze myślało mu się w nim najlepiej.

Schody były pogrążone w ciemnościach, a chłopak - wystraszony. Obejrzał się na ulicę i zobaczył czekający samochód. Ojczym dostrzegł jego wahanie i wystawił rękę przez okno. Machnięciem dał znać chłopcu, żeby wszedł do środka, żeby wreszcie ruszał. Chłopiec odwrócił się i zajrzał w ciemność. Włączył latarkę i wszedł na schody.

Świecił latarką po stopniach, nie chcąc zbyt szybko zdradzić swojej obecności. W połowie drogi jeden ze stopni zaskrzypiał głośno pod nogą. Zamartł. Wciąż słyszał łomoczące w piersi serce. Pomyślał o Isabelle i lęku, jaki na pewno prześladował je dzień w dzień i noc po nocy. To przeżyło, ruszył dalej.

Trzy stopnie przed podestem zgasił latarkę i zaczekał, aż jego wzrok przywyknie do ciemności. Po paru chwilach wydało mu się, że dostrzega wypełniającą pokój na górze mętną poświatę. Był to odbłask świecy, padający na sufit i ściany. Chłopiec przycisnął się do ściany i pokonał trzy ostatnie stopnie.

Pokój okazał się duży i zatłoczony. Pod dwoma dłuższymi ścianami ustawiono prowizoryczne łóżka. Na każdym leżały nieruchome sylwetki, które przypominały zwały starej odzieży na wyprzedaży. W końcu pokoju paliła się świeca; starsza o kilka lat od chłopca i brudniejsza dziewczyna trzymała łyzeczkę nad płomieniem. Chłopiec przyjrzał się jej twarzy w migocącym blasku. Zorientował się, że to nie Isabelle.

Ruszył środkiem pokoju pomiędzy śpiworami i postaniami z gazet. Oglądał się z boku na bok, szukając znajomej twarzy. Było ciemno, lecz jej by nie pomylił. Rozpoznałby ją od razu.

Dotarł do końca - do dziewczyny z łyzeczką. Isabelle tu nie było.
- Kogo szukasz? - zapytała dziewczyna.

Wysuwiała tłoczek strzykawki, zasysając brunatnoczarną ciecz z byżeczki przez filtr od papierosa. W mętym świetle chłopiec dostrzegł bliźny po uktuciach na jej szyi.

- Kogoś- odpowiedział.

Przeniósła spojrzenie z byżeczki na twarz chłopaka, zaskoczona jego głosem. Zobaczyła chłopca w brudnym, za dużym ubraniu.

- Młody jesteś - powiedziała. - Lepiej się stąd wynoś, zanim przyjdzie cieć.

Wiedział, o co jej chodzi. Wszyscy dzicy lokatorzy w Hollywood mieli cieci - ludzi, ściągających z nich opłatę w pieniądzech, narkotykach lub naturze.

- Jak cię znajdzie, przeleci twoją dziewiczą dupkę i wystawi cię na...

Nagle urwała i zdmuchnęła świecę, zostawiając chłopca w ciemnościach. Odwrócił się w stronę drzwi, czując wypełniający go strach. U szczytu schodów pojawiła się sylwetka mężczyzny. Potężnego. Z rozwierzonymi włosami. Ciecica. Chłopiec odruchowo zrobił krok do tyłu i potknął się o czyjś nogę. Przewrócił się, latarka zagrzecotała na podłodze obok niego.

Mężczyzna w wejściu ruszył w jego stronę.

- Hanky, mój mały! - zawołał. - Chodź tu, Hank!

Pierce obudził się o świcie. Słońce wyrwało go ze snu, w którym uciekał przed mężczyzną o niewidocznej twarzy. Nie miał jeszcze zasłon w oknach; światło wpadało przez szyby i paliło w powieki. Wypełził ze śpiwora, popatrzył na pozostawione na podłodze zdjęcie Lilly i poszedł pod prysznic. Kiedy skończył, musiał się wytrzeć dwiema koszulkami wygrzebanymi z pudeł z ubraniami - zapomniał kupić ręczniki.

Poszedł po kawę, biszkopt z cytrusami i sobotnią gazetę. Czytał i pił powoli, czując się z tego powodu niemal winny. Przez większość sobót zjawiał się o świcie w laboratorium.

Kiedy skończył czytanie gazety, dochodziła dziewiąta. Wrócił na piechotę do The Sands i wsiadł do samochodu, ale nie pojechał jak zwykle do firmy.

Za kwadrans dziesiąta dojechał do adresu w Hollywood, który spisał ze strony L.A. Darlings. Był to wielopoziomowy kompleks biurowy, wyglądający równie pospolicie jak McDonald. L.A. Darlings mieściła się w pokoju 310. Duże litery na drzwiach z matowego szkła głosiły: Entrepreneurial Concepts Unlimited. Niżej znajdowała się lista drobniejszą czcionką dziesięciu witryn internetowych, w tym L.A. Darlings, najwidoczniej zarządzanych wspólnie przez Entrepreneurial Concepts. Nazwy witryn świadczyły, że wszystkie były poświęcone branży seksu i wchodziły w skład gigantycznego świata internetowej rozrywki dla dorosłych.

Drzwi były zamknięte na klucz; Pierce przyjechał kilka minut za wcześnie. Postanowił wykorzystać je na krążenie po korytarzu i obmyślanie, co ma powiedzieć i jak to rozegrać.

- Proszę, już otwieram.

Odwrócił się i zobaczył, że do drzwi podchodzi kobieta z kluczem. Miała około dwudziestu pięciu lat i obłądną fryzurę blond, wydającą się sterczeć na wszystkie strony. Kobieta nosiła obcięte dżinsy i koszulkę, odsłaniającą jej pępek z kolczykiem. Miała przerzuconą przez ramię torebkę, która wyglądała na wystarczająco dużą, by pomieścić paczkę papierosów, ale już nie zapalki. Dziewczyna sprawiała wrażenie, jakby dziesiąta rano była dla niej zdecydowanie zbyt wczesną porą.

- Przyszedł pan przed czasem - powiedziała.

- Wiem - odparł Pierce. - Przyjechałem z Westside'u. Wydawało mi się, że będzie większy ruch.

Wszedł za nią do środka. Była tam poczekalnia z uniesionym kontuarem, strzegącym przejścia na korytarz w głębi. Po prawej stronie znajdowały się niezagrodzone drzwi z napisem „Wstęp wzbroniony”. Pierce patrzył, jak kobieta wchodzi za kontuar i rzuca torebkę do szuflady.

- Musi pan poczekać parę minut, aż się pozbieram. Dzisiaj tylko ja tu jestem.

- Mały ruch w sobotę?

- Zazwyczaj tak.

- A kto pilnuje maszyn, skoro tylko pani tu jest?

- Och, w głębi zawsze siedzi ktoś jeszcze. Chodziło mi o to, że jestem dzisiaj jedyna w recepcji.

Wsunęła się na krzesło za kontuarem. Wystający nad jej brzuch pierścionek przykuł wzrok Pierce'a i przypomniał mu Nicole. Pracowała dla Amedeo dwa lata, zanim trafił na nią w sobotnie popołudnie w kawiarni przy Main Street. Nicole właśnie wracała z sali gimnastycznej, ubrana w szare spodnie od dresu i sportowy stanik, wówczas dostrzegł złoty kolczyk w jej pępku. Dla Pierce'a było to jak odkrycie sekretu kogoś, kogo znało się przez całe życie. W jego oczach zawsze była piękna, ale od tamtej chwili w kawiarni wszystko się zmieniło. *Zaczął* pożądać Nicole i chodzić za nią, ponieważ pragnął się dowiedzieć, czy nie ma jakichś ukrytych tatuaży, oraz poznać wszystkie jej tajemnice.

Pierce kręcił się po ciasnej poczekalni, podczas gdy kobieta za kontuarem robiła to, co potrzebowała, by się „pozbierać”. Henry słyszał odgłos włączanego komputera oraz szczękanie otwieranych i zamykanych szuflad. Na jednej ścianie zauważył dekorację z godeł witryn internetowych, niewątpliwie zarządzanych przez Entrepreneurial Concepts. Było tam logo L.A. Darlings i kilku innych stron. Większość

miała charakter pornograficzny; za dziesięciodolarową miesięczną subskrypcję można było ściągnąć z nich tysiące zdjęć ulubionych aktorów seksualnych i fetyszy. Wszystko to prezentowano na ścianie z lekceważeniem prawa. Godło PinkMink.com - Różowej Mufki - prezentowało się równie oficjalnie jak reklama maści przeciwko trądzikowi. Obok wystawy witryn internetowych znajdowały się drzwi z zakazem wstępu. Pierce obejrzał się na odwróconą tyłem do niego kobietę przy komputerze i stwierdził, że pochłania ją coś, co zobaczyła na monitorze. Odwrócił się i pociągnął za klamkę. Drzwi okazały się niezamknięte. Prowadziły na pogrążony w półmroku korytarz z trzema podwójnymi drzwiami co siedem metrów po lewej stronie.

- Mm, przepraszam - powiedziała kobieta za plecami Pierce'a. - Nie może pan tam wejść.

Wiszące pod sufitem na cienkich łańcuszkach tabliczki przed drzwiami głośno głośno, że są to Studia A, B i C. Pierce cofnął się i zamknął drzwi. Odwrócił się i podszedł do kontuaru. Zobaczył, że kobieta przypięła broszkę z imieniem.

- Myślałem, że tam jest toaleta. Co tam się mieści?
- Studia zdjęciowe. Nie mamy tu toalety dla klientów. Czym mogę służyć?

Oparł łokcie na kontuarze.

- Mam pewien problem, Wendy. U jednej z ogłaszających się na stronie L.A. Darlings dziewczyn podany jest mój numer telefonu. To znaczy, telefony trafiają nie do niej, lecz do mnie, a myślę, że gdy bym pokazał się pod drzwiami pokoju hotelowego, to ten ktoś byłby zawiedziony.

Uśmiechnął się, ale Wendy najwyraźniej nie doceniła jego próby żartu.

- Błąd w druku? - spytała. - Mogę to poprawić.
- Właściwie nie chodzi o błąd.

Opowiedział, jak dostał nowy numer telefonu, a potem okazało się, że wcześniej należał do dziewczyny, która ogłaszała się na stronie internetowej jako Lilly.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że będę miał problem, i rozesłałem już wizytówki z numerem telefonu. Zamiana ich na nowe, z kolejnym numerem, byłaby bardzo kosztowna i czasochłonna. Jestem pewny, że jeśli umożliwi mi pani skontaktowanie się z tą dziewczyną, zgodzi się zmienić swoją stronę. Ostatecznie przecież nie zyskuje żadnych klientów, jeżeli telefony trafiają do mnie zamiast do niej.

Wendy potrząsnęła głową, jakby logika jego tłumaczenia przekraczała jej zdolności pojmowania.

- No dobrze, zaraz to sprawdzę.

Podłączyła się do Sieci, otworzyła witrynę L.A. Darlings i przeszła na stronę hostess brunetek. Kliknęła na fotografię Lilly i przewinęła jej stronę, docierając do numeru telefonu.

- Mówi pan, że to pana numer, nie jej, chociaż ona miała go wcześniej?

- Właśnie.

- Skoro zmieniła numer, to dlaczego nie podała nam nowego?

- Nie wiem. Dlatego właśnie tu jestem. Może pani skontaktować się z nią w jakiś inny sposób?

- W żaden, który mogłabym panu podać. Dane naszych klientów są poufne.

Pierce skinął głową, spodziewał się tego.

- Bardzo dobrze. Mogłaby pani jednak sprawdzić, czy Lilly nie ma jeszcze jakiegoś numeru kontaktowego, pod który mogłaby pani zadzwonić i powiedzieć jej o tym problemie?

- A co z numerem pagera?

- Próbowałem. Zgłasza się poczta głosowa. Nagrałem trzy wiadomości i wszystko wyjaśniłem, ale Lilly nie oddzwoniła. Chyba nie odbiera wiadomości.

Wendy wróciła do początku strony i przyjrzała się zdjęciu Lilly.

- Laleczka - powiedziała. - Założę się, że dostaję mnóstwo telefonów.

- Mam nowy telefon dopiero od wczoraj, a już dostaję szalu.

Wendy odepchnęła się z krzesłem i wstała.

- Coś sprawdzę. Zaraz wracam.

Obeszła kontuar i znikła w korytarzu w głębi. Przez chwilę słychać było jeszcze cichnące postukiwanie sandałów. Pierce przechylił się przez kontuar i rozejrzał. Domyślał się, że nie tylko Wendy pracuje przy tym biurku. Prawdopodobnie etat ten dzieliły dwie lub trzy osoby, otrzymujące minimalną płacę. Pracownicy, którzy mogli potrzebować pomocy w zapamiętaniu haseł do systemu.

Rozejrzał się za samoprzylepnymi karteczkami na komputerze i tylnej stronie kontuaru, ale żadnych nie wypatrzył. Wyciągnął dłoń i podniósł bibularz, ale pod nim był tylko banknot dolarowy. Pogrzebał w miseczce ze spinaczami, ale nic więcej w niej nie znalazł. Wychylił się jeszcze dalej, by sprawdzić, czy jest szufladka na ołówki. Nie było.

Usłyszał stuk sandałów Wendy w chwili, gdy przyszła mu do głowy nowa myśl. Szybko wsunął rękę do kieszeni, wyszukał dolarowy banknot i znów wychylił się przez kontuar. Podniósł bibularz, wy-

ciągnął spod niego banknot i zamienił go na swój. Wsadził dolara do kieszeni, nawet mu się nie przyglądając. Wciąż trzymał w niej rękę, gdy Wendy obeszła z ciekawą teczką kontuar i usiadła.

- No, doszłam, na czym polega część problemu.
- To znaczy?
- Dziewczyna przestała płacić rachunki.
- Kiedy?
- W lipcu zapłaciła do sierpnia, ale we wrześniu już nie zapłaciła.
- To dlaczego jej strona jest jeszcze w Sieci?
- Ponieważ usunięcie spóźnialskich czasem trochę trwa. Zwłaszcza kiedy wyglądają tak, jak ta laska. - Wskazała teczką na monitor i odłożyła ją na blat. - Nie zdziwiłabym się, jeśli pan Wentz kazałby ją zostawić, nawet gdyby nie zapłaciła. Jak facet zobaczy taką dziewczynę na stronie, to będzie na nią wracał.

Pierce pokiwał głową.

- A opłatę ustala się proporcjonalnie do liczby odwiedzin na stronie, tak?

- Zgadza się.

Pierce popatrzył na ekran. Na swój sposób Lilly wciąż pracowała - jeśli nie na siebie, to na Entrepreneurial Concepts Unlimited. Przeniósł wzrok na Wendy.

- Czy pan Wentz jest dzisiaj? Chciałbym z nim porozmawiać.
- Nie, dzisiaj jest sobota. Miałby pan szczęście, gdyby zastał go pan nawet w ciągu tygodnia, a ja jeszcze nigdy nie widziałam go w sobotę.
- Hm, co w takim razie da się zrobić? Mój telefon stale wydzwaniał.
- Może sporządzę notatkę, to pewnie ktoś w poniedziałek się nią...

- Proszę posłuchać, Wendy, nie chcę czekać do poniedziałku. Mam teraz problem. Jeśli nie ma pana Wentza, to niech pani przyprorowadzi gościa, który pilnuje serwerów. Musi przecież być ktoś, kto potrafi wejść do systemu i zdjąć stronę Lilly. To prosty proces.

- Siedzi tu taki gość, ale myślę, że samemu nie wolno mu niczego zrobić. Poza tym, jak tam zaglądałam, to chyba spał.

Pierce pochylił się nad kontuarem i przybrał kategoriyczny ton:

- Lilly - to znaczy Wendy - posłuchaj mnie. Nalegam, żeby pani tam wróciła, obudziła faceta i go tu przyprowadziła. Nie rozumie pani? Z punktu widzenia prawa jesteście w nie najlepszym położeniu. Poinformowałem panią, że na waszej stronie internetowej jest mój numer telefonu. Ze względu na tę omyłkę otrzymuję telefony o obraźliwym charakterze. Tak bardzo niemiłym, że zjawiłem się tu dzisiaj,

zanim jeszcze otworzyliście interes. Chcę, żeby to załatwiono. Jeśli odłoży to pani do poniedziałku, podam do sądu panią, tę firmę, pana Wentza i wszystkich, którzy mają z tym związek. Rozumiemy się?

- Nie może mnie pan podać do sądu. Ja tu tylko pracuję.

- Wendy, każdego na świecie można podać do sądu, jeśli ma się tylko ochotę.

Kobieta wstała, rzucając mu gniewne spojrzenie, i bez słowa wyminęła piruetem kontuar. Pierce'a nie obchodziła jej irytacja. Interesowało go tylko to, że zostawiła teczkę na blacie. Gdy tylko ucichło stukanie jej sandałów, wychylił się i otworzył teczkę. Było w niej zdjęcie Lilly, wydruk jej reklamy i karta z informacjami o kliencie. Na niej właśnie zależało Pierce'owi. Czuł przyptyw adrenaliny, kiedy czytał ją i starał się wszystko zapamiętać.

Nazywała się Lilly Quinlan. Jako numery kontaktowe podała ten sam telefon i pager co na stronie internetowej. W wierszu na adres wpisała ulicę i numer mieszkania w Santa Monica. Pierce przeczytał go szybko trzykrotnie i włożył wszystkie materiały z powrotem do teczki, w chwili gdy usłyszał odgłosy sandałów i jeszcze jednej pary obuwia, rozlegające się z drugiej strony przepierzenia.

Inierwszą rzeczą, jaką Pierce zrobił po powrocie do samochodu, li było wyciągnięcie długopisu z popielniczki i zapisanie na dłoni adresu Lilly Quinlan. Następnie wyciągnął dolara z kieszeni i go obejrzał. Był włożony pod bibularz awersem do dołu, dlatego dopiero teraz Pierce zauważył słowo „arbadak arba”, zapisane na czole Jerzego Waszyngtona.

- Abra kadabra - przeczytał je wspak.

Pomyślał, że są spore szanse, iż jest to nazwa użytkownika i hasło, służące do dostania się do systemu komputerowego Entrepreneurial Concepts. Chociaż był zadowolony z posunięć, dzięki którym je zdobył, nie był pewien, czy w ogóle mu się przydadzą, skoro wynalazł w teczce nazwisko i adres Lilly Quinlan.

Uruchomił samochód i zawrócił w stronę Santa Monica. Lilly mieszkała przy Wilshire Boulevard niedaleko promenady Third Street. Dojeżdżając do celu i odczytując numery domów, Pierce zorientował się, że w tej okolicy nie było bloków mieszkalnych. Gdy dotarł wreszcie do budynku, którego adres Lilly podała na karcie klienta, stwierdził, że jest to prywatny urząd pocztowy pod nazwą All American Mail. Okazało się, że podany przez dziewczynę adres to w istocie tylko skrzynka pocztowa. Pierce zaparkował przy kra-
węźniku. Nie był pewien, co teraz począć. Wydawało się, że zabrnął w ślepy zaułek. Przez kilka minut obmyślał plan działania, aż wreszcie wysiadł.

Wszedł do urzędu i ruszył prosto do niszy, w której znajdowały się skrzynki pocztowe. Miał nadzieję, że drzwiczki mają szybki, dzięki czemu zdoła się dowiedzieć, czy jest jakaś poczta do Lilly Quinlan. Wszystkie skrzynki miały jednak lite aluminiowe drzwiczki. Lilly wpisała jako numer mieszkania 333. Pierce odszukał skrzynkę

i przez chwilę przyglądał się jej bezradnie, jakby mógł w ten sposób uzyskać jakąś odpowiedź.

Wreszcie wyszedł z niszy i stanął przy kontuarze. Młody mężczyzna ze świeżymi pryszczami na obu policzkach i tabliczką z imieniem Curt zapytał, czym może służyć.

- To trochę niezwykła sprawa - powiedział Pierce. - Chcę wynająć skrzynkę, ale potrzebny mi określony numer. Powinien pasować do nazwy mojej firmy: Three Cubed Productions - Trzy do Trzeciej.

Dzieciak zrobił zdezorientowaną minę.

- To jakiego numeru pan potrzebuje?

- Trzysta trzydzieści trzy. Widziałem, że macie skrzynkę o takim numerze. Jest wolna?

Nic lepszego Pierce nie potrafił wymyślić, stercząc w niszy. Curt sięgnął pod blat po niebieski skoroszyt. Otworzył go na liście skrzynek wraz z informacją o ich dostępności. Przejechał palcem wzdłuż kolumny, aż zatrzymał go w miejscu.

- Och, ta.

Pierce próbował przeczytać, co jest na stronie, ale była za daleko i do góry nogami.

- A więc?

- Hm, w tej chwili jest wynajęta, ale niedługo może być wolna.

- To znaczy?

- To znaczy, że ktoś ją wynajmuje, ale nie zapłacił za ten miesiąc.

Ta pani mieści się jeszcze w okresie warunkowym. Jeśli pokaże się i zapłaci, skrzynka będzie dalej jej. Jeżeli jednak nie pojawi się do końca miesiąca, to wylatuje, a pan wchodzi. O ile może pan zaczekać do tej pory.

Pierce przybrał zmartwioną minę.

- Trochę długo. Chciałbym załatwić to jak najszybciej. Może mi pan powiedzieć, czy macie adres tej kobiety? Wie pan, żeby się z nią skontaktować i dowiedzieć, czy chce dalej wynajmować skrzynkę.

- Wysłałem dwa ponaglenia, a trzecie włożyłem do skrzynki. Zwykle nie telefonujemy.

Pierce'a ogarniało podniecenie, ale nie okazywał tego po sobie. Słowa Curta oznaczały, że ma on inny adres Lilly Quinlan. Pierce zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, jak go wyciągnąć od chłopaka.

- Cóż, ma pan jej numer? Jeśli pan zadzwoni i czegoś się dowie, jestem gotów od razu wynająć tę skrzynkę. I zapłacę za rok z góry.

- Hm, muszę sprawdzić. Zajmie mi to minutę.

- Proszę się nie spieszyć. Wolę wszystko załatwić od ręki, niż przyjeżdżać po raz drugi.

Curt przeszedł do biurka pod przeciwległą ścianą i usiadł. Otworzył szafkę na akta i wyjął gruby skoroszyt. Teraz też był za daleko, by Pierce zdołał odczytać cokolwiek z przeglądanych przez niego dokumentów. Curt przesunął palcem po jednej ze stron i zatrzymał go w miejscu. Drugą ręką podniósł słuchawkę, jednak musiał odłożyć telefon, bo przerwała mu klientka.

- Muszę wysłać faks do Nowego Jorku - powiedziała.

Curt podszedł do kontuaru. Wyciągnął spod niego arkusz nadania i podał go klientce. Wrócił do biurka, przyłożył palec do poprzednio odnalezionego miejsca i podniósł słuchawkę.

- Będę musiała zapłacić za przefaksowanie arkusza nadania? - zapytała klientka.

- Ależ nie, pszę pani. Jedynie za dokumenty do przesłania - odpowiedział Curt tonem, który świadczył, że powtarzał to już miliony razy.

Wreszcie wybrał numer na klawiaturze. Pierce próbował go odgadnąć, ale chłopak wybrał go zbyt szybko. Curt musiał długo czekać, nim wreszcie odezwał się do mikrofonu:

- Wiadomość dla Lilly Quinlan. Czy mogłaby pani zadzwonić do All American Mail? Spóźnia się pani z opłatą za skrzynkę pocztową. Jeśli nie skontaktuje się pani z nami, wynajmiemy ją komuś innemu. Nazywam się Curt. Dziękuję bardzo.

Podał numer i odłożył słuchawkę, po czym podszedł do Pierce'a. Kobieta potrząsnęła arkuszem do wysłania.

- Bardzo mi się spieszy - powiedziała.

- Zaraz się panią zajmę - odrzekł Curt. Przeniósł wzrok na Pierce'a. - Zgłosiła się sekretarka. Naprawdę nic nie mogę zrobić, dopóki się z nami nie skontaktuje i to do końca miesiąca. Takie mamy przepisy. Ostatecznie i tak zostało tylko kilka dni.

- Rozumiem. Dziękuję, że pan próbował.

Curt znów zaczął przesuwać palec wzdłuż kolumn w rejestrze.

- A dwadzieścia siedem?

Pierce odwrócił się.

- Słucham?

- Dwadzieścia siedem. Przecież tyle jest trzy do trzeciej.

Pierce powoli skinął głową.

- Jesteś bystrzejszy, niż na to wyglądasz, Curt.

- Ta skrzynka jest wolna, jeśli pan ją chce.

- Zastanowię się.

Pierce machnął ręką i ruszył do drzwi. Za plecami usłyszał głos kobiety, pouczającej Curta, że płacący klienci nie powinni czekać.

W samochodzie Pierce włożył wizytówkę All American Mail do kieszeni koszuli i popatrzył na zegarek. Było prawie południe. Musiał wrócić do mieszkania, żeby spotkać się z Moniką Purl, swoją asystentką. Zgodziła się czekać u Pierce'a na dostawę zamówionych przez niego mebli. Miano je dostarczyć między południem i czwartą, a Henry uznał w piątek rano, że lepiej zapłacić za czekanie, a samemu *zająć* się w laboratorium przygotowaniem prezentacji na następny tydzień dla Goddarda. Teraz zwątpił, czy dotrze do laboratorium, ale uznał, że mimo wszystko wykorzysta Monikę do czekania na dostawę. Postanowił posłużyć się nią jeszcze do realizacji pewnego planu.

Kiedy dotarł do The Sands, asystentka czekała na niego w holu. Strażnik przy wejściu nie chciał pozwolić jej wjechać na jedenaste piętro bez zezwolenia lokatora.

- Przepraszam, że tak wyszło - powiedział Pierce. - Długo czekasz?

Monika miała ze sobą plik pism do czytania na wypadek, gdyby musiała dłużej czekać na dostawę.

- Tylko kilka minut - odpowiedziała.

Ruszyli do niszy koło wind. Musieli trochę poczekać. Monika Purl była wysoką, szczupłą blondynką o cerze tak bladej, iż odnosiło się wrażenie, że każde dotknięcie zostawi na niej ślad. Miała dwadzieścia pięć lat i od dwudziestego roku życia była zatrudniona w firmie. Została osobistą asystentką Pierce'a dopiero pół roku wcześniej - Charlie Condon dał jej awans po pięciu latach zatrudnienia. Przez ten czas Pierce przekonał się, że kruchość, którą mogła sugerować jej budowa ciała i cera, jest złudna. Monika była zorganizowana, miała własne zdanie i udowodniła, że potrafi skutecznie działać.

Otworzyły się drzwi windy. Weszli do środka. Pierce nacisnął guzik piętra. Winda ruszyła szybko w górę.

- Na pewno chcesz tu być, kiedy nadejdzie wielkie trzęsienie? - zapytała Monika.

- Budynek został tak zaprojektowany, że zniesie ósemkę - odparł. - Sprawdziłem, zanim wynająłem mieszkanie. Ufam nauce.

- Bo sam jesteś naukowcem?

- Pewnie tak.

Jej uwaga była słuszna. Nie potrafił dać na poczekaniu właściwej odpowiedzi. Drzwi rozsunęły się na jedenastym piętrze. Monika i Pierce ruszyli korytarzem.

- Gdzie mają poustawiać meble? - spytała Monika. - Wymyśliłeś już jakiś układ wewnątrz?

- Właściwie nie. Powiedz, żeby poustawiali meble tak, jak ich

zdaniem będzie dobrze. Chciałbym cię prosić, żebyś wyświadczyła mi jeszcze jedną przysługę. Otworzył drzwi.

- Jakiego rodzaju? - zapytała podejrzliwie Monika.

Pierce uświadomił sobie, że mogła obawiać się awansów z jego strony, skoro rozpadł się związek z Nicole. Jego zdaniem wszystkie atrakcyjne kobiety uważały, że każdy mężczyzna chce się do nich dobrać. Prawie się roześmiał, ale się powstrzymał.

- Chodzi tylko o telefon. Zapiszę ci, co masz powiedzieć.

Wszedł do salonu i podniósł słuchawkę. Usłyszał przerywany sygnał. Sprawdził wiadomości i odegrał informację od Curta z All American Mail. Skasował ją; innych wiadomości nie było.

Przeniósł aparat na kanapę, usiadł i zapisał nazwisko Lilly Quinlan na świeżej kartce z notesu. Następnie wyjął z kieszeni wizytówkę firmy.

- Chcę, żebyś zadzwoniła pod ten numer i przedstawiła się jako Lilly Quinlan. Poproś o Curta i powiedz, że dostałaś wiadomość od niego. Powiedz, że dopiero od niego dowiedziałaś się, że zalegasz z opłatą, i zapytaj, dlaczego nie dostałaś zawiadomienia pocztą, dobrze?

- Dlaczego... po co?

- Nie mogę ci tego wyjaśnić, ale to ważne.

- Nie wiem, czy powinnam się pod kogoś podszywać. To nie...

- Zrobisz coś całkowicie nieszkodliwego. Hakerzy nazywają to inżynierią społeczną. Curt powie ci, że wysyłał ci ponaglenie. Powiedz wtedy: „Och, naprawdę? A na jaki adres?”. Zapisz go, kiedy ci go poda. Niczego więcej nie potrzebuję. Tylko adresu. Kiedy tylko go zapiszesz, możesz się rozłączyć. Powiedz mu jeszcze, że przyjedziesz za płacić najszybciej, jak będziesz mogła, i skończ rozmowę. Potrzebny mi wyłącznie ten adres.

Monika popatrzyła na niego tak, jak jeszcze nigdy na niego nie patrzyła w ciągu sześciu miesięcy bycia jego asystentką.

- Daj spokój, Moniko. To nic wielkiego. Nikomu nie zaszkodziś, a na dobrą sprawę możesz w ten sposób nawet komuś pomóc. W isto cie myślę, że tak właśnie będzie. - Położył długopis i notes na jej kolanach. - Jesteś gotowa? Wybiorę numer.

- Doktorze, nie wydaje mi się to...

- Nie mów do mnie: doktorze. Nigdy tego nie robiłaś.

- W takim razie Henry. Nie mam na to ochoty, dopóki się nie do wiem, co właściwie robię.

- No dobrze, powiem ci. Znasz nowy numer telefonu, który dla mnie załatwiłaś? - Monika przytaknęła. - Cóż, poprzednio należał do

kobiety, która zniknęła albo coś się jej stało. Odbieram telefony do niej i staram się dowiedzieć, co się wydarzyło. Rozumiesz? Dzięki telefonowi, o który cię proszę, może zdołam dowiedzieć się, gdzie mieszkała. Tylko o to mi chodzi. Chcę tam pojechać i sprawdzić, czy nic się jej nie stało. Zadzwoń wreszcie?

Monika potrząsnęła głową, jakby wzbraniała się przed nadmiarem informacji. Miała taką minę, jakby Pierce powiedział jej, że został porwany na pokład statku kosmicznego i zgwałcony przez przedstawiciela obcej cywilizacji.

- Obłąd. Jak się w to wplątałeś? Znasz tę kobietę? Skąd wiesz, że zaginęła?

- Nie, nie znam jej. To był czysty przypadek - dostałem niewłaściwy numer. Teraz jednak wiem wystarczająco dużo, żeby zależało mi na dowiedzeniu się, czy nic się jej nie stało. Proszę, zrób to dla mnie, Moniko.

- Dlaczego po prostu nie zmienisz numeru?

- Zmienię. Chcę, żebyś zajęła się tym z samego rana w poniedziałek.

- Na razie po prostu zadzwoń na policję.

- Mam jeszcze za mało informacji, żeby tam telefonować. Co im powiem? Uznają mnie za świra.

- I pewnie będą mieli rację.

- Posłuchaj, zrobisz to czy nie?

Skinęła z rezygnacją głową.

- Uszczęśliwię cię w ten sposób, a sama utrzymam pracę.

- Jejku. Zaczekaj chwilę. Nie grozę ci utratą pracy. Jeśli nie chcesz tego zrobić, nie ma sprawy. Poproszę kogoś innego. To nie ma nic wspólnego z twoją pracą, rozumiemy się?

- Rozumiemy. Nie martw się, zrobię to. Skończmy z tym wreszcie.

Powtórzył z Moniką szczegóły planu, wybrał numer All American Mail i podał jej słuchawkę. Poprosiła o Curta i przeprowadziła rozmowę zgodnie z zamierzeniami, jedynie w paru momentach źle zagrała swoją rolę, co wprawiło ją w zakłopotanie. Pierce patrzył, jak zapisuje adres w notesie. Czuł uniesienie, ale go nie okazywał. Kiedy Monika rozłączyła się, podała Pierce'owi aparat i notes.

Pierce przeczytał adres - był w Venice - po czym wyrwał kartkę z notesu, złożył ją i wsadził do kieszeni.

- Curt wydał mi się miłym chłopakiem - powiedziała Monika. - Paskudnie się czuję, że go oszukałam.

- Zawsze możesz go odwiedzić i zaprosić na randkę. Widziałem go i wierz mi, jedna randka z tobą uszczęśliwiłaby go na resztę życia.

- Widziałeś go? To o tobie mówił? Powiedział, że był u niego gość, który dopytywał się o moją - to *znaczy*, Lilly Quinlan - skrzynkę pocztową.

- No, to byłem ja. W ten sposób...

Zadzwoił telefon. Pierce odebrał, ale dzwoniący się rozłączył. Pierce popatrzył na identyfikator. Telefonowano z hotelu Ritz Carlton w marinie.

- Posłuchaj - powiedział. - Musisz zostawić telefon włączony, bo zadzwoni strażnik, by zapytać, czy można wpuścić ludzi, którzy przywiozą meble. Do tego czasu odbierzesz jednak pewnie mnóstwo telefonów do Lilly. Ponieważ jesteś kobietą, ci ludzie będą myśleli, że to ty. Powinnaś od razu mówić coś w rodzaju: „To nie Lilly, pomyłka”. Coś w tym rodzaju. Inaczej...

- Hm, może powinnam udawać, że to ja, i w ten sposób dowiedzieć się czegoś więcej...

- Nie. Nie powinnaś tego robić. - Otworzył plecak i wyjął wydruk zdjęcia ze strony internetowej Lilly. -To ona. Nie sądzę, żebyś powinna udawać przed dzwoniącymi, że nią jesteś.

- Och, mój Boże! - wykrzyknęła Monika, patrząc na zdjęcie. -To prostytutka czy coś w tym rodzaju?

- Tak myślę.

- Co ty wyprawiasz, starając się *znaleźć* tę prostytutkę, zamiast...

Nagle urwała. Pierce przypatrywał się jej, czekając, aż dokończy. Milczała.

- Słucham? - spytał. - Co powinienem?

- Nic. To nie mój interes.

- Rozmawiałaś z Nicki o niej i o mnie?

- Nie. Posłuchaj, o nic mi nie chodziło. Sama nie wiem, co chciałam powiedzieć. Po prostu uważam za dziwne, że tak się uwijasz, że by sprawdzić, czy tej prostytutce nic się nie stało. To dziwaczne.

Pierce usiadł na kanapie. Wiedział, że kłamała co do Nicole. Zbliżyły się do siebie i chodziły razem na obiad zawsze, kiedy Pierce nie mógł wyrwać się z laboratorium - czyli prawie codziennie. Dlaczego miałyby się to skończyć wraz z odejściem Nicki? Prawdopodobnie nadal codziennie rozmawiały ze sobą i wymieniały się plotkami na jego temat.

Wiedział również, że ma rację co do jego postępowania. Za bardzo się wciągnął. Jego życie i kariera opierały się na tym, że dawał się wieść swojej ciekawości. Na ostatnim roku w Stanfordzie uczestniczył w wykładzie dotyczącym mikrochipów następnej generacji. Profesor mówił o nanochipach tak małych, że komputery następnej

ery będą miały wielkość pięciocentówki. Pierce nadział się na haczyk i od tej pory starał się zrealizować tę wizję - czego metaforą była przyklejona do ściany w firmie moneta.

- Zamierzam tylko pojechać do Venice - powiedział Monice. - Sprawdzę, jak się rzeczy mają, i to wszystko.

- Obiecujesz?

- Obiecuję. Możesz zadzwonić do mnie do laboratorium, kiedy przywiozą już meble i zechcesz wyjść.

Wstał i przerzucił plecak przez ramię.

- Jeśli będziesz rozmawiała z Nicki, nie wspominaj jej o tym, dobrze?

- Pewnie, Henry. Nie powiem.

Wiedział, że nie może na to liczyć, ale na razie musiało mu to wystarczyć. Ruszył do wyjścia. Idąc korytarzem do windy, zastanawiał się nad słowami Moniki i różnicą między prywatnym śledztwem a obsesją. Istniała między nimi jakaś subtelna granica. Nie wiedział jednak dokładnie, w którym miejscu.

adresem było coś nie w porządku - coś nie pasowało. Pierce a nie umiał jednak określić, o co chodzi. Zamartwiał się tym w drodze do Venice, ale nie zdołał rozwikłać zagadki. Przypominało to kształt, mający za zasłoną prysznic. Rozmazany, ale mimo to realny.

Pod adresem kontaktowym, podanym *przez* Lilly Quinlan w All American Mail, mieścił się bungalow przy Altair Avenue, przecnicę od ciągu stylowych antykwariatów i pierwszorzędnych restauracji przy Abbot Kinney Boulevard. Był to mały, biały dom z szarymi wykończeniami, który nie wiedzieć czemu przypominał Pierce'owi mewę. Na frontowym podwórku rosła przysadzista palma. Henry zaparkował po przeciwnej stronie ulicy i przez kilka minut siedział w samochodzie, wypatrując w domu oznak życia.

Trawnik i ozdobna roślinność były równo przystrzyżone. Jeśli jednak dom był wynajmowany, mógł się tym zajmować właściciel. Podjazd był pusty, podobnie jak otwarty garaż za domem. Przy krawężniku nie dostrzegł żadnych gazet. Z zewnątrz wszystko wydawało się w porządku.

Pierce zdecydował się na bezpośrednie podejście. Wysiadł z bmw, przeciął ulicę i ruszył chodnikiem do drzwi frontowych. Nacisnął guzik dzwonka. Gdzieś w środku rozległo się niewinne brzęczenie. Pierce czekał na reakcję.

Nic.

Zadzwonił znowu, a potem zastukał do drzwi.

Odczekał.

Znowu nic.

Rozejrzał się. Żaluzje na frontowych oknach były spuszczone. Odwrócił się, nonszalancko powiódł wzrokiem po ulicy i domach po

drugiej stronie. Równocześnie wyciągnął rękę za siebie i nacisnął na klamkę. Drzwi były zamknięte.

Nie chcąc stracić całego dnia na próżne wędrówki, Pierce przeszedł na podjazd, który okrężał dom łukiem po lewej stronie i kończył się za nim wolno stojącym garażem na jeden wóz. Asfalt wypiętrzał się w kilku miejscach od korzeni wielkiej sosny kalifornijskiej, przy której dom wydawał się malutki. Korzenie rozrastały się w stronę domu. Pierce pomyślał, że za pięć lat zagrożą jego konstrukcji i pojawi się pytanie, co ratować: dom czy drzewo.

Drewniane drzwi garażu stały otworem. Drewno wypaczyło się wskutek upływu czasu i własnego ciężaru. Wyglądało na to, że brama jest otwarta na stałe. Garaż był pusty, jedynie pod tylną ścianą stał rząd puszek z farbą.

Po prawej stronie garażu znajdowało się podwórko wielkości znaczka pocztowego, które okalał żywopłot. Na trawie stały dwa leżaki, obok była pusta sadzawka dla ptactwa. Pierce popatrzył na leżaki i przypomniały mu się granice opalenizny Lilly, widoczne na fotografii na stronie internetowej.

Przystanął na chwilę z wahaniem na podwórku, ale wreszcie przeszedł do tylnych drzwi i znowu zapukał. W górną połowę drzwi wstawiono szybę. Nie czekając na odpowiedź, Pierce podniósł złożone ręce do okienka i zajrzał do środka. Za drzwiami dostrzegł kuchnię, wyglądała na czystą i porządną. Błat małego, dosuniętego do lewej ściany stolika był pusty. Na jednym z dwóch krzeseł leżała równo złożona gazeta.

Na kuchennym blacie obok tostera stała misa z ciemnymi kształtami. Pierce domyślił się, że są to zepsute owoce.

Miał wreszcie jakiś ślad. Niepasujący szczegół, dowodzący, że działo się coś złego. Zastukał energicznie w okienko, chociaż wiedział, że nikt mu nie odpowie. Obrócił się i rozejrzał po podwórku w poszukiwaniu czegoś, czym można by wybić szkło. Po drodze odruchowo przytrzymał się klamki.

Okazało się, że drzwi są otwarte.

Pierce obrócił się z powrotem. Nie wypuszczając klamki z dłoni, uchylił drzwi na piętnaście centymetrów. Czekał, czy nie odezwie się alarm, jednak jego wtargnięcie powitało jedynie milczenie. Prawie natychmiast wyczuł obrzydliwy, słodkawy smród zgniłych owoców. Przyszło mu do głowy, że źródłem odoru może być co innego. Zdjął dłoń z klamki i pchnął drzwi szerzej. Wsunął głowę do środka.

- Lilly?! - zawołał. - Lilly, to ja, Henry!

Nie wiedział, czy robi to na benefis sąsiadów, czy dla siebie samego, ale zawołał jeszcze dwa razy. Nie spodziewał się odpowiedzi i żadnej nie usłyszał. Przed wejściem odwrócił się raz jeszcze i przysiadł na stopniach. Zastanawiał się, czy wejść dalej, czy dać sobie spokój. Przypomniawszy sobie wcześniejszą reakcję Moniki na jego postępowanie i to, co powiedziała: po prostu zadzwoń na policję.

Chwila była na to odpowiednia. Działo się coś złego i Pierce miał dostateczne powody, by zawiadomić władze. W istocie nie potrafił jednak zrezygnować ze swojego śledztwa. Jeszcze nie teraz. O cokolwiek w nim chodziło, należało do niego i chciał je dokończyć. Wiedział, że kieruje nim nie tylko troska o Lilly Quinlan. Jego motywacje sięgały głębiej w przeszłość. Zdawał sobie sprawę, że teraz próbuje zrobić to, do czego nie był zdolny wówczas.

Wstał ze schodka i otworzył drzwi na całą szerokość. Wszedł do kuchni i zamknął za sobą drzwi.

Gdzieś z wnętrza dobiegały ciche dźwięki muzyki. Pierce znieruchomiał i rozejrzał się ponownie po kuchni. I tym razem nie dostrzegł niczego dziwnego z wyjątkiem owoców w misie. Otworzył lodówkę, w której był karton soku pomarańczowego i plastikowa butelka chudego mleka. Mleko miało datę ważności do trzeciego sierpnia, sok - do szóstego. Minał ponad miesiąc od tego czasu.

Pierce podszedł do stołu i wysunął krzesło. Leżał na nim „Los Angeles Times” z pierwszego sierpnia.

Z lewej strony kuchni znajdował się korytarzyk, który prowadził na front domu. Gdy Pierce ruszył nim, zobaczył piętrzącą się pod frontowymi drzwiami stertę poczty. Zanim jednak do niej dotarł, potwierał troje drzwi w korytarzu. Za pierwszymi znalazł łazienkę, w której każdą poziomą powierzchnię zapełniały perfumy i kosmetyki, pokryte cienką warstwą kurzu. Pierce wziął na chybił trafił do ręki zielony flakonik. Otworzył go, podniósł do nosa i wyczuł przypominającą bez woń. Takich samych perfum używała Nicole; do Pierce'a dotarło, że widział już identyczne opakowanie. Po chwili zakręcił flakonik, odstawił go na miejsce i wycofał się na korytarz.

Za dwoma pozostałymi parami drzwi znajdowały się sypialnie. Jedna z nich była najwidoczniej w stałym użyciu: dwie otwarte szafy mieściły stroje na drewnianych wieszakach. Okazało się, że muzyka rozlega się z budzika z radiem na nocnym stoliku stojącym po prawej stronie łóżka.

Druga sypialnia została zamieniona na salę gimnastyczną. Nie było w niej łóżka, lecz ruchome schodki i maszyna do wiosłowania na imitującej trawę macie. Stał przed nią mały telewizor. Pierce otwo-

rzył pojedynczą szafę; jeszcze więcej ubrań. Miał już ją zamknąć, gdy dotarło do niego, że te kostiumy są inne. Ponad pół metra drążka zajmowały zwiewne szatki - negliże i body. Zobaczył znajomy strój i zdjął go razem z wieszakiem. Była to czarna koronkowa koszulka, w której Lilly pozowała do zdjęcia na stronie internetowej.

Przypomniało to o czymś Pierce'owi. Odwiesił koszulkę i wrócił do drugiej sypialni. Łóżko było inne niż na fotografii - nie miało mosiężnych poręczy. Dopiero wtedy do Pierce'a dotarło, dlaczego adres w Venice wydawał mu się niewłaściwy. W swojej reklamie w Internecie Lilly zapraszała klientów do czystego i bezpiecznego mieszkania na Westsidzie. Nie był nim ten bungalow, łóżko też było inne. Zначыło to, że Lilly Quinlan może przebywać w jeszcze jednym miejscu, które dopiero trzeba odnaleźć.

Zamarł, gdy od frontu domu rozległ się hałas. Zrozumiał, że kiepski z niego włamywacz amator. Powinien był szybko rozejrzeć się po domu i upewnić, że jest pusty, nim zacznie go przetrząsać.

Zaczekał chwilę, nie rozległ się jednak żaden nowy dźwięk. Wcześniej słyszał tylko łupnięcie, po którym nastąpił odgłos, jakby coś toczyło się po parkiecie. Pierce powoli podszedł do drzwi sypialni i wyjrzał na korytarz. Zobaczył jedynie stos poczty przy drzwiach wejściowych.

Pierce przysunął się do ściany korytarza - liczył, że parkiet nie będzie tu skrzypiał - i ruszył powoli w stronę frontu. Na końcu korytarza po lewej był salon, a po prawej - jadalnia. Obydwa pokoje były puste. Henry nie zobaczył nic, co mogłoby wytłumaczyć źródło dźwięków.

W salonie panował wyjątkowy porządek. Ustawiono w nim ręcznie robione meble, które stylem odpowiadały reszcie wystroju. Nie pasował do niego jedynie podwójny rząd najnowocześniejszej aparatury stereofonicznej pod wiszącym na ścianie telewizorem z ekranem plazmowym. Ten sprzęt kosztował Lilly Quinlan jakieś dwadzieścia pięć tysięcy dolarów i stanowił spełnienie marzeń tych, którzy lubili kręcić gałkami. Nie przystawał do wszystkiego, co do tej pory Pierce widział w jej domu.

Podszedł do drzwi, przykucnął przy stosie poczty i zaczął ją przeglądać. Przeważnie były to reklamowe śmiecie, adresowane do „obecnego mieszkańca”. Dwie koperty nadeszły z All American Mail - wezwania do zapłaty. Do tego dochodziły rachunki za karty kredytowe i wyciągi z kont bankowych. Była też koperta dużego formatu z Uniwersytetu Południowej Kalifornii. Pierce szukał przede wszystkim listów - rachunków - z firmy telefonicznej, ale ich nie znalazł.

Uznał to za dziwne, szybko się jednak domyślił, że pewnie przesyłano je na skrzynkę w All American Mail.

Włożył jeden z wyciągów bankowych i rachunek za kartę VISA do tylnej kieszeni dżinsów. Pomyślał od razu, że jeszcze bardziej łamie prawo: kradł pocztę, co stanowiło przestępstwo federalne. Odsunął jednak od siebie tę myśl.

Pod tylną ścianą jadalni stało biureczko z wyciąganym blatem. Pierce przysunął do niego krzesło od stołu, podniósł blat i usiadł. Szybko przejrzał szuflady i stwierdził, że właśnie tu Lilly zajmowała się rachunkami. W środkowej szufladzie leżały książeczki czekowe, znaczki i długopisy. Szuflady po bokach wypełniała korespondencja, dotycząca kart kredytowych i różnych opłat. Pierce odnalazł stos listów z nadrukiem Entrepreneurial Concepts Unlimited, aczkolwiek adresowanych na skrzynkę pocztową. Na każdej z kopert Lilly odnotowywała datę zapłacenia rachunku. I tutaj rzucał się w oczy brak rachunków telefonicznych. Jeśli nawet Lilly nie dostawała ich na ten adres, nasuwał się wniosek, że tu właśnie zajmowała się ich regulowaniem. Nie było jednak pokwitowań ani kopert z datami opłacenia należności.

Pierce nie miał czasu zastanawiać się nad tym ani przeglądać wszystkich rachunków. I tak nie był pewien, czy mógłby w nich znaleźć coś, co pomogłoby mu wyjaśnić los Lilly Quinlan. Wysunął ponownie środkową szufladę i szybko przejrzał rejestry książeczek czekowych. Od końca lipca na żadnym z kont nie przeprowadzono jakichkolwiek transakcji. W jednej z książeczek Pierce odszukał wpłaty na konto firmy telefonicznej; ostatniej dokonano w czerwcu. Świadczyło to, że Lilly opłacała rachunki poprzez książeczkę, którą w tej chwili trzymał Pierce, i najprawdopodobniej robiła to przy tym samym biurku. Henry nie zdołał jednak znaleźć w szufladach żadnych innych dowodów wpłat.

Czując, że powinien się spieszyć, zrezygnował z prób wyjaśnienia tej niekonsekwencji i zamknął szufladę. Sięgnął po gałkę blatu, by go zasunąć, gdy dojrzał małą książeczkę, wciśniętą w jedną z przegródek u góry. Okazało się, że to notes z osobistymi telefonami. Przejrzał go, było w nim wiele odręcznych notatek. Bez zastanowienia wepchnął notes w tylną kieszeń spodni, do której upchnął wcześniej pocztę.

Zasunął blat, wstał i ostatni raz rozejrzał się po dwóch frontowych pokojach. Prawie natychmiast zobaczył cień przesuwany się za spuszczone żaluzjami salonu. Ktoś podchodził do wejścia.

Pierce'a zmroziło ze strachu. Nie miał pojęcia, czy lepiej się ukryć, czy też wypaść na korytarz i uciekać tylnymi drzwiami. Nie

potrafił się zdecydować na żadne z tych rozwiązań i sterczał jak wryty, słuchając kroków na wyłożonych płytkami schodkach.

Metaliczne szczęknięcie sprawiło, że podskoczył. W szczelinie w drzwiach pojawiła się garść listów, które spadły na resztę poczty na podłodze. Pierce przymknął oczy.

- Jezu! - szepnął.

Wypuścił oddech i spróbował się odprężyć.

Cień ponownie przesunął się za żaluzjami salonu, zmierzając w drugą stronę. Potem zniknął.

Pierce podszedł bliżej i przyjrzał się najnowszej porcji poczty. Było w niej kilka nowych rachunków, ale przede wszystkim reklamówki. Rozepchnął stopą korespondencję, żeby się co do tego upewnić. Zobaczył małą, ręcznie adresowaną kopertę. W lewym górnym rogu znajdowało się nazwisko „V. Quinlan”, któremu nie towarzyszył jednak adres zwrotny. Stempel był częściowo rozmazany i Pierce zdołał odczytać jedynie litery: „pa, Fla”. Odwrócił kopertę i sprawdził, jak jest zaklejona. Musiałby ją rozedrzeć, by dostać się do zawartości.

Otwarcie najwyraźniej osobistej korespondencji wydawało mu się znacznie większym przestępstwem niż wszystko, co zrobił do tej pory. Nie potrafił wy tłumaczyć sobie tego wahania, ale nie trwało ono długo. Podważył paznokciem rąbek koperty i wyjął z niej złożoną kartkę. List nosił datę sprzed czterech dni.

Lilly,

Jestem aż chora ze strachu o Ciebie. Jeśli tylko dostaniesz ten list, zadzwoń do mnie, że nic Ci nie jest, dobrze, kochanie? Nie potrafię jasno myśleć, odkąd przestałaś telefonować. Bardzo martwię się o Ciebie i Twoją pracę. Kiedy tu byłaś, nigdy nie układało się nam najlepiej i wiem, że to i moja wina, ale myślę, że powinnaś dawać mi znać, czy z Tobą wszystko w porządku. Proszę, zadzwoń, kiedy - i o ile- dostaniesz ten list.

Kocham Cię

Mama

Pierce przeczytał list dwa razy, złożył kartkę i wsunął ją do koperty. To jeszcze bardziej utwierdziło go w przekonaniu, że stało się coś złego. Czuł, że po liście V. Quinlan nie będzie ani telefonu, ani jakiegokolwiek innej odpowiedzi.

Zakleił kopertę, jak umiał najlepiej, i szybko zagrzebał ją wśród reszty korespondencji. Pojawienie się doręczyciela spowodowa-

lo, że zdał sobie sprawę, jak wiele ryzykuje, przebywając w tym domu. Miał dosyć. Szybko zawrócił przez korytarzyk do kuchni.

Wyszedł tylnymi drzwiami i przytknął je za sobą, ale nie przekręcił zamka. Na tyle nonszalancko, na ile tylko stać przestępcę amatora, obszedł róg domu i ruszył podjazdem w stronę ulicy.

W pół drogi usłyszał głośny łoskot na dachu. Stoczyła się po nim wielka szyszka i upadła u nóg Pierce'a. Mijając ją, zdał sobie sprawę, że to właśnie było źródłem hałasu, którego wystraszył się w środku. Pokiwał głową. Udało się mu rozwiązać przynajmniej jedną zagadkę.

wiatła.

obszedł biurko i usiadł. Wyjął z plecaka rzeczy zabrane z domu Lilly Quinlan: rachunek za kartę VISA, wyciąg z konta i notes z telefonami.

Zaczął od przeglądania notesu. Było w nim sporo wpisów dotyczących mężczyzn, wymienianych jedynie z imienia bądź imienia i inicjału nazwiska. Ich telefony miały najprzeróżniejsze numery kierunkowe. Sporo było lokalnych, jednak jeszcze więcej należało do stref poza Los Angeles. W notesie znalazł również wiele numerów miejscowych hoteli i restauracji oraz dealera lexusa z Hollywood. Pierce odnalazł numer Robin i ECU - czyli Entrepreneurial Concepts Unlimited.

Pod nagłówkiem „Dallas” wpisano kilka numerów hoteli, restauracji i męskich imion. To samo odnosiło się do Las Vegas.

Pierce znalazł numer Vivian Quinlan z kierunkowym 813 i adresem w Tampie na Florydzie. W ten sposób wyjaśniła się tajemnica zamazanego stempla na kopercie. Pod koniec notesu znajdował się wpis z nazwiskiem Wainwright, numerem telefonu i adresem w Venice, gdzieś niedaleko domu przy Altair.

Pierce wrócił do wpisów pod literą Q i z aparatu na biurku zadzwonił do Vivian Quinlan. Po dwóch sygnałach odebrała kobieta o głosie, jaki wydaje miotła zmiatająca ulicę.

- Halo?

- Pani Quinlan?

- Tak?

- Dzień dobry, dzwonię z Los Angeles. Nazywam się Henry Pierce

i...

- Chodzi o Lilly? - W głosie kobiety brzmiała desperacja.

- Tak. Staram się ją *znaleźć* i pomyślałem, że może pani mi po może.

- Och, dzięki Bogu! Jest pan z policji?

- Nie, proszę pani.

- Nieważne. Nareszcie ktoś się zainteresował.

- No, po prostu staram się ją odszukać, proszę pani. Miała pani z nią ostatnio kontakt?

- Nie, od ponad siedmiu tygodni, a to do niej niepodobne. Za wsze donosiła, co u niej słyhać. Bardzo się martwię.

- Kontaktowała się pani z policją?

- Tak, dzwoniłam. Skierowano mnie do wydziału osób zaginionych. Nie byli zainteresowani, bo jest dorosła i utrzymuje się tak, a nie inaczej.

- Z czego się utrzymuje, proszę pani?

Nastąpiła chwila wahania.

- Wydawało mi się, że pan mówił, że ją zna.

- Jestem tylko jej znajomym.

- Pracuje jako hostessa dla panów.

- Rozumiem.

- Bez seksu czy czegoś takiego. Powiedziała, że przeważnie towarzyszy mężczyznom we frakach na kolacjach.

Pierce potraktował to jako wyraźne matczyne zaprzeczenie oczywistości. Z czymś takim zetknął się już wcześniej we własnej rodzinie.

- Czego dowiedziała się pani od policji?

- Tylko tyle że pewnie wyjechała z którymś z tych ludzi i pewnie wkrótce się do mnie odezwie.

- Kiedy to było?

- Miesiąc temu. Widzi pan, Lilly dzwoniła do mnie w każdą sobotę po południu. Kiedy nie zatelefonowała przez dwa tygodnie, za dzwoniłam na policję. Nie odpowiedzieli na mój telefon. Po trzech tygodniach zadzwoniłam znowu i rozmawiałam z ludźmi z wydziału osób zaginionych. Nawet nie przysłali mi raportu ani niczego takiego, tylko kazali czekać. Nic ich to nie obchodzi.

Z niewiadomego powodu w umyśle Pierce'a wyplęło wspomnienie wieczoru, kiedy wrócił ze Stanfordu. Matka czekała na niego w kuchni przy zgaszonych światłach. Wyczekiwała w ciemności, żeby opowiedzieć mu, co stało się z jego siostrą Isabelle.

Vivian Quinlan odezwała się dokładnie tak samo, jak jego matka:

- Wynajęłam prywatnego detektywa, ale i to nic nie dało. Nie potrafił jej odnaleźć.

Treść słów pani Quinlan wytrąciła wreszcie Pierce'a z zamyślenia.

- Proszę pani, jest tam ojciec Lilly? Mogę z nim rozmawiać?
- Nie, odszedł dawno temu. Nie utrzymywała z nim żadnych kontaktów. Nie ma go tu mniej więcej od dwunastu lat - od dnia, kiedy go z nią przyłapałam.

- Jest w więzieniu?

- Nie, po prostu odszedł.

Pierce nie wiedział, co powiedzieć.

- Kiedy Lilly sprowadziła się do Los Angeles?

- Jakies trzy lata temu. Najpierw chodziła do szkoły stewardes w Dallas, ale nigdy nie pracowała w tym zawodzie. Potem przeniosła się do Los Angeles. Żałuję, że nie została stewardesą. Mówiłam jej, że jeśli nawet jako hostessa nie uprawia seksu z klientami, to i tak większość ludzi myśli, że to robi.

Pierce pokiwał głową. Pomyślał, że była to nieznośnie rozsądna matczyzna rada. Wyobraził sobie kręłą kobietę z nastroszoną fryzurą i papierosem w kącie ust. Nic dziwnego, że mając takich rodziców, Lilly uciekła z Tampy tak daleko, jak tylko mogła. Był jedynie zaskoczony, że nastąpiło to dopiero trzy lata temu.

- Gdzie pani wynajęła prywatnego detektywa, w Tampie czy tu, w Los Angeles?

- U was. Tutaj nie na wiele by się przydał.

- Jak pani to zrobiła?

— Policjant z wydziału osób zaginionych przesłał mi listę, z której go wybrałam.

- Przyjeżdżała pani tutaj, żeby poszukać Lilly?

- Nie najlepiej u mnie ze zdrowiem. Lekarze mówią, że mam rozedmę i muszę stale oddychać tlenem z butli. Niewiele bym zwojowała, gdybym tam pojechała.

Pierce zrekonstruował obraz, jaki sobie wytworzył. Papieros zniknął, zastąpiony rurką z tlenem. Nastroszone włosy zostały. Zastanawiał się, o co jeszcze mógłby zapytać i czego mógłby dowiedzieć się od tej kobiety.

- Lilly powiedziała mi, że wysyła pani pieniądze.

Był to tylko domysł, ale pasował do obrazu stosunków między matką i córką, jaki Henry sobie wytworzył.

- Tak, i jeśli pan ją znajdzie, niech pan jej powie, że naprawdę zaczyna mi brakować gotówki. Gonię resztkami. Pan Glass sporo mnie kosztował.

- Pan Glass?

- Ten prywatny detektyw, którego wynajęłam, ale i tak ostatnio się nie odzywał. Zresztą nie miałabym czym mu zapłacić.

- Może mi pani podać jego pełne nazwisko i numer telefonu?
- Musiałabym sprawdzić.

Kobieta odłożyła słuchawkę. Minęły dwie minuty, nim ją podniosła i podała Pierce'owi numer i adres detektywa. Nazywał się Philip Glass i miał biuro w Culver City.

- Pani Quinlan, ma pani jakieś inne namiary na Lilly w Los Angeles? Może na którąś z jej przyjaciółek?

- Nie, nie dawała mi żadnych numerów ani nie mówiła o żadnych przyjaciółkach. Tylko raz wspomniała o takiej dziewczynie, Robin, z którą czasem pracowała. Powiedziała mi, że Robin jest z Nowego Orleanu i że wiele je łączy.

- Powiedziała co?

- Myślę, że obie miały takie same kłopoty z mężczyznami w swoich rodzinach, kiedy były młode. Chyba właśnie o to jej chodziło.

- Rozumiem.

Pierce postarał się myśleć jak detektyw. Vivian Quinlan wydawała się istotnym elementem łamigłówki, ale nie przychodziło mu do głowy, o co jeszcze mógłby ją zapytać. Mieszkała prawie pięć tysięcy kilometrów od niego i najwyraźniej była dosłownie i w przenośni utrzymywana z dala od świata córki. Henry popatrzył na notes na swoim biurku i wreszcie przyszło mu do głowy sensowne pytanie.

- Czy nazwisko Wainwright coś pani mówi? Czy Lilly albo Glass kiedykolwiek o nim wspominali?

- Hm, nie. Pan Glass nie podawał mi żadnych nazwisk. Kto to taki?

- Nie wiem. Pewnie to po prostu jakiś znajomy Lilly.

I tyle. Pierce'owi nic innego nie przychodziło do głowy.

- No dobrze, pani Quinlan, dalej będę jej szukał i powiem, żeby się z panią skontaktowała, jeśli mi się uda.

- Jestem wdzięczna. Niech pan nie zapomni powiedzieć jej o pieśniach, że naprawdę gonię resztkami.

- Dobrze, przekażę.

Rozłączył się i przez chwilę zastanawiał nad tym, czego się dowiedział. Pewnie zbyt wiele, jeśli chodziło o Lilly. Budziło to w nim smutek i przygnębienie. Miał nadzieję, że któryś z jej klientów znęcił ją obietnicami bogactw i luksusów. Może była gdzieś na Hawajach lub w apartamencie na ostatnim piętrze jakiegoś bogacza w Paryżu.

Wątpił w to jednak.

- Panowie we frakach - powiedział na głos.

- Słucham?

Podniósł wzrok. W drzwiach stał Charlie Condon - Pierce zostawił je otwarte.

- Och, nic. Po prostu mówiłem do siebie. Co tu robisz?

Zdał sobie sprawę, że ma przed sobą rozłożone na biurku listy do Lilly Quinlan i jej notes. Nonszalancko podniósł z blatu blok z harmonogramem dnia, popatrzył na niego, jakby sprawdzał jakąś datę, po czym położył go na kopertach z nazwiskiem Lilly Quinlan.

- Zadzwoń na twój nowy numer i zgłosiła się Monika. Po wiedziała, że miałeś być tutaj, za to ona zaczeka na dostawę mebli. Nikt nie odpowiadał w laboratorium ani twoim gabinecie, więc przyszedłem.

Charlie oparł się o framugę. Był przystojnym mężczyzną z wydałoby się wieczną opalenizną. Kilka lat przepracował w Nowym Jorku jako model, zanim znudził się i wrócił na uczelnię, żeby uzyskać magisterium z finansów. Pierce'owi przedstawił go doradca inwestycyjny, orientujący się, że Condon ma talent znajdowania sponsorów dla nowo powstających, niedoinwestowanych firm technologicznych. Pierce wszedł w spółkę z Condonem, bo ten obiecał mu, że znajdzie dla Amedeo Technologies takich inwestorów, którzy nie będą domagali się od Pierce'a zrzeczenia się kontrolnego pakietu udziałów. Charlie otrzymał w zamian dziesięć procent udziałów - które byłyby warte ostatecznie setki milionów, gdyby firma wygrała wyścig i weszła na giełdę.

- Nie wiedziałem, że dzwoniłeś - powiedział Pierce. - Prawdę mówiąc, dopiero przyjechałem. Najpierw wpadłem, żeby coś zjeść.

Charlie pokiwał głową.

- Myślałem, że jesteś w laboratorium.

Znaczyło to: dlaczego cię w nim nie ma? Masz robotę. Bierzymy udział w wyścigu. Musimy przygotować prezentację dla wieloryba. Nie możesz uganiać się za pieniędzmi w swoim gabinecie.

- Dobrze, nie przejmuj się, pójdę tam. Najpierw muszę po prostu przejrzeć pocztę. Przyjechałeś specjalnie po to, żeby mnie skontrolować?

- Niezupełnie. Mamy jednak czas tylko do czwartku, żeby się po zbierać i dobrze wypaść przed Maurice'em. Chciałem się upewnić, że wszystko idzie jak należy.

Pierce zdawał sobie sprawę, że przywiązują zbyt wielką wagę do Maurice'a Goddarda. Podświadomego nastawienia Charliego dowodził nawet fakt, że w swoich wiadomościach w poczcie elektronicznej ochrzcił inwestora mianem „boga”. Istotnie, jeszcze nigdy nie czekał ich spektakl ważniejszy od czwartkowej prezentacji, lecz Pierce coraz bardziej martwił się tym, jak bardzo Condon uzależnia się od potencjalnego kontraktu. Szukali inwestora, gotowego wyło-

żyć co najmniej cztery miliony dolarów w okresie trzech-czterech lat. Według przeprowadzonego przez Nicole James i Cody'ego Zelle-
ra wywiadu Goddard był wart 250 milionów dzięki wczesnemu zain-
westowaniu w kilka spółek w rodzaju Microsoftu. Nie było wątpliwo-
ści, Goddard miał forszę. Gdyby jednak po czwartkowej prezentacji
nie wystąpił z propozycją istotnego wsparcia finansowego, to znalaz-
łby się inny inwestor. Condon musiałby po prostu zabrać się od no-
wa do jego szukania.

- Nie martw się - powiedział Pierce. - Damy radę. Przyjedzie Jacob?

- Tak.

Jacob Każ był adwokatem zajmującym się patentami firmy. Ame-
deo uzyskało już lub było w trakcie rejestrowania pięćdziesięciu
ośmiu z nich, a w poniedziałek po prezentacji dla Goddarda miano
złożyć kolejnych dziewięć wniosków. Patenty stanowiły klucz do wy-
ścigu. Uzyskanie patentu równało się pokonaniu pierwszego szcze-
bla - a w ostatecznym rozrachunku zdobycia kontroli nad rynkiem.
Dziewięć nowych wniosków patentowych było pierwszym rezulta-
tem programu Proteus. Można było liczyć, że wywołają wstrząs
w świecie nanotechnologii. Pierce mało się nie uśmiechnął na tę
myśl. Condon zaś jakby ją odczytał.

- Przejrzałeś już wnioski? - zapytał.

Pierce sięgnął do wnęki na nogi pod biurkiem i postukał w przy-
śrubowany do podłogi sejf. Leżały w nim szkice patentowe. Pierce
musiał je sprawdzić przed złożeniem, ale stanowiły mało pociągają-
cą lekturę, a poza tym przeszkadzały mu inne sprawy, nawet zanim
dowiedział się o istnieniu Lilly Quinlan.

- Są tutaj. Zamierzam zająć się nimi jeszcze dzisiaj albo przyje-
chać jutro.

Zabranie ich przez Pierce'a do domu byłoby sprzeczne z regula-
minem firmy. Condon pokiwał głową z aprobatą.

- Doskonale. No to co, wszystko w porządku? Radzisz sobie?

- To znaczy, z Nicki i tak dalej? Tak, wszystko gra. Staram się my-
śleć o innych rzeczach.

- Na przykład o laboratorium, mam nadzieję?

Pierce odchylił się na oparcie, rozłożył ręce i uśmiechnął się. Za-
stanawiał się, ile powiedziała mu Monika, kiedy zadzwonił do jego
mieszkania.

- Przecież tu jestem.

- I bardzo dobrze.

- Przy okazji. Monika zostawiła w teczce Bronsona nowy wyci-
nek, dotyczący jego umowy z Tagawą. Media wiedzą już o sprawie.

- I co?
- Nic, czego nie wiedzieliśmy do tej pory. Elliot wspominał coś o zastosowaniach biologicznych. Bardzo ogólnie, ale nigdy nic nie wiadomo. Może wywęszył coś na temat Proteusa.
- Mówiąc to, Pierce popatrzył przez ramię Condon na oprawiony plakat, wiszący na ścianie obok wejścia do gabinetu. Plakat pochodził z filmu „Fantastyczna podróż” z 1966 roku. Przedstawiał białą łódź podwodną „Proteus”, *zanurzającą się* w wielobarwną ciecz - płyny ustrojowe ludzkiego organizmu. Pierce'owi podarował go Cody Zeller, który zdobył go na internetowej aukcji pamiątek z Hollywood.
- Elliot po prostu lubi sobie pogadać - odparł Condon. - Nie mam pojęcia, jak mógłby dowiedzieć się czegokolwiek o Proteusie. Będzie srał ogniem, kiedy się dowie. A w Tagawie zrozumieją, że po stawili na niewłaściwego konia.
- Mam nadzieję.
- Na początku roku Amedeo nawiązało flirt z japońską korporacją. Tagawa chciała jednak za swoje pieniądze zbyt dużego udziału w firmie, więc negocjacje szybko się urwały. Chociaż na początkowych spotkaniach wspomniano o Proteusie, przedstawiciele korporacji nigdy nie uzyskali pełnej informacji ani nie zostali dopuszczeni w pobliże laboratorium. Pierce musiał się jednak teraz martwić, ile powiedziano o programie, ponieważ należało się liczyć, że informacje te zostały przekazane nowemu partnerowi korporacji - Elliotowi Bronsonowi.
- Daj mi znać, jeśli będziesz czegokolwiek potrzebował, to się tym zajmę - powiedział Condon.
- Wyrwało to Pierce'a z zamyślenia.
- Dzięki, Charlie. Wracasz już do domu?
- Pewnie tak. Wybieram się wieczorem z Melissą do Five Dudley. Jeśli masz ochotę, zadzwonię i zarezerwuję trzecie miejsce.
- Nie, dziękuję. Przywożą mi dzisiaj meble i pewnie zajmę się porządkami w mieszkaniu.
- Charlie kiwnął głową i zawahał się chwilę przed zadaniem następnego pytania.
- Zmienisz numer telefonu?
- Będę musiał. Od razu w poniedziałek rano. Monika ci powie działa, tak?
- Trochę. Powiedziała, że dostałaś stary numer jakiejś prostytutki i cały czas dzwonią do ciebie faceci.
- To hostessa, nie prostytutka.
- Och, nie wiedziałem, że to taka różnica.

Pierce nie potrafił uwierzyć, że z miejsca wystąpił w obronie kobiety, której nawet nie znał. Poczul, że się czerwieni.

- Chyba nie. Tak czy inaczej, pewnie podam ci nowy numer, kiedy się zobaczymy w poniedziałek. Na razie chcę skończyć tutaj, żeby wreszcie móc zająć się pracą w laboratorium.

- W porządku, stary. Widzimy się w poniedziałek.

Condon wyszedł. Gdy Pierce upewnił się, że jest już daleko na korytarzu, wstał i zamknął drzwi. Zastanawiał się, ile powiedziała mu Monika i czy podniosła alarm z powodu postępowania Henry'ego. Przyszło mu do głowy, żeby do niej zadzwonić, ale odłożył to na później, kiedy będzie mógł porozmawiać z nią osobiście.

Znow *zaczął* kartkować notes z telefonami Lilly. Prawie na końcu *znalazł* wpis, którego wcześniej nie zauważył. Był to tylko numer i trzy litery: UPK - Uniwersytet Południowej Kalifornii. Pierce'owi przypomniła się koperta, którą widział w domu Lilly. Podniósł słuchawkę i wybrał numer. Rozległ się nagrany komunikat biura zapisów na uniwersytet - w dni wolne od pracy było zamknięte.

Pierce odłożył słuchawkę. Zastanawiał się, czy Lilly zapisywała się właśnie na uniwersytet, kiedy zniknęła. Może starała się zerwać z profesją hostessy. Niewykluczone, że właśnie dlatego zniknęła.

Odłożył notes na bok i otworzył wyciąg z karty VISA. Wynikało z niego, że w sierpniu nie dokonano na nią żadnych zakupów, natomiast pozostawał do uregulowania debet w wysokości 354,26 dolarów. Należało go wyrównać do dziesiątego sierpnia.

Przyszła kolej na wyciąg z banku Washington Sayings & Loan. Zawierał informacje zarówno o koncie bieżącym, jak i rachunkach oszczędnościowych. Lilly Quinlan nie dokonała w sierpniu żadnej wpłaty, ale nie brakowało jej funduszy. Miała 9240 dolarów na rachunku bieżącym i 54 542 na lokatach terminowych. Nie wystarczyłoby tego na cztery lata na uniwersytecie, ale zapewniało start, jeśli Lilly myślała o zmianie drogi życiowej.

Pierce przejrzał wyciąg oraz zbiór zwróconych Lilly zrealizowanych czeków. Jeden z nich, w wysokości 2000 dolarów, wystawiony na Vivian Quinlan, zapewne stanowił comiesięczną wpłatę na utrzymanie matki. Kolejny, na 4000 dolarów, wystawiono na Jamesa Wainwrighta, a w wierszu uwag Lilly wpisała: „Czynsz”.

Pierce postukał się lekko brzegiem czeku w podbródek, zastanawiając się, co to oznaczało. Suma czterech tysięcy dolarów wydała się mu zbyt wygórowana jak na miesięczny wynajem bungalowu przy Altair. Przyszło mu do głowy, że być może Lilly zapłaciła za więcej niż miesiąc.

Odłożył czek na stosik i skończył przeglądać dokumenty bankowe. Nic więcej nie rzuciło mu się w oczy. Schował wyciąg i czekał do koperty.

Na drugim piętrze niedaleko gabinetu Pierce'a w małym pokoiku stała kserokopiarka, faks i potężna niszczarka. Pierce przeszedł tam, otworzył plecak i wrzucił pootwieraną pocztę Lilly Quinlan do niszczarki. Wycie maszyny wydało mu się dość głośne, żeby zwrócić uwagę ochrony, nikt jednak się nie zjawił. Pierce'a ogarnęło przytłaczające poczucie winy. Nie znał się w ogóle na prawie federalnym, dotyczącym kradzieży korespondencji, ale był pewien, że niszcząc ją, popełnia kolejne przestępstwo.

Kiedy skończył, wystawił głowę na korytarz i rozejrzał się, czy nadal jest sam na piętrze. Zawrócił i otworzył jedną z szafek, w której przechowywano papier. Wyjął z plecaka notes z telefonami Lilly Quinlan i wsunął go za stos ryz. Był przekonany, że *przez* jakiś miesiąc zostanie tam niezauważony.

Skończywszy ukrywać i niszczyć dowody przestępstwa, Pierce zjechał windą do podziemia i przeszedł *przez* służbę do laboratorium. Z rejestru dowiedział się, że tego ranka w pracy byli Grooms, Larraby oraz kilka szczerów laboratoryjnych niższej rangi. Wszyscy już wyszli. Pierce wziął długopis, żeby się wpisać, ale rozmyślił się.

Przy konsoli komputerowej wprowadził wszystkie trzy hasła na sobotę i zalogował się. Otworzył protokoły badań programu Proteus. Zaczął czytać podsumowanie ostatnich testów współczynników konwersji energii komórek, przeprowadzonych tego ranka przez Larraby'ego.

Nagle urwał. Nie potrafił skupić się na pracy. Pochłaniały go inne myśli. Wiedział z minionych doświadczeń - chociażby z samym programem Proteus - że najpierw musi doprowadzić do końca absorbującą go sprawę, jeśli ma wrócić do pracy.

Wyłączył komputer i wyszedł z laboratorium. Po powrocie do gabinetu wyjął z plecaka własny notes i zadzwonił pod numer prywatnego detektywa, Philipa Glassa. Zgodnie z oczekiwaniem - było sobotnie popołudnie - zgłosiła się automatyczna sekretarka. Pierce nagrał wiadomość:

- Panie Glass, nazywam się Henry Pierce. Chciałbym jak najszybciej porozmawiać z panem o Lilly Quinlan. Dostałem pańskie nazwisko i numer telefonu od jej matki. Mam nadzieję, że wkrótce się skontaktujemy. Może pan dzwonić do mnie o każdej porze.

Podał bezpośredni numer do swojego gabinetu oraz domowy, po czym się rozłączył. Zdał sobie sprawę, że Glass może rozpoznać numer domowy jako należący wcześniej do Lilly Quinlan.

Zabębnił palcami po skraju biurka. Próbował obmyślić następny krok. Zdecydował, że pojedzie na północ nad brzeg oceanu, żeby spotkać się z Codym Zellerem. Najpierw jednak wykręcił numer swojego mieszkania.

- Słucham? - powiedziała opryskliwym tonem Monika.
 - To ja, Henry. Dostarczono już meble?
 - Dopiero co. Nareszcie. Najpierw wniosą łóżko. Posłuchaj, nie możesz mnie winić, jeśli nie spodoba ci się, jak każę je poustawiać.
 - Powiedz mi tylko, czy kazałaś wstawić łóżko do sypialni?
 - Oczywiście.
 - To na pewno wszystko będzie w porządku. Dlaczego się tak ze-
złościłaś?
 - Przez ten przekłety telefon. Co kwadrans jakiś popapraniec wydzwania do Lilly. Powiem ci jedno: gdziekolwiek się podziała, na pewno jest bogata.
 - Wciąż dzwonią? Powiedziano mi, że jej strona zostanie usunięta z Sieci do trzeciej.
 - No, pięć minut temu był kolejny telefon. Zanim zdołałam powiedzieć, że nie jestem Lilly, facet zapytał mnie, czy robię masaż prostaty, cokolwiek to jest. Odłożyłam słuchawkę. Odrażające.
- Pierce się uśmiechnął. On również nie domyślał się, o co chodziło. Postarał się jednak nie okazywać wesołości.
- Przykro mi. Mam nadzieję, że szybko się uwiną z rozstawieniem mebli. Kiedy tylko skończą, możesz iść.
 - Bogu dzięki.
 - Muszę pojechać do Malibu, inaczej przyjechałbym od razu.
 - Malibu? Co jest w Malibu?
- Pierce pożałował, że o tym wspomniał. Wyleciało mu z głowy wcześniejsze zainteresowanie Moniki i jej dezaprobata wobec jego poczynań.
- W laboratorium coś wynikło - skłamał. - Muszę pojechać w tej sprawie do specjalisty.
- Wiedział, że to kłamstwo na krótkich nogach, ale na razie musiało wystarczyć. Rozłączyli się. Pierce wsunął notes do plecaka.
- Światła - powiedział.

Jazda na północ Pacific Coast Highway była powolna, ale przyjemna. Droga biegła wzdłuż brzegu oceanu, a słońce wisało nisko na niebie po lewej stronie. Było ciepło, ale Pierce pootwierał okna i szyberdach. Nie przypominał sobie, kiedy ostatnio wyprawiał się w taką podróż. Być może wtedy, kiedy wyrwał się z Nicole na długi obiad do Geoffrey's, restauracji nad Pacyfikiem, ulubionej przez kręgi filmowe z Malibu.

Kiedy dotarł na obrzeża miasta, a tłoczące się nad brzegiem domy zasłoniły ocean, zwolnił i zaczął rozglądać się za domem Cuddy'ego Zellera. Nie przypominał sobie adresu i musiał rozpoznać dom po wyglądzie; nie był w nim od ponad roku. Domy w tej części miasta stały jeden przy drugim i wyglądały identycznie. Bez trawników, wybudowane tuż przy chodniku, płaskie jak pudełka na buty.

Pierce'a uratował widok niedającego się z niczym pomylić czarnego jaguara *XKR*, zaparkowanego przed zamkniętym garażem. Zeller dawno temu przerobił garaż na pracownię i teraz musiał płacić sąsiadowi, żeby mu wynajmował swój, bo przecież gdzieś trzeba trzymać zabawkę za dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów. Obecność samochodu pod domem świadczyła, że Zeller właśnie wrócił albo dokądś się wybierał. Pierce miał szczęście, że go zastał. Zawrócił i zaparkował za jaguarem, pilnując, by nie stuknąć w samochód, który Zeller traktował z taką troską, jakby to była malutka siostrzyczka.

Frontowe drzwi otworzyły się, zanim do nich dotarł - albo Zeller go zobaczył przez jedną z kamer pod okapem, albo zadziałał detektor ruchu. Zeller był jedynym znajomym Pierce'a konkurującym z nim w dziedzinie paranoi. Pewnie właśnie dzięki temu zaprzyjaźnili się w Stanfordzie. Przypominał sobie, że na pierwszym roku Zeller często wygłaszał teorię, iż Reagan popadł w śpiączkę po zamachu na

początku swojej prezydentury i został zastąpiony dublerem - marionetką skrajnej prawicy. Teoria była śmiechu warta, jednak Cody traktował ją poważnie.

- Doktor Strangelove, jak się domyślam - powiedział Zeller.

- *Mein Führer*, mogę chodzić! - odparł Pierce.

Było to ich standardowe powitanie od czasów, gdy na studiach wybrali się na przegląd filmów Kubricka.

Uścisnęli sobie ręce w specjalny sposób, obmyślony przez luźną grupę przyjaciół, do której należeli w college'u. Nazwali się Potępieńcami; określenie to - „Doomsters” - zaczerpnęli z powieści Rossa MacDonalda o niezadowolonej z życia młodzieży, surfującej u wybrzeży Kalifornii. Znak identyfikacyjny polegał na spleceniu palców jak *złącza* wagonów kolejowych i trzech uściskach, przypominających zgniatanie gumowej piłeczki podczas oddawania krwi; Potępieńcy regularnie oddawali krew i osocze, żeby mieć w college'u pieniądze na piwo, marihuanę i oprogramowanie komputerowe.

Pierce ostatni raz widział Zellera kilka miesięcy temu. Jego przyjaciel nie ostrzygł się od tego czasu. Spłowieiał od słońca i zaniedbane włosy miał spięte luźno nad karkiem. Był ubrany w koszulkę z godłem Zuma Jay, workowate szorty i skórzane sandały. Jego skóra miała miedzianą barwę przymglonego zachodu słońca. Ze wszystkich Potępieńców właśnie jemu był dany wygląd, do którego aspirowali pozostali. Obecnie stawał się on jednak nieco zużyty. W wieku trzydziestu pięciu lat Zeller zaczynał wyglądać jak podtatusiały surfer, niepotrafiący wyjść z roli, jednak Pierce darzył go przez to tym większą sympatią. Pod wieloma względami Henry czuł się jak człowiek, który się sprzedał. Podziwiał Zellera za to, jak torował sobie drogę przez życie.

- Proszę, proszę, Doktor Strange we własnej osobie w Wielkim Złym Malibu. Człowieku, nie masz stroju ani nie widzę żadnej dechy, czemu więc zawdzięczam tę nieoczekiwaną wizytę?

Zaprosił kiwnięciem Pierce'a do środka wielkiego, urządzonego na modłę poddasza domu. Podzielony był na połowę: po prawej mieściły się pomieszczenia mieszkalne, a po lewej - do pracy. Za tymi ostro odgraniczonymi częściami znajdowała się szklana ściana, a za nią - taras i ocean. Jednostajny szum morskich fal był dla domu tym, czym bicie serca. Zeller powiedział kiedyś Pierce'owi, że nie sposób tu zasnąć bez zatyczek do uszu i poduszki na głowie.

- Po prostu pomyślałem, że przejadę się zobaczyć, co tu słychać.

Przeszli po modrzewiowej posadzce w stronę tafli szkła. W domu takim jak ten był to automatyczny odruch - widok niebieskoczar-

nych wód Pacyfiku działał jak grawitacja. Pierce zobaczył lekką mgiełkę na horyzoncie; nigdzie nie było ani jednej łodzi. Bliżej okien mógł wyjrzeć przez balustradę tarasu na liżące brzeg łagodne fale. Grupka amatorów surfingu w wielobarwnych strojach siedziała na deskach i czekała na odpowiednią chwilę. Pierce poczuł tęsknotę. Od dawna nie wyprawiał się nigdzie z deską. Czekanie na grzywacze i towarzyska atmosfera grupy zawsze dawały mu więcej satysfakcji niż sama jazda na grzbiecie fali.

- To moi chłopcy - powiedział Zeller.
- Wyglądają na nastolatków z gimnazjum w Malibu.
- Bo nimi są. I ja też.

Pierce pokiwał głową. Czuj się młody, to taki zostaniesz - był to typowy sposób na życie w Malibu.

- Stale zapominam, jak miło ci się tu żyje, Cody.
- Jak na faceta, który wyleciał z college'u, nie mogę się skarżyć.

To znacznie lepsze niż sprzedawanie esencji swojej niewinności za dwadzieścia pięć dolarów torebka.

Chodziło mu o osocze. Pierce odwrócił się od szkła. W salonie były dopasowane szare sofy i stolik do kawy przed wolno stojącym kominkiem o betonowym, niby-przemysłowym wykończeniu. Dalej znajdowała się kuchnia, a za kominkiem - część sypialna.

- Piwa, gościu? Mam pacifikę i saint mike'a.
- Pewnie. Sam wybierz.

Zeller wyszedł do kuchni, a Pierce ruszył do części roboczej domu. Zastawiony od podłogi po sufit regał ze sprzętem elektronicznym tłumił zewnętrzne światło i odgradzał strefę mieszkalną. Po tej stronie stały dwa biurka i jeszcze jeden regał z książkami kodowymi oraz instrukcjami obsługi oprogramowania i systemów komputerowych. Pierce przeszedł przez plastikową zasłonę, która zastąpiła drzwi do garażu. Zrobił krok w dół i znalazł się w klimatyzowanej sali komputerowej. Po obu stronach pomieszczenia urządzono dwa kompletne stanowiska robocze, każde wyposażone w kilka monitorów. Obydwa systemy działały. Po każdym z ekranów powoli przesuwali się strumienie danych - cyfrowe robaczki przegryzające się przez to, czym zajmował się aktualnie Zeller. Ściany były wyłożone czarną pianką, by wytłumić hałasy z zewnątrz. Pomieszczenie wypełniała przygaszona poświata miniaturowych lampek. Z niewidzialnej aparatury stereo rozlegały się dźwięki starej płyty Guns'n'Roses, której Pierce nie słyszał co najmniej od dziesięciu lat.

Do wyściółki na tylnej ścianie poprzylepiano ciąg naklejek z gołkami i nazwami firm. Większość znał każdy; ich nazwy były równie

wszechobecne w codziennym amerykańskim życiu jak wytwarzane przez nie produkty. Naklejek przybyło od czasu ostatnich odwiedzin Pierce'a. Wiedział, że Zeller przylepia następną, kiedy z powodzeniem włamał się do systemu komputerowego danej firmy - były to karby na rękojeści jego broni.

Zeller zarabiał pięćset dolarów za godzinę jako haker. Był najlepszym z najlepszych. Pracował niezależnie; zwykle wynajmowała go któraś z firm rachunkowych, należących do Wielkiej Siódemki, by przeprowadził próbę penetracji ich klientów. W pewnym sensie była to gangsterska praktyka. Rzadko zdarzało się, by Zeller nie zdołał włamać się do systemu. Po każdym skutecznym wtargnięciu do systemu danej firmy wynajmujący Zellera klient uzyskiwał hojne wynagrodzenie za zapewnienie bezpieczeństwa komputerowego, a Cody otrzymywał sową premię. Zeller powiedział kiedyś Pierce'owi, że bezpieczeństwo komputerowe jest najszybciej rozrastającym się rynkiem w branży rachunkowości przemysłowej. Cody stale otrzymywał od tej czy innej wielkiej firmy propozycje, by przystać do niej na pełny etat, ale zawsze je odrzucał, oświadczając, że woli pracować na własną rękę. Zwierzył się Pierce'owi, że woli pracować indywidualnie również dlatego, że w ten sposób nie grożą mu losowe testy na obecność narkotyków w organizmie, przeprowadzane w świecie wielkich korporacji.

Zeller wszedł do czystej sali z dwoma brązowymi butelkami piwa San Miguel. Stuknął się z Pierce'em, nim wypili. Piwo smakowało Henry'emu - było zimne i miało łagodny smak. Butelką w rękę wskazał na czerwono-biały kwadrat na ścianie - powszechnie znany symbol napoju spożywanego w milionach litrów na całym świecie.

- Ten jest nowy, prawda?

- Tak, niedawno go zdobyłem. Odebrałem Atlancie robotę. Reklamują, że mają tajemną formułę przyrządzania swojego eliksiru, prawda? Byli...

- Tak - z kokainą.

- To tylko miejska legenda. Tak czy inaczej, chcieli sprawdzić, jak dobrze jest strzeżona. Zacząłem od zera. Zajęło mi to siedem godzin, po czym przesłałem formułę pocztą elektroniczną dyrektorowi nacelnemu. Nie wiedział, że jest przeprowadzany test na szczelność systemu - zajmowali się nim jego podwładni. Dowiedziałem się, że o mało nie dostał zawału. Pewnie wyobraził sobie, że formuła będzie krążyła po Sieci i trafi w ręce ludzi Pepsi i Doctora Peppera.

- Fajnie. - Pierce się uśmiechnął. - Pracujesz teraz nad czymś? Wygląda, jakbyś miał mnóstwo roboty.

Wskazał butelką monitora.

- Nie, właściwie nie, tylko szperam tu i ówdzie. Szukam kogoś, o kim wiem, że się ukrywa.
- Kogo?

Zeller odpowiedział mu uśmiechem.

- Gdybym ci powiedział, musiałbym cię zabić.

A zatem chodziło o interesy. Zeller chciał wyrazić w ten sposób, że dyskretna wchodzi w skład oferowanych przez niego usług. Byli przyjaciółmi z dawnych dobrych czasów w college'u, przeszli też naprawdę ciężki okres - przynajmniej dla Pierce'a - ale biznes to biznes.

- Rozumiem - powiedział. - I nie chcę się wtrącać, więc pozwól, że przejdę do *rzeczy*. Zdołasz podjąć się czegoś jeszcze?
- Kiedy musiałbym zacząć?
- Hm, najlepiej wczoraj.
- Szybki numer. Lubię takie. I lubię pracować dla Amedeo Technologies.
- Nie dla firmy. Dla mnie, ale ci zapłacę.
- Podoba mi się jeszcze bardziej. Czego potrzebujesz?
- Sprawdzić pewnych ludzi i firmy, zobaczyć, co wypłynie.

Zeller pokiwał głową.

- Ostrzy zawodnicy?
- Właściwie nie wiem, ale na twoim miejscu zachowałbym wszelkie środki ostrożności. Mogę ci powiedzieć, że chodzi o branżę rozrywki dla dorosłych.

Tym razem Zeller uśmiechnął się szeroko; opalona skóra zmarszczyła mu się wokół oczu.

- Och, mały, nie mów mi, że wsadziłeś ptaszka nie tam, gdzie trzeba.
- Nie, nic w tym stylu.
- To o co chodzi?
- Usiądźmy. I lepiej przynieś coś do notowania.

W salonie Pierce przekazał Zellerowi wszystkie informacje, jakie miał o Lilly Quinlan, nie zdradzając, skąd je wzięł. Poprosił Cody'ego, żeby dowiedział się jak najwięcej o Entrepreneurial Concepts Unlimited i jej szefie Wentzu.

- Wiesz, jak ma na imię?
- Nie. Wiem tylko, że nazywa się Wentz. Podejrzewam, że w tej branży nie ma zbyt wielu ludzi o takim nazwisku.
- Pełny przegląd?
- Wszystko, co uda ci się zdobyć.
- Mam nie przekraczać kreski?

Pierce zawahał się. Zeller nie spuszczał z niego wzroku. Chodziło mu o to, czy Pierce chce od niego, by przekroczył granice prawa. Henry zdawał sobie sprawę, że dowiedziałby się o wiele więcej, gdyby Zeller przekroczył kreskę i wszedł do systemów, do których nie powinien mieć dostępu. Wiedział też, że Cody jest ekspertem w tego rodzaju działaniach. Potępieńcy powstali, gdy obydwaj byli na drugim roku college'u. Hakerstwo właśnie wchodziło w modę w ich pokoleniu, a członkowie grupy, przede wszystkim pod wpływem Zeller'a, zaczęli wybijać się w tej dziedzinie. Przeważnie były to błahe żarty, z których najpoważniejszym było włamanie się do bazy danych miejscowej firmy telefonicznej i zmiana numeru pizzerii sieci Domino's, położonej najbliżej kampusu, na numer dziekana wydziału nauk komputerowych.

Moment chwały okazał się jednak równocześnie chwilą klęski. Wszystkich sześciu Potępieńców zatrzymała policja i zawieszono ich w prawach studentów. Jeśli chodzi o stronę prawną, wstrzymano postępowania karne pod warunkiem, że nie wychyła się w okresie sześciomiesięcznego zawieszenia. Na uczelni natomiast wszyscy musieli powtarzać semestr. Pierce z powodzeniem przeszedł okres zawieszenia i wrócił na zajęcia. Pod lupą policji i administracji szkolnej zmienił przedmiot kierunkowy z nauki o komputerach na chemię. Nigdy tego nie żałował.

Zeller również nie roztrząsał przeszłości. Nie wrócił na Stanford. Zgarnęła go firma bezpieczeństwa komputerowego, oferując mu hojną pensję. Podobnie jak utalentowany atleta, porzucający szkołę dla zawodowej kariery, Zeller nie zamierzał wracać na zajęcia, gdy posmakował rozkoszy dostatku.

- Coś ci powiem - odpowiedział wreszcie Pierce. - *Zdobądź* wszystko, co zdołasz. Myślę, że jeśli chodzi o Entrepreneurial Concepts, może ci jakaś wariacja abra kadabra. Wypróbuj to najpierw wspak.

- Dzięki za fory. Na kiedy tego potrzebujesz?

- Najlepiej na wczoraj.

- Zgadza się. Szybki numer. Na pewno nie umoczyłeś ptaszka w czymś paskudnym?

- Przynajmniej nic o tym nie wiem.

- Nicole wie o tym?

- Nie, nie ma powodu. Nicole odeszła, pamiętasz?

- Prawda.

Pierce dopił piwo. Nie chciał zostawać dłużej, bo pragnął, by Zeller jak najszybciej zabrał się do roboty. Cody najwyraźniej jednak się z tym nie spieszył.

- Jeszcze jedno piwko, komandorze?
- Nie, daruję sobie. Muszę wracać do mieszkania. Moja asystentka pilnuje odbioru mebli. Poza tym masz coś dla mnie zrobić, prawda?
- Och, pewnie, człowieku. Od ręki. - Wskazał dłonią stanowiska robocze. - Na razie mam zajęte wszystkie maszynki, zabiorę się jednak do tego jeszcze dzisiaj. Zadzwoń do ciebie jutro wieczorem.
- Dobrze, Code. Dzięki.

Pierce wrócił do mieszkania, ludzi z firmy dostawczej już .nie było, ale *Monika* czekała na niego. Kazała ustawić meble w sposób znośny, ale niewykorzystujący widoku, który roztaczał się z sięgających od podłogi do sufitu okien w salonie i jadalni. *Pierce* jednak się tym nie przejął. Wiedział, że i tak będzie spędzał w mieszkaniu niewiele czasu.

- Ładnie - powiedział. - Dziękuję.

- Nie ma za co. Mam nadzieję, że wszystko ci się spodoba. Właś nie miałam wychodzić.

- Dlaczego zostałam?

Uniosła oburącz stertę pism.

- Chciałam skończyć czytać magazyn.

Pierce nie był pewien, czy po to musiała zostać w mieszkaniu, ale dał temu spokój.

- Posłuchaj, zanim pójdziesz, mam do ciebie jeszcze jedną prośbę. Chodź, usiądź na chwilę.

Monika wyglądała przez chwilę, jakby prośba ją zirytowała. Prawdopodobnie wyobrażała sobie, że chodzi o kolejny telefon, podczas którego będzie musiała podszywać się pod *Lilly Quinlan*. Mimo to usiadła w jednym ze skórzanych foteli, zamówionych przez *Pierce'a* wraz z kanapą.

- No dobrze, o co chodzi?

Pierce usiadł na kanapie.

- Jak nazywa się twoja posada w *Amedeo Technologies*?

- O co ci chodzi? Wiesz, jak się nazywa.

- Chcę sprawdzić, czy ty to wiesz.

- Osobista asystentka prezesa. Dlaczego pytasz?

- Ponieważ chcę się upewnić, czy pamiętasz, że jesteś osobistą asystentką, a nie tylko asystentką.

Monika zamruwała i długą chwilę wpatrywała się w twarz Pierce'a.

- No dobrze, o co ci chodzi, Henry? - spytała.

- O to, że nie jestem zadowolony, iż opowiedziałaś Charliemu Condonowi wszystko o moich kłopotach z numerem telefonu i tym, co staram się z nimi zrobić.

Wyprostowała się i przybrała oburzoną minę, jednak było to fatalne aktorstwo.

- Nie opowiedziałam.

- Mówił co innego. Jeśli mu nie wypaplałaś, to skąd po rozmowie z tobą wiedział wszystko?

- No dobrze. Posłuchaj, powiedziała mu tylko tyle, że przyzna no ci numer po jakiejś prostytutce i dostajesz najprzeróżniejsze telefony. Musiałam mu coś powiedzieć, bo kiedy zadzwonił, nie poznałam go po głosie. Zapytał: „Kto mówi?“, a ja trochę się na niego uniosłam, bo rozumiesz, pomyślałam, że to ktoś do Lilly.

- Aha.

- I nie potrafiłam od ręki wymyślić żadnego kłamstwa. Nie jestem w tym tak dobra jak niektórzy. W kłamaniu, inżynierii społecznej, jakkolwiek to nazwać. Dlatego powiedziałam mu prawdę.

Pierce o mało nie wspomniał, że na początku rozmowy dobrze wyszło jej kłamstwo, iż nic nie wygadała Charliemu, ale sobie darował.

- I tylko tyle mu wypaplałaś? Że dostałem numer telefonu po tej kobiecie? Nic więcej? Nie mówiłaś mu, że zdobyłaś dla mnie jej adres i tam pojechałem?

- Nie, ależ skąd. O co tyle szumu? Myślałam, że jesteście partnerami. - Wstała. - Mogę wreszcie iść?

- Moniko, usiądź jeszcze na sekundę. - Wskazał fotel. Monika niechętnie usiadła. - O to tyle szumu, że ściany mają uszy, rozumiesz? - Wzruszyła ramionami, unikając spojrzeniem Pierce'a. Wlepiła wzrok w stertę pism na kolanach. Na okładce magazynu był Clint Eastwood. - Moje działania odbijają się na firmie - powiedział Pierce. - Zwłaszcza teraz i nawet to, czym zajmuję się prywatnie. Jeśli moje postępowanie zostanie błędnie zinterpretowane lub wyolbrzymione, może to poważnie zaszkodzić spółce. W tej chwili zyski firmy wynoszą dokładnie zero. Opieramy się na inwestorach, żeby prowadzić badania, płacić czynsze i pensje. Jeżeli inwestorzy pomyślą, że jesteśmy niepewni, to czekają nas wielkie problemy. Jeśli

wieści na mój temat - prawdziwe czy zmyślane - trafią do niewłaściwych osób, możemy napytać sobie biedy.

- Nie wiedziałam, że Charlie to niewłaściwa osoba - odrzekła nadąsanym tonem Monika.

- Bo nią nie jest. Jest właściwym człowiekiem. Dlatego właśnie nie przejmuję się, że jemu powiedziałaś. Zdenerwowałbym się jednak, gdybyś nagadała komukolwiek innemu, co robię albo co się ze mną dzieje. Komukolwiek, Moniko. Z firmy czy spoza niej.

Miał nadzieję, że asystentka zrozumie, iż chodziło mu o Nicole i wszystkich innych, z którymi miała kontakt na co dzień.

- Nie powiem. Ani słówka. I proszę, nie wymagaj ode mnie znowu, żebym angażowała się w twoje życie osobiste. Nie chcę wysiadać i czekać na dostawców ani robić czegokolwiek poza firmą.

- Doskonale. Nie będę cię o to prosił. Pomyliłem się - nie myślałem, że to będzie problem, a ty mówiłaś, że przydałyby ci się nadgodziny.

- Nadgodziny mi się przydadzą, ale nie mam ochoty na żadne komplikacje.

Pierce odczekał chwilę, przyglądając się przez ten czas asystentce.

- Moniko, w ogóle wiesz, co robimy w Amedeo? To znaczy, czy wiesz, czego dotyczy program?

- Mniej więcej. Wiem, że dotyczy komputerów molekularnych. Czytałam parę artykułów z wystawki, ale są bardzo... naukowe. Poza tym wszystko jest tak tajne, że nie chciałam się rozpytywać. Po prostu staram się wykonywać swoją pracę.

- Program to nie sekret. Tajemnicami są tylko procesy, które wy znajdujemy. To różnica.

Pochylił się naprzód, starając się obmyślić najlepszy sposób, by to wytłumaczyć bez wprowadzania zamętu ani zapuszczania się w zastrzeżone sfery. Postanowił użyć taktyki, z jakiej często korzystał Charlie Condon, mając do czynienia z potencjalnymi inwestorami, którzy mieli problemy z natłokiem naukowych danych. Wyjaśnienie przyszło Charliemu do głowy po ogólnej rozmowie, jaką odbył kiedyś o programie z Codym Zellerem. Cody kochał kino. Tak samo Pierce, chociaż ostatnio rzadko miał czas, by się do niego wybrać.

- Widziałaś kiedyś „Pulp Fiction”?

Monika zmrużyła oczy i podejrzliwie skinęła głową.

- Tak, ale co to ma...

- Pamiętasz, to film o gangsterach, których drogi stale się krzyżują. Strzelają do ludzi i wstrzykują sobie narkotyki, ale kluczem do wszystkiego jest neser. Nigdy nie pokazano, co w nim jest, ale

wszyscy chcą go dostać. Kiedy wreszcie ktoś go otwiera, i tak nie widać wnętrza, ale bije z niego złoty blask. Widać go wyraźnie. I wywiera hipnotyzujący wpływ na każdego, kto zagląda do neseseru.

- Przypominam sobie.

- Cóż, za tym właśnie uganiamy się w Amedeo. Szukamy tego czegoś, co lśni jak złoto, ale nikt nie może tego zobaczyć. Ścigamy to - i cała rzesza innych ludzi - bo wszyscy wierzymy, że odmieni cały świat. - Odczekał chwilę, podczas gdy Monika wpatrywała się w niego, nic nie rozumiejąc. - Na razie wszędzie na świecie mikroprocesory do komputerów wytwarza się z krzemu. To standard, zgadza się.

- Bo ja wiem? - wzruszyła ramionami Monika.

- W Amedeo, Bronson Technologies, Midas Molecular oraz dziełach innych firm, uniwersytetów i laboratoriów rządowych na całym świecie, z którymi konkurujemy, staramy się stworzyć nową generację procesorów komputerowych, opartych na technologii molekularnej. Zbudować cały komputer wyłącznie z cząsteczek organicznych. Komputer, który pewnego dnia będzie powstawał w zbiorniku chemikaliów, który stworzy sam siebie na podstawie właściwej receptury. Chodzi o komputer bez elementów krzemowych czy magnetycznych. Znacznie tańszy i o niebo potężniejszy - w którym łyżeczka cząsteczek będzie zawierała więcej pamięci niż największy z działających dzisiaj komputerów.

Monika odczekała, by upewnić się, że skończył.

- Jeju - powiedziała nieprzekonującym tonem.

Pierce uśmiechnął się na jej sceptycyzm. Wiedział, że pewnie zachowywał się jak sprzedawca. Jak Charlie Condon, by być ścisłym. Postanowił spróbować jeszcze raz.

- Wierz mi, Moniko, ktokolwiek osiągnie to pierwsze, zmieni świat. Wpłynie to prawie na całą technologię tej planety. Można przypuszczać, że opierając się na takim rozwiązaniu, będziemy budować całe komputery mniejsze od chipu krzemowego. Komputer, który wypełnia obecnie cały pokój, będzie miał wielkość pięciocentówki. Taki mamy cel. Dlatego właśnie w laboratorium jest przyklejona do ściany moneta - to metafora naszego celu. Na pewno o tym słyszałaś.

Pokręciła głową.

- Ale po co ktoś miałby chcieć komputer wielkości pięciocentówki? Niczego nie można byłoby na nim przeczytać.

Pierce zaczął się śmiać, ale urwał. Wiedział, że musi postarać się, by ta kobieta zachowała dyskrecję i była po jego stronie, dlatego nie powinien jej obrażać.

- To tylko przykład. Jest to realne. Chodzi o to, że moc obliczeniowa i pojemność pamięci są w technologii tego typu nieograniczone. Masz rację, nikt nie chce ani nie potrzebuje komputera wielkości pięciocentówki. Pomyśl jednak, jaki byłby to postęp w porównaniu z palmtopem czy laptopem. Nie byłabyś zadowolona, że nie musisz ich dźwigać? Gdybyś mogła mieć komputer w guziku koszuli czy oprawce okularów? Gdybyś w biurze miała komputer nie na biurku, ale w farbie na ścianach? Mogłabyś mówić do ściany, a ona by ci odpowiadała.

Monika potrząsnęła głową. Widać było, że wciąż nie docierają do niej możliwości takiej maszyny i jej zastosowania. Nie potrafiła przekroczyć granic świata, który znała, rozumiała i akceptowała. Pierce sięgnął do tylnej kieszeni i wyjął portfel. Pokazał Monice kartę American Express.

- A gdyby ta karta była komputerem? Gdyby zawierała chip pamięci tak potężny, że rejestrowałby każdy zakup przeprowadzony za pomocą tej karty, łącznie z datą i miejscem? Przez całe życie posiadacza, Moniko. Chodzi mi o studnię pamięci bez dna, mieszczącą się w cienkim kawałku plastiku.

- Pewnie klawo by było. - Monika wzruszyła ramionami.

- Dzieli nas od tego niecałe pięć lat. Już mamy molekularną RAM - pamięć o dostępie swobodnym. Doskonalamy też bramki logiczne i obwody robocze. Kiedy je poskładamy - obwody logiczne i pamięć - będziemy mieli zintegrowany system, Moniko.

Wciąż podniecało go mówienie o możliwościach techniki. Schował kartę kredytową do portfela i wsunął go do kieszeni. Nie odrywał wzroku od Moniki i czuł, że nadal się do niej nie przebił. Postanowił zrezygnować z prób zrobienia na niej wrażenia i przejść do rzeczy.

- Chodzi o to, że nie jesteśmy sami. Mamy bardzo dużą konkurencję. W tej branży działa mnóstwo firm prywatnych w rodzaju Amedeo Technologies. Wiele z nich jest większych i ma więcej pieniędzy. Do tego dochodzi DARPA, Uniwersytet Kalifornijski w Los Angeles i inne, także...

- Co to jest DARPA?

- Defence Advanced Research Projects Agency - Agencja Badań Zaawansowanych Programów Obronnych. Agenda rządowa, niepuszczająca z oka wszystkich nowo powstających technologii. Wspiera kilka odrębnych programów w naszej branży. Kiedy zakła dałem firmę, świadomie postanowiłem, że rząd nie będzie naszym szefem. Chodzi jednak o to, że większość naszych konkurentów ma

mocną pozycję i dostęp do dużych funduszy. My nie. Dlatego też do kontynuowania prac potrzebujemy stałego strumienia gotówki. Nie możemy zrobić niczego, co ten strumień zatrzyma, bo wypadamy z wyścigu i jest po Amedeo Technologies. Rozumiesz?

- Rozumiem.

- Gdyby chodziło o magazyn z samochodami czy podobny interes, to co innego. Myślę jednak, że w Amedeo mamy szansę zmienić ten świat. Zespół, jaki zebrałem w laboratorium, nie ma sobie równych. Mamy...

- Powiedziałam, że rozumiem. Skoro to wszystko jest takie ważne, to może jednak powinieneś zastanowić się nad tym, co robisz. Już o tym mówiłam. To ty uciekałeś się do różnych podstępów i pojechałeś do domu tej kobiety.

Zawrzał w nim gniew. Odczekał chwilę, aż to minie.

- Posłuchaj, byłem tylko ciekawy i chciałem się upewnić, czy tej kobiecie nic się nie stało. Jeżeli uważasz to za uciekanie się do podstępów, to się do tego przyznaję. Ale już z tym skończyłem. Chcę, żebyś w poniedziałek zmieniła mój numer, i mam nadzieję, że to wreszcie będzie koniec całej sprawy.

- Dobrze. Mogę już iść?

Pierce pokiwał z rezygnacją głową.

- Tak. Możesz iść. Dzięki, że czekałaś na meble. Mam nadzieję, że będziesz miała udany weekend - tyle, ile go zostało. Do zobaczenia w poniedziałek.

Nie patrzył na nią, gdy to mówił ani kiedy wstała z fotela. Wyszła bez słowa, a on nadal odczuwał gniew. Postanowił, że kiedy cała sprawa przycichnie, przyjmie inną asystentkę, a Monika wróci do puli wolnych sekretarek w firmie.

Pierce siedział przez jakiś czas na kanapie. Z zadumy wytrącił go dzwonek kolejnego telefonu do Lilly.

- Spóźnił się pan - powiedział. - Lilly zrezygnowała z tej pracy i zapisała się na uniwersytet.

Odłożył słuchawkę.

Po chwili podniósł ją znowu i zadzwonił do informacji w Venice, żeby zdobyć numer Jamesa Wainwrighta. Jego kolejny telefon odebrał mężczyzna. Pierce wstał i podszedł do okna.

- Szukam właściciela wynajmującego dom Lilly Quinlan - powiedział. - Przy Altair w Venice.

- Czyli mnie.

- Nazywam się Pierce. Staram się *znaleźć* Lilly i jestem ciekaw, czy miał pan z nią jakiś kontakt *przez* ostatni miesiąc?

- Hm, po pierwsze, nie znam pana, Pierce, i nie rozmawiam o moich lokatorach z obcymi, jeśli nie wytłumaczą, o co im chodzi, i nie przekonają mnie, że powinienem odpowiadać na ich pytania.

- Słusznie, panie Wainwright. Jeśli pan woli, z zadowoleniem przyjadę zobaczyć się z panem osobiście. Jestem przyjacielem rodziny. Vivian, matka Lilly, martwi się o nią, bo od sześciu tygodni nie miała od niej żadnej wiadomości. Poprosiła mnie, żebym trochę się rozejrzył. Jestem gotów podać panu numer Vivian w Tampie, żeby mógł pan zadzwonić i sprawdzić.

Było to ryzykowne posunięcie, ale Pierce chciał przekonać Wainwrighta do mówienia. Poza tym nie bardzo rozumiał się z prawdą. Czy sta inżynieria społeczna: przeinacz trochę prawdę i to wykorzystaj.

- Mam numer jej matki na umowie najmu. Nie muszę dzwonić, bo i tak nie wiem nic, co mogłoby panu pomóc. Lilly Quinlan zapłaciła do końca miesiąca. Nie mam czasu jeździć ani dzwonić do niej, chyba że pojawia się jakiś problem. Nie rozmawiałem z nią ani nie widziałem jej co najmniej parę miesięcy.

- Zapłaciła do końca miesiąca? Jest pan pewien?

Nie zgadzało się to z przejrzanymi przez Pierce'a rachunkami.

- Zgadza się.

- Jak zapłaciła ostatnim razem - czekiem czy gotówką?

- Nie pański interes.

- Panie Wainwright, to jest mój interes. Lilly zaginęła, a jej matka prosiła mnie, bym jej poszukał.

- To pan tak twierdzi.

- Niech pan do niej zadzwoni.

- Nie mam czasu. Utrzymuję trzydzieści dwa mieszkania i domy. Myśli pan, że mam...

- Niech pan posłucha, czy jej trawnikiem zajmuje się ktoś, z kim mógłbym porozmawiać?

- Właśnie pan z nim mówi.

- A więc nie widział jej pan, kiedy pan tam był?

- Jeśli już o tym pomyśleć, to rzeczywiście, wiele razy wychodziła i witała się, kiedy kosiłem trawę albo rozstawiałem zraszacze. Albo wносиła mi pepsi czy lemoniadę. Kiedyś poczęstowała mnie zimnym piwem, ale ostatnich kilka razy, kiedy tam pojechałem, nie było jej. Nie widziałem też samochodu. Nie zastanawiałem się nad tym. Każdy ma swoje życie, rozumie pan.

- Jaki miała samochód?

- Żółtego lexusa. Nie wiem, jaki model, ale na pewno lexusa. Ładny wózek. Dbała o niego.

Pierce'owi nie przychodziło do głowy żadne inne pytanie. Wainwright okazał się niezbyt pomocny.

- Proszę pana, zajrzy pan do umowy i zadzwoni do matki? Chcę, żeby oddzwonił pan do mnie w tej sprawie.

- Policja jest zaangażowana? Złożono doniesienie o zaginięciu?

- Matka rozmawiała z policją, ale uważa, że niewiele robi w tej sprawie, dlatego właśnie mnie prosiła o pomoc. Ma pan coś do pisania?

- Pewnie.

Pierce zawahał się, uświadomiwszy sobie, że jeśli poda swój numer domowy, Wainwright może poznać, że taki sam miała Lilly. Podał mu więc bezpośredni numer do swojego gabinetu w Amedeo. Podziękował i rozłączył się.

Siedząc, wpatrywał się w telefon. Kilkakrotnie odtworzył przebieg rozmowy i za każdym razem dochodził do tego samego wniosku. Wainwright robił uniki. Albo wiedział coś więcej, albo coś ukrywał, albo i to, i to.

Pierce otworzył plecak i wyjął notes, w którym zapisał numer Robin, partnerki Lilly. Tym razem starał się mówić do słuchawki grubszym głosem. Miał nadzieję, że Robin nie pozna go z poprzedniego wieczoru.

- Zastanawiałem się, czy moglibyśmy się dzisiaj spotkać.

- Hm, jestem wolna, kotku. Mieliśmy kiedyś randkę? Masz znajomy głos.

- Och, nie. Jeszcze nie.

- Co masz na myśli?

- Może kolacja, a potem pojedziemy do ciebie. Sam nie wiem.

- Biorę cztery setki za godzinę, kotku. Większość facetów woli odpuścić sobie kolację i przyjechać prosto do mnie. Albo żebym ja przyjechała do nich.

- W takim razie mogę przyjechać do ciebie?

- Dobra. Świetnie. Jak się nazywasz?

Wiedział, że Robin ma identyfikator numeru, z którego dzwonił, więc nie mógł kłamać.

- Henry Pierce.

- O której?

Popatrzył na zegarek. Była szósta po południu.

- Może siódma?

Dzięki temu zyskałby czas na opracowanie planu i podjechanie pod bankomat. Miał trochę gotówki, ale wiedział, że za mało. Na kartę mógł wypłacić naraz maksymalnie czterysta dolarów.

- Ranny ptaszek - odparła Robin. - Nie mam nic przeciwko temu, ale nie dostaniesz żadnej zniżki.

- W porządku. Gdzie mam przyjechać?

- Masz ołówek?

- Pod ręką.

- Założę się, że na pewno twardy.

Zaśmiała się i podała Pierce'owi adres sklepu Smooth Moves przy Lincoln Boulevard w Marina del Rey. Kazała mu wejść do sklepu, kupić koktajl truskawkowy i zadzwonić za pięć siódma z automatu przed wejściem. Zapytał ją, dlaczego tego od niego żąda.

- Zabezpieczenie - odpowiedziała. - Chcę ci się przyjrzeć, zanim zaproszę cię na górę. Poza tym lubię te truskawkowe świństwa. Mają dużo cukru. To tak jakbyś przyniósł mi kwiaty. Mają tam taki proszek, paliwo. Poproś, żeby dorzucili dodatkową porcję. Przyszedł mi do głowy sprośny numer, który chciałabym z tobą wypróbować.

Znów się roześmiała, Pierce odebrał jednak jej śmiech jako zbyt wypraktykowany i pusty. Przygnębiło go to. Powiedział, że kupi koktajl i zadzwoni. Podziękował i to był koniec rozmowy. Odkładając słuchawkę, poczuł, że jest trochę zdeprymowany.

- Ty idioto - powiedział do siebie.

O umówionej porze Pierce podniósł słuchawkę automatu telefonicznego pod sklepem Smooth Moves i wybrał numer Robin. Odwróciwszy się plecami do telefonu, zobaczył po drugiej stronie Lincoln Boulevard wielki kompleks mieszkalny Marina Executive Towers. Budynek w istocie nie zasługiwał jednak na nazwę wieży. Był niski i szeroki - trzy piętra mieszkań nad garażami. Blok zajmował pół przecznicy; fasadę pomalowano na kilka kolorów. Były to pastelowe pasy różu, błękitu i żółci, powtarzające się wzdłuż na całej długości. Transparent nad dachem reklamował krótkoterminowy wynajem dla kadry zarządzającej oraz darmową obsługę przez pokojówki. Pierce pomyślał, że to idealne miejsce dla prostytutki do uprawiania swojego procederu. Blok był tak wielki, a fluktuacja mieszkańców tak duża, że sąsiedzi na pewno nie zwracali uwagi na stałą procesję wchodzących i wychodzących mężczyzn. Robin odebrała po trzech sygnałach.

- Tu Henry. Dzwonię...

- Cześć, kotku. Niech ci się przyjrzę.

Starając nie rzucać się za bardzo w oczy, Pierce powiódł wzrokiem po oknach budynku naprzeciwko, szukając przyglądającej się mu osoby. Nie dostrzegł niczego takiego ani znamiennego poruszenia firanki, ale zauważył, że część mieszkań ma zwierciadlane szyby. Zadał sobie pytanie, czy w bloku pracuje więcej kobiet w rodzaju Robin.

- Widzę, że kupiłeś mi koktajl - powiedziała. - Kazałeś dorzucić paliwa?

- Tak. Oni mówią na nie „dopalacz”. Tego chciałeś?

- Właśnie. No dobrze, wyglądasz mi na porządnego gościa. Nie jesteś gliną, co?

- Nie jestem.
- Na pewno?
- Na pewno.
- No dobra, to wchodź. Przejdź pod blok i znajdź przy głównym wejściu dwieście trzy. Do zobaczenia wkrótce.
- Dobrze.

Pierce odwiesił słuchawkę i postąpił zgodnie z instrukcjami. Guzik numeru 203 był opatrzony karteczką z nazwiskiem Bird. Czyli ptak, tak jak *robin* - rudzik, pomyślał Pierce. Kiedy zadzwonił, Robin otworzyła mu drzwi, nie zadając żadnych pytań przez interkom. Nie potrafił znaleźć schodów, więc wjechał jedno piętro windą. Robin mieszkała dwoje drzwi od niej.

Otworzyła, zanim zdążył zapukać. Zapewne wyglądała przez wizjer. Wyjęła mu koktajl z dłoni i zaprosiła do środka.

Mieszkanie było oszczędnie umeblowane i wydawało się pozbawione jakichkolwiek osobistych przedmiotów. Były w nim tylko kanapa, fotel, stolik do kawy i lampa stojąca. Na ścianie wisiała oprawiona reprodukcja. Obraz utrzymany był w średniowiecznej manierze i przedstawiał dwa anioły, wiodące dopiero co zmarłego człowieka ku światłu na końcu tunelu.

Zrobiwszy parę kroków, Pierce zobaczył szklane drzwi prowadzące na balkon, pokryte warstwą odbijającą światło. Mieszkanie znajdowało się prawie dokładnie na wprost sklepu.

- Mogłam ci się przyjrzeć, ale ty mnie nie widziałeś - powiedziała Robin zza jego pleców. - Widziałam, że się rozglądasz.

Odwrócił się w jej stronę.

- Byłem po prostu ciekaw, jaki jest układ. Jak to zorganizowałaś.
- No to już wiesz. Chodź, usiądź.

Podeszła do kanapy i dała mu znak, by usiadł obok niej. Posłuchał. Próbował się dalej rozglądać. Mieszkanie przypominało pokój hotelowy, ale domyślał się, że atmosfera nie ma znaczenia dla tego, co zwykle się w nim działo. Poczł, że Robin ujmuje go za podbródek i obraca w swoją stronę.

- Podobam ci się? - zapytała.

Był prawie pewien, że to ta sama kobieta co na zdjęciu ze strony internetowej. Nie miał całkowitej pewności, bo przyglądał się mu krócej i mniej dokładnie niż fotografii Lilly. Robin była boso i miała na sobie krótki jasnoniebieski podkoszulek oraz parę sztruksowych szortów, wyciętych tak głęboko, że przyzwoitszy byłby strój kąpielowy. Nie miała stanika, a jej piersi były nienaturalnie duże. Pod koszulką wyraźnie odznaczały się sutki wielkości ciasteczek. Rozczesa-

ne na boki jasne włosy opadały kaskadami loków. Nie widać było, by miała jakikolwiek makijaż.

- Owszem - odparł Pierce.

- Ludzie mówią mi, że przypominam Meg Ryan.

Pierce pokiwał głową, chociaż tego nie dostrzegął. Gwiazda filmowa była znacznie starsza, ale o wiele przyjemniejsza dla oka.

- Przyniosłeś mi coś?

Henry z początku pomyślał, że chodzi jej o koktajl. Dopiero po chwili przypomniał sobie o pieniądzach.

- Tak, mam je tutaj.

Wyprostował się na kanapie, żeby sięgnąć do kieszeni. Miał przygotowane czterysta dolarów - w świeżutkich dwudziestkach z bankomatu. Pierce zaplanował tę część spotkania. Nie zależało mu na pieniądzach, ale nie chciał dać ich Robin i zostać wyrzucony z mieszkania, kiedy ujawni, po co naprawdę przyszedł. Wyjął pieniądze, by Robin je zobaczyła i poczuła, że są w zasięgu jej rąk.

- Pierwszy raz, kotku?

- Słucham?

- Z hostessą. Pierwszy raz?

- Skąd wiesz?

- Bo powinieneś włożyć je do koperty. Jak podarunek. Przecież to podarunek, prawda? Nie płacisz mi, żebym cokolwiek robiła.

- Tak, pewnie. Podarunek.

- Dziękuję.

Sięgnęła po pieniądze, lecz Pierce cofnął rękę.

- Zanim ci je dam... muszę coś powiedzieć. - Twarz Robin świdrzyła, że zapaliły się jej wszystkie światełka alarmowe. - Nie martw się, nie jestem gliną.

- To co, nie chcesz używać prezerwatywy? Nie ma mowy, to zasa da numer jeden.

- Nie, nie o to chodzi. Właściwie nie chcę się z tobą kochać. Jesteś bardzo atrakcyjna, ale chcę tylko trochę informacji.

Robin przybrała pozę, w której wydawała się bardziej kanciasta i wyższa - nawet na siedząco.

- O czym ty, kurwa, mówisz?

- Muszę znaleźć Lilly Quinlan. Możesz mi pomóc.

- Lilly Quinlan? Kto to taki?

- Daj spokój, wymieniasz ją na swojej stronie w Sieci. Podwaja nie przyjemności. Wiesz, o kim mówię.

- To ty dzwoniłeś wczoraj wieczorem. To byłeś ty. - Pierce przytaknął. - No to idź w cholerę.

Szybko wstała i podeszła do drzwi.

- Nie otwieraj, Robin. Jeśli nie chcesz rozmawiać ze mną, to czeka cię rozmowa z glinami. Taki będzie mój następny ruch.

Odwróciła się w jego stronę.

- Gliniarzy to głównie obchodzi.

Nie otworzyła jednak drzwi. Rozgniewana stała tylko z dłońmi na klamce i czekała.

- Może nie teraz, ale obejdzie ich, kiedy do nich pójde.

- A kim ty jesteś?

- Mam trochę układów - skłamał Pierce. - Nie musisz nic więcej wiedzieć. Jeśli się do nich zgłoszę, to przyjadą po ciebie. Nie będą tacy mili jak ja... i nie zapłacą czterystu dolarów za twój czas. - Położył banknoty na kanapie w miejscu, gdzie siedziała Robin. Patrzył, jak przenosi spojrzenie na pieniądze. - Potrzebuję tylko informacji. Nie trafią do nikogo oprócz mnie.

Zaczekał. Po długiej chwili milczenia Robin wzięła pieniądze. *Znalazła dla nich jakimś cudem miejsce w szortach. Założyła ramiona na piersiach, ale nie usiadła.*

- Jakich informacji? Ledwie ją znałam.

- Coś wiesz. Mówisz o niej w czasie przeszłym.

- Nic nie wiem. Wiem tylko, że jej nie ma. Po prostu... zniknęła.

- Kiedy?

- Ponad miesiąc temu. Nagle po prostu zniknęła.

- Skąd wiesz, że nagle? Może po prostu spakowała się i wyjechała?

- Wiem, bo w jednej minucie rozmawialiśmy przez telefon, a w następnej się nie pokazała, właśnie stąd.

- Nie pokazała się gdzie?

- Miałyśmy robótkę. We dwie. Nagrała ją i zadzwoniła do mnie. Powiedziała o której, a potem się nie pokazała. Czekałam na nią, później przyszedł klient i nie był zadowolony. Po pierwsze, parkowałam w niedozwolonym miejscu, a kiedy Lilly nawaliła, musiałam kombinować, żeby przyjechała do mnie któraś z innych dziewczyn - tyle że nie ma innych dziewczyn klasy Lilly, a facetowi właśnie na niej zależało. Wyszło kurewskie fiasko, i tyle.

- Gdzie miałyście się spotkać?

- U niej. Pracowała tylko u siebie w domu i nigdzie indziej. Nie jeździła do klientów. Zawsze musiałam wybierać się do niej, nawet kiedy to moi klienci chcieli dwóch lasek. Musieliśmy jechać do niej, jeśli miało cokolwiek z tego wyjść.

- Masz klucz do jej mieszkania?

- Nie. Posłuchaj, dostałeś swoje za czterysta dolarów. Łatwiej by łooby po prostu popieprzyć się i zapomnieć o reszcie. Święta prawda.
- Pierce z gniewem sięgnął do kieszeni po resztę gotówki. Miał jeszcze dwieście trzydzieści dolarów - przeliczył je w samochodzie. Wyciągnął je w stronę Robin.
- W takim razie weź i to, bo jeszcze nie skończyłem. Coś się z nią stało i zamierzam dowiedzieć się co.
- Robin chwyciła pieniądze i schowała, nie licząc.
- Dlaczego cię to obchodzi?
- Bo tak. Może dlatego, że nikogo innego to nie interesuje. Skoro nie masz klucza do jej mieszkania, to skąd wiesz, że nie pokazała się tam tej nocy?
- Pukałam przez cholerny kwadrans, a potem czekałam z face tem jeszcze dwadzieścia minut. Mówię ci, że jej nie było.
- Wiesz, czy miała coś nagranych przed numerem z tobą?
- Robin zastanowiła się na chwilę przed odpowiedzią.
- Powiedziała, że ma coś do zrobienia, ale nie wiem, czy była z klientem. Chciałam odstawić numer z nią trochę wcześniej, ale po wiedziała, że wtedy kiedy ja chciałam, będzie zajęta. Dlatego umó wiłyśmy się na godzinę, która jej pasowała, i powinna tam być, ale jej nie było.
- Pierce próbował wyobrazić sobie, jakie pytania zadawałby Robin policjant, ale trudno mu było przenieść się ze znanego sobie świata w inny. Wiedział, że wypytuje Robin z niemal naukowym podej ściem, wypróbowanym przy rozwiązywaniu problemów i formułowa niu teorii.
- A zatem musiała coś zrobić, zanim miała spotkać się z tobą - powiedział. - Być może chodziło o spotkanie z klientem. Ponieważ mówisz, że pracowała wyłącznie w swoim mieszkaniu, musiałyby przyjąć go właśnie tam. Nigdzie indziej, prawda?
- Prawda.
- A więc kiedy pukałaś do jej drzwi, mogła być w środku, z klien tem czy bez, ale po prostu nie otwierała.
- Pewnie tak, ale powinna była już skończyć i otworzyć. Wszystko zostało nagrane, więc może nie chodziło o klienta.
- A może nie pozwolono jej otworzyć. Może nie mogła.
- Robin zaczęła się nad tym zastanawiać, jakby dotarło do niej, jak niewiele brakowało, by podzieliła los Lilly.
- Gdzie jest to mieszkanie?
- W Venice. Niedaleko Speedway.
- A dokładny adres?

- Nie pamiętam. Wiem tylko, jak tam dojechać.
 Pierce pokiwał głową. Pomyślał, o co jeszcze powinien zapytać Robin. Miał przeczucie, że została mu tylko jedna szansa.

- Jak zaczęłyście robić razem te, no, numery?
 - Mamy linki do siebie w Internecie. Kiedy ludzie chcieli nas obu, to dzwonili, a my umawialiśmy się, jeśli obie miałyśmy czas.
 - Chodziło mi o to, skąd wpadłyście na ten pomysł? Jak się w ogóle poznałyście?
 - Na sesji, no i obydwie od razu się zgadałyśmy. Od tego się zaczęło.
 - Na sesji?
 - Zdjęciowej. Spotkałyśmy się w studio, bo do zdjęć potrzebne były dwie dziewczyny.
 - Do magazynu, tak?
 - Nie, na stronę internetową.
 Pierce przypomniał sobie drzwi, które otworzył w siedzibie Entrepreneurial Concepts.

- Jednej z tych należących do Entrepreneurial Concepts?
 - Posłuchaj, nieważne jakiej...
 - Jak nazywa się ta strona?
 - „Fetish Castle” i coś tam, coś tam - jakoś tak. Nie wiem, nie mam komputera. Czy to ważne?
 - Gdzie była ta sesja, w Entrepreneurial Concepts?
 - No. W studiu.
 - A więc dostałaś tę robotę przez L.A. Darlings i pana Wentza, tak? - Zobaczył, że oczy Robin rozbłysły, kiedy wymienił nazwisko, ale nie odpowiedziała. - Jak ma na imię?
 - Nie będę o nim z tobą rozmawiała. Nie może się dowiedzieć, że ci cokolwiek mówiłam, rozumiesz?
 Pierce'owi wydało się, że dostrzegł w jej oczach cień strachu.
 - Mówiłem ci, że wszystko, co powiesz, zachowam dla siebie. Obiecuję. Jak ma na imię?
 - Posłuchaj, Wentz ma powiązania i pracują dla niego wredni ludzie. On sam jest wredny. Nie chcę o nim rozmawiać.
 - Powiedz mi tylko, jak ma na imię, i nie będę więcej o niego wypytywał, zgoda?
 - Billy. Billy Wentz. Większość ludzi mówi na niego Billy Wince*, bo lubi robić krzywdę, rozumiesz?
 - Dzięki.

* *Wince* - krzywić się z bólu.

Pierce wstał i rozejrzał się po mieszkaniu. Przeszedł w róg salonu i wyjrzał na korytarzyk, prowadzący zapewne do sypialni. Z zaskoczeniem stwierdził, że sypialnie były dwie, a pomiędzy nimi łazienka.

- Po co ci dwie sypialnie?
- Dzielę mieszkanie z drugą dziewczyną. Każda ma własną.
- Ze strony w Sieci?
- Tak.
- Jak się nazywa?
- Cleo.
- Billy Wentz ją z tobą skontaktował, prawda?
- Nie, Grady.
- Kto to?
- Pracuje z Billym. To on naprawdę tu rządzi.
- Dlaczego w takim razie nie pracujesz z Cleo? Byłoby wygodniej.
- Pewnie tak zrobię, ale z Lilly miałam więcej klientów. Niewiele dziewczyn wygląda tak jak ona.

Pierce pokiwał głową.

- Nie mieszkasz tutaj, prawda?
- Nie. Tutaj tylko pracuję.
- A gdzie mieszkasz?
- Tego ci nie powiem.
- Masz tu jakieś ubrania?
- O co ci chodzi?
- Masz tu jakieś inne stroje? I gdzie masz buty?

Wskazał jej bose stopy.

- No, przebrałam się, kiedy tu przyjechałam. Przecież nie chodzę tak po ulicy.

- Dobrze. Przebierz się i jedziemy.
- O czym ty gadasz? Dokąd?
- Chcę, żebyś pokazała mi, gdzie mieszka Lilly. Albo mieszkała.
- Człowieku, nie. Dostałeś swoje informacje i wystarczy.

Pierce popatrzył na zegarek.

- Posłuchaj, mówiłaś, że bierzesz czterysta za godzinę. Jestem tu dwadzieścia minut. To znaczy, że mam jeszcze czterdzieści albo zwracam mi dwie trzecie pieniędzy.

- Nie pracuję w ten sposób.
- Dzisiaj pracujesz.

Przez długą chwilę wpatrywała się w niego gniewnie, po czym minęła go w milczeniu i przeszła do sypialni. Pierce podszedł do drzwi prowadzących na balkon i wyjrzał na drugą stronę ulicy.

Zobaczył mężczyznę, stojącego z koktajlem przy automacie telefonicznym pod Smooth Moves, wpatrywał się w okna budynku, w którym był teraz Pierce. Kolejny koktajl, kolejny klient. Pierce znowu zadał sobie pytanie, ile prostytutek tu pracuje.

Odwrócił się, żeby zadać Robin pytanie. Z miejsca, w którym stał, mógł *zajrzeć przez* korytarz w otwarte drzwi sypialni. Naga Robin naciągała na biodra parę spłowiałych niebieskich dżinsów. Zwiły jej przy tym ciężkie, idealnie opalone piersi.

Kiedy się wyprostowała, by zapiąć suwak na płaskim brzuchu i trójkąciku złotych włosów, popatrzyła przez drzwi prosto na Pierce[^]. Nawet nie drgnęła; zamiast tego jej twarz przybrała wyzywający wyraz. Podniosła z łóżka białą koszulkę z krótkimi rękawami i naciągnęła ją przez głowę, nawet nie odwracając się, by ukryć swoją nagość.

Wyszła z sypialni i wsunęła stopy w parę sandałów, które wyciągnęła spod stolika na kawę.

- Miałaś radochę? - zapytała.

- Owszem. Chyba nie muszę ci mówić, że masz piękne ciało.

Minęła go i przeszła do kuchni. Otworzyła szafkę nad zlewem i wyjęła małą, czarną torebkę.

- Jedźmy. Zostało ci jeszcze trzydzieści pięć minut.

Otworzyła drzwi i wyszła na korytarz. Pierce ruszył jej śladem.

- Chcesz swój koktajl?

Stał nietknięty na blacie śniadaniowym.

- Nie, nie cierpię ich. Za bardzo tuczają, ale dałabym się posiekać za pizzę. Następnym razem przynieś mi pizzę.

- To po co o niego prosiłaś?

- To był tylko sposób, żeby cię sprawdzić, zobaczyć, co dla mnie zrobisz.

I zyskać pewną władzę, pomyślał Pierce, ale tego nie powiedział. Władzę nietrwałą, niknącą po wzięciu pieniędzy i zdjęciu ubrania.

Wyszedł na korytarz i zamknął drzwi, zostawiając koktajl w mieszkaniu.

Pierce prowadził, a Robin była jego pilotem. Z Marina del Rey do §3 okolic Speedway w Venice było niedaleko. Pierce próbował jak najlepiej wykorzystać ten czas, ale zdawał sobie sprawę, że zirytowana Robin nie ma ochoty na rozmowę.

- Nie jesteś niezależna, prawda?

- O co ci chodzi?

- Pracujesz dla Wentza - właściciela witryny w Internecie. Pewnie można by go nazwać cyfrowym alfonsem. Daje wam, dziewczynom, własne strony, możecie się ogłaszać. Ile bierze? Czytałem na stronie, że zamieszczenie zdjęcia kosztuje czterysta dolarów miesięcznie, ale domyślałem się, że kasuje o wiele więcej. - Robin nie odpowiedziała. - Dostanie działkę z tych pierwszych czterystu dolarów, które ci dałem, prawda?

- Posłuchaj, nie będziemy o nim rozmawiać. Przez ciebie ja też zginę. Jedziemy do mieszkania Lilly i to koniec. Wrócę taksówką.

- Też? - Nie odpowiedziała. - Co wiesz o tym, co stało się z Lilly?

-Nic.

- To dlaczego powiedziałaś przed chwilą „też zginę”?

- Słuchaj, facet, jakbyś miał trochę oleju w głowie, to również dałbyś sobie spokój. Wracaj do porządnego świata, gdzie wszędzie jest spokojnie i bezpiecznie. Nie znasz tych ludzi ani nie wiesz, co potrafią zrobić.

- Mam pojęcie.

- Taa? Skąd, kurwa, masz pojęcie?

- Miałem kiedyś siostrę...

-I?

- I zajmowała się tym, co ty.

Przeniósł wzrok z drogi na Robin. Dziewczyna wpatrywała się prosto przed siebie.

- Pewnego ranka kierowca szkolnego autobusu wypatrzył jej ciało za barierką przy Mullholland Drive. Byłem wtedy na drugim roku w Stanfordzie. - Przeniósł wzrok z powrotem na szosę. - Powiem ci coś śmiesznego o tym mieście - kontynuował po chwili. - Moja siostra leżała tam pod gołym niebem, naga... a policjanci powiedzieli, że... oznaki świadczyły, iż była tam co najmniej parę dni. Zawsze za stanawiałem się, ilu ludzi ją widziało, wiesz? Widziało i nic nie zrobiło. Nigdzie nie zadzwoniło. To miasto bywa czasem bardzo zimne.

- Jak każde. - Obejrzał się na nią. Dojrzał przygnębienie w jej oczach, jakby oglądała rozdział z własnego życia. Niewykłuczone, że ostatni. - Złapali go kiedyś? - zapytała.

- W końcu. Dopiero wtedy, gdy zabił jeszcze cztery dziewczyny.

Potrząsnęła głową.

- O co ci chodzi, Henry? To było dawno temu. Nie ma nic wspólnego z tym, co dzieje się teraz.

- Sam nie wiem, co robię. Po prostu... pozwalam kierować sobą czemuś, co jest we mnie.

- Niezły sposób, żeby zrobić sobie krzywdę.

- Posłuchaj, nikt nie musi wiedzieć, że ze mną rozmawiałaś. Po wiedz mi tylko, co słyszałaś o Lilly? - Milczała. - Chciała się wyrwać, prawda? Zarobiła dość pieniędzy, wybierała się na uczelnię. Chciała zerwać z tym życiem.

- Każdy chce zerwać. Myślisz, że sprawia nam to przyjemność?

Pierce czuł wstyd, że wywiera na nią presję. Wykorzystywał ją w sposób niezbyt odmienny od reszty jej klientów.

- Przykro mi - powiedział.

- Nie, wcale ci nie jest przykro. Jesteś taki sam jak inni. Roz paczliwie czegoś chcesz, tyle tylko, że ja mogę o wiele łatwiej dać ci coś innego niż to, na czym tobie zależy. - Tym razem on milczał. - Skręć tu w lewo i dojeżdż do końca. Jej dom ma tylko jedno miejsce do parkowania. Zostawiała je wolne dla klientów.

Zgodnie z instrukcją Pierce zjechał ze Speedway i znalazł się w zaułku między tylnymi ścianami małych budynków. Mieściło się w nich cztery do sześciu mieszkań i dzieliły je metrowej szerokości przejścia. Było tu ciasno - w tego rodzaju sąsiedztwie jeden szczekający pies działał wszystkim na nerwy.

- Ktoś tu zaparkował - powiedziała Robin, gdy dojechali do ostatniego domu.

Wskazała wóz pod schodami.

- Mieszka na piętrze.
- To jej samochód?
- Nie, miała lexusa.

Istotnie. Pierce przypomniał sobie słowa Wainwrighta. Wozem pod blokiem było volvo kombi. Pierce cofnął bmw i zaparkował między dwoma rzędami pojemników na śmieci - nieprzepisowo, ale można je było wyminąć, a poza tym Henry nie zamierzał zostawać tu długo.

- Będziesz musiała przecisnąć się na tę stronę.
- Wielkie dzięki - odparła sarkastycznie Robin.

Wysiedli. Pierce przytrzymał otwarte drzwi, aż Robin przesunęła się po siedzeniach. Gdy tylko wysiadła, zawróciła zaułkiem w stronę Speedway.

- Zaczekaj - powiedział Pierce. - Chodź ze mną.
 - Nie, ja skończyłam. Idę na Speedway i złapię taksówkę.
- Pierce mógłby ją namawiać, ale uznał, że nie ma to sensu.
- Posłuchaj, dzięki za pomoc. Jeśli ją znajdę, to dam ci znać.
 - Kogo? Lilly czy twoją siostrę?

Sprawiło to, że Pierce znieruchomiał na chwilę. Tak się reaguje, gdy słyszy się celne uwagi z ust ludzi, po których najmniej można się tego spodziewać.

- Nic ci się nie stanie? - zawołał za Robin.

Zatrzymała się w miejscu, odwróciła i podeszła do Henry'ego, a w jej oczach znowu tlił się gniew.

- Słuchaj, nie udawaj, że się o mnie martwisz, dobrze? Taki fałszywy szajs jest obrzydliwszy od facetów, którzy chcą mi się spuścić na twarz. Oni są przynajmniej *szczerzy*.

Odwróciła się i ruszyła z powrotem do wylotu zaułka. Pierce patrzył za nią przez kilka chwil, czy obejrzy się w jego stronę, ale tego nie zrobiła. Szła dalej; po drodze wyciągnęła telefon komórkowy, żeby wezwać taksówkę. Pierce obszedł volvo. Zauważył, że na tyle stoją dwa przykryte kocami kartonowe pudła i jeszcze jakieś duże, niedające się zidentyfikować rzeczy. Wszedł po schodach prowadzących do mieszkania Lilly. Zobaczył, że drzwi są nieco uchylone. Wychylił się przez poręcz i zajrzał w głąb zaułka, ale Robin dotarła już prawie do Speedway - zbyt daleko, by ją wołać.

Obrócił się z powrotem do wejścia i przyłożył ucho do framugi. Nie usłyszał niczego ze środka. Pchnął drzwi jednym palcem, ale został na podeście. Zobaczył skąpo umeblowany salon; pod przeciwną ścianą pięły się schody na poddasze. Pod nim znajdowała się mała kuchnia z oknem do podawania posiłków do salonu. Przez okienko

widać było tors mężczyzny, kręcącego się po kuchni i chowającego butelki z trunkami do pudła na blacie.

Pierce wychylił się jeszcze dalej i rozejrzał dokładniej, nadal nie wchodząc do mieszkania. Zobaczył trzy kartonowe pudła na podłodze salonu. Z wyjątkiem mężczyzny w kuchni w mieszkaniu nie było chyba nikogo. Wyglądało na to, że człowiek uprząta je, pakując wszystkie ruchomości.

Pierce wyciągnął rękę i zastukał w drzwi.

- Lilly?

Zobaczył, że zaskoczony mężczyzna w kuchni o mało nie upuścił butelki ginu. Ostrożnie postawił ją na blacie.

- Nie mieszka już tutaj - zawołał mężczyzna. - Wyprowadziła się.

Mężczyzna pozostał w kuchni. Pierce uznał to za dziwne - jakby tamten nie chciał, by ktoś zobaczył jego twarz.

- A pan kim jest?

- Gospodarzem, i jestem zajęty. Niech pan przyjdzie kiedy indziej.

Pierce zaczął się domyślać, o co chodzi. Wszedł do mieszkania i skierował się do kuchni. Stał w drzwiach i popatrzył na mężczyznę z długimi, siwymi włosami, ściągniętymi w kucyk. Miał na sobie brudną białą koszulkę z krótkimi rękawami i jeszcze brudniejsze szorty tej samej barwy. Był mocno opalony.

- Dlaczego miałbym przychodzić kiedy indziej, skoro się wyprowadziła?

Zaskoczyło to mężczyznę.

- Chodziło mi o to, że nie może pan tu wejść. Jej nie ma, a ja pracuję.

- Jak się pan nazywa?

- Nieważne jak. Niech pan już wyjdzie.

- Pan jest Wainwright, prawda?

Mężczyzna podniósł wzrok na Pierce'a. W jego oczach widniało potwierdzenie.

- A pan to kto?

- Jestem Pierce. Rozmawiałem z panem dzisiaj. To ja panu po wiedziałem, że zniknęła.

- Och. No cóż, ma pan rację, od dawna jej nie ma.

- Zapłaciła panu cztery tysiące. Za obydwa mieszkania. Nie po wiedział mi pan tego.

- Nie pytał pan.

- Jest pan właścicielem tego budynku, Wainwright?

- Przepraszam, ale nie odpowiadam na pańskie pytania.

- A może jest nim Billy Wentz, a pan nim tylko zarządza?

Potwierdzenie znowu mignęło w oczach mężczyzny i zniknęło.

- No dobrze, niech pan już idzie. Proszę się wynosić.

Pierce potrząsnął głową.

- Jeszcze nie wyjdę. Jeżeli chce pan wezwać gliny, proszę bardzo.

Zobaczmy, co pomyślą o tym, że uprzęta pan jej rzeczy, chociaż za płaciła do końca miesiąca. Może zajrzemy też pod koce na tyle pańskiego samochodu. Założę się, że znajdziemy plazmowy telewizor, który wcześniej wisiał na ścianie domu wynajmowanego przez Lilly przy Altair. Zapewne tam pan najpierw pojechał, prawda?

- Porzuciła mieszkanie - odparł z rozdrażnieniem Wainwright. - Powinien pan zobaczyć, jak wyglądała tam lodówka.

- Na pewno po prostu strasznie. Tak strasznie, że pewnie posta nowił pan uprzątnąć dom i skasować podwójny czynsz, hę? Trudno o domy w Venice. Znalazł pan już nowego lokatora?

- Posłuchaj pan, sam wiem, jak mam prowadzić interes.

- Jasne.

- Czego pan chce?

- Rozejrzeć się. Popatrzeć, co pan zabiera.

- To spiesz się pan, bo odjeżdżam, kiedy tylko skończę.

Pierce wszedł do kuchni, przysunął się do Wainwrighta i zajrzał do pudła na blacie. Było pełne butelek z trunkami i szklanych naczyń - ale nie dostrzegł nic istotnego. Pierce wyjął jedną z butelek. Okazało się, że to szesnastoletnia whisky. Wrzucił butelkę z powrotem.

- Hej, ostrożnie! - zaprotestował Wainwright.

- Billy wie, że uprzęta pan to mieszkanie?

- Nie znam żadnego Billy'ego.

- A zatem jest pan właścicielem domu przy Altair i tego mieszkania. Co jeszcze należy do agencji wynajmu nieruchomości Wainwrighta?

Mężczyzna skrzyżował ręce na piersi i oparł się o blat. Nie odzywał się, a Pierce nagle poczuł ochotę, by wyjąć jedną z butelek i zdzielić nią Wainwrighta w twarz.

- Może Marina Executive Towers? To jedna z pańskich nieruchomości?

Wainwright sięgnął do przedniej kieszeni dżinsów po paczkę camel. Wytrząsnął papierosa i wsadził paczkę z powrotem. Włączył jeden z palników kuchenki i wsunął camela w płomień. Zaczął grzebać w pudle, aż znalazł, czego szukał. Wyjął szklaną popielniczkę, postawił ją na blacie i strzepnął do niej popiół.

Pierce zauważył, że popielniczka ma nadruk. Pochylił się nieco, by go przeczytać.

*Ukradziono z baru Nata „Dzień szarańczy” w Hollywood
w Kalifornii.*

Pierce słyszał o tym miejscu. Była to nora tak marna, że aż sławna, ulubiona przez ubierających się na czarno popaprańców z Hollywood. Mieściła się również niedaleko biura Entrepreneurial Concepts Unlimited.

- No, to teraz się rozejrzę - powiedział do Wainwrighta.
- Dobra, ale szybko.

Słuchając, jak Wainwright szczęka pakowanymi do pudła szklankami i butelkami, Pierce przeszedł do salonu i przejrzał zapakowane już kartony. W jednym były talerze i inne kuchenne utensylia. Dwa pozostałe zawierały rzeczy z poddasza. Akcesoria sypialniane: kilka par pantofli na wysokich obcasach, skórzane pasy i bicze, zakrywająca całą głowę skórzana maska z suwakami w miejsce oczu i ust. Jedno z pudeł było wypełnione stanikami, przezrzystą bielizną, negliżami i minispódniczkami na wieszakach. Ubrania były w tym samym stylu co stroje widziane przez Henry'ego w szafach domu przy Altair.

Upewniwszy się, że w pudłach nie ma nic przydatnego w jego śledztwie, Pierce wszedł po schodkach na poddasze. U ich szczytu znajdowało się okno, *przez* które za dachem budynku po drugiej stronie zaułka widać było skraj plaży i Pacyfik. Pierce wyjrzał w dół i zobaczył swój samochód. Powiódł wzrokiem w stronę Speedway i wypatrzył Robin w chwili, gdy pod latarnią wsiadała do zielono-żółtej taksówki i zamykała drzwi. Po chwili taksówka ruszyła z miejsca.

Odwrócił się od okna i rozejrzął po poddaszu. Górny poziom miał niecałych dwadzieścia metrów kwadratowych, z małą łazienką z prysznicem włącznie. Na nieodgrodzonej ściankami podłódze stało znacznych rozmiarów łóżko bez oparcia. Zajmowało większość dostępnej przestrzeni, zostawiając miejsce jedynie na mały stolik i lampkę do czytania. Na stoliku stał lichterzyk do kadzidełek, przedstawiający tłustego mężczyznę spółkującego z chudą kobietą.

Narzuta była jasnoniebieska, a dywan beżowy. Pierce podszedł do małej szafy i otworzył drzwi. Była pusta; jej zawartość leżała w pudłach na dole.

Zajrzał pod łóżko. Zostało starannie zasłane; narzuta była równo poutykana pod materac. Nie zobaczył jednak ani jednej poduszki, co wydało mu się dziwne. Klęknął na dywanie i zajrzał pod łóżko, ale znalazł tam jedynie kurz.

Henry dostrzegł jednak ciemną plamę na beżowym włosiu. Zaintrygowany, odepchnął łóżko od ściany, by się jej przyjrzeć. Miał

z tym trudności, bo jedno z kółek zaklinowało się, a łóżko ślizgało się i ściągało dywan.

Cokolwiek wyciekło lub rozlało się na dywan, wyschło. Plama miała brązowawoczarną barwę, a Pierce nie chciał jej dotykać, myśląc, że może być to krew. Wyprostował się i nasunął łóżko z powrotem na plamę.

- Co pan tam wyprawia, u diabła? - zawołał Wainwright.

Pierce nie odpowiedział, pochłonięty tym, co właśnie robił. Wyciągnął brzeg narzuty, odsłaniając materac. Nie było na nim ani prześcieradeł, ani koca.

Ściągnął dalej narzutę. Chciał przyjrzeć się materacowi. Koce i prześcieradła łatwo było *zabrać i* gdzieś wyrzucić. Nawet poduszek można było się pozbyć. Wielki materac to jednak co innego.

Zdejmując narzutę, *zaczął* wątpić, czy dobrze robi. Wiedział, co znajdzie, chociaż nie potrafił wytłumaczyć dlaczego. Gdy narzuta zsunęła się z materaca, Pierce mimo wszystko poczuł się, jakby coś go ścisnęło w żołądku. Środek materaca był czarny od skrzepniętej substancji o barwie śmierci. Mogła to być tylko krew.

- Jezu Chryste! - powiedział Wainwright, który wszedł po schodach, żeby zobaczyć, co oznaczają odgłosy szurania. - Czy to to, o czym myślę?

Pierce się nie odezwał. Nie wiedział, co powiedzieć. Wczoraj podłączył nowy telefon. Trzydzieści sześć godzin później doprowadziło go to do koszmarnego odkrycia.

- Pomyłka - odparł.

- Co? - spytał Wainwright. - O co panu chodzi?

- Nieważne. Jest tu telefon?

- Nie, przynajmniej nic o tym nie wiem.

- Ma pan telefon komórkowy?

- W samochodzie.

- Niech pan go przyniesie.

Pierce podniósł wzrok po wejściu detektywa Rennera. Starał się hamować gniew; zdawał sobie sprawę, że im spokojniej będzie się zachowywał, tym szybciej będzie mógł wrócić z posterunku do domu. Mimo to dwie godziny w pokoiku o wymiarach dwa i pół na dwa i pół metra jedynie z kolumną sportową sprzed pięciu dni jako lekturą prawie doszczętnie wyczerpały jego cierpliwość. Już dwukrotnie go przesłuchiowano: raz policjanci z patrolu, którzy odpowiedzieli na zgłoszenie Wamwrighta, a następnie Renner i jego partner po przybyciu na miejsce zdarzenia. Jeden z funkcjonariuszy przewiózł następnie Pierce'a na posterunek Pacific Division i zamknął go w pokoju przesłuchań.

Renner przyszedł z teczką. Usiadł za stołem naprzeciw Pierce'a i ją otworzył. Henry dostrzegł policyjny formularz ze wszystkimi kratkami wypełnionymi ręcznym pismem. Renner wpatrywał się nieznośnie długo w arkusz, po czym wreszcie odchrząknął. Wyglądał na policjanta, który widział o wiele więcej miejsc przestępstw od swoich kolegów po fachu. Krzepki, chociaż po pięćdziesiątce, przypominał swoją małomównością Clyde'a Vernona.

- Ma pan trzydzieści cztery lata?

-Tak.

- Mieszka pan na Ocean Way dwa tysiące osiemset, numer tysiąc dwieście jeden?

-Tak.

Tym razem w głos Pierce'a wkradło się zdesperowanie. Renner przyjrzał się mu przez chwilę, a następnie wrócił wzrokiem do formularza.

- Na pańskim prawie jazdy figuruje jednak inny adres.

- Dopiero co się przeprowadziłem. Teraz mieszkam przy Ocean Way, a wcześniej przy Amalfi Drive. Niech pan posłucha, jest już po

północy. Naprawdę trzymał mnie pan tu dwie godziny po to, żeby zadawać oczywiste pytania? Już złożyłem zeznania. Czego jeszcze pan chce?

Renner odchylił się na oparcie i przyjrzał Pierce'owi.

- Nie, panie Pierce, trzymałem tu pana, bo musimy przeprowadzić dokładne dochodzenie w związku z miejscem, w którym najprawdopodobniej popełniono przestępstwo. Na pewno może pan w tej sytuacji wykrzesać z siebie odrobinę dobrej woli.

- Mam dobrą wolę. Denerwuje mnie tylko to, że jestem przetrzymywany jak podejrzany. Próbowałem otworzyć drzwi. Okazały się zamknięte. Pukałem, ale nikt nie odpowiedział.

- Przykro mi. W biurze detektywów nikogo nie było, jest środek nocy. Funkcjonariusz nie powinien jednak zamykać drzwi, bo nie jest pan aresztowany. Jeśli chce pan złożyć zażalenie na niego lub na mnie, przyniosę panu odpowiednie formularze.

- Nie chcę składać żadnych skarg, rozumie pan? Chcę tylko, żebyśmy wreszcie skończyli, abym mógł pojechać do domu. To jej krew?

- Jaka krew?

- Na łóżku.

- Skąd pan wie, że to krew?

- Tak się domyślam, bo co innego?

- Może pan mi powie.

- Słucham? Co to miało znaczyć?

- Zadałem pytanie.

- Chwileczkę, powiedział pan, że nie jestem podejrzany.

- Powiedziałem, że nie jest pan aresztowany.

- Mówi pan, że nie zostałem aresztowany, ale tak naprawdę jestem podejrzany?

- Niczego nie mówię, panie Pierce. Po prostu zadaję pytania, starając się ustalić, co stało się w tym mieszkaniu i co się dzieje teraz.

- Pierce powściągnął rosnący gniew. Nie odpowiedział. Renner opuścił wzrok z powrotem na formularz i odezwał się, nie podnosząc głosu: - W złożonym wcześniej zeznaniu twierdzi pan, że nowy numer pana telefonu w domu przy Ocean Way należał wcześniej do kobiety, do której mieszkania pojechał pan dzisiaj wieczorem.

- Właśnie. Dlatego tam się znalazłem. Żeby dowiedzieć się, czy nic się jej nie stało.

- Zna pan tę kobietę, Lilly Quinlan?

- Nie, nigdy jej nie widziałem.

- Nigdy?

- Nigdy w życiu.

- To dlaczego pan to robi? Jedzie do jej mieszkania, zadaje sobie tyle trudu? Dlaczego po prostu nie zmieni pan numeru? Czemu to pana obchodzi?

- Powiem panu coś: przez te dwie godziny sam sobie zadawałem to pytanie. Rozumie pan - staram się dowiedzieć, co się z kimś dzieje, i może w jakiś sposób pomóc, a co mnie spotyka w zamian? Gli niarze wsadzają mnie na dwie godziny do zamkniętej klatki. - Renner nie odpowiedział, pozwalając wyzalić się Pierce'owi. - Czy to ważne, dlaczego mnie to obchodziło albo czy miałem powody, żeby tak postępować? Czy pana nie powinno obchodzić, co się z nią stało? Dlaczego mnie pan o to wypytuje? Dlaczego zamiast mnie nie siedzi w tym pokoju Billy Wentz? Mówiłem panu o nim.

- Zajmiemy się Billym Wentzem, niech pan się o to nie martwi. Na razie jednak rozmawiam z panem. - Renner pomilczał przez chwilę, masując czoło dwoma palcami. - Proszę mi jeszcze raz opowiedzieć, jak w ogóle dowiedział się pan o tym mieszkaniu.

Wcześniejsze zeznania Pierce'a obfitowały w niuanse, służące ukryciu popełnionych przez niego wykroczeń. Opis, w jaki sposób znalazł mieszkanie, obmyślił jednak tak, by ukryć udział w tym Robin. Nie chciał, by objęło ją śledztwo; dotrzymał obietnicy, że nie ujawni jej jako źródła informacji. I był z tego zadowolony.

- Kiedy tylko podłączyłem telefon, zaczęli do mnie dzwonić mężczyźni wypyujący o Lilly. Niektórzy należeli do starych klientów, którzy chcieli spotkać się z nią znowu. Próbowałem wciągnąć ich w rozmowę, żeby dowiedzieć się czegoś o dziewczynie. Jeden z nich powiedział mi o mieszkaniu i podał jego adres, dlatego tam pojechałem.

- Rozumiem. A jak nazywał się ten klient?

- Nie wiem. Nie przedstawił się.

- Ma pan identyfikator dzwoniącego numeru w swoim aparacie?

- Tak, ale facet telefonował z hotelu. Dowiedziałem się tyle, że z Ritz Carltona. Tam jest mnóstwo pokoi. Domyślałem się, że dzwonił z jednego z nich.

Renner pokiwał głową.

- Pan Wainwright powiedział jednak, że dzwonił pan dzisiaj wcześniej do niego, wpytując o Lilly Quinlan i drugi dom, który wynajmowała.

- Tak. Przy Altair. Tam mieszkała, a w domu przy Speedway pracowała - przyjmowała tam klientów. Kiedy tylko powiedziałem mu, że zaginęła, natychmiast pojechał wyczyścić mieszkanie.

- Był pan w nim wcześniej?

- Nie, nigdy. Już panu mówiłem.

- A w domu przy Altair? Był pan tam?

Pierce *zaczął* dobierać słowa, jakby przedzierał się przez pole minowe.

- Pojechałem tam, ale nikt nie otworzył. Dlatego właśnie zadzwoniłem do Wainwrighta.

Miał nadzieję, że Renner nie zauważy zmiany jego tonu. Detektyw zadawał o wiele więcej pytań niż w trakcie pierwszego przesłuchania. Pierce wiedział, że znalazł się na niebezpiecznym gruncie. Im mniej mówił, tym większa była szansa, że wyjdzie z tego bez szwanku.

- Staram się ustalić prawdziwy przebieg wydarzeń - powiedział Renner. - Najpierw pojechał pan do domu, potem zadzwonił do Wainwrighta, wreszcie wpadł pan na niego w mieszkaniu - mam rację?

- Tak.

- Powiedział pan jednak w obydwóch zeznaniach z dzisiejszego wieczoru, że pukał pan nadaremnie, a potem odjechał. To prawda?

- Tak, prawda.

- Czy w okresie między przyjazdem pod dom przy Altair i odjazdem wchodził pan do niego?

Padło wreszcie to pytanie. Wymagało odpowiedzi: tak lub nie - a więc prawdy lub kłamstwa, które łatwo było zweryfikować. Pierce z konieczności zakładał, że zostawił w domu odciski palców. Przypominał sobie zwłaszcza flakon z perfumami, który brał do ręki. Do tego dochodziły uchwyty szuflad biurka.

Podał adres domu przy Altair ponad dwie godziny temu. Policjanci równie dobrze mogli już tam być i zebrać odciski palców. Pytanie mogło być faktycznie zastawioną na Pierce'a pułapką.

- Drzwi były niezamknięte - powiedział Pierce. - Wszedłem, żeby się upewnić, czy Lilly tam nie ma. Czy nie potrzebuje na przykład pomocy.

Renner wychylił się lekko nad stołem. Nie odrywał wzroku od Pierce'a. Henry widział wyraźnie paski bieli pod jego zielonymi tęczażkami.

- Był pan w środku domu?

- Owszem.

- Dlaczego nie powiedział pan o tym wcześniej?

- Sam nie wiem. Nie uznałem tego za konieczne.

- Co pan znalazł w domu?

- Niewiele. Zepsute jedzenie, gigantyczną stertę poczty. Zorientowałem się, że od dawna nikogo tam nie ma.

- Zabrał pan coś?

- Nie - odparł Pierce bez wahania.
- Czego pan dotykał?
Pierce wzruszył ramionami.
- Bo ja wiem? Niektórych kopert. Biurka - otworzyłem parę szuflad.
- Spodziewał się pan *znaleźć* Lilly Quinlan w szufladzie biurka?
- Nie, po prostu...
Nie dokończył. Przypomniał sobie, że spaceruje na krawędzi przepaści. Nie wolno mu było zbyt wiele mówić.
Renner zmienił pozycję. Odchylił się na oparcie i zmienił również strategię przesłuchania.
- Niech mi pan powie, skąd pomysł, żeby zadzwonić do Wainwrighta?
- To właściciel domu.
- Tak, ale skąd pan to wie?
Pierce zamarł. Zdał sobie sprawę, że nie może udzielić żadnej odpowiedzi, w której figurowałby zabrany z domu przy Altair notes z telefonami czy ukradziona poczta. Przypomniał sobie o schowanym za ryzami papieru notesie. Po raz pierwszy poczuł, że na skroniach występuje mu zimny pot.
- Hmm, chyba... nie, był zapisany gdzieś na biurku. Na jakiejś kartce.
- To znaczy, że ta kartka leżała na wierzchu?
- Taa... tak myślę...
Znowu urwał, zanim powiedział coś, co detektyw mógłby wykorzystać przeciwko niemu. Pierce opuścił wzrok na stolik. Był wciągany w pułapkę i musiał obmyślić sposób, jak jej uniknąć.
- Panie Pierce, właśnie wróciłem z tamtego domu. Przejrzałem całe biurko i nigdzie nie znalazłem takiej kartki.
Pierce pokiwał głową, jakby się z nim zgadzał, chociaż przed chwilą twierdził coś wręcz przeciwnego.
- Wie pan, jak to jest. Pomyliło mi się z kartką, którą sam napisałem. Po rozmowie z Vivian. To ona powiedziała mi o Wainwrightcie.
- Vivian?
- Matka Lilly. Mieszka w Tampie na Florydzie. Kiedy prosiła, że by poszukać Lilly, podała mi trochę adresów i nazwisk. Stąd właśnie miałem nazwisko Wainwrighta.
- To wszystko nowe informacje, panie Pierce. Twierdzi pan teraz, że to matka Lilly Quinlan prosiła, żeby pan jej poszukał?
- Tak. Mówiła, że policja nic nie robi. Prosiła mnie, żebym zrobił, co tylko w mojej mocy.

Pierce poczuł się lepiej. Odpowiedź była prawdziwa - przynajmniej bardziej od większości tego, co mówił.

- Jej matka w Tampie miała adres właściciela domu, który wy najmowała córka?

- Hm, myślę, że te adresy i nazwiska otrzymała od prywatnego detektywa, którego wynajmowała wcześniej, żeby spróbował odnaleźć Lilly.

- Prywatnego detektywa. - Renner opuścił wzrok na protokół przed sobą, jakby ten sprawił mu osobisty zawód, iż nie było w nim wzmianki o prywatnym detektywie. -Wie pan, jak się nazywa?

- Philip Glass. Mam zapisany numer jego telefonu w notesie w moim samochodzie. Mogę go panu podać.

- Dziękuję, ale tak się składa, że znam pana Glassa i wiem, jak się z nim skontaktować. Rozmawiał pan z nim?

- Nie. Nagrałem dla niego wiadomość, ale nie oddzwonił. Sądząc jednak z tego, co mówiła Vivian, nie bardzo mu się powiodło z szukaniem Lilly. Nie oczekiwałem wiele po rozmowie z nim. Nie mam nawet pojęcia, czy się starał, czy tylko naciągał matkę, rozumie pan?

Pierce liczył, że Renner zareaguje jakimś komentarzem na temat Glassa, detektyw jednak nie chwycił przynęty.

- A co z Vivian? - zapytał zamiast tego.

- Jej numer też mam w samochodzie. Podam panu wszystkie, kiedy tylko będę mógł stąd wyjść.

- Nie o to mi chodziło. Vivian mieszka przecież na Florydzie. Skąd pan wiedział, że tam trzeba jej szukać?

Pierce zakaszłał, jakby dostał kopniaka w brzuch. Renner znów złapał go w pułapkę. Respekt Pierce'a dla małomównego detektywa rósł, a jednocześnie czuł, że przytłacza go brzemień własnych kłamstw i niedomówień. Dostrzegł w tej chwili tylko jedno wyjście.

Pierce musiał podać jej imię. Nie miał innego wyjścia. Wmawiał & sobie, że Renner i tak by do niej dotarł: strony Robin i Lilly Quinlan miały łączyć do siebie nawzajem. Ustalenie, że kobiety się znały, było prostą sprawą. Podając jej imię teraz, Pierce zachowywał przynajmniej pewną kontrolę. Musiał powiedzieć o niej, żeby się wydostać; wtedy będzie mógł do niej zadzwonić z ostrzeżeniem.

- Od dziewczyny imieniem Robin - powiedział.

Renner potrząsnął prawie niedostrzegalnie głową.

- Proszę, proszę, jeszcze jedna nowa osoba - odparł. - Dlaczego mnie to nie zaskakuje, panie Pierce? Niech pan powie, kim jest ta Robin?

- Lilly Quinlan wspomina na swojej stronie internetowej, że w razie potrzeby może zaprosić drugą dziewczynę, z którą pracuje. Nazwała to podwajaniem przyjemności. Ta druga dziewczyna ma na imię Robin. Na stronie Lilly jest odsyłacz do jej strony. Działają wspólnie. Otworzyłem tę stronę i zadzwoniłem do Robin. Niezbyt mi pomogła. Powiedziała, że myślała, iż Lilly wyjechała do Tamy, gdzie mieszka jej matka. Zadzwoniłem potem do tamtejszej informacji i dostałem numery ludzi o nazwisku Quinlan. W końcu dotarłem w ten sposób do Vivian.

Renner pokiwał głową.

- Na pewno numerów było mnóstwo. Dobre irlandzkie nazwisko w rodzaju Quinlan to nie rzadkość.

- Istotnie.

- AVivian jest przy końcu alfabetu. Na pewno wydzwaniał pan do informacji w Tampie parę razy.

- Owszem.

- Tak przy okazji, jaki jest numer kierunkowy do Tamy?

- Osiemset trzynaście.

Pierce był zadowolony, że wreszcie może odpowiedzieć na pytanie, nie uciekając się do kłamstwa i nie martwiąc, jak będzie pasowało do reszty tego, co nazmyślał. Zobaczył jednak, że Renner sięga do kieszeni lotniczej kurtki po telefon komórkowy. Otworzył go i wybrał numer informacji rejonu Tampy.

Pierce zdał sobie sprawę, że zostanie przyłapany na kłamstwie, jeśli numer Vivian Quinlan jest zastrzeżony.

- Co pan robi? W Tampie jest trzecia nad ranem. Wystraszy pan matkę na śmierć, jeżeli...

Renner podniósł dłoń, by go uciszyć.

- Chodzi mi o numer prywatny w Tampie. Abonentka nazywa się Vivian Quinlan.

Czekał, podczas gdy Pierce wypatrywał reakcji na jego twarzy. W miarę upływających sekund Henry czuł, jak żołądek skręca się mu w podwójną helisę.

- W porządku, dziękuję - powiedział Renner.

Zamknął telefon i schował go do kieszeni. Popatrzył przez chwilę na Pierce'a, po czym wyjął długopis z kieszeni koszuli i zapisał numer na okładce teczki. Henry zdołał odczytać go do góry nogami i poznał, że nie różni się od tego, który znalazł w notesie Lilly Quinlan. Wypuścił z płuc powietrze - niemal za głośno. Tym razem mu się udało.

- Chyba mówił pan prawdę - rzekł Renner. - Zadzwoń do niej o bardziej ludzkiej porze.

- Tak pewnie będzie lepiej.

- Zdaje się, że już wcześniej panu mówiłem, że nie mamy na posterunku dostępu do Internetu, więc nie widziałem strony, o której pan wspominał. Sprawdź ją, kiedy tylko dotrę do domu. Proszę mi jednak powiedzieć: było na niej nazwisko Lilly?

- Nie, tylko imię.

- To skąd pan wiedział, że nazywa się Quinlan?

Pierce o mało nie jęknął. Kolejny błędny krok na polu minowym. Marzył jedynie o wydostaniu się z tego pokoju. Zdał sobie sprawę, że jest gotów do zrobienia czy powiedzenia wszystkiego, co tylko mu to umożliwi. Przestały obchodzić go przyszłe konsekwencje. Potrzebował tylko jednego: wydostać się stąd. Miał szansę wyjść cało z opresji tylko wówczas, gdyby udało mu się dotrzeć do Robin przed Rennerem.

- Tego pewnie też dowiedziałem się od Robin. Tak, ona mi powie działa.

- Tak po prostu podała panu nazwisko swojej przyjaciółki? Kompletnie obcemu człowiekowi?

- Cóż... chyba po prostu zdołałem ją do tego przekonać. Rozumie pan, naprawdę mi zależało, żeby znaleźć Lilly i upewnić się, że nic się jej nie stało.

- I udało się to panu przez telefon?

- Tak, przez telefon.

- Rozumiem. No cóż, sprawdzimy to u Robin.

- Proszę bardzo. Czy mogę...

- I zgodzi się pan poddać badaniu poligrafem, prawda?

- Czym?

- Poligrafem. Wykrywaczem kłamstw. Nie potrwa to długo. Przejdziemy tylko do centrum i się tym zajmujemy.

- Teraz? W nocy?

- Pewnie nie. Nie sądzę, że zdołałbym wyciągnąć kogokolwiek z łóżka, by pana przebadał. Możemy to jednak zrobić jutro z samego rana.

- Doskonale. Niech pan uzgodni badanie na jutro. Mogę już iść?

- Prawie, panie Pierce.

Renner ponownie opuścił wzrok na zeznanie. Na pewno przerobił już powtórnie wszystkie kwestie, pomyślał Pierce. Co jeszcze zostało?

- Nie rozumiem. O czym mielibyśmy jeszcze rozmawiać?

Renner popatrzył na Pierce'a, nie poruszając głową ani nie zmieniając miny.

- Cóż, komputer wyrzucił parę razy pana nazwisko. Pomyślałem, że moglibyśmy o tym pogadać.

Pierce poczuł, że zalewa go fala gorąca. I gniewu. Dawne aresztowanie powinno zostać usunięte z jego rejestru. „Zatarte”, używając oficjalnej nomenklatury. Pierce ukończył ostatecznie program resocjalizacyjny i czterdzieści godzin przepracował na rzecz społeczeństwa. Poza tym zdarzyło się to dawno temu. Skąd Renner się o tym dowiedział?

- Mówi pan o tej sprawie z Palo Alto? - zapytał Pierce. - Nigdy nie zostałem oficjalnie oskarżony. Zarzuty zostały wycofane. Zostałem zawieszony na semestr w prawach studenta. Odbyłem prace społeczne i było po wszystkim.

- Aresztowany w związku z podejrzeniem o podszywanie się pod funkcjonariusza policji.

- To zdarzyło się ponad trzynaście lat temu. Byłem w college'u.

- Rozumie pan jednak, z czym mam do czynienia. Wtedy podszywał się pan pod policjanta. Obecnie kręci się pan tu i tam jak jakiś detektyw.

- Nie, to zupełnie co innego. Wtedy starałem się tylko uzyskać trochę informacji przez telefon. Nazywa się to inżynierią społeczną. Chciałem wyciągnąć numer telefonu. Udawałem policjanta z kampusu, żeby go zdobyć. To wszystko.

- Czyj numer?

- Profesora. Chciałem dostać jego domowy numer, ale okazał się zastrzeżony. To była błahostka.

- Tu napisano, że wraz z pańskimi przyjaciółmi wykorzystaliście znajomość numeru do nękania tego profesora. Żeby urządzić mu wyśmieszony dowcip. Aresztowano pięciu innych studentów.

- Nic się nie stało, ale trzeba było ukarać nas dla przykładu. Wtedy hakerstwo dopiero się rozwijało. Wszyscy zostaliśmy zawieszani i musieliśmy pracować społecznie. Kara okazała się surowsza od przestępstwa. Nie zrobiliśmy nic szkodliwego. To był drobiazg.

- Przykro mi, ale nie uważam podszywania się pod policjanta za nieszkodliwy drobiazg. - Pierce miał już protestować dalej, ale się powstrzymał. Wiedział, że nie przekona Rennera. Czekał na kolejne pytanie. Po chwili Renner podjął wątek na nowo: - Został pan aresztowany w rok po tym, jak pana nazwisko pojawiło się w zawiadomieniu o przestępstwie tu, w Los Angeles. To też jest w komputerze.

Pierce zaczął kręcić głową.

- Nigdy nie byłem tu za nic aresztowany. Tylko tamten raz na Stanfordzie.

- Nie mówiłem, że pana aresztowano. Powiedziałem, że pana nazwisko znalazło się w zawiadomieniu o przestępstwie. W komputerach jest teraz wszystko. Jest pan hakerem, więc sam pan wie. Wrzuca się nazwisko i czasami nie można się nadziwić, co się pojawia.

- Nie jestem hakerem. Nie mam już o tym zielonego pojęcia. Na pewno chodzi o innego Henry'ego Pierce'a. Nie przypominam sobie...

- Chyba pan sobie przypomina. Kester Avenue w Sherman Oaks. Miał pan siostrę, Isabelle Pierce? - Pierce zmarł. Był zdumiony, że Renner odkrył ich pokrewieństwo. - Ofiarę morderstwa z maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku? - Pierce mógł jedynie kiwnąć głową. Przypominało to ujawnienie głęboko skrywanego sekretu czy zerwanie bandaży z otwartej rany. - Sądzi się, że padła ofiarą mordercy nazywanego Lalkarzem, zidentyfikowanego później jako Norman Church. Sprawa została zamknięta wraz ze śmiercią Churcha dziewiątego września tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku.

Sprawa została zamknięta, pomyślał Pierce. Jakby Isabelle była po prostu teczką, którą można zamknąć, schować do szuflady i o niej zapomnieć.

Gdyby tylko to było tak proste.

Otrząsnął się z zamyślenia i popatrzył na Rennera.

- Tak, to moja siostra. I co z tego? Co to ma do rzeczy?

Renner zawahał się, po czym na jego znużoną twarz powoli wypłynął wąty uśmiech.

- Myślę, że ma to wszystko, a zarazem nic wspólnego z tym, co stało się obecnie.

- Mówi pan od rzeczy.

- Ależ skąd. Była starsza od pana, prawda?

- O kilka lat.

- Uciekła z domu. Poszukiwał jej pan, prawda? Tak jest napisane w komputerze, więc musi to być prawda. Nocami. Z pańskim ojcem. On...

- Ojczymem.

- No dobrze, ojczymem. Wysyłał pana, żeby pan rozglądał się w opuszczonych budynkach, bo był pan jeszcze dzieckiem, więc ko czujące tam dzieciaki nie uciekały przed panem. Tak napisano w do niesieniu. I to, że nigdy jej pan nie odszukał. Nikt jej nie znalazł, aż było za późno.

Pierce złożył ramiona na piersi i wychylił się przez stolik.

- Niech pan posłucha, jaki to ma sens? Naprawdę chciałbym so bie już stąd pójść, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

- Chodzi o to, że już raz poszukiwał pan zaginionej dziewczyny, panie Pierce. Zmusza mnie to do zastanawiania się, czy nie stara się pan czegoś nadrobić przez rozglądanie się za tą Lilly. Rozumie pan, o co mi chodzi?

- Nie - odparł Pierce słabym głosem.

Renner pokiwał głową.

- No dobrze, Pierce, może pan już iść. Na razie. Pozwoli pan jednak, że oficjalnie będę twierdził, iż nie wierzę, że powiedział mi pan całą prawdę. Wiedzieć, kiedy ludzie kłamią, to moja praca, a ja myślę, że pan kłamie, pomija fakty, albo i to, i to. Niezbyt się tym przejmuję, bo w takich wypadkach zawsze w końcu daje się to udowodnić. Być może pracuję powoli, panie Pierce. Pewnie, że przetrzymywałem tu pana za długo. Takiego porządnego, wzorowego obywatela. Stało się tak jednak dlatego, że jestem rzetelny i bardzo dobry w tym, co robię. Niedługo się zorientuję, jak wygląda cała sprawa, ręczę za to. I jeśli się dowiem, że przekroczył pan pewne granice, cała przyjemność będzie po mojej stronie, jeśli rozumie pan, o co mi chodzi. - Renner wstał. - Skontaktuję się z panem w sprawie poligrafu. Na pa na miejscu, Pierce, zastanowiłbym się, czy nie lepiej będzie wrócić do

uroczego, nowego mieszkania przy Ocean Boulevard, zamknąć się w nim i trzymać z daleka od całej tej sprawy.

Pierce wstał i po drodze do drzwi wyminął niezręcznie stolik oraz detektywa. Przed wyjściem przyszło mu do głowy coś jeszcze.

- Gdzie mój samochód?

- Pański samochód? Pewnie tam, gdzie go pan zostawił. Niech pan idzie do dyżurnego. Wezwie panu taksówkę.

- Wielkie dzięki.

- Dobranoc, panie Pierce. Będziemy w kontakcie.

Wychodząc z opustoszałej sali posterunkowych na prowadzący obok dyżurki korytarz, Pierce popatrzył na zegarek. Było wpół do pierwszej. Wiedział, że musi skontaktować się z Robin przed Renne-rem, ale miał jej numer w plecaku w samochodzie.

Podchodząc do biurka dyżurnego, uświadomił sobie, że nie ma pieniędzy na taksówkę. Wszystkie oddał Robin. Przez chwilę przystanął z wahaniem.

- Coś się stało?

Pytanie zadał dyżurny policjant. Pierce zdał sobie sprawę, że funkcjonariusz bacznie się w niego wpatruje.

- Nie, wszystko w porządku.

Wyszedł z posterunku. Na Venice Boulevard ruszył biegiem na zachód, w stronę plaży.

dochodząc w zaułek po swój samochód, Pierce zobaczył, że pod mieszkaniem Lilly Quinlan wciąż roi się od policjantów. Alejkę blokowało kilka samochodów, a front domu oświetlał przenośny reflektor.

Pierce zauważył, że przed schodami stoi Renner i rozmawia ze swoim partnerem - detektywem, którego nazwiska Henry nie zapamiętał. Znaczyło to, że Renner najprawdopodobniej minął Pierce'a w drodze powrotnej na miejsce przestępstwa i albo go nie zauważył, albo celowo nie zaproponował mu podwiezienia, Pierce był skłonny przyjąć raczej tę drugą możliwość. Policjant na ulicy nawet w nocy zwróciłby uwagę na biegnącego człowieka.

Stojąc, a raczej chowając się za swoim samochodem i dochodząc do siebie po biegu, Pierce przyglądał się przez kilka minut temu, co się działo. Renner z partnerem wkrótce wrócili do mieszkania. Pierce w końcu otworzył pilotem bmw i wślizgnął się do środka. Nie odwracając głowy, sięgnął do wnęki na stopy przed siedzeniem po prawej stronie. Plecaka nie było. Wystraszony obrócił się, by zajrzeć na tylne siedzenie. Przy włączonej lampce nad drzwiami zobaczył tam plecak. Przeciągnął go na fotel obok siebie. Przywykł chować go nisko, by nie był widoczny. We wnęce na nogi, a nie na siedzeniu.

Otworzył główną przegródkę i stwierdził, że notesy i inne dokumenty są w środku. Wszystko wydawało się znajdować na miejscu, ale mimo to Pierce był pewny, że nie zostawił plecaka na tylnym siedzeniu. Usiłował przypomnieć sobie, czy nie przełożyła go Robin, ale nie przychodził mu do głowy ani jeden moment, kiedy dziewczyna mogłaby to zrobić.

Doszedł do wniosku, że ktoś dostał się do jego samochodu, otworzył drzwi, przełożył plecak, a następnie zamknął wóz z powrotem.

Pierce otworzył schowek na rękawiczki, ale jego zawartość wydawała się nienaruszona. Wiedział, że skórzany plecak jest zapewne najwartościowszą rzeczą w jego wozie, lecz przełożono go tylko, a nie ukradziono. Domyślił się, że była to rewizja, a nie rabunek. Tłumaczyło to, dlaczego wóz został zamknięty. Złodziej samochodowy najprawdopodobniej nie zadawałby sobie tyle trudu.

Henry przeniósł wzrok na kamienicę, myśląc o Rennerze. Dotarło do niego, dlaczego detektyw go nie podwiózł. Chciał przeszukać jego samochód. Dojechał tutaj przed nim i zrewidował wóz, zapewne otworzywszy go wytrychem.

Bez nakazu rewizja była nielegalna, ale Pierce bynajmniej nie czuł gniewu. Wiedział, że w samochodzie nie ma nic, co mogłoby świadczyć o jego udziale w zniknięciu Lilly Quinlan czy jakimkolwiek innym przestępstwie. Pomyślał, że Renner na pewno poczuł rozczarowanie, kiedy wóz okazał się czysty.

- Odpierdol się, zasrańcu - mruknął na głos.

Kiedy chciał już włożyć kluczyk do stacyjki, zobaczył, że dwóch ludzi wynosi z mieszkania materac. Domyślił się, że byli to technicy kryminalistyczni. Zręcznie wysunęli obszerne brzemię na sztorc przez drzwi, znieśli je po schodach i ruszyli w stronę furgonetki z nadrukiem: Wydział Kryminalistyki Departamentu Policji Los Angeles.

Materac owinięto w gruby, nieprzejrzysty jak zasłona od prysznicowa plastik, ciemna plama na jego środku prześwitywała jednak wyraźnie. Jej widok w ostrym świetle natychmiast wzbudził w Henrym przygnębienie, tak jakby technicy nieśli transparent obwieszający, że Pierce spóźnił się, by w jakikolwiek sposób pomóc Lilly Quinlan.

Materac był zbyt szeroki i długi, by zmieścić się we wnętrzu furgonetki. Technicy ułożyli go w końcu na stojaku na dachu i przywiązali linkami. Pierce domyślał się, że dzięki owinięciu w plastik wszelkie materiały dowodowe zachowają się w nienaruszonym stanie.

Kiedy odwrócił wzrok od furgonetki, zobaczył, że Renner stoi w drzwiach domu i wpatruje się wprost w niego. Pierce wytrzymał przez dłuższą chwilę jego spojrzenie, a następnie uruchomił samochód. Ponieważ zaułek blokowały wozy policji, musiał dojechać aż do Speedway, by móc skręcić.

Dziesięć minut później podniósł słuchawkę telefonu w swoim mieszkaniu. Od razu usłyszał przerywany sygnał, świadczący, że są

wiadomości do niego. Zanim je odsłuchał, wcisnął przycisk powtórnego wybierania - ostatnim razem dzwonił do Robin. Po uzyskaniu połączenia od razu uruchomiła się poczta głosowa, co sugerowało, że dziewczyna albo wyłączyła aparat, albo była z klientem.

- Posłuchaj, Robin, to ja, Pierce. Wiem, że jesteś na mnie zła, ale proszę, posłuchaj, co mam ci do powiedzenia. Kiedy sobie poszłaś, okazało się, że drzwi do mieszkania Lilly są otwarte. Gospodarz je uprzętał. Znaleźliśmy plamę, chyba krwi, i musieliśmy zadzwonić na policję. Prawie do końca nie wspominałem o tobie...

Rozległo się piknięcie i połączenie zostało przerwane. Pierce ponownie nacisnął klawisz wybierania ostatniego numeru, zadając sobie pytanie, dlaczego Robin ustawiła pocztę głosową na nagrywanie tak krótkich wiadomości. Rozległ się sygnał, że linia jest zajęta.

- Cholera!

Wybrał numer jeszcze raz; znów był zajęty. Z frustracją wyszedł z sypialni na balkon. Wiała silna, kąśliwa bryza. Światła diabelskiego młyna wciąż się paliły, chociaż wesołe miasteczko już zamknięto. Pierce znów nacisnął klawisz i przyłożył słuchawkę do ucha. Tym razem usłyszał dłuższy sygnał, a zaraz potem odebrała Robin we własnej osobie. Miała zaspany głos.

- Robin?

- Henry, taa?

- Tak, nie rozłączaj się. Właśnie nagrałem ci wiadomość. Ja...

- Wiem, dopiero co ją odsłuchałam. Dostałeś moją?

- Co, wiadomość? Nie, właśnie wróciłem do domu. Całą noc siedziałem na posterunku policji. Posłuchaj, wiem, że jesteś na mnie wściekła, ale jak starałem się przekazać ci w wiadomości, gliniarze przyjadą do ciebie. Nie wspominałem im o tobie. Nie mówiłem im, że pojechałaś ze mną pod mieszkanie Lilly ani nic takiego, ale kiedy zapytali, skąd wiedziałem, jak Lilly ma na nazwisko i pochodzi z Tamy, powiedziałem, że wiem to od ciebie. To było jedyne wyjście. Dla mnie, przyznaję, ale nie sądzę, żebyś miała z tego powodu kłopoty. Przecież wasze strony mają łącza do siebie. I tak by do ciebie dotarli.

- Nic się nie stało.

Pierce milczał przez chwilę, zaskoczony reakcją Robin.

- Powiedziałem, że przekonałem cię, iż chcę odszukać Lilly i upewnić się, że nic się jej nie stało, a ty mi uwierzyłaś i dlatego właśnie podałaś informacje o niej.

- Wiesz, rzeczywiście mnie przekonałeś. Dlatego właśnie nagrałem ci wiadomość. Dobrze, że mam identyfikator połączeń, bo ina-

czej nie wiedziałabym, jaki masz numer. Chciałam przeprosić cię za to, co ci nawygadywałam w zaułku. Bardzo nieklawo się zachowałam.

- Nie przejmuj się.

- Dzięki.

Oboje przez chwilę milczeli.

- Posłuchaj - powiedział Pierce. - Materac w jej mieszkaniu... był cały przesiąknięty krwią. Nie wiem, co się stało z Lilly, ale jeśli próbowała odejść z branży i dostać się na uczelnię.... Wiem, że już boisz się Billy'ego Wentza, ale powinnaś jeszcze bardziej uważać. Cokolwiek zrobisz, zachowaj ostrożność. - Robin nie odpowiedziała. - Musisz uciec od niego i tego fachu, ale - posłuchaj mnie - kiedy się na to zdecydujesz, nie mów o tym nikomu. Po prostu tak wszystko przyszykuj, by nie domyślili się, co planujesz. Myślę, że właśnie taki błąd mogła popełnić Lilly. Niewykluczone, że powiedziała Wentzowi albo komuś, kto mu o tym doniósł.

- I myślisz, że on to zrobił? Zarabiała dla niego pieniądze. Dla czego miałby...

- Nie wiem. Sam nie wiem, co mam myśleć. Może to człowiek, z którym miała się spotkać przed tobą. Mogło wydarzyć się mnóstwo różnych rzeczy. Może to wiadomość od Wentza: nikomu nie wolno odejść. Chcę ci tylko powiedzieć, że pracujesz w bardzo groźnym świecie, Robin. Powinnaś z niego uciekać, ale zachować przy tym wyjątkową ostrożność. - Milczała. Zdał sobie sprawę, że nie mówi jej nic nowego. Potem wydało mu się, że słyszy jej płacz, ale nie był pewny. - Nic ci nie jest?

- Nie - odparła. - Po prostu to nie takie proste. No wiesz, odejście. Rzucenie tego wszystkiego i powrót do porządnego świata. Ostatecznie, co takiego miałabym robić? Teraz bardzo dobrze zarabiam. Więcej, niż dostałabym gdziekolwiek indziej. Co miałabym począć, zatrudnić się w McDonalddie? Pewnie nawet by mnie tam nie wzięli. Co napisałabym w podaniu o pracę - że kurwiłam się ostatnie dwa lata?

Nie takiej rozmowy spodziewał się Pierce. Usiadł na starej kanapie.

- Robin? Nie wiem nawet, jak masz na nazwisko.

- LaPorte. I wcale nie mam na imię Robin.

- A jak?

- Lucy.

- Hm, bardziej mi się podoba. Lucy LaPorte... tak, ładnie. Do brze brzmi.

- Postanowiłam zatrzymać swoje imię. Wszystko inne oddałam tym ludziom.

Chyba przestała płakać.

- Cóż... Lucy, jeśli mogę tak do ciebie mówić, zatrzymaj mój numer. Kiedy będziesz gotowa z tym zerwać, zadzwoń, a zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ci pomóc. Pieniądze, praca, mieszkanie - czegokolwiek będziesz potrzebowała, po prostu dzwoń, a to dostaniesz. Zrobię, co tylko będę mógł.

- Zrobiłbyś to ze względu na swoją siostrę, prawda?

Pierce zastanowił się chwilę przed odpowiedzią.

- Sam nie wiem. Pewnie tak.

- Nieważne. Dziękuję, Henry.

- W porządku, Lucy. Teraz pewnie zwalę się z nóg. Jestem wykończony - mam za sobą długi dzień. Przepraszam, że cię budziłem.

- Nie przejmuj się. I nie martw się gliniarzami. Poradzę sobie z nimi.

Odłożył słuchawkę, ale natychmiast podniósł ją z powrotem, żeby odsłuchać wiadomości. Było ich pięć - a właściwie trzy do Lilly i dwie inne. Kasował te pierwsze, kiedy tylko orientował się, że nie są do niego. Pierwsza z pozostałych była od Charliego:

Chciałem tylko sprawdzić, jak ci poszło w laboratorium, i zapytać, czy miałeś już okazję przejrzeć wnioski patentowe. Jeśli dostrzegasz jakieś problemy, to powinniśmy dowiedzieć się o tym od razu w poniedziałek, żebyśmy mieli czas na korekty...

Skasował wiadomość. Postanowił zająć się wnioskami rano, a potem zadzwonić do Charliego.

Wiadomość od Lucy LaPorte wysłuchał w całości.

Hej, tu Robin. Słuchaj, chciałam tylko przeprosić cię za to, co powiedziałam na końcu. Ostatnio jestem wściekła na cały cholerny świat, ale naprawdę widzę, że martwisz się o Lilly i zależy ci, żeby sprawdzić, czy nic się jej nie stało. Może tak się zachowałam, bo pożalowałam, że nikt na świecie nie martwił się tak o mnie. No właśnie, o to chodzi. Zadzwoń czasem, jeśli masz ochotę. Możemy po prostu gdzieś wyskoczyć. I następnym razem to ja postawię ci koktajl. Cześć.

Zachował wiadomość, chociaż nie potrafiłby powiedzieć dlaczego. Pomyślał, że może będzie miał ochotę wysłuchać jej ponownie. Przez parę chwil stukał się słuchawką w podbródek, rozmyślając o Lucy. Było w niej ukryte ciepło, które wyczuwało się mimo surowego wykroju ust i świadomości, w jaki sposób radziła sobie w tym

świecie. Pierce przypomniał sobie, co mu powiedziała o posługiwaniu się imieniem Robin i ukrywaniu prawdziwego: Postanowiłam zatrzymać swoje imię. Wszystko inne oddałam tym ludziom.

Przypomniał sobie detektywa z policji, który siedział w salonie jego domu i rozmawiał z matką i ojczymem. Był tam też jego ojciec. Policjant poinformował ich, że Isabelle posługiwała się na ulicy innym imieniem. Przedstawiała się nim mężczyznom, którym oddawała się za pieniądze. Pamiętał, że właśnie od detektywa wiedział, że imieniem tym było Angel. Czyli Anioł.

A potem nim została.

Pierce czuł, że Renner rozpracował go bezbłędnie. To, co zdarzyło się w odległej przeszłości, przez wszystkie minione lata było tuż pod powierzchnią. Wypłynęło na nią, gdy pojawiła się tajemnica Lilly Quinlan. Poprzez pragnienie, by odnaleźć Lilly, a może ją ocalić, odnajdywał i ratował swoją utraconą siostrę.

Pomyślał, że świat na zewnątrz jest zdumiewający i straszny. Przez to, co ludzie robili sobie nawzajem, ale przede wszystkim samym sobie. Pomyślał, że może właśnie dlatego zamykał się na wiele godzin dziennie w laboratorium. Odcinał się od świata, od rozmyślań o złych rzeczach, od samej świadomości ich istnienia. W laboratorium wszystko było proste i klarowne. Kwantyfikowalne. Naukową teorię można było przetestować i albo przyjąć, albo odrzucić. Nie istniały szare strefy. Nie było cieni.

Nagle poczuł przemożne pragnienie porozmawiania z Nicole, przekazania jej, że w ciągu dwóch minionych dni nauczył się czegoś, z czego wcześniej nie zdawał sobie sprawy. Coś trudnego do ujęcia w słowa, ale mimo wszystko wyczuwalnego. Chciał jej powiedzieć, że nie zamierza dłużej uganiać się za pieniędzmi czy komputerem wielkości pięciocentówki, że od tej pory to one mogą gonić jego.

Włączył słuchawkę i wybrał numer Nicole. Swoją stary numer przy Amalfi Drive. Podniosła słuchawkę po trzech sygnałach. Mówiła przytomnie, ale domyślił się, że wyrwał ją ze snu.

- Nicole, to ja.
- Henry? O co...
- Wiem, że jest późno, ale...
- Nie... Już o tym rozmawialiśmy. Przyrzekłeś mi, że nie będziesz tego robił.
- Wiem, ale chciałem z tobą pomówić.
- Piłeś?
- Nie. Po prostu chciałem ci coś powiedzieć.

- Jest środek nocy. Nie powinieneś się tak zachowywać.
- Muszę ci coś powiedzieć. Pozwól, że przyjadę i...
- Nie, Henry. Nie. Spałam jak kamień. Jeśli chcesz porozmawiać, zadzwoń jutro. Na razie dobranoc.

Rozłączyła się. Poczuł, że rumieni się ze wstydu. Zrobił właśnie coś, czego za wszelką cenę chciał uniknąć.

Jęknął głośno, wstał i podszedł do okna. Za mołem na północy widać było rząd świateł - Pacific Coast Highway. Piętrzące się za autostradą góry stanowiły ledwie widoczne na tle nocnego nieba kształty. Ocean było lepiej słyszeć niż widać; horyzont krył się gdzieś w ciemnościach.

Pierce czuł się zmęczony i przygnębiony. Jego myśli odpłynęły od Nicole ku Lucy i temu, jaki los spotkał najprawdopodobniej Lilly. Wpatrując się w noc, przyrzekł sobie, że nie zapomni o danym Lucy słowie. Kiedy dziewczyna zdecyduje się na wyrwanie ze świata, w którym tkwiła, pomoże jej - jeśli nie z żadnego innego powodu, to chociażby dla siebie samego. Kto wie, pomyślał, może to będzie najlepsza rzecz, jaką zrobię w życiu.

Na jego oczach światła diabelskiego młyna pogasły. Potraktował to jako sygnał do powrotu do mieszkania. Podniósł telefon z kanapy i wybrał numer poczty głosowej. Jeszcze raz wysłuchał wiadomości od Lucy, po czym przygotował się do snu. Nie miał jeszcze prześcieradeł, poduszek ani koców. Rozłożył śpiwór na nowym materacu i wsunął się w jego środek. Zdał sobie sprawę, że przez cały dzień nic nie jadł. Nie przypominał sobie, żeby mu się to kiedykolwiek zdarzyło podczas dnia spędzonego poza laboratorium. Zapadł w sen w trakcie obmyślenia listy rzeczy do zrobienia następnego ranka.

Wkrótce przyśnił mu się ciemny korytarz z otwartymi drzwiami po obu stronach. Szedł w jego głąb i zaglądał w nie po kolei. Każdy pokój wyglądał jak hotelowy: było w nim łóżko, biurko i telewizor. Wszystkie były zajęte - przeważnie przez ludzi, których nie znał i którzy go nie zauważali. Były tam pary kłócące się, spółkujące i płaczące. Za jednymi z drzwi zobaczył swoich rodziców. Matkę i ojca, nie ojczyma, chociaż byli starsi niż wtedy, kiedy się rozwiedli. Ubierali się w stroje na cocktail-party.

Pierce ruszył dalej korytarzem i w kolejnym pokoju zobaczył Rennera. Detektyw był sam i krążył wokół łóżka. Narzuta i pościel zostały ściągnięte, a na materacu widniała wielka plama krwi.

W następnym pokoju Pierce zobaczył na łóżku Lilly Quinlan. Leżała nieruchomo jak manekin. We wnętrzu panowała ciemność.

Dziewczyna była naga. Nie odrywała wzroku od telewizora. Choć Pierce nie mógł dojrzeć ekranu, w niebieskiej poświacie twarz Lucy wyglądała jak oblicze trupa. Uśmiechała się bez końca, a gdy Pierce obrócił się, by zamknąć drzwi, okazało się, że ich nie ma. Kiedy ponownie się odwrócił, oczekując, że mu to wyjaśni, łóżko było puste. Jedynie telewizor grał dalej.

Telefon obudził Pierce'a dokładnie w południe w niedzielę, 1 - Za wcześnie, żeby mówić z Lilly? - zapytał nieznajomy mężczyzna.

- Nie. Prawdę mówiąc, za późno - odparł Pierce.

Odłożył słuchawkę i popatrzył na zegarek. Przypomniał sobie poprzedni wieczór i swój sen i zaczął go interpretować, ale jęknął, gdy uświadomił sobie, że dzwonił do Nicole w środku nocy. Wygrzebał się ze śpiwora i poszedł wziąć długi, gorący prysznic, podczas którego zastanawiał się, czy nie zadzwonić do niej ponownie z przeprosinami. Nawet ukrop nie mógł jednak zmyć odczuwanego przez Henry'ego zażenowania. Uznał, że lepiej nie dzwonić z próbami tłumaczeń. Postanowił spróbować zapomnieć o całej sprawie.

Zanim się ubrał, jego żołądek zaczął domagać się głośno pożywienia, ale w kuchni nic nie było do jedzenia, Pierce nie miał pieniędzy, a kartę do bankomatu wyczerpał do poniedziałku. Wiedział, że mógłby posłużyć się kartą kredytową w sklepie spożywczym czy restauracji, ale potrwałoby to za długo. Po chrzcie bojowym pod prysznicem minął mu wstyd z powodu nocnego telefonowania do Nicole i postanowił uznać epizod z Lilly Quinlan za zakończony oraz pozwolić zająć się jej losem policji. Musiał zabrać się z powrotem do pracy. Wiedział też, że każda zwłoka w dojeździe do Amedeo może nadwzględnie jego zdecydowanie.

O pierwszej wszedł do siedziby firmy. Kiwnął głową strażnikowi za biurkiem na podwyższeniu, ale nie zwrócił się do niego po imieniu. Był to jeden z nowo wynajętych przez Clyde'a Vernona ludzi, odnoszący się chłodno do Pierce'a, który z zadowoleniem odpłacał mu tym samym.

Pierce trzymał na biurku kubek z drobnymi. Przed rozpoczęciem jakiegokolwiek pracy rzucił plecak na blat i zszedł z kubkiem na

pierwsze piętro, gdzie w jadalni stały automaty z napojami i przekąskami. Wydał prawie wszystkie drobne na dwie porcje coli, dwie torebki chipsów i opakowanie ciasteczek Oreos. Zajrzał do lodówki, czy ktoś nie zostawił w niej czegoś jadalnego, ale okazała się pusta. Sprzątaczkę opróżniały ją w piątek po godzinach w ramach swoich obowiązków.

Pochłonął torebkę chipsów, zanim wrócił do gabinetu. Otworzył następną i puszkę coli, gdy wsunął się za biurko. Wyjął z sejfu pod spodem nową porcję wniosków patentowych. Jacob Kaz był doskonałym prawnikiem w tej dziedzinie, ale zawsze potrzebował naukowców do korekt wstępów i podsumowań w urzędowych wnioskach. Pierce zresztą sam zatwierdzał wnioski przed złożeniem.

Do tej pory uzyskane w ciągu minionych sześciu lat przez Pierce'a i Amedeo Technologies patenty chroniły prawa własności planów złożonych struktur biologicznych. Kluczem do przyszłości nanotechnologii było stworzenie zminiaturyzowanych struktur, służących jako nośniki tych układów. Pierce już dawno postanowił, że Amedeo Technologies wyspecjalizuje się właśnie w tej gałęzi molekularnej techniki obliczeniowej.

On i pozostali członkowie jego zespołu zajmowali się w laboratorium opracowywaniem i konstruowaniem szerokiej gamy przełączników molekularnych, tworzących delikatne łańcuchy bramek logicznych - podstawowe ogniwa obliczeniowe. Większość patentów Pierce'a i Amedeo dotyczyło właśnie tej dziedziny lub pokrewnej jej sfery molekularnej pamięci RAM. Niewielka liczba pozostałych patentów dotyczyła głównie molekuł wiążących - rusztowań z wytrzymałych węglowych tubuli, które pewnego dnia łącząc będą setki tysięcy nanoprzełączników, wspólnie tworzących komputer wielkości pięciocentówki, pod względem mocy stanowiący cyfrowy odpowiednik ciężarówek Mack.

Przed przejrzaniem nowego zestawu wniosków Pierce odchylił się w fotelu i popatrzył na ścianę za monitorem komputera. Na ścianie wisiała karykatura Henry'ego z mikroskopem w ręku, rozwianym kucykiem i rozszerzonymi oczyma, jakby właśnie dokonał fantastycznego odkrycia. Napis nad rysunkiem głosił: „Henry słyszy Ktosia!”.

Dostał ten rysunek od Nicole. Zamówiła go u szkicownika na mołu po tym, jak Pierce opowiedział jej o swoim ulubionym wspomnieniu z dzieciństwa - kiedy ojciec czytał książki lub opowiadał historijki jemu i jego siostrze. Zanim rodzice się rozeszli. Zanim ojciec przeniósł się do Portland i założył zupełnie nową rodzinę. Zanim Isabelle zaczęło się nie układać.

121

W owym okresie ulubioną lekturą Pierce'a było „Horton Hears a Who!” - „Horton Słyszy Ktosia” - dr. Seussa. Była to historia słonia, który odkrył, że na pyłku kurzu istnieje cały świat - nanoświat - na długo zanim ten termin przyszedł komukolwiek do głowy. Pierce wciąż znał na pamięć wiele zdań z tej książki. Często przypominały mu się w trakcie pracy.

Słoń Horton zostaje w książce odtrącony przez społeczność dżungli, niewierzącą w jego odkrycie. Prześladowają go zwłaszcza małpy, nazywane gangiem Wickershamów. Horton jednak ostatecznie ratuje przed nimi miniaturowy światek na pyłku kurzu i udowadnia jego istnienie reszcie społeczności.

Pierce otworzył paczkę ciastek i połknął dwa, mając nadzieję, że skok stężenia cukru pomoże mu się skupić.

Zaczął przeglądać wnioski z podnieceniem i niecierpliwością. Zestaw patentów gwarantował, że Amedeo osiągnie nowe wyżyny, a nanotechnika wkroczy na kolejny poziom. Wiedział, że osiągnięcia te wstrząsną światem nanotechnologii. Uśmiechnął się na myśl o reakcji konkurencji, gdy ich szpiedzy przemysłowi skopią niezatrzezo-

ne strony wniosków albo w pismach naukowych wyczytają o formule Proteusa.

Pakiet patentów służył ochronie procesu konwersji energii komórkowej. W zrozumiałych dla laika sformułowaniach, zawartych we wstępie pierwszego wniosku, firma występowała o ochronę patentową dla „systemu zasilania” biologicznych robotów, które w przyszłości będą patrolowały krwiobieg istot ludzkich, niszcząc groźne dla organizmów gospodarzy patogeny.

Technologię tę nazwano „Proteus”, co stanowiło ukłon pod adresem filmu „Fantastyczna podróż” z 1966 roku. Zespół medyczny wsiada w nim na pokład łodzi podwodnej, która zostaje zminiaturyzowana przy użyciu specjalnego promieniowania i wstrzyknięta do krwi człowieka, by dotrzeć do mózgu i usunąć niedający się zoperować skrzep.

Film należał do gatunku science fiction, a promienie miniaturyzujące zapewne na zawsze pozostaną w sferze wyobraźni. Idea zwalczania chorób i patogenów za pomocą wprowadzanych do organizmu biologicznych lub molekularnych robotów była jednak znacznie bliższa rzeczywistości. Opracowanie Proteusa sprawiało, że ich praktyczne zastosowanie za jakiś czas stanie się realne.

Możliwość zastosowania nanotechnologii w medycynie była najbardziej ekscytująca. Leczenie raka, AIDS i wszystkich innych chorób było o wiele bardziej intrygujące od kwantowego skoku mocy

obliczeniowej. Stworzenie urządzeń patrolujących, odnajdujących, identyfikujących i eliminujących środkami chemicznymi patogeny było świętym Graalem tej nauki.

Jej głównym problemem, który sprawiał, że technologia ta pozostawała w sferze teorii, podczas gdy *rzesze* badaczy zajmowały się molekularną pamięcią RAM i obwodami zintegrowanymi, była kwestia zasilania. Napędu dla molekularnych łodzi podwodnych, by był naturalny i nie wywoływał reakcji układu odpornościowego organizmu gospodarza.

Pierce i immunolog Larraby opracowali rudymetarną, lecz wysoce skuteczną technikę. Posługując się ludzkimi komórkami - pobranymi od Pierce'a i namnożonymi w inkubatorze - stworzyli kombinację białek, wiążącą się z błoną komórkową i czerpiącą z niej energię elektryczną. Dzięki temu źródłem zasilania dla nanourządzeń stawał się sam organizm gospodarza, co likwidowało problem reakcji odpornościowych.

Technologia, objęta nazwą Proteus, była prosta, i w tym właśnie tkwiło jej piękno i wartość. Pierce sądził, że wszystkie badania rozwojowe w dziedzinie nanotechniki medycznej będą od tej pory opierały się na tym jednym odkryciu. Eksperymenty, inne odkrycia i prowadzące do praktycznych zastosowań wynalazki, uprzednio traktowane jako odległe o dwie dekady lub więcej, stawały się dwukroć bardziej realne.

Dokonane trzy miesiące wcześniej odkrycie - w okresie największych napięć między Pierce'em i Nicole - było najbardziej ekscytującym momentem w jego życiu.

- „Nasze budynki mogą wydawać się wam strasznie małe - wyszeptał Pierce, kończąc przegląd wniosków patentowych. - My jednak nie jesteśmy duzi i dla nas są cudownie wysokie”.

Były to słowa dr. Seussa.

Pierce był zadowolony z zestawu wniosków. Jak zwykle Kaz doskonale poradził sobie we wprowadzeniach ze stworzeniem mieszanki żargonu naukowego i języka laików. Istotę każdego wniosku stanowiły jednak schematy procesów technologicznych i naukowe omówienia. Części te napisali Pierce i Larraby; wielokrotnie je później poprawiali.

Zdaniem Pierce'a pakiet wniosków był gotów do złożenia. Poczł znowu ekscytację. Wiedział, że ogłoszenie ich istnienia wzbudzi falę komentarzy w świecie nanotechniki i w mediach, a w rezultacie spowoduje wzrost zainteresowania inwestorów. Plan Pierce'a polegał na zaprezentowaniu odkrycia najpierw Maurice'owi Goddardowi i za-

pewnienie dofinansowania z jego strony, dopiero potem wszczęcie procesu rejestracji patentów. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, Goddard uświadomi sobie, że ma niewiele czasu na skorzystanie z wyprzedzenia konkurencji przez Amedeo, i zachowa się odpowiednio, zostając głównym sponsorem dalszych prac firmy.

Pierce i Charlie Condon starannie zgrali plan działania. Goddard miał zapoznać się z odkryciem. Dawano mu okazję, by wszystko zobaczył na własne oczy - w mikroskopie elektronowym. Następnie miał dwadzieścia cztery godziny na podjęcie decyzji. Pierce chciał dostać co najmniej dwanaście milionów w ciągu trzech lat - dość, by dotrzeć szybciej i dalej niż którykolwiek z konkurentów. W zamian za to oferował Goddardowi dziesięć procent udziałów.

Pierce napisał notkę z gratulacjami na żółtej samoprzylepnej karteczce i przykleił ją do okładki teczek z wnioskami patentowymi systemu Proteus. Schował ją do sejf. W poniedziałek rano miała zostać zabrana przez kuriera do biura Każą w Century City. Bez faksów, bez poczty elektronicznej. Pierce był zresztą gotów zawieźć ją osobiście.

Odchylił się na oparcie, włożył w usta kolejne ciasteczko i popatrzył na zegarek. Druga. Siedział w gabinecie godzinę, ale miał wrażenie, jakby minęło zaledwie dziesięć minut. Cieszył się, że znów odczuwa dawną ekscytację. Postanowił to wykorzystać - zjechać do laboratorium i odwalić trochę prawdziwej roboty. Wziął opakowanie z resztą ciasteczek i wstał.

- Światła.

Był już na korytarzu i zamykał drzwi pogrążonego w ciemnościach gabinetu, gdy zadzwonił telefon. Rozległ się charakterystyczny, podwójny sygnał prywatnej linii. Henry otworzył drzwi z powrotem.

- Światła.

Niewielu ludzi miało bezpośredni numer do jego biura, ale jednym z nich była Nicole. Pierce szybko obszedł biurko i popatrzył na ekran wyświetlacza dzwoniącego numeru. Świecił się w nim komunikat „numer prywatny”. Nie była to Nicole, ponieważ jej numer domowy i telefonu komórkowego nie były utajnione. Pierce zawahał się, ale przypomniał sobie, że podał swój numer Cody'emu Zellerowi. Podniósł słuchawkę.

- Pan Pierce?

Nie był to Cody Zeller.

- Słucham?

- Mówi Philip Glass. Dzwonił pan do mnie wczoraj. Prywatny detektyw. Pierce zapomniał o nim.

- Och, tak. Oczywiście. Dziękuję, że pan oddzwonił.
- Dopiero wczoraj dostałem pańską wiadomość. Co mogę dla pa na zrobić?
- Chciałbym porozmawiać z panem o Lilly Quinlan. Zaginęła. Jej matka z Florydy wynajęła pana kilka tygodni temu.
- Tak, ale nie zajmuję się już tą sprawą.
Pierce stał nadal za biurkiem. Położył rękę na monitorze komputera.
- Rozumiem. Zastanawiałem się jednak, czy zgodziłby się pan o niej porozmawiać. Mam pozwolenie Vivian Quinlan. Może pan sprawdzić, jeśli pan chce. Ma pan jeszcze jej numer? - Glass nie odpowiedział tak długo, że Pierce zastanawiał się, czy przypadkiem się nie rozłączył. - Panie Glass?
- Tak, jestem. Po prostu się zastanawiałem. Może mi pan powie dzieć, dlaczego interesuje się pan tą sprawą?
- Hm, po prostu chcę odnaleźć Lilly.
Znowu cisza w słuchawce. Pierce zrozumiał, że występuje z pozycji słabszego. Coś się działo, a on był w niekorzystnym położeniu, bo nie wiedział co. Postanowił wykazać więcej zdecydowania. Zależało mu na spotkaniu z detektywem.
- Jestem przyjacielem rodziny - skłamał. - Vivian prosiła mnie, żebym dowiedział się, ile tylko będę mógł.
- Rozmawiał pan z policją?
Pierce zawahał się. Instynktownie wyczuł, że od odpowiedzi zależała współpraca Glassa. Przypomniał sobie wydarzenia z minionej nocy i zadał sobie pytanie, czy Glass mógł się o nich dowiedzieć. Uznał, że minęło na to za mało czasu.
- Nie - skłamał ponownie. - O ile rozumiem, policja nie jest zainteresowana.
- Kim pan jest, panie Pierce?
- Słucham? Nie rozu...
- Dla kogo pan pracuje?
- Dla nikogo. Właściwie to dla siebie samego.
- Pan też płatfus?
- To znaczy?
- Daj pan spokój.
- Mówię poważnie. Nie rozu... ach, detektyw. Nie, nie jestem prywatnym detektywem. Jak mówiłem, jestem przyjacielem.
- Z czego pan się utrzymuje?
- Jestem naukowcem. Chemikiem, panie Glass. Nie rozumiem, co to ma wspólnego z...

- Mogę się z panem dzisiaj spotkać, ale nie w moim biurze.
- Dobrze, w takim razie gdzie? Kiedy?
- Za godzinę. Zna pan bar Cathode Ray's w Santa Monica?
- Tak. Będę tam. Jak się poznamy?
- Ma pan kapelusz czy jakiś charakterystyczny strój?
Pierce pochylił się i wysunął niezamykaną szufladę biurka. Wyjął z niej czapkę baseballową z wyszywanymi niebieskimi literami.
 - Będę w szarej czapce baseballowej z niebieskim napisem „Moles” nad daszkiem.
 - Moles, panie Pierce? Krety, tak jak małe, ryjące zwierzątka?
Pierce o mało się nie roześmiał.
- Jak molekuły. Nasza drużyna softballu nazywała się Fighting Moles -Waleczne Molekułki. Wtedy, kiedy ją mieliśmy. Moja firma ją sponsorowała. Dawno temu.
- Do zobaczenia w Cathode Ray's, panie Pierce. Niech pan przyjdzie sam. Jeżeli wyczuję, że nie jest pan sam albo zwietrzę pułapkę, to mnie pan nie zobaczy.
- Pułapkę? O czym pan...
Glass rozłączył się i Pierce usłyszał tylko szum na łączach.
Odłożył słuchawkę i włożył czapkę. Zastanawiał się nad dziwnymi pytaniami, jakie zadawał detektyw, oraz nad tym, co powiedział pod koniec rozmowy i w jaki sposób. Doszedł do wniosku, że prawie na pewno detektyw się czegoś bał.

Cathode Ray's była knajpką pokolenia technokratów - zwykle ^^na stolikach obok podwójnej kawy ze śmietanką spoczywały laptopy albo palmtopy. Kawiarnia była otwarta przez całą dobę i oferowała zasilanie, telefon i szybkie łącze przy każdym stoliku - ale połączenia jedynie z miejscowymi dostawcami usług internetowych. Znajdowała się niedaleko college'u w Santa Monica, studiów filmowych oraz załazkowej dzielnicy produkcji oprogramowania w Westsidzie i nie miała powiązań z żadną z wielkich korporacji. Czyniło to z niej miejsce popularne wśród podłączonego do Sieci pokolenia.

Pierce był w Cathode Ray's przy wielu wcześniejszych okazjach, lecz uznał wybór miejsca za dziwny jak na Glassa, którego ochrypli, znużony głos sugerował, że ma się do czynienia ze starszym mężczyzną. Skoro tak, detektyw powinien wyróżniać się w barze. Zważywszy na emanującą z niego w trakcie rozmowy paranoję, było dziwne, że wybrał na spotkanie tę kawiarnię.

O trzeciej Pierce wszedł do Cathode Ray's i rozejrzał się szybko po wnętrzu za starszym mężczyzną. Żaden nie rzucał się w oczy. Nikt na niego nie patrzył. Henry ustawił się w kolejkę po kawę.

Przed wyjściem z firmy wrzucił do kieszeni resztę drobnych z kubka. Przeliczył je w trakcie czekania i doszedł do wniosku, że wystarczy mu pieniędzy zaledwie na średnią porcję zwykłej kawy oraz niewielki napiwek - który wrzucało się do stoika.

Dodał do kawy hojne porcje śmietanki i cukru, wyszedł na patio i wybrał pusty stolik w kącie. Popijał napój powoli, jednak minęło dwadzieścia minut, nim podszedł do niego niski mężczyzna w czarnych džinsach i koszulce z krótkimi rękawami tej samej barwy. Mężczyzna był gładko ogolony i miał ciemne, głęboko osadzone oczy

o twardym wyrazie. Był o wiele młodszy, niż wyobrażał sobie Pierce - nie miał jeszcze czterdziestu lat. Nie zamówił kawy; podszedł prosto do stolika.

- Pan Pierce?

Henry wyciągnął rękę.

- Pan Glass, jak się domyślam.

Detektyw wysunął drugie krzesło i usiadł na nim. Pochylił się nad stolikiem.

- Chciałbym zobaczyć jakiś dowód tożsamości, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu - powiedział.

Pierce odstawił filiżankę i sięgnął do kieszeni po portfel.

- Pewnie to dobry pomysł - odparł. -A ja mogę zobaczyć pański?

Gdy obydwaj mężczyźni przekonali się, że siedzą we właściwym towarzystwie, Pierce odchylił się na oparcie i przyjrzał Glassowi. Detektyw, choć był niewielki, emanował napięciem i energią. Miało się wrażenie, jakby jego skóra zbyt ciasno obciągała ciało.

- Chce pan kawy, zanim zaczniemy rozmowę?

- Nie, nie używam kofeiny.

Pasowało to do jego wyglądu.

- No to chyba powinniśmy przejść prosto do rzeczy. Po co te zaba wy rodem z filmów szpiegowskich?

- Słucham?

- Wie pan, te zagrywki: „ma pan być sam” i „z czego się pan utrzymuje”. Trochę to dziwne.

Glass pokiwał głową przed odpowiedzią, jakby zgadzał się z Pierce'em.

- Co pan wie o Lilly Quinlan?

- Wiem, jak zarabiała na życie, jeśli o to panu chodzi.

- Czyli?

- Była hostessą. Ogłaszała się w Internecie. Jestem praktycznie pewny, że pracowała dla człowieka nazwiskiem Wentz. To ktoś w rodzaju cyfrowego alfonsa. Prowadzi witrynę internetową, na której Lilly zamieściła swoją stronę. Myślę, że organizował jej też inne rzeczy - na przykład zdjęcia na stronach pornograficznych i tak dalej.

Wzmianka o Billym Wentzu. sprawiła, że Glass jeszcze bardziej się spiął. Złożył łokcie na stoliku i wychylił się do przodu.

- Rozmawiał pan z Wentzem osobiście?

Pierce pokręcił głową.

- Nie, ale próbowałem. Wczoraj pojechałem do Entrepreneurial Concepts - tak się nazywa jego firma, której podlegają pozostałe.

Chciałem z nim rozmawiać, ale go nie zastałem. Dlaczego czuję się, jakbym mówił panu *rzeczy*, o których już pan wie? Niech pan posłucha, wolałbym zadawać pytania, a nie na nie odpowiadać.

- Niewiele mogę panu powiedzieć. Specjalizuję się w poszukiwaniu zaginionych osób. Znajomy z wydziału osób zaginionych policji Los Angeles polecił mnie Vivian Quinlan. Od tego się zaczęło. Matka zapłaciła mi za tydzień. Nie odnalazłem Lilly ani nie dowiedziałem się wiele o jej zniknięciu.

Pierce zastanawiał się dłuższą chwilę. Był amatorem, a jednak w ciągu czterdziestu ośmiu godzin sporo się dowiedział. Wątpił, by Glass był tak niekompetentny, za jakiego starał się uchodzić.

- Dowiedział się pan o stronie internetowej, prawda? L.A. Darlings?

- Tak. Powiedziano mi, że Lilly pracowała jako hostessa, więc dość łatwo było ją znaleźć. Można rzec, że L.A. Darlings to jedna z najpopularniejszych stron.

- Znalazł pan jej dom? Rozmawiał pan z jego właścicielem?

- Nie i nie.

- A co z Lucy LaPorte?

- Kim?

- Na stronie internetowej posługuje się imieniem Robin. Na stronie Lilly jest do niej łącze.

- Ach, tak, Robin. Rozmawiałem z nią przez telefon. Nie wykazała chęci współpracy.

Pierce zastanawiał się, dlaczego Lucy mu o tym nie wspomniała, skoro on sam szedł dokładnie śladami detektywa.

- Jak dawno dzwonił pan do Robin?

- Trzy tygodnie temu. - Glass wzruszył ramionami. - Na początku mojego dochodzenia. Była jedną z pierwszych osób, do których zatelefonowałem.

- Widział się pan z nią?

- Nie, wypadły mi inne sprawy. A pod koniec tygodnia pani Quinlan nie miała chęci zapłacić mi za dalszą pracę. Dlatego dałem sobie spokój.

- Rozmawiał pan z Wentzem, prawda? - Glass opuścił wzrok na swe złożone ramiona, ale nie odpowiedział. - Co panu powiedział?

Glass odchrząknął.

- Niech pan posłucha mnie bardzo uważnie, Pierce. Powinien pan trzymać się z daleka od Billy'ego Wentza.

- Dlaczego?

- Bo to niebezpieczny człowiek. Ponieważ porusza się pan w świe-

cię, o którym nic pan nie wie. Może pan napytać sobie wielkiej biedy, jeśli nie będzie pan uważał.

- To właśnie pana spotkało? Oberwało się panu?

- Nie mówimy o mnie, ale o panu.

Przy sąsiednim stoliku usiadł mężczyzna, który postawił przed sobą kawą ze śmietanką i lodem. Glass odwrócił głowę i popatrzył na niego wzrokiem paranoika. Mężczyzna wyjął z kieszeni palmtop i go otworzył. Wyjął pióro elektroniczne i zajął się jakąś pracą, nie zwracając uwagi na Pierce'a ani detektywa.

- Chcę wiedzieć, co się stało, kiedy spotkał się pan z Wentzem - powiedział Pierce.

Glass rozprostował ręce i zatarł dłonie.

- Wie pan...

Urwał. Pierce musiał go ponaglić.

- Co mam wiedzieć?

- Wie pan, że jak na razie jedyną dziedziną, w której Internet przynosi znaczące korzyści, jest sektor rozrywki dla dorosłych?

- Słyszałem. Co to ma...

- Elektroniczny handel seksem przynosi w tym kraju dziesięć miliardów dolarów dochodu rocznie. *Znaczna część z tego przypada na Internet. To wielki biznes z powiązaniem z najbardziej prężnymi korporacjami Ameryki. Jest wszędzie: dostępny przez każdy komputer i w każdym telewizorze. Wystarczy włączyć telewizor i zamówić twarde porno przez AT&T. Wystarczy włączyć się do Sieci i zamówić kobietę w rodzaju Lilly Quinlan z dostawą do domu.* - Głos Glassa nabrał ferworu, co nasunęło Pierce'owi skojarzenie z kaznodzieją przemawiającym z ambony. - Wie pan, że Wentz ma filie w całym kraju? Sprawdziłem. Agencja na dane miasto kosztuje pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Istnieje New York Darlings i Vegas Darlings. Również w Miami, Seattle, Denver i tak dalej. Oprócz tych stron ma powiązane z nimi linkami strony pornograficzne dla zwolenników wszelkich wyobraźalnych gustów seksualnych i fetyszy. On...

- Wiem to wszystko - przerwał mu Pierce. - Interesuje mnie jednak Lilly Quinlan. Co to ma wspólnego z tym, co ją spotkało?

- Nie wiem - odparł Glass. - Staram się jednak przekazać panu, że chodzi o zbyt duże pieniądze. Niech pan się trzyma z dala od Billy'ego Wentza.

Pierce odchylił się i popatrzył na Glassa.

- Dobrał się do pana, tak? Co zrobił, zagroził panu?

Glass potrząsnął głową. Widać było, że nie chce poruszać tego tematu.

- Daj mi pan spokój. Przyszedłem tu dzisiaj z nadzieją, że panu pomogę. Żeby ostrzec, jak blisko jest pan ognia. Niech pan trzyma się z dala od Wentza. Niech pan się nie zbliża, nie mogę tego wyrazić bardziej dobitnie.

Pierce widział w oczach detektywa, że jego ostrzeżenie jest *szczerze*. Dostrzegł w nich również strach. Henry nie miał wątpliwości, że Wentz w jakiś sposób dobrał się do Glassa i nastraszył go tak, że ten dał sobie spokój ze sprawą Lilly.

- Dobrze - powiedział. - Będę trzymał się z daleka.

Irlierce igrał z myślą, by pojechać do laboratorium po spotkaniu a z Philipem Glassem, ale ostatecznie ją odrzucił. Przyznał się sam przed sobą, że rozmowa z prywatnym detektywem podminowała odnalezioną zaledwie przed godziną motywację. Zamiast tego pojechał do Lucky Market na Ocean Park Boulevard i zapełnił wózek na zakupy jedzeniem i innymi podstawowymi rzeczami, potrzebnymi w nowym mieszkaniu. Zapłacił kartą kredytową i zapakował liczne torby do bagażnika bmw. Dopiero gdy zaparkował w garażu The Sands, uświadomił sobie, że co najmniej trzy razy będzie musiał jechać windą, by zabrać wszystkie zakupy do mieszkania. Przypomniał sobie innych lokatorów, którzy w małych wózkach zwozili lub wwozili windą pranie bądź zakupy. Uświadomił sobie, że to dobry pomysł.

Za pierwszym razem wypełnił świeżo kupiony plastikowy kosz na pranie sześcioma torbami artykułów żywnościowych, w tym wszystkimi mrożonkami, które chciał schować jak najszybciej do lodówki.

Gdy dotarł do windy, przy drzwiach piwnicznej sali ze schowkami, należącymi do poszczególnych mieszkań, stało dwóch mężczyzn. Pierce'owi przypomniało to, że będzie musiał kupić kłódkę do swojego schowka i przywieźć do niego pudła starych płyt i pamiątek, które na razie leżały w garażu domu przy Amalfi. Musiał zabrać też deskę do surfingu.

Jeden z mężczyzn nacisnął klawisz przywoływania windy. Pierce kiwnął im głową i pomyślał, że być może to para homoseksualistów. Jeden miał po czterdziestce i był drobnej budowy ciała, ale rósł mu wyraźny brzusek. Na nogach miał wysokie buty ze spiczastymi czubkami oraz dodającymi pięć centymetrów wzrostu obcasami. Drugi mężczyzna był o wiele młodszy, wyższy i silniej zbudowany, jednak mowa jego ciała świadczyła, że słucha się swojego towarzysza.

Gdy drzwi windy się otworzyły, mężczyźni przepuścili Pierce'a. Następnie niższy z tej pary zapytał, na które piętro chce wjechać Henry. Gdy winda się zamknęła, Pierce zauważył, że mężczyzna nie nacisnął innego guzika poza oznaczonym liczbą 11.

- Mieszkacie na jedenastym piętrze? - zapytał. - Wprowadziłem się dopiero kilka dni temu.

- Goście - odpowiedział niższy mężczyzna.

Pierce pokiwał głową. Skupił uwagę na zmieniających się cyfrach nad drzwiami. Być może na skutek niedawnej rozmowy z Glassem, a może sposobu, w jaki niższy z mężczyzn spoglądał ukradkiem na odbicie Pierce'a w chromowanej oprawie drzwi, w miarę wznoszenia się windy rósł również niepokój Henry'ego. Przypomniał sobie, że nieznajomi stali przy drzwiach do piwnicy i podeszli do windy dopiero wtedy, gdy on ruszył w jej stronę. Jak gdyby czekali tam na coś.

Lub kogoś.

Winda dojechała wreszcie na jedenaste piętro. Drzwi się otworzyły. Mężczyźni odsunęli się na bok, by przepuścić Pierce'a. Trzymając oburącz kosz na pranie, wysiadł z windy.

- Idźcie pierwsi - powiedział. - Możecie nacisnąć dla mnie parter? Zapomniałem odebrać pocztę.

- W niedzielę nie ma poczty - powiedział niższy mężczyzna.

- To znaczy wczorajszą. Zapomniałem ją wziąć.

Nikt się nie poruszył. Wszyscy trzej wpatrywali się w siebie, aż drzwi zaczęły się zamykać. Zwalisty mężczyzna wcisnął umięśnione ramię między gumowe odbojnice. Drzwi zadrżały i powoli się rozsunęły, jakby dochodziły do siebie po ciosie.

- Pierdol pocztę, Henry - powiedział wreszcie niższy mężczyzna.

-Wysiadasz tutaj. Mam rację, Sześć-Osiem?

Nazwany tak najwyraźniej z powodu swoich proporcji mężczyzna wsunął się do windy i chwycił Pierce'a za ramiona. Wykonał półobrót i wyrzucił Henry'ego na korytarz jedenastego piętra. Pierce przeleciał na drugą stronę i z impetem wpadł na zamknięte drzwiczki z napisem: ZASILANIE. Czuł, jak powietrze ucieka mu z płuc. Kosz wysunął mu się z rąk i z łomotem upadł na podłogę.

- Spokojnie. Tylko spokojnie. Klucze, Sześć-Osiem.

Pierce wciąż nie odzyskiwał oddechu. Mężczyzna nazywany Sześć-Osiem podszedł do niego i przycisnął go jedną ręką do drzwi. Drugą oklepał kieszenie jego spodni. Kiedy wyczuł klucze, wcisnął wielkie łapsko w kieszeń i wyciągnął breloczek. Podał go swojemu towarzyszowi.

- Dobra.

Sześć-Osiem popchnął Pierce'a przed sobą w stronę jego mieszkania. Niższy mężczyzna prowadził - i najwidoczniej znał drogę. Kiedy Pierce nieco nabrał tchu, zaczął coś mówić, ale oprych zatkał mu ręką usta, tłumiąc wszelki dźwięk. Mniejszy mężczyzna bez oglądania się wystawił ostrzegawczo palec.

- Jeszcze nie, cwaniaczku. Wejźmy do środka, żeby nie przeszkadzać sąsiadom bardziej niż to konieczne. Ostatecznie dopiero co się wprowadziłeś. Nie chcesz chyba wyrzucić na nich złego wrażenia? - Szedł ze spuszczoną głową. Prawdopodobnie przyglądał się kluczom na breloczku. - Bmw - skomentował. Pierce przypomniał sobie, że klucz do samochodu ma godło firmy. - Lubię te bryczki. Są piękne, luksusowe i nie do zdarcia. Niczego więcej nie można chcieć od samochodu ani od kobiety.

Obejrzał się na Pierce'a i uśmiechnął, unosząc brew. Doszli do drzwi mieszkania. Niski mężczyzna otworzył je drugim kluczem z kolei. Sześć-Osiem wepchnął Pierce'a do środka i siłą posadził go na kanapie. Odsunął się, a niski mężczyzna stanął przed Pierce'em. Dostrzegł słuchawkę na oparciu kanapy i wziął ją do ręki. Pierce patrzył, jak wciska guziki. Domyślił się, że mężczyzna przegląda listę numerów, spod których ostatnio do niego dzwonił.

- Widzę, że byłeś mocno zajęty, Henry - powiedział mężczyzna, przewijając listę. - Philip Glass... - Przeniósł spojrzenie na Sześć-Osiem, który ze złożonymi na piersiach masywnymi ramionami zajął miejsce przy drzwiach wejściowych do mieszkania. Oczy mężczyzny zmarszczyły się w pytającym wyrazie. - Czy to nie ten gość, z którym pogadaliśmy parę tygodni temu?

Sześć-Osiem kiwnął głową. Pierce domyślił się, że Glass zadzwonił pod numer jego mieszkania, zanim znalazł go w Amedeo.

Niski mężczyzna wrócił do odczytywania numerów. Wkrótce jego oczy rozblęły przy kolejnym znajomym numerze.

- Och, a więc teraz Robin dzwoni do ciebie. Cudownie.

Ton głosu mężczyzny świadczył jednak, że to wcale nie cudownie, że w najmniejszym stopniu nie okaże się to cudowne dla Lucy La-Porte.

- To nic takiego - powiedział Pierce. - Nagrała mi tylko wiadomość. Mogę ją wam odtworzyć, jeśli chcecie. Zachowałem ją.

- Może się w niej podkochujesz?

-Nie.

Niski mężczyzna odwrócił się i posłał Sześć-Osiem fałszywy uśmiech. Nagle uniósł słuchawkę nad głowę i uderzył nią Pierce'a w grzbiet nosa, wkładając w to maksimum siły.

Pole widzenia Pierce'a wypełniły migające czerwone i czarne łaty. Przeszywający ból zajazgotał w jego głowie. Instynktownie szarpnął się w tył na kanapie i odwrócił głowę na wypadek, gdyby czekał go kolejny cios. Niejasno słyszał, że stojący przed nim mężczyzna krzyczy, ale słowa nie docierały do jego świadomości. Po chwili wielkie, silne ręce znów zacisnęły mu się na ramionach i uniosły go w powietrze.

Sześć-Osiem przerzucił go sobie przez ramię i niósł. Henry czuł krew w ustach. Próbował otworzyć oczy, ale nie zdołał. Usłyszał szuranie otwieranych drzwi balkonowych, następnie poczuł, że skórę owiewa mu chłodne powietrze znad oceanu.

- Co... - zdołał stęknąć.

Nagle znikł ucisk twardego barku, wbijającego się mu w brzuch. Pierce zaczął spadać głową w dół. Naprężył wszystkie mięśnie i otworzył usta, by wydać rozpaczliwe, ostatnie w życiu wycie. Moment potem poczuł, że wielkie dłonie zaciskają się na jego kostkach. Rąbnął ciężko całym ciałem o chropowaty tynk zewnętrznej elewacji.

Przynajmniej jednak nie spadał.

Minęło kilka sekund. Pierce unióśł ręce do twarzy. Obmacał nos i oczy. Nos miał zupełnie rozbity. Obficie krwawił. Zdołał obetrzeć oczy i częściowo je otworzyć. Zobaczył jedenaście piętér niżej zieleń parku przy plaży. Siedzieli w nim na kocach ludzie, przeważnie bezdomni. Pierce zobaczył, że duże krople jego krwi spadają na drzewa pod nim.

- Halo, tam na dole. Słyszysz mnie?

Pierce nie odpowiedział. Trzymający go za kostki mężczyzna potrząsnął rękami, wskutek czego Henry znowu odbił się od ściany.

- Poświęcisz mi swoją uwagę?

Pierce wypluł krew z ust na mur.

- Tak, słyszę - powiedział.

- Dobrze. Chyba już się domyślasz, kim jestem.

- Chyba tak.

- Dobrze. Nie ma potrzeby wymieniać nazwisk. Po prostu chcę się upewnić, że obydwaj jesteście właściwie poinformowani i dochodzimy do porozumienia.

- Czego chcesz?

Trudno było mówić z głową do dołu. Krew wzbierała Pierce'owi w gardle i ściekała na podniebienie.

- Czego chcę? No, przede wszystkim chciałem ci się przyjrzeć. Jak facet dwa bite dni węszy ci koło dupy, to masz ochotę zobaczyć, jak wygląda, prawda? Pewnie. Poza tym chciałem ci przekazać wiadomość. Sześć-Osiem?

Pierce został nagle dźwignięty wyżej. Wciąż wisiał głową do dołu, ale jego twarz znalazła się na poziomie poręczy balkonu. Zobaczył przez pręty, że niski mężczyzna przykucnął tak, iż ich twarze były na tym samym poziomie.

- Chciałem ci powiedzieć, że nie tylko trafił ci się niewłaściwy numer, ale i niewłaściwy świat, facet. I masz jakieś pół minuty na decyzję, czy chcesz wrócić do swojego świata, czy wolisz przenieść się do drugiego. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Pierce kiwnął głową i zaczął się krztusić.

- Rozumiem... Nie będę... więcej...

- Jasne, że nie będziesz. Powiniennem kazać mojemu człowiekowi cię puścić, żebyś rozkwasił sobie dupę na betonie. Nie mam ochoty, żeby gliny za mną węszyły, więc tego nie zrobię. Coś ci jednak powiem, cwaniaczku. Jeśli znowu cię złapię na tym, że kręcisz się i niuchasz, to lecisz. Rozumiesz?

Pierce pokiwał głową. Mężczyzna, niemal na pewno Billy Wentz, wyciągnął rękę między prętami i brutalnie poklepał go po policzku.

- No to zachowuj się.

Wstał i dał znak osiłkowi. Sześć-Osiem dźwignął Pierce'a przez poręcz i rzucił na posadzkę balkonu. Henry złagodził upadek rękami i wcisnął się w kąt. Podniósł wzrok na obydwóch napastników.

- Masz tu ładny widok - powiedział niższy mężczyzna. - Hę płacisz?

Pierce popatrzył na ocean. Wypluł na podłogę porcję gęstej krwi.

- Trzy tysiące.

- Jezu Chryste! Za te pieniądze mógłbym mieć trzy takie kurewskie miejsca.

Balansujący na granicy nieprzytomności Pierce zastanawiał się, jak zinterpretować słowo „kurewskie” w ustach Wentza: czy chodziło mu o mieszkania dla dziwek, czy było to standardowe przekleństwo. Próbował strząsnąć ogarniającą jego umysł mgłę. Przyszło mu do głowy, że niezależnie od tego, co jemu grozi, koniecznie musi spróbować ochronić Lucy LaPorte.

Wypluł na balkon kolejną porcję krwi.

- Co z Lucy? Co jej zrobicie?

- Lucy? Kto to, kurwa, Lucy?

- To znaczy Robin.

- Och, nasza mała Robin. Wiesz, Henry, to bardzo dobre pytanie, Bo Robin tłucze dobrą kasę. Muszę być wstrzemięźliwy. Muszę za chować umiar, jeśli chodzi o nią. Bądź spokojny - cokolwiek zrobimy, nie zostawimy śladów i wróci do roboty jak nowa za dwa, góra trzy tygodnie.

Pierce nieporadnie szurał stopami po betonie, daremnie próbując się podnieść. Był zbyt zdezorientowany i słaby.

- Zostawcie ją w spokoju - powiedział na tyle dobitnie, na ile mógł. - Wykorzystałem ją, a ona nawet nie zdaje sobie z tego sprawy.

W ciemnych oczach Wentza jakby zapłonęło nowe światło. Pierce zdał sobie sprawę, że przebija w nich rosnący gniew. Wentz położył dłoń na poręczy, jakby musiał się przytrzymać.

- Mówi, żeby zostawić ją w spokoju.

Potrząsnął głową niczym ktoś, kto usiłuje całą siłą woli zapanować nad sobą.

- Proszę - powiedział Pierce. - Nic nie zrobiła. To wszystko przeze mnie. Dajcie jej tylko spokój.

Niski mężczyzna popatrzył na swojego osiłka i uśmiechnął się, po czym pokręcił głową.

- Dasz wiarę? Jeszcze śmie mi rozkazywać.

Obrócił się z powrotem w stronę Pierce'a, przysunął do niego o krok i wymierzył mu z wściekłością kopniaka. Pierce się tego spodziewał i zdołał złagodzić impet kopnięcia przedramieniem, jednak spiczasty czub wysokiego buta dosięgnął żeber po prawej stronie. Dwa z nich najprawdopodobniej złamał.

Pierce osunął się w róg i próbował zasłonić, spodziewając się kolejnych kopniaków i starając zapanować nad palącym bólem, rozprzestrzeniającym się w jego piersi. Wentz pochylił się jednak nad nim i wrzasnął, opryskując go śliną:

- Nie mów mi, kurwa, jak mam prowadzić interes! Ani mi się, kurwa, waż! -Wyprostował się i otrzepał ręce. -1 jeszcze jedno. Jak powiesz komukolwiek o naszej dzisiejszej pogawędce, to czekają cię konsekwencje. Przykre konsekwencje. Ciebie i Robin. I tych, których kochasz. Dociera do ciebie, co mówię? - Pierce pokiwał słabo głową. - To sam to powiedz.

- Rozumiem, jakie będą skutki.

- Dobrze. No to idziemy, Sześć-Osiem.

Pierce został sam. Rozpaczliwie łapał oddech i usilnie chwycił się resztek świadomości, starając się utrzymać w strefie światła, chociaż czuł nadciągający zewsząd mrok.

lyierce wyciągnął z pudła w sypialni koszulkę z krótkimi rękawami i przycisnął ją do twarzy, starając się powstrzymać krwawienie. Wyprostował się, przeszedł do łazienki i popatrzył na siebie w lustrze. Twarz już mu obrzmiewała i zmieniała kolor. Obrzęk nosa przysłaniał mu pole widzenia. Krwotok był głównie wewnętrzny; ciągła struga krwi ściekała Pierce'owi do gardła. Wiedział, że musi dotrzeć do szpitala, ale przedtem musiał ostrzec Lucy LaPorte.

Odnalazł telefon na podłodze salonu. Próbował otworzyć listę numerów, spod których dzwoniono do niego, wyświetlacz się jednak nie palił. Pierce nacisnął włącznik słuchawki, ale nie usłyszał sygnału. Aparat zepsuł się - albo od ciosu w twarz Henry'ego, albo wtedy gdy człowiek, który jego zdaniem był Wentzem, rzucił nim o podłogę.

Przytrzymując koszulkę przy twarzy, z mimowolnie ciekącymi spod powiek łzami Pierce rozejrzał się po mieszkaniu za pudłem z wyposażeniem na wypadek trzęsienia ziemi, które zamówił wraz z umeblowaniem. Monika pokazała mu wcześniej listę jego zawartości. Były w nim latarki i baterie, zestaw pierwszej pomocy, dwa galony wody, mnóstwo porcji liofilizowanego jedzenia oraz inne zapasy. Znajdował się w nim również prosty telefon, do korzystania z niego nie potrzebował elektryczności. Wystarczyło go po prostu włączyć do gniazdka.

Pierce odnalazł pudło w szafie w sypialni. Rozpaczliwie rozdarł wierzch, przyskając na wszystkie strony kroplami krwi. Wygrzebał telefon i podłączył go do gniazdka koło łóżka. Usłyszał ciągły sygnał. Teraz potrzebował jeszcze numeru Lucy.

Zapisał go w notesie, który zostawił w plecaku w samochodzie. Nie sądził, żeby brocząc krwią, zdołał zjechać i wjechać z powrotem. Na pewno zemdlałby po drodze.

Zadzwoił więc do informacji w Venice i poprosił o sprawdzenie numeru Lucy LaPorte, włącznie z innymi możliwymi pisowniami tego nazwiska. Taki abonent nie był jednak zarejestrowany - ani jako właściciel zastrzeżonego numeru, ani jawnego.

Pierce osunął się po ścianie na podłogę obok łóżka. Zaczynał wpadać w panikę. Musiał się do niej dodzwonić, ale... Przypomniał sobie coś. Zadzwoił do laboratorium. Nikt jednak nie odpowiadał. Niedziela była dla szczurów laboratoryjnych świętością. Pracowali sześć dni w tygodniu, zwykle bardzo długo, rzadko jednak przyjeżdżali do pracy w niedzielę. Pierce spróbował dodzwonić się do Charliego Condon pod numer w biurze i w domu, lecz w obu miejscach zgłosiły się automatyczne sekretarki.

Pomyślał o Codym Zellerze, ale wiedział, że jego przyjaciel nigdy nie odbiera telefonów. Jedynym sposobem dotarcia do niego było zgłoszenie na pager i czekanie, aż oddzwoni.

Wiedział, co musi zrobić. Wybrał numer i czekał. Nicole podniosła słuchawkę po czterech sygnałach.

- To ja. Potrzebuję pomocy. Możesz przyjechać do...

- Kto mówi?

- Ja, Henry.

- Masz zmieniony głos. Co ty...

- Nicki! - krzyknął. - Posłuchaj. Miałem wypadek i potrzebuję twojej pomocy. O wszystkim porozmawiamy później. Potem ci to wytłumaczę.

- Dobrze - odparła tonem świadczącym, że nie jest przekonana. -

Co to za wypadek?

- Masz jeszcze podłączony komputer?

- Tak. Nie zmieniłam nawet tabliczki na domu. Nie...

- Bardzo dobrze. Idź do komputera. Pospiesz się!

Wiedział, że Nicole ma łącze DSL. Wymógł to na niej. W tej chwili jednak umożliwiało ono szybsze dotarcie do strony w Internecie.

Nicole usiadła przy komputerze i przełączyła się na słuchawkę, które przy nim trzymała.

- No dobrze, chcę, żebyś otworzyła stronę internetową. Nazywa się L.A., kreska, Darlings, kropka, com.

- Kpisz sobie ze mnie? To jakiś...

- Zrób to, i tyle! Inaczej ktoś może zginąć!

- Dobra, dobra. L.A., kreska, Darlings... W porządku, otworzyłam.

Pierce starał się przypomnieć sobie wygląd witryny.

- Dobrze, teraz kliknij na folder hostess i otwórz listę blondynek. - Zaczekał. - Masz ją?

- Otwieram najszybciej, jak... Dobrze, co teraz?
 - Przewiń zakładki. Kliknij na zdjęcie podpisane: Robin.
- Znów zaczekał. Uświadomił sobie, że głośno oddycha - z gardła wydobywał mu się basowy świst.
- Dobrze, mam Robin. Te cycki na pewno są sztuczne.
 - Przeczytaj tylko numer.
- Nicole go podała. Pierce rozpoznał numer - znaleźli właściwy.
- Zaraz zadzwonię.
- Nacisnął widełki i przytrzymał je przez trzy sekundy. Rozległ się ciągły sygnał. Wybrał numer Robin. Zaczynał mieć zawroty głowy. Resztki pola widzenia rozmywały się mu na krańcach. Po pięciu sygnałach włączyła się poczta głosowa.
- Cholera!
- Nie wiedział, co ma począć. Nie mógł wystać do Robin policji. Nie wiedział nawet, gdzie naprawdę mieszka. Po powitaniu Robin rozległ się sygnał do nagrania wiadomości. Pierce zaczął mówić, odniósł wrażenie, że język przestaje mu się mieścić w ustach.
- Lucy, to ja. Henry. Wentz był u mnie. Uważa, że mam coś wspólnego z Lilly. Myślę, że teraz wybiera się do ciebie. Jeżeli dostaniesz tę wiadomość, uciekaj. Natychmiast! Nie zastanawiaj się, tylko zaszyj się w jakimś bezpiecznym miejscu i wtedy do mnie zadzwoń.
- Podał swój numer i się rozłączył.
- Przycisnął z powrotem do twarzy skrwawioną koszulę i oparł się o ścianę. Przypływ adrenaliny i endorfin, spowodowany napaścią Wentza, opadał, zastępował go tępy, pulsujący ból. Cierpienie przenikało całe jego ciało. Bolały go wszystkie mięśnie i stawy. Czuł, jakby jego twarz pulsowała niczym neon rytmicznymi salwami spopielającego ognia. Stracił chęć, by w ogóle się poruszać. Miał ochotę jedynie zemdleć i odzyskać świadomość, kiedy wyzdrowieje i wszystko wróci do normy.
- Poruszając tylko ręką, podniósł z powrotem słuchawkę z widełek, tak by widzieć klawiaturę. Nacisnął klawisz powtórnego wybierania i czekał. Znów zgłosiła się poczta głosowa Lucy. Pierce miał ochotę zakląć na głos, ale za bardzo bolały go usta. Na oślep namacał widełki i odłożył słuchawkę.
- Aparat zadzwonił, nim zdjął z niego rękę. Podniósł go do ucha.
- Lo?
 - Nicki. Możesz mówić? Na pewno nic się nie dzieje?
 - Nie.
 - Mam się rozłączyć?
 - Nie, ciążm powiedzić, ż si dzije.

- Co się stało? Dlaczego masz taki dziwny głos? Dlaczego potrzebowałeś numeru tej kobiety?

Mimo bólu, strachu i całej reszty Pierce'a zdenerwował sposób, w jaki Nicole powiedziała „tej kobiety”.

- Długa historia, a ni mogh... ni...

Poczuł, że traci przytomność, ale gdy zaczął się osuwać na podłogę, przy skrzywieniu ciała pierś przeszył mu kłujący ból. Jęk dobył się gdzieś głęboko z jego trzewi.

- Henry! Jesteś ranny?! Henry! Słyszysz mnie?!

Pierce przesunął biodra po dywanie, aż zdołał położyć się płasko na plecach. Gdzieś w jego wnętrzu rozległ się ostrzegawczy głos - zdał sobie sprawę, że może utopić się we własnej krwi, jeśli pozostanie w tej pozycji. Przez głowę przeleciała mu myśl o gwiazdach rocka, które udusiły się własnymi wymiocinami. Upuścił słuchawkę. Wylądowała na podłodze obok jego głowy. Do prawego ucha docierał cichy, odległy głosik, wołający go po imieniu. Wydało mu się, że go poznaje, co wywołało u niego uśmiech. Przypomniał sobie, że Jimi Hendrix udusił się własnymi wymiocinami i uznał, że nie ma ochoty utopić się we krwi. Próbował zaśpiewać; z gardła wydobył mu się jedynie bulgoczący szept:

- *suze me why I iss the sy...*

Z niewiadomego powodu nie mógł wypowiedzieć głoski „k”. Dziwne. Szybko przestało to mieć znaczenie. Cichy głosik w prawym uchu odpłynął, wkrótce zastąpiony głośnym wyciem gdzieś w ciemności. Niedługo nawet to ucichło i została jedynie otaczająca go ciemność. Która mu odpowiadała.

obieta, którą Pierce widział po raz pierwszy w życiu, przegarnia-mu palcami włosy. Zachowywała się dziwnie bezosobowo i zdawkowo jak na taką intymną czynność. Następnie nachyliła się bliżej i przyłożyła mu dłoń do czoła. Uniosła jakieś narzędzie - latarkę? - i zaświeciła mu po kolei w oczy. Potem usłyszał męski głos:

- Żebra. Trzecie i czwarte. Mogło dojść do odmy.

- Jeśli przyłożymy mu maskę do nosa, to pewnie podskoczy pod sam sufit - powiedziała kobieta.

- Coś mu podam.

Pierce zobaczył teraz mężczyznę - wszedł w pole widzenia ze strzykawką w dłoni obciążonej rękawiczką. Wycisnął cienką strzykawkę cieczy w powietrze. Po chwili Pierce poczuł ukłucie w ramię. Wkrótce po jego ciele rozlało się ukojenie i ciepło łaskoczące w pierś. Uśmiechnął się - o mało się nie roześmiał. Ciepło i ukojenie prosto z igły. Cuda chemii.

- Dodatkowe pasy - poleciła kobieta. - Pionizujemy go.

Cokolwiek to znaczyło, Pierce'owi zamykały się oczy. Ostatnią rzeczą, jaką dojrzał przed ucieczką w ciepło, był stojący nad nim policjant.

- Wyjdzie z tego? - zapytał funkcjonariusz.

Pierce nie dosłyszał odpowiedzi.

Kiedy odzyskał przytomność, znajdował się w pozycji pionowej. Chociaż właściwie nie. Otworzył oczy i stwierdził, że cała trójka stłoczyła się wokół niego. Kobieta z latarką, mężczyzna ze strzykawką. I policjant. Była tu też Nicole. Wpatrywała się w niego ze łzami w ciemnozielonych oczach. Mimo to była piękna. Miała gładką, opaloną skórę i splecione w warkocz połyskujące włosy.

Winda ruszyła w dół, a Pierce nagle poczuł obawę, że zwymiotuje. Próbował o tym ostrzec, ale nie mógł poruszyć szczęką, jakby przybito ją do ściany. Szarpnął się, ale nie mógł nawet unieść głowy.

Napotkał wzrok Nicole. Przyłożyła mu dłoń do policzka.

- Trzymaj się, Hewlett - powiedziała. - Nic ci nie będzie.

Spostrzegł, że zrobiła się o wiele wyższa od niego. Wcześniej tak nie było. Rozległo się piknięcie, zdające się odzywać echem pod jego czaszką. Drzwi windy się rozsunęły. Mężczyzna i kobieta ustawili się po jego bokach i wyprowadzili go na zewnątrz. Tyle że nie szedł. Wreszcie zrozumiał, co znaczy „pionizowanie”.

Po wyjściu z windy nosze opuszczono i potoczono przez hol. Na Pierce'a patrzyło po drodze mnóstwo twarzy. Portier przyglądał się z powagą, gdy wytaczano go przez drzwi. Wstawiono nosze do karetki. Pierce nie czuł bólu, ale trudno mu było oddychać. Musiał włożyć w to o wiele więcej wysiłku niż zwykle.

Po chwili zauważył, że Nicole siedzi przy nim. Płakała.

Stwierdził, że w pozycji horyzontalnej może poruszać się trochę łatwiej. Próbował się odezwać. Jego głos zabrzmiał jak stłumione echo. Kobieta - ratowniczką medyczną - pochyliła się nad nim i znalazła się w polu jego widzenia.

- Proszę nic nie mówić - powiedziała. - Ma pan maskę na twarzy. Bez żartów, pomyślał. Każdy nosi maskę. Spróbował znowu, staraając się mówić jak najgłośniej. I tym razem jego głos był stłumiony.

Ratowniczka pochyliła się ponownie i podniosła maskę tlenową.

- No, szybko, o co chodzi? Nie może jej pan zdejmować.

Wyjrzał znad jej ramienia na Nicole.

- Zwoń do Lucy. Zzwoń z mórki.

Maska wróciła na miejsce. Nicole pochyliła się nisko nad Pierce'em.

- Lucy? Kto to jest Lucy, Henry?

- Tzna...

Maska została uniesiona.

- Rovin. Zzwoń.

Nicole kiwnęła głową. Zrozumiała. Maskę znalazła się z powrotem na ustach i nosie.

- Dobrze, zadzwonię. Kiedy tylko dojedziemy do szpitala. Zabram numer ze sobą.

- Nie, teraz! - zawołał przez maskę.

Patrzył, jak Nicole wyjmuje z torebki telefon komórkowy i mały kołonotatnik. Odszukała numer, wybrała go i czekała, przyłożywszy aparat do ucha. Wreszcie przystawiła go do głowy Pierce'owi. Usły-

szał głos Lucy. Komunikat w poczcie głosowej. Jęknął i spróbował potrząsnąć głową, ale nie zdołał.

- Spokojnie - powiedziała ratowniczką. - Niech pan zachowa spokój. Jak dojedziemy do izby przyjęć, zdejmemy pasy.

Pierce zamknął oczy. Chciał na powrót pograżyć się w ciepłe i ciemności. Gdzie nikt nie zadawał pytań: dlaczego. Zwłaszcza on sam.

Wkrótce się tam znalazł.

Odzyskiwał i tracił przytomność przez następne dwie godziny; w izbie przyjęć został zbadany przez lekarza o starannie ułożonej fryzurze. Opatrzono go i przyjęto do szpitala. Wreszcie rozjaśniło mu się w głowie. Ocknął się w białej szpitalnej sali; ze snu wytrącił go raptowny kaszel kogoś po drugiej stronie dzielącej ją plastikowej zasłony. Pierce rozejrzał się i zobaczył siedzącą na krześle Nicole z telefonem komórkowym przy uchu. Rozpuściła włosy; spadały jej na ramiona. Antena aparatu wystawała spośród ich jedwabistej gładzi. Przyglądał się jej, aż bez słowa złożyła telefon.

- Ni'i - powiedział chrapliwym głosem. - Dziękii...

Wciąż trudno było mu wymawiać „k” bez bólu. Nicole podeszła do niego.

- Henry. Jesteś... - Po drugiej stronie zasłony rozległ się znowu kaszel. - Starają się znaleźć dla ciebie izolatkę - szepnęła Nicole. - Twoje ubezpieczenie zdrowotne to obejmuje.

- Gdzie jestem?

- W szpitalu St John's. Co się stało, Henry? Policjanci przyjechali do ciebie przede mną. Mówili, że mnóstwo ludzi na plaży dzwoniło z telefonów komórkowych, że jakichś dwóch facetów wywiesiło czło wieka z balkonu. Ciebie, Henry. Na zewnętrznej ścianie jest krew.

Pierce popatrzył na nią zapuchniętymi oczyma. Obrzęk nosa i przykrywająca go gaza dzieliły na pół jego pole widzenia. Przypomniał sobie, co powiedział Wentz przed wyjściem.

- Nic nie pamiętam. Co jeszcze mówili?

- To wszystko. *Zaczęli* stukać do drzwi w budynku. Twoje były szeroko otwarte. Leżałeś w sypialni. Dojechałam, kiedy cię zabierali. Był tam detektyw z policji. Chce z tobą porozmawiać.

- Niczego sobie nie przypominam.

Powiedział to możliwie dobitnie. Mówienie przychodziło mu coraz łatwiej. Trzeba było tylko nabrać wprawę.

- Henry, w coś ty się wpakował?

- Nie wiem.

- Kim jest Robin? I Lucy? Kim one są?

Nagle przypomniał sobie, że musi ją ostrzec.

- Jak długo tu jestem?
- Parę godzin.
- Daj mi swój telefon. Muszę do niej zadzwonić.
- Dzwoniłam pod jej numer co dziesięć minut. Właśnie telefonowałam, kiedy się obudziłeś. Stale zgłasza się jej poczta głosowa.
- Pierce przyknął oczy. Zastanawiał się, czy Lucy dostała wiadomość od niego i zdążyła uciec przed Wentzem.
- Mimo to daj mi telefon.
- Sama to zrobisz. Pewnie nie powinieneś za dużo się poruszać. Do kogo mam zadzwonić?
- Podał jej numer swojej poczty głosowej i kod dostępu. Nicole najwyraźniej nie zwróciła uwagi na znaczenie tego faktu.
- Masz osiem wiadomości.
- Wszystkie do Lilly po prostu wykasuj. Nie słuchaj ich.
- Dotyczyło to siedmiu z nich. Była tylko jedna, której zdaniem Nicole Pierce powinien wysłuchać. Przysunęła mu aparat do głowy, by mógł słyszeć nagrany komunikat, ale wyjął go jej z ręki.
- „Hej, Einsteinie - był to głos Cody'ego Zellera. - Zebrałem trochę materiałów, o które mnie prosiłeś. Brzęknij do mnie, to pogadamy. Siemanko, stary”.
- Pierce skasował wiadomość i oddał aparat Nicole.
- To Cody? - zapytała.
- Tak.
- Tak myślałam. Dlaczego wciąż się tak do ciebie zwraca? Jakbyście dalej byli w gimnazjum.
- Właściwie w college'u.
- Mówienie bolało, ale nie tak bardzo, jak podejrzewał.
- O co mu chodziło?
- Nic ważnego. Szperał dla mnie w Sieci.
- O mało co nie zaczął opowiadać Nicole o tym i całej reszcie. Zanim jednak zdążył poskładać słowa, na salę wszedł mężczyzna w lekarskim fartuchu i z podkładką na dokumenty w ręku. Był pod sześćdziesiątkę, miał siwe włosy i tej samej barwy brodę.
- To doktor Hansen - powiedziała Nicole.
- Jak się pan czuje? - zapytał lekarz.
- Pochylił się nad Pierce'em i odwrócił dłonią jego twarz lekko w swoją stronę.
- Boli tylko wtedy, kiedy oddycham. Albo mówię. Albo kiedy ktoś tak robi.
- Hansen puścił jego podbródek. Sprawdził w świetle latarki źrenice Pierce'a.

- Cóż, odniósł pan dość poważne obrażenia. Ma pan wstrząs mózgu drugiego stopnia i sześć szwów w okolicy ciemieniowej. - Pierce nawet nie przypominał sobie, żeby go tam bolało. Rana powstała pewnie, kiedy uderzył głową o ścianę budynku. - Wstrząs jest u pana przyczyną ospałości; może pana też boleć głowa. Zobaczmy, co jeszcze? Ma pan stłuczenie płuca, rozległe potłuczenia barku, dwa złamane żebra i oczywiście złamany nos. Obrażenia nosa i wokół oka będą wymagały chirurgii plastycznej, aby nie zostały trwałe blizny. Sprowadzę tu dzisiaj wieczorem kogoś, żeby się tym zajął, ale wszystko zależy od tempa ustępowania obrzęku. Może pan też wezwać osobistego chirurga, jeśli go pan ma.

Pierce pokręcił głową. Wiedział, że wielu ludzi w tym mieście miało na wezwanie osobistych chirurgów plastycznych. On jednak do nich nie należał.

- Wszystko jedno, kogo pan ściągnie...

- Henry - przerwała mu Nicole. - Przecież mówimy o twojej twarzy. Uważam, że powinieneś dostać najlepszego chirurga.

- Myślę, że znajdę dla pana kogoś bardzo dobrego - powiedział Hansen. - Podzwonię trochę i powiem panu, co załatwiłem.

• - Dziękuję.

Wypowiedział to słowo dość wyraźnie. Wyglądało na to, że szybko uczy się wyraźniej mówić mimo nieco zmienionych warunków, w jakich powietrze przechodziło przez jamę ustną i przewody nosowe.

- Niech pan jak najmniej wstaje - powiedział Hansen. - Niedługo go wrócę.

Lekarz skinął głową i wyszedł. Pierce obejrzał się na Nicole.

- Wygląda na to, że na razie tu ugrzęznę. Nie musisz siedzieć przy mnie.

- Nie ma sprawy.

Uśmiechnął się do niej. Bolało, ale uśmiechał się dalej. Był uszczęśliwiony jej odpowiedzią.

- Dlaczego zadzwoniłeś do mnie w środku nocy, Henry?

Wypadło mu to z głowy. Przypomnienie o tym spowodowało, że znów poczuł zażenowanie. Starannie obmyślił z góry odpowiedź.

- Sam nie wiem. To długa historia. Miałem dziwny weekend. Chciałem się tym z tobą podzielić. I powiedzieć ci, nad czym się zastanawiałem.

- To znaczy?

Bolało, ale musiał jej to powiedzieć.

- Dokładnie nie wiem. To, co mnie spotkało, sprawiło, że o wiele wyraźniej dostrzegłem twój punkt widzenia. Wiem, że pewnie za

późno, ale tak czy inaczej chciałem, abyś wiedziała, że wreszcie przejrzałem na oczy.

Nicole potrząsnęła głową.

- Bardzo dobrze, Henry. Leżysz tu jednak z poharataną głową i pokiereszowaną twarzą. Wygląda na to, że ktoś próbował cię wyrzucić z balkonu na jedenastym piętrze. Gliniarze mają ochotę na rozmowę z tobą. Mam wrażenie, że zadałeś sobie mnóstwo trudu, żeby zrozumieć mój punkt widzenia. Wybacz więc, że nie poderwę się, że by uściskać nowego człowieka, jakim się mienisz.

Pierce wiedział, że jeśli coś odpysknie, wkroczą na znajome terytorium. Czuł, że brakuje mu sił na kolejną sprzeczkę.

- Możesz jeszcze raz spróbować zadzwonić do Lucy?

Nicole wcisnęła klawisz powtarzania numeru.

- Powinnam wpisać go w szybkie wybieranie.

Po jej wzroku poznał, że znów zgłosiła się poczta głosowa. Nicole złożyła telefon i popatrzyła na Pierce'a.

- Henry, co się z tobą dzieje?

Spróbował potrząsnąć głową, ale okazało się to zbyt bolesne.

- Dostałem niewłaściwy numer - powiedział.

lclierce obudził się ze snu, w którym spadał na oślep ze związanymi & oczami z bliżej nieokreślonej wysokości. Kiedy wreszcie zderzył się z gruntem, otworzył oczy i zobaczył przed sobą detektywa Rennera z krzywym uśmiechem na twarzy.

- To pan.

- No, znowu ja. Jak się pan czuje, Pierce?

- Doskonale.

- Wyglądało na to, że ma pan jakieś koszmary. Mocno się pan rzucił w łóżku.

- Może pan mi się przyśnił.

- Kto to są Wickershamowie?

- Słucham?

- Wypowiadał pan to nazwisko *przez* sen. Wickershamowie.

- To małpy. Z dżungli. Niedowiarki.

- Nie rozumiem.

- Wiem. Nie musi pan sobie zawracać tym głowy. Dlaczego pan tu przyjechał? Czego pan chce? To, co się wydarzyło, wydarzyło się w Santa Monica i już rozmawiałem z tamtejszą policją. Nic nie pamiętam. Wstrząs mózgu, rozumie pan.

- Och, wiem wszystko o pańskich obrażeniach. - Renner pokiwał głową. - Pielęgniarka powiedziała mi, że chirurg plastyczny założył panu wczoraj rano sześćdziesiąt mikroszwów wokół nosa i oka. Tak czy inaczej, jestem tu w związku ze sprawą prowadzoną przez policję Los Angeles, chociaż coraz bardziej wygląda na to, że my i policja z Santa Monica powinniśmy działać wspólnie.

Pierce uniósł rękę i delikatnie dotknął grzbietu nosa. Gazę zdjęto; wyczuł obrzmienie i przypominający suwak rząd szwów. Spróbo-

wał przypomnieć sobie ostatnie wydarzenia. Wyraźnie zapamiętał chirurga plastycznego, który pochylał się nad nim z silną lampą. Później Pierce odzyskiwał świadomość i tracił ją, na powrót pogrążając się w warstwach ciemności.

- Która godzina?

- Piętnaście po trzeciej.

Przez żaluzje w oknie wpadało jaskrawe światło, a więc nie był to środek nocy. Pierce zdał sobie też sprawę, że jest w odosobnionym pokoju.

- Poniedziałek? Nie, wtorek, prawda?

- Tak napisano w dzisiejszych gazetach, tylko czy można im wierzyć.

Pierce czuł się fizycznie silny - najwidoczniej przespał bez przerwy ponad piętnaście godzin - ale niepokoiło go niechcące ustąpić wrażenie, że śni. Tak samo jak obecność Rennera.

- Czego pan chce?

- Cóż, przede wszystkim załatwmy jedną sprawę. Odczytam panu naprawdę szybko pańskie prawa. W ten sposób i pan, i ja będziemy kryci.

Detektyw postawił na łóżku tacę na posiłki i ustawił na niej miniaturowy magnetofon.

- Co to znaczy, będzie pan kryty? Przed czym? Bzdury pan opowiada, Renner.

- Skądże. Muszę to zrobić, aby nie naruszyć przepisów. Od tej pory będę nagrywać wszystkie nasze rozmowy.

Wcisnął klawisz magnetofonu. Zapaliło się czerwone światełko. Renner podał swoje nazwisko, datę, godzinę i miejsce rozmowy. Zidentyfikował Pierce'a i odczytał z wyjętej z kieszeni karteczki gwarantowane mu przez konstytucję prawa.

- Rozumie pan prawa, które panu odczytałem?

- Dostyc się ich nasłuchałem, kiedy dorastałem. - Renner uniósł brew. Pierce dodał: - W kinie i telewizji.

- Proszę odpowiedzieć na pytanie i w miarę możliwości powstrzymać się od dowcipkowania.

- Tak, rozumiem swoje prawa.

- Dobrze. No cóż, nie będzie panu przeszkadzało, jeśli zadam kilka pytań?

- Jestem podejrzany?

- O co?

- Nie wiem. Niech pan mi powie.

- Hm, no właśnie. Trudno powiedzieć, z czym mamy do czynienia.

- Mimo to uważał pan, że powinien odczytać mi moje prawa. Oczywiście, żeby mnie chronić.
- Właśnie.
- O co chce pan pytać? Znaleźliście Lilly Quinlan?
 - Pracujemy nad tym. Nie wie pan, gdzie ona jest, czy tak?
 Pierce potrząsnął głową, od czego trochę mu się w niej zakręciło. Odczekał, aż zawrót głowy ustąpi, nim odpowiedział:
 - Nie. Szkoda, że mi się nie udało.
- Istotnie, sporo by się wyjaśniło, gdyby po prostu weszła do tego pokoju, prawda?
- Właśnie. To jej krew była na łóżku?
- Wciąż nad tym pracujemy. Wstępne testy wykazały, że to ludzka krew, nie mamy jednak próbki od Lilly Quinlan, z którą moglibyśmy ją porównać. Myślę, że muszę przycisnąć jej lekarza. Zobaczmy, może ma jakąś dokumentację lub próbki. Kobieta jej profesji pewnie regularnie robiła badania krwi.
- Pierce domyślił się, że detektywowi chodziło o badania wykonywane pod kątem chorób przenoszonych drogą płciową. Mimo to potwierdzenie oczywistego faktu - iż krew na łóżku pochodziła od człowieka - wtrąciła go w jeszcze głębsze przygnębienie. Nadzieja, że Lilly Quinlan żyje, coraz bardziej malała.
- Od tej pory ja będę zadawał pytania, dobrze? - powiedział Renner. - Co z tą dziewczyną, Robin, o której pan wcześniej wspominał? Widział się pan z nią?
- Nie, trafiłem tutaj.
- Rozmawiał pan z nią?
- Nie. A pan?
- Nie zdołaliśmy jej *znaleźć*. Dzięki temu, co pan powiedział, znaleźliśmy numer jej telefonu na stronie internetowej. Zgłaszała się jednak tylko poczta głosowa. Spróbowaliśmy nawet nagrać wiadomość - jeden z posterunkowych umie udawać przez telefon... no, wie pan, klienta. Robin jednak i po niej nie oddzwoniła.
- Pierce poczuł, że robi mu się słabo. Przypomniawszy sobie, że Nicole wielokrotnie próbowała dodzwonić się do Lucy i za każdym razem jej to nie wychodziło. Być może Wentz dobrał się do Lucy - może nawet nadal jest w jego rękach. Pierce zdał sobie sprawę, że musi podjąć decyzję. Mógł bawić się z Rennerem w ciuciubabkę, starając się chronić za parawanem kłamstw - albo spróbować pomóc Lucy.
- Hm, ustaliliście, gdzie jest jej numer?
- To komórka.
- A adres, pod który przychodzą rachunki?

- Telefon jest zarejestrowany na jednego z jej regularnych klientów. Facet powiedział, że wyświadcza jej przysługę. Płaci czynsz za jej kurwidółek i telefon, a dziewczyna daje mu za darmo co sobota po południu, gdy jego żonka robi zakupy u Lucky'ego w marinie. Moim zdaniem to raczej Robin wyświadcza jemu przysługę. Facet jest tłusty jak wieprz. Tak czy inaczej, w tę sobotę nie pokazała się u siebie - to małe mieszkanie w Marina Towers. Byliśmy tam. Pojechaliśmy z tym facetem, ale się nie pokazała.

- A on nie wie, gdzie naprawdę mieszka?

- Nie. Nigdy mu nie mówiła. Po prostu płaci za telefon komórkowy oraz mieszkanie i przyjeżdża w każdą sobotę. Wszystko wciąga w swój fundusz reprezentacyjny.

- Cholera.

Pierce wyobraził sobie Lucy w łapach Wentza i Sześć-Osiem. Przesunął dłonią po szwach na twarzy. Miał nadzieję, że udało się jej uciec, że po prostu gdzieś się ukrywa.

- No właśnie, tak i ja powiedziałem. Problem polega jeszcze na tym, że nie wiem, jak ma na nazwisko. Mamy jej zdjęcie z Internetu - jeśli to ona - i imię Robin. To oraz zabawne uczucie, że i jedno, i drugie jest fałszywe.

- Nie próbowaliście zajrzeć się witryną internetową?

- Mówiłem panu, że...

- Nie, jej siedzibą. Biurem w Hollywood?

- Byliśmy tam i natrafiliśmy na prawnika. Zero współpracy. Musimy mieć decyzję sądu, zanim udostępnią nam informacje o klientach, a jeśli chodzi o Robin, mamy za mało, żeby pójść do sędziego i prosić o nakaz.

Pierce ponownie zastanowił się nad możliwościami, jakie miał do wyboru. Chronić siebie albo pomóc Rennerowi, a w ten sposób być może i Lucy. Jeżeli nie było na to za późno.

- Niech pan wyłączy magnetofon.

- Słucham? Nie mogę. To oficjalne przesłuchanie. Powiedziałem panu, że je nagrywam.

- To niczego więcej się pan nie dowie. Jeśli go pan jednak wyłączy, to powiem panu parę przydatnych rzeczy.

Renner zawahał się, najwidoczniej rozważając tę ofertę. Pierce miał jednak uczucie, że jak na razie wszystko przebiegało zgodnie z ustalonym z góry przez detektywa scenariuszem, a on sam zmierza dokładnie w tym kierunku, na którym zależało policjantowi.

Detektyw wyłączył magnetofon. Czerwone światło nagrywania zgasło. Renner wsunął urządzenie do kieszeni marynarki.

- Dobra, co pan ma?
- Faktycznie nie ma na imię Robin. Powiedziała mi, że nazywa się Lucy LaPorte. Jest z Nowego Orleanu. Musicie ją odnaleźć. Grozi jej niebezpieczeństwo. Może już jest za późno.
- Kto jej grozi?

Pierce nie odpowiedział. Przypomniawszy sobie groźbę Wentza, żeby niczego nie mówił policji, oraz ostrzeżenie Glassa, prywatnego detektywa.

- Billy Wentz - powiedział wreszcie.
- Znowu Wentz - odparł Renner. - W całym tym interesie on robi za straszdyło, tak?
- Słuchaj, człowieku, może pan wierzyć w to, co mówię, albo nie, ale odszukajcie tylko Robin i przypilnujcie, żeby nic się jej nie stało.
- I tyle? To wszystko, co ma pan dla mnie?
- Jej zdjęcie na stronie internetowej jest autentyczne. Widziałem się z nią.

Renner pokiwał głową, jakby przez cały czas się tego domyślał.

- Sprawa się nieco rozjaśnia - odrzekł. - Co jeszcze może mi pan powiedzieć o Robin? Kiedy się pan z nią widział?
- W sobotę wieczorem. To ona zabrała mnie do mieszkania Lilly, ale odjechała, zanim wszedłem do środka. Niczego nie widziała, więc nie chciałem jej w to wciągać. Na tym zresztą polegała nasza umowa. Bała się, że Wentz się dowie.
- Cóż za przenikliwość. Zapłacił jej pan?
- Tak, ale czy to ważne?
- Ważne, bo pieniądze wpływają na motyw. Ile?
- Około siedmiuset dolarów.
- Mnóstwo forsy jak za przejażdżkę przez Venice. Zafundowała panu i inną przejażdżkę?
- Nie, detektywie, nie zafundowała.
- Skoro pańska wcześniejsza historyjka, że Wentz to straszny cyfrowy alfons, jest prawdziwa, Robin dużo ryzykowała, pokazując panu drogę do mieszkania Lilly, prawda?

Pierce przytaknął. Tym razem nie odniósł wrażenia, jakby pod czaszką miał akwarium. Nie odczuwał przykrych konsekwencji po pionowych ruchach, jedynie po kręceniu głową w poziomie.

- Co jeszcze? - przycisnął go Renner.
- Dzieli mieszkanie w Marina Towers z dziewczyną o imieniu Cleo. Ona chyba jest na tej samej stronie w Internecie, ale nie sprawdzałem. Może jak porozmawiacie z Cleo, powie wam, gdzie znaleźć Lucy.

- Niewykłuczone. To wszystko?
- Po raz ostatni widziałem Lucy w sobotę wieczorem w żółto-zielonej taksówce na Speedway. Może w ten sposób dojdziecie, gdzie mieszka.

Renner potrząsnął lekko głową.

- Wychodzi to tylko w filmach, ale nieczęsto w prawdziwym życiu. Poza tym Robin pewnie wróciła do swojego kurwidołka. W sobotę jest duży ruch w interesie.

Drzwi pokoju się otworzyły i weszła Monika Purl. Zobaczyła Rennera i zatrzymała się w progu.

- Och, przepraszam. Może...
- Owszem - powiedział Renner. - Sprawa policyjna. Może pani poczekać na zewnątrz?
- Przyjdę kiedy indziej. - Monika przeniosła wzrok na Pierce'a i na jej twarzy odbiła się zgroza. Henry spróbował się uśmiechnąć, uniósł lewą rękę i pomachał asystentce. - Zadzwoń - powiedziała Monika i znikła za drzwiami.
- Kto to? Jeszcze jedna przyjaciółka?
- Nie, moja asystentka.
- A zatem chce pan porozmawiać o tym, co wydarzyło się wczoraj na pańskim balkonie? To był Wentz?

Pierce długo nie odpowiadał, zastanawiając się, jakie konsekwencje niesłoby powiedzenie prawdy. Miał wielką ochotę wymienić nazwisko Wentza i wnieść przeciwko niemu oskarżenie. Był głęboko upokorzony tym, co zrobili mu Wentz i towarzyszący mu osiłek. Wiedział bez cienia wątpliwości, że jeśli nawet zabieg chirurgiczny okaże się udany i nie pozostaną po nim widoczne blizny, to trudno będzie mu żyć ze stale noszonym w pamięci wspomnieniem o napaści. Mimo wszystko pewnych blizn nie da rady usunąć.

Z drugiej strony, groźby Wentza - pod adresem jego, Robin, nawet Nicole - traktował jako bardzo realne. Skoro Wentz zdołał go odnaleźć i bez trudu wtargnąć do jego domu, to samo mogłoby spotkać Nicole.

- To sprawa policji z Santa Monica - powiedział wreszcie. - Co to pana obchodzi?
- To jedna i ta sama sprawa, i dobrze pan o tym wie.
- Nie chcę o tym rozmawiać. Nawet nie pamiętam, co się stało. Przypominam sobie, że wnosiłem zakupy do mieszkania, a potem odzyskałem świadomość, kiedy zajmowali się mną sanitariusze.
- Umysł to zmyślne urządzenie, prawda? To, jak usuwa złe wspomnienia. - Renner mówił sarkastycznym tonem, a po jego minie

Pierce widział, że detektyw nie wierzy w wersję o utracie pamięci. Obydwaj mężczyźni wpatrywali się w siebie przez długą chwilę. Renner dodał wreszcie: - Niech pan posłucha, jeśli Wentz panu groził, możemy przydzielić panu ochronę.

- Mówiłem panu, że nie pamiętam, co się wydarzyło. W ogóle niczego sobie nie przypominam.

- Pewnie, pewnie. - Renner pokiwał głową. - No dobra, dajmy sobie w takim razie spokój z balkonem. Zapytam pana o coś innego. Proszę powiedzieć, gdzie pan ukrył ciało Lilly?

Pierce zamarł ze strachu. Popatrzył na Rennera i zdał sobie sprawę, że detektyw jest śmiertelnie poważny. Zdał sobie sprawę, że jest podejrzany o zamordowanie Lilly.

- Żartuje pan czy co, do cholery? Nawet byście o tym nie wiedzieli, gdybym do was nie zadzwonił. Tylko ja przejąłem się jej losem.

- No, ale może dzwoniąc do nas i pałętając się po miejscu przestępstwa, zapewniał pan sobie elegancką obronę. Może nawet to, jak Wentz i któryś z jego kumpli obeszli się z pańską twarzą, to element tej obrony. Biedaczysko obrywa po nosie za to, że wtykał go, gdzie nie trzeba. We mnie jednak to nie budzi współczucia, panie Pierce. - Henry popatrzył na niego bez słowa. Wszystko, co zrobił lub co jemu zrobiono, było postrzegane przez Rennera zupełnie opacznie. - Opo wiem panu krótką historyjkę - powiedział detektyw. - Pracowałem kiedyś w dolinie Encino. Trafiła się nam sprawa zagubionej dziewczyny. Miała dwanaście lat, pochodziła z dobrego domu i wiedzieliśmy, że nie uciekła. Czasami to się po prostu wie. Zorganizowaliśmy więc złożoną z sąsiadów i ochotników brygadę, która przeszukała wzgórze. I cóż się okazało? Jeden z chłopaków z sąsiedztwa ją znalazł. Zgwałconą, uduszoną i wepchniętą w rów odwadniający. Strasznie wyglądała. I wie pan co? Okazało się, że dopuścił się tego chłopak, który ją znalazł. Dojście do niego zajęło trochę czasu, ale nam się udało, a on się przyznał. Co z tego, że ją znalazł? Nazywa się to kompleksem samarytanina. Ten jest winny, kto podnosi wrzawę. Cały czas tak się dzieje. Sprawca lubi być blisko policjantów i im pomagać, bo dzięki temu czuje się od nich lepszy i ma mniejsze wyrzuty sumienia z powodu tego, co zrobił.

Pierce miał trudności z przyjęciem do wiadomości, w jaki sposób sytuacja mogła obrócić się przeciwko niemu.

- Myli się pan - powiedział drżącym głosem. - Nie zrobiłem tego.

- Naprawdę? Myle się? No, to powiem panu, co mam. Mam zaginioną kobietę i krew na łóżku. Mam stek pańskich kłamstw i masę pańskich odcisków palców w domu i kurwidołku Lilly.

Pierce przymknął oczy. Pomyślał o mieszkaniu przy Speedway i domu barwy mewy przy Altair. Wiedział, że dotykał mnóstwa rzeczy. Wsadzał ręce, gdzie popadło. Jego odciski palców znajdowały się na perfumach, w szafach, na kopertach.

- Nie...

Nie potrafił powiedzieć nic innego.

- Co: nie?

- To wszystko pomyłka. Ja tylko... to znaczy... dostałem jej numer. Po prostu chciałem dowiedzieć się... chciałem jej pomóc... widzi pan, to była moja wina... i myślałem, że uda mi się...

Nie dokończył. Przeszłość i terażniejszość ocierały się o siebie. Zlewały się ze sobą, jedna przesłaniała drugą. Nasuwały się na siebie. Otworzył oczy i popatrzył na Rennera.

- Co pan myślał?

- Słucham?

- Niech pan dokończy. Co pan myślał?

- Sam nie wiem. Nie chcę o tym mówić.

- Daj spokój, mały. Sam zacząłeś, więc dokończ. Dobrze ci robi, jak się zwierzysz. Dobrze dla duszy. To twoja wina, że Lilly nie żyje. Co chciałeś przez to powiedzieć? Że to był wypadek? Opowiedz mi, co się stało. Może w to uwierzę i razem pójdziemy do prokuratora, spróbujemy zawrzeć jakiś układ.

Pierce czuł, że jego umysł przepełnia strach i poczucie zagrożenia. Niemal czuł, jak wydobywają się porami jego skóry - jakby te emocje były związkami chemicznymi o wspólnych cząsteczkach i wydobywały się na powierzchnię, by ulec rozproszeniu.

- O czym pan mówi? Lilly? To nie moja wina. Nawet jej nie znałem. Próbowałem jej pomóc.

- Dusząc ją? Podrzynając jej gardło? A może zabawiłeś się z nią w Kubę Rozpruwacza? O ile pamiętam, podejrzewa się, że to był na ukowiec. Lekarz czy coś w tym rodzaju. Jesteś nowym Rozpruwaczem, Pierce? Sprawiliś sobie torbę z narzędziami?

- Oszalał pan. Niech pan się wynosi.

- Sądzę, że to nie ja oszalałem. Dlaczego to była twoja wina?

-Co?

- Powiedziałeś, że to, co się z nią stało, to twoja wina. Dlaczego? Co zrobiła? Uraziła twoją męskość? Masz małego ptaszka, Pierce? O to chodzi?

Pierce potrząsnął kategorycznie głową, co wywołało kolejną falę zawrotów. Zamknął oczy.

- Nie powiedziałem tego. To nie moja wina.

- Powiedziałeś. Sam słyszałem.
- Nie. Wkłada mi pan słowa w usta. To nie moja wina. Nie miałem z tym nic wspólnego.

Otworzył oczy i zobaczył, że Renner sięgnął do kieszeni marynarki po magnetofon. Czerwone światełko się paliło. Pierce zorientował się, że to inny aparat niż ten, który detektyw postawił wcześniej na tacy, a następnie wyłączył. Policjant nagrał całą rozmowę.

Renner wcisnął klawisz przewijania, po kilku chwilach zatrzymał taśmę i wkrótce potem dotarł do miejsca, którego szukał. Otworzył to, co niedawno powiedział Pierce:

„To wszystko pomyłka. Ja tylko... to znaczy... dostałem jej numer. Próbowałem jej pomóc, bo... to moja wina... i myślałem, że uda mi się...”.

Detektyw zgasił magnetofon i popatrzył na Pierce'a z pełnym zadowolenia z siebie uśmiechem. Zapędził go w kozi róg. Pierce został oszukany. Wszystkie odruchy, wyniesione z ograniczonych kontaktów z prawem, podpowiadały mu, by nie odzywać się więcej ani słowem. Nie potrafił się jednak powstrzymać.

- Nie - powiedział. - Nie o niej mówiłem. Nie o Lilly Quinlan. Chodziło mi o moją siostrę. Byłem...

- Rozmawialiśmy o Lilly Quinlan, a pan powiedział, że to była pańska wina. To przyznanie się, przyjacielu.

- Nie, jak powiedziałem, ja...

- Wiem, co pan powiedział. Ładna historyjka.

- To prawda.

- Wie pan co? Prawda czy kłamstwo, czuję, że kiedy tylko znajdę ciało, dowiem się, co zdarzyło się naprawdę. Będę miał pana na wi delcu, i po sprawie. - Renner pochylił się nad łóżkiem, zatrzymując twarz kilka centymetrów od Pierce'a. - Gdzie ona jest, Pierce? Wiesz, że to nieuniknione, że ją znajdziemy, więc skończmy to wreszcie. Powiedz mi, co z nią zrobiłeś.

Nie odrywali od siebie wzroku. Pierce usłyszał szcęk włączanego magnetofonu.

- Wynos się pan.

- Lepiej porozmawiaj ze mną. Kończy ci się czas. Kiedy tylko wrócę na posterunek z tym nagraniem i trafi w ręce prawników, nie będę mógł ci już pomóc. Mów do mnie, Henry. Daj spokój, ulżyj sobie i powiedz prawdę.

- Powiedziałem, żeby się pan wynosił. Chcę adwokata.

Renner wyprostował się i uśmiechnął w porozumiewawczy sposób. Przesadnym gestem wystawił magnetofon przed siebie i go wyłączył.

- Oczywiście, że chcesz adwokata - powiedział. - I będziesz go potrzebował. Idę do prokuratora, Pierce. Na początek utrudnianie dochodzenia oraz włamanie. Z tego się nie wywiniesz, ale to bzdury. Znajdę na ciebie coś o wiele lepszego. - Zademontrował magneto fon, jakby nagrane na nim słowa były świętym Graalem. - Kiedy tylko znajdziemy ciało, gra skończona.

Pierce przestał go słuchać. Odwrócił się od detektywa i zapatrzył w przestrzeń, zastanawiając się, co go czeka. Nagle dotarło do niego, że grozi mu utrata wszystkiego. Firmy i całej reszty. W ułamku sekundy w jego wyobraźni runęły kostki domina: ostatnią był Goddard, wycofujący się z interesu i inwestujący swoje miliony gdzie indziej, na przykład w Bronson Technologies, Midas Molecular czy inną konkurencyjną firmę. Jeśli Goddard zwinie żagle, nikt inny nie zainteresuje się Amedeo. Zwłaszcza przy wrzawie związanej ze śledztwem w sprawie przestępstwa i możliwym procesem. Będzie po wszystkim. Pierce na dobre wypadnie z wyścigu.

Popatrzył z powrotem na Rennera.

- Powiedziałem, że nie będę więcej odpowiadał na pańskie pytania. Proszę wyjść. Chcę adwokata.

Renner pokiwał głową.

- Radzę panu, żeby wynajął pan sobie porządnego.

Sięgnął na szafkę z akcesoriami medycznymi po kapelusz, którego Pierce nie zauważył do tej pory. Brązowy, z siodełkiem i opuszczonym rondem. Pierce myślał, że nikt w Los Angeles już takich nie nosi. Nikt. Nie mówiąc ani słowa więcej, Renner wyszedł z pokoju.

Inlerce siedział nieruchomo przez chwilę, rozmyślając nad swoim v& położeniem. Zastanawiał się, w jakim stopniu groźba Rennera, że pójdzie do prokuratora, była blefem. Otrząsnął się z tych myśli i rozejrzał po pokoju, szukając telefonu. Błat stolika przy łóżku był pusty. Poręcze łóżka miały jednak najrozmaitsze przyciski do elektronicznego sterowania jego ułożeniem, a na przeciwległej ścianie wisiał telewizor. Okazało się, że aparat telefoniczny znajduje się w objęciu na prawej poręczy. W plastikowej kieszonce obok niego było ręczne lustro. Pierce wyjął je i po raz pierwszy od przywiezienia do szpitala przyjrzał się swojej twarzy.

Spodziewał się gorszego widoku. Kiedy w kilka chwil po napaści obmacał twarz, miał wrażenie, że przez całą jej długość biegają rany, które na pewno pozostawią trwałe blizny. Wtedy się tym nie przejmował, bo był szczęśliwy, że uszedł z życiem. Obecnie martwiło go to trochę bardziej. Zobaczył, że obrzęk nieco się zmniejszył. Miał jeszcze nieco opuchlizny w kąciakach oczu i dolnej części nosa. Oba nozdrza były wypchane gazą. Pod oczami wykwitły purpurowe sińce. Białkówka z boku tęczęwki lewego oka podbiegła krwią. Nos pokrywały ciągi mikroszwów.

Szwy układały się w literę K; jedna linia biegła wzdłuż grzbietu nosa, a dwie pozostałe okalały lewe oko. Górna ginęła w lewej brwi. Zgolono ją do połowy, by umożliwić szycie; Pierce uznał to za najosobliwszy szczegół swojego obecnego wyglądu.

Odłożył lustro i zdał sobie sprawę, że się uśmiecha. Twarz miał prawie do reszty zmasakrowaną. Detektyw z policji Los Angeles starał się wsadzić go do więzienia za przestępstwo, które odkrył, ale którego nie popełnił. Cyfrowy alfons z osiłkiem na zawołanie stanowili realną groźbę dla Henry'ego i bliskich mu ludzi. Mimo to sie-

dział w łóżku i się uśmiechał. Nie pojmował dlaczego, ale domyślał się, że ma to coś wspólnego z odbiciem, jakie zobaczył w lusterku. Przeżył, a jego twarz dowodziła, jak niewiele brakowało, by mu się to nie udało. Był to powód do ulgi i uśmiechu, który niezbyt pasował do sytuacji.

Wziął telefon do ręki i wybrał numer Jacoba Każą, prawnika patentowego firmy. Adwokat odebrał prawie natychmiast.

- Harry, nic ci nie jest? Słyszałem, że zostałeś napadnięty czy coś w tym rodzaju. Co się...

- To długa historia, Jacob. Będę musiał ci ją kiedyś opowiedzieć. Na razie potrzebuję od ciebie nazwiska. Potrzebny mi adwokat. Zajmujący się obroną w sprawach karnych. Ktoś dobry, ale nie lubiący, żeby jego twarz pojawiała się w telewizji, a nazwisko w gazetach.

Pierce wiedział, że prosi o rzadkość w Los Angeles. Niedopuszczenie do rozgłosu było jednak równie ważne, jak ewentualna obrona przed niesłusznym oskarżeniem o morderstwo. Sprawę trzeba było załatwić szybko i dyskretnie, bo inaczej padające kostki domina, które Pierce wyobraził sobie kilka chwil wcześniej, zamienia się w rzeczywiste bloki, pod którymi legnie w gruzy los jego firmy i jego samego.

Każ chrząknął przed odpowiedzią. Nie okazał niczym, że życzenie Pierce'a jest niezwykle lub w jakikolwiek sposób odbiega od normy.

- Myślę, że mam kogoś dla ciebie - powiedział. - To kobieta. Spodoba ci się.

f środę rano Pierce rozmawiał przez telefon z Charliem Condo-nem, kiedy do szpitalnego pokoju weszła kobieta w szarym kostiumie. Podała Henry'emu wizytówkę z napisem: „Janis Langwiser, adwokat”. Zakrył dłonią słuchawkę i powiedział jej, że właśnie kończy rozmawiać.

- Muszę już kończyć, Charlie. Właśnie przyszedł mój lekarz. Po wiedz mu tylko, że musimy przesunąć prezentację na weekend albo początek przyszłego tygodnia.

- Nie mogę, Henry. Chce zobaczyć Proteusa, zanim złożymy wniosek. Nie chcę z tym zwlekać, ty tak samo. Poza tym spotkałeś już Maurice'a. Nie zniechęci się twoim widokiem,

- Zadzwoń tylko raz jeszcze do niego i spróbuj to przełożyć.

- Dobrze. Spróbuję. Zadzwonię potem do ciebie.

Charlie się rozłączył. Pierce wsunął aparat do obejmy przy łóżku. Spróbował uśmiechnąć się do Janis Langwiser, lecz twarz bolała go bardziej niż dzień wcześniej. Uścisnął jej rękę.

- Janis Langwiser. Miło mi pana poznać.

- Henry Pierce. Okoliczności sprawiają, że to raczej mnie miło panią widzieć,

Jacob Kaz przedstawił mu już referencje prawniczki. Janis Langwiser zajmowała się sprawami karnymi w małej, lecz wpływowej firmie Smith, Levin, Colvin and Enriquez ze śródmieścia. Firma była według Kazą tak ekskluzywna, że nie ogłaszała się w żadnej książce telefonicznej. Jej klienci należeli do elity, lecz nawet im od czasu do czasu potrzebna była obrona w procesach karnych, i to właśnie należało do zadań Janis Langwiser. Przeszła do kancelarii rok wcześniej z prokuratury okręgowej, kończąc karierę, w trakcie której oskarżała w kilku najgłośniejszych procesach w Los Angeles w ciągu ostat-

nich lat. Kaz powiedział Pierce'owi, że zajmując się jego sprawą, firma traktuje to jako sposób nawiązania kontaktów, co przyniesie wzajemną korzyść Amedeo Technologies w ciągu następnych lat, gdy spółka wejdzie na giełdę. Pierce nie zrewanżował się Kazowi informacją, że nie będzie żadnej emisji akcji ani nawet samej Amedeo Technologies, jeśli sprawa nie zostanie właściwie załatwiona.

Po uprzejmych pytaniach na temat obrażeń Pierce'a i czasu powrotu do zdrowia, Janis Langwiser zapytała wreszcie, dlaczego potrzebuje adwokata.

- Ponieważ pewien detektyw z policji uważa, że jestem zabójcą. Powiedział mi, że wybiera się do prokuratora i chce oskarżyć mnie o kilka przestępstw z morderstwem włącznie.
- Policjant z Los Angeles? Jak się nazywa?
- Renner. Chyba w ogóle nie powiedział mi swojego imienia albo go nie zapamiętałem. Dał mi wizytówkę, ale jej się nie przyglądałem...
- Robert. *Znam* go. Pracuje w Pacific Division i nie jest w ciemności.
- Poznała go pani przy jakiejś sprawie?
- Na początku swojej kariery formułowałam akty oskarżenia. Pracowałam nad paroma prowadzonymi przez niego sprawami. Wy dał mi się dobrym policjantem. Myślę, że odpowiednie byłoby w sto sunku do niego określenie: rzetelny.
- Rzeczywiście sam go używa.
- *Zamierza* pójść do prokuratora z zarzutem zabójstwa?
- Nie jestem pewien. Brakuje ciała. Mówił jednak, że postawi mi inne zarzuty. Wspominał o kradzieży z włamaniem. I utrudnianiu pracy wymiarowi sprawiedliwości. Pewnie potem postara się dorzuć cię do tego zarzut o zabójstwo. Nie wiem, jak dalece to prymitywne straszenie, a ile rzeczywiście może zrobić. Nikogo jednak nie zabiłem, więc potrzebuję obrońcy.

Janis Langwiser zmarszczyła czoło i powoli pokiwała głową. Wskazała twarz Pierce'a.

- Czy to się wiąże z pańskimi obrażeniami? - Pierce przytaknął.
- Spróbujmy zacząć od początku.
- Czy w tym momencie wiąże nas relacja obrońca-klient?
- Owszem. Może pan mówić swobodnie.

Pierce kiwnął głową. Przez następne pół godziny opowiadał prawnicze swoją historię na tyle szczegółowo, na ile potrafił ją sobie przypomnieć. Powiedział jej bez owijania w bawełnę o wszystkim, co robił, łącznie z popełnionymi przestępstwami.

Kiedy opowiadał, Janis Langwiser opierała się o blat ze sprzętem medycznym. Robiła notatki piórem w żółtym notesie, wyjętym z czegoś, co było albo za dużą torebką, albo za małą aktówką. Całe jej zachowanie emanowało drogo sprzedawaną pewnością siebie. Gdy Pierce skończył swoją historię, wróciła do tej jej części, którą Renner określał jako przyznanie się do winy. Zadała Henry'emu kilka pytań, najpierw o atmosferę rozmowy w tym momencie, później o leki, jakie dostał wówczas, następnie, jakie dolegliwości odczuwał w konsekwencji zabiegu chirurgicznego. Wreszcie zapytała konkretnie, co Pierce miał na myśli, mówiąc, że to była jego wina.

- Chodziło mi o moją siostrę Isabelle.

- Nie rozumiem.

- Umarła. Dawno temu.

- Daj spokój, Henry. Niech pan mi nie każe zgadywać. Chcę wiedzieć.

Wzruszył ramionami, od czego zaboląły go żebra i bark.

- Kiedy oboje byliśmy jeszcze młodzi, uciekła z domu. Potem została zabita... przez człowieka, który zamordował wiele osób. Dziewczyn, które podrywał w Hollywood. Wreszcie zabiła go policja i... to był koniec.

- Wielokrotny morderca? Kiedy to się zdarzyło?

- W latach osiemdziesiątych. Nazywano go Lalkarzem. Wszystkim im wymyśla imiona prasa, prawda? Przynajmniej wtedy tak było.

Zorientował się, że Janis Langwiser usiłuje sobie przypomnieć historię Lalkarza.

- Pamiętam go. Byłam wtedy na wydziale prawa uniwersytetu w Los Angeles. Potem poznałam detektywa, który go zastrzelił. Właśnie nie przeszedł na emeryturę. - Wydawało się, że pogrzyżyła się na chwilę w rozpamiętywaniu przeszłości, lecz po chwili się z tego otrząsnęła. - No dobrze. W jaki sposób pomyliliście Isabelle z Lilly Quinlan w czasie rozmowy z detektywem Rennerem?

- Hm, ostatnio dużo rozmyślałem o siostrze. Od czasu kiedy do wiedziałem się o istnieniu Lilly. Myślę, że właśnie dlatego tak mi się powiedziało.

- To znaczy, że czuje się pan odpowiedzialny za to, co spotkało pańską siostrę? Jak to możliwe, Henry?

Pierce odczekał chwilę przed odpowiedzią. Starannie sformułował ją w myślach - nie całość, lecz tylko część, którą był gotów podzielić się z prawniczką. Nie zamierzał mówić jej o tym, z czego nigdy nie zwierzyłyby się obcej osobie.

- Przyjeżdżaliśmy tutaj z ojczymem. Mieszkaliśmy w Dolinie Krzemowej, ale przyjeżdżaliśmy do Hollywood, żeby jej szukać. W nocy. Czasami za dnia, ale przeważnie w nocy. - Pierce zapatrzył się w matowy ekran zgaszonego telewizora na ścianie po drugiej stronie pokoju. Mówił dalej, jakby z niego czytał: -Wkładałem stare ubrania, żeby wyglądać jak oni - jak ulicznicy. Ojciec wysyłał mnie w miejsca, gdzie te dzieciaki chowały się i nocowały, gdzie uprawiały seks za pieniądze i brały narkotyki. Gdzie żyły...

- Dlaczego pana? Dlaczego pański ojczym nie chodził tam sam?

- Wtedy mówił mi, że skoro sam jestem dzieckiem, to nie będę się odróżniał i nie zostanę przepędzony. Gdyby w takim miejscu pokazal się dorosły, wszyscy pewnie by uciekli. Wtedy nie mielibyśmy szansy znaleźć Isabelle.

Urwał i popatrzył na prawniczkę, która musiała go ponaglić.

- Powiedział pan, że wtedy tak to przedstawiał. Co powiedział później?

Pierce potrząsnął głową.

- Nic. Po prostu... myślę... to znaczy, uciekła nie bez powodu. Po licjanci mówili, że brała narkotyki, ale myślę, że to zaczęło się później. Kiedy znalazła się już na ulicy.

- Myśli pan, że uciekła z powodu ojczyma.

Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie. Pierce ledwie dostrzegalnie przytaknął. Przypomniał sobie słowa Vivian Quinlan, co jej córka i Robin miały ze sobą wspólnego.

- Co jej zrobił?

- Nie wiem, ale teraz to już nieważne.

- To dlaczego powiedział pan Rennerowi, że to pańska wina? Dlaczego myśli pan, że to, co spotkało siostrę, to pańska wina?

- Bo jej nie znalazłem. Szukałem jej przez tyle nocy, ale jej nie znalazłem. Gdyby tylko....

Powiedział to bez nacisku ani przekonania. Było to bowiem kłamstwo. Nie powiedziałby prawdy kobiecie, którą znał dopiero od godziny.

Janis Langwiser popatrzyła na niego, jakby chciała naciskać dalej, ale najwyraźniej wyczuwała, że już nadwreżyła granice jego tolerancji.

- No dobrze, Henry. Myślę, że to wiele tłumaczy - zarówno pańską reakcję na zniknięcie Lilly Quinlan, jak i to, co powiedział pan Rennerowi. - Pierce pokiwał głową. - Przykro mi z powodu pańskiej siostry. Kontakty z rodzinami ofiar były najcięższą częścią mojej dawnej pracy. W pańskim przypadku przynajmniej był jakiś defini-

tywny koniec. Człowiek, który zabił siostrę, dostał to, na co niewątpliwie zasługiwał.

- Rzeczywiście, definitywny koniec. - Pierce spróbował uśmiechnąć się sarkastycznie, okazało się to jednak zbyt bolesne. - Od razu człowiekowi lepiej.

- Pański ojczym żyje? Pańscy rodzice?

- Ojczym żyje. O ile wiem. Od dawna się z nim nie kontaktuję. Matka od niego odeszła. Wciąż mieszka w Dolinie. Z nią też dawno nie rozmawiałem.

- A co z pańskim ojcem?

- Jest w Oregonie. Założył drugą rodzinę. Kontaktujemy się czasem.

Prawniczka pokiwała głową. Przez długą chwilę studiowała swoje notatki. Przerzucała kartki tam i z powrotem, sprawdzając wszystko, co Henry powiedział od początku rozmowy. Wreszcie podniosła wzrok na Pierce'a.

- No cóż, myślę, że można się tym podetrzeć.

- Nie! - Pierce potrząsnął głową. - Opowiedziałem pani dokładnie nie to, co się...

- Nie, chodziło mi o oskarżenia Rennera. Blefuje. Nie ma nic konkretnego. Nie oskarży pana też o te pomniejsze przestępstwa. Gdyby poszedł do prokuratora z zarzutem kradzieży z włamaniem, zostałyby wyśmiane. Jakie miał pan zamiary? Kradzież? Nie, chciał pan się upewnić, czy nic się nie stało. Policjanci nie wiedzą o zabranej przez pana pocztce i nie mogą tego udowodnić, bo została zniszczona. Jeżeli chodzi o utrudnianie śledztwa, to tylko czcza groźba. Ludzie cały czas kłamią i ukrywają prawdę przed policją. Każdy gliniarz się tego spodziewa, ale próba postawienia komuś takiego oskarżenia to zupełnie inna sprawa. Nie przypominam sobie nawet, kiedy taki zarzut ostatnio trafił do sądu. Nie zdarzyło się to przynajmniej ani razu, kiedy ja pracowałam w prokuraturze,

- A co z taśmą? Byłem skołowany. Renner powiedział, że moje słowa to przyznanie się do winy.

- Bawił się z panem. Starał się panem wstrząsnąć i zobaczyć, jak pan zareaguje. Liczył pewnie, że wycisnie z pana istotniejsze związanie. Musiałabym przesłuchać taśmę, żeby wiedzieć dokładnie, co o tym sądzić, ale wygląda na to, że jest prawie bezwartościowa. Pańskie wyjaśnienie, że chodziło o siostrę, jest bez wątpienia wiarygodne i zostałyby w ten sposób odebrane przez ławę przysięgłych.

- Sprawa nie może za nic trafić do sądu. Jeśli do tego dojdzie, jestem skończony. Będę zrujnowany.

- Rozumiem. Należy jednak patrzeć na sprawę tak, jak potraktowały ją ława przysięgłych, bo w ten sposób rozumuje prokuratura przy rozważaniu ewentualnych zarzutów. Wybranie się do sądu z oskarżeniem, którego nie kupi ława przysięgłych, to ostatnia rzecz, na jaką prokurator ma ochotę.

- Nie ma co kupować. Niczego nie zrobiłem, starałem się tylko dowiedzieć, czy nic się nie stało Lilly. To wszystko.

Janis Langwiser pokiwała głową, ale najwidoczniej nie była zainteresowana zapewnieniami Pierce'a o jego niewinności. Henry zawsze sądził, że dobrych adwokatów interesuje nie tyle kwestia winy klientów, ile strategia obrony. Praktykowali prawo, nie sprawiedliwość. Pierce czuł się zawiedziony, bo pragnął usłyszeć od prawniczki, iż wierzy w jego niewinność i jest gotowa walczyć o jego uniewinnienie.

- Po pierwsze, bez ciała w ogóle trudno komukolwiek wytoczyć sprawę - powiedziała. - Jest to do zrobienia, ale bardzo trudne - zwłaszcza w tej sprawie, zważywszy na tryb życia i źródło dochodów ofiary. Ostatecznie może być wszędzie, a jeśli nawet nie żyje, to lista podejrzanych na pewno będzie bardzo długa. Po drugie, nic nie wyjdzie ze starań Rennera, żeby poprzez udowodnienie włamania w jednym miejscu powiązać pana z możliwym morderstwem zupełnie gdzie indziej. To tak naciągane, że nie sądzę, by prokuratura na to poszła. Proszę pamiętać, że tam pracowałam i sprowadzanie gliniarzy na ziemię stanowiło połowę mojej pracy. Myślę, że jeśli nie zajdą jakieś wielkie zmiany, nic panu nie grozi, Henry. Z żadnej strony.

- Jakie wielkie zmiany?

- Na przykład znalezienie ciała. Jeżeli zostanie odnalezione, a policji uda się pana w jakiś sposób powiązać ze zwłokami.

Pierce potrząsnął głową.

- Nic nie może mnie z nimi łączyć. Nie widziałem jej nigdy w życiu.

- I bardzo dobrze. W takim razie powinien pan wyjść z tego bez szwanku.

- Powinienem?

- Nic nigdy nie jest pewne na sto procent, zwłaszcza w prawie.

Wciąż musimy czekać na dalszy rozwój wydarzeń.

Janis Langwiser przeglądała jeszcze przez kilka chwil notatki.

- Dobrze - powiedziała wreszcie. - Zadzwońmy teraz do detektywa Rennera.

Pierce uniósł brwi, a właściwie ich resztki. Zabolało.

- Dzwonić? - zapytał, krzywiąc się. - Po co?

- Żeby go zawiadomić, że ma pan przedstawiciela prawnego, i zobaczyć, co będzie gotów powiedzieć od siebie.

Wyjęła z torby telefon komórkowy i otworzyła.

- Chyba mam jego wizytówkę w portfelu - powiedział Pierce. -
Leży pewnie w szufladzie stołu.

- Nie potrzeba. Pamiętam numer.

Szybko odebrano, gdy wybrała numer Pacific Division. Janis Langwiser poprosiła o detektywa Rennera. Czekając na niego, zwiększyła głośność w aparacie i odchyliła go tak, by Pierce mógł słyszeć obydwóch rozmówców. Wymierzyła w Henry'ego palec, a następnie przyłożyła go do ust na znak, by nie włączał się do rozmowy.

- Hej, Bob, tu Janis Langwiser. Pamiętasz mnie?

- Pewnie - odpowiedział po chwili Renner. - Słyszałem jednak, że przeszłaś na ciemną stronę mocy.

- Bardzo śmieszne. Posłuchaj, jestem w szpitalu St John's. Od wiedziałam Henry'ego Pierce'a.

Nastąpiła kolejna chwila milczenia.

- Henry Pierce, samarytanin. Odwieczny zbawca zaginionych ku rew i zagubionych zwierząt domowych.

Pierce poczuł, że się rumieni.

- Widzę, że przepełnia cię dzisiaj pogoda ducha, Bob - powie działa sucho Janis Langwiser. - Ujawniają się nowe strony twojej osobowości, prawda?

- To nie ja żartuję, ale Henry Pierce. Opowiada takie bajeczki, że aż można się uśmieć.

- Cóż, dlatego właśnie dzwonię. Henry nie będzie już nic opowiadał. Zostałam jego obrońcą i od tej pory przestaje z tobą rozmawiać. Zmarnowałeś swoją szansę.

Pierce podniósł wzrok na prawniczkę. Puściła do niego oko.

- Niczego nie zmarnowałem - zaprotestował Renner. - Kiedykolwiek zechce opowiedzieć mi całą prawdę i tylko prawdę, jestem gotów go wysłuchać. Inaczej...

- Posłuchaj, detektywie, bardziej interesuje cię, żeby zaleźć mojemu klientowi za skórę, niż żeby dowiedzieć się, co się naprawdę wydarzyło. Musisz z tym skończyć. Straciłeś już na niego haka. I jest cze jedno: spróbuj tylko pójść do sądu ze swoją sztuczką z dwoma magnetofonami, a wepchnę ci obydwu w tyłek.

- Powiedziałem mu, że nagrywam rozmowę - zaprotestował Renner. - Odczytałem mu jego prawa, a on powiedział, że je rozumie. Zrobiłem wszystko, do czego byłem zobowiązany. Rozmawiał ze mną dobrowolnie, a ja nie dopuściłem się niczego nielegalnego.

- Bob, sędziowie i przysięgli nie lubią, jak policja zastawia na ludzi pułapki. Wolą czystą grę.

Renner znów na długo umilkł. Pierce zaczynał dochodzić do wniosku, że prawniczka posunęła się za daleko i być może popchnęła detektywa do postawienia mu zarzutów z czystego gniewu lub chęci odwetu.

- Naprawdę przeszłaś na drugą stronę, tak? - powiedział wreszcie Renner. - Mam nadzieję, że będziesz tam szczęśliwa.

- Cóż, jeśli będę dostawała tylko klientów w rodzaju Henry'ego Pierce'a, starających się zrobić coś dobrego, to będę szczęśliwa.

- Coś dobrego? Ciekawe, czy zdaniem Lucy LaPorte zrobił jej coś dobrego.

- Znalazł ją? - wykrztusił Pierce.

Janis Langwiser natychmiast podniosła dłoń, żeby go uciszyć.

- Pan Pierce tam jest? Nie wiedziałem, że nas słucha, Janis. I kto tu mówi o zastawianiu zasadzek?

- Nie musiałam ci mówić, że jestem z nim.

- Ani ja jemu, że mam drugi magnetofon, skoro i tak go ostrzegłem, że rozmowa jest nagrywana. Wsadź sobie w tyłek takie zagrywki. Muszę kończyć.

- Zaczekaj. Znaleźliście Lucy LaPorte?

- To należy do oficjalnego policyjnego dochodzenia, szanowna pani. Trzymaj się swojej roboty, a ja swojej. Do widzenia.

Renner rozłączył się. Janis Langwiser złożyła telefon.

- Mówiłam, żeby pan się nie odzywał.

- Przepraszam. Po prostu od soboty starałem się skontaktować z Lucy. Chciałbym dowiedzieć się, gdzie jest i czy nic się jej nie stało, czy też potrzebuje pomocy. Jeśli spotkało ją cokolwiek złego, to moja wina.

Znów zaczynam, pomyślał. Doszukuję się swojej winy i publicznie ją obwieszczę.

Prawniczka jakby tego nie zauważyła. Chowwała w tej chwili telefon i notes do torby.

- Podzwonię, żeby się tego dowiedzieć. Znam w Pacific Division kilku ludzi bardziej chętnych do współpracy od detektywa Rennera.

- Zadzwoń pani od razu, kiedy tylko się czegoś dowie?

- Mam pana numery. Na razie niech pan trzyma się z daleka od całej tej sprawy. Przy odrobinie szczęścia na jakiś czas nastraszyłam Rennera. Może przemyśli swoje postępowanie. Jeszcze nie może pan uznać, że nic panu już nie grozi, Henry. Myślę, że jest pan już prawie czysty, ale niejedno może się wydarzyć. Niech pan się nie wychyla i trzyma z daleka od sprawy.

- Dobrze.

- Kiedy pan wychodzi ze szpitala?

- Pewnie lada chwila.

Pierce popatrzył na zegarek. Prawie od dwóch godzin czekał, aż lekarz go wypisze.

Obejrzał się na prawniczkę. W zasadzie była gotowa już iść. Wpatrywała się jednak w niego, jakby miała ochotę zadać mu jeszcze jedno pytanie, ale nie wiedziała, jak się do tego *zabrać*.

- O co chodzi?

- Sama nie wiem. Właśnie myślałam, że w swoim rozumowaniu zrobił pan wielki przeskok. To znaczy, kiedy jeszcze jako chłopiec uznał pan, że siostra uciekła z powodu pańskiego ojczyma. - Pierce nie odpowiedział. - Zechce mi pan powiedzieć coś jeszcze na ten temat?

Pierce przeniósł spojrzenie na matowy ekran telewizora i pokręcił głową.

- Nie, to wszystko.

Wątpił, czy ją tym przekonał. Uważał, że obrońcy w sprawach karnych mają z reguły do czynienia z kłamcami i są równie wrażliwi w wychwytywaniu niuansów zachowania, jak zaprojektowane do tego maszyny. Janis Langwiser pokiwała tylko głową i dała spokój dalszemu wypytywaniu.

- Cóż, muszę już iść. Jadę na przedstawienie zarzutów w sądzie w śródmieściu.

- Rozumiem. Dziękuję, że przyjechała pani się ze mną zobaczyć.

Miło z pani strony.

- To tylko część moich usług. Podzwonię trochę po drodze i poinformuję pana, jeśli dowiem się czegoś o Lucy LaPorte lub czymkolwiek innym. Na razie jednak naprawdę musi się pan trzymać z dala od tej sprawy, rozumie pan? Niech pan wraca do pracy.

Pierce podniósł ręce na znak, że ustępuje.

- Już z nią skończyłem.

Uśmiechnęła się z profesjonalnym dystansem i wyszła.

Pierce wyjął telefon z obojmy i wybierał właśnie numer Cody'ego Zellera, gdy do pokoju weszła Nicole. Na jej twarzy odmalowało się milczące cierpienie na widok pokiereszowanej twarzy Henry'ego. Często odwiedzała go w szpitalu, lecz najwyraźniej nie mogła przyzwyczaić się do rządów szwów.

W istocie Pierce traktował jej marszczenie czoła i współczujące pomruki jako dobry znak. Gdyby tylko zeszli się ze sobą, uznalby, że warto było pocierpieć.

- Biedactwo - powiedziała Nicole, klepiąc go delikatnie po policzku. - Jak się czujesz?

- Nieźle - odrzekł. -Wciąż jednak czekam, aż lekarz mnie wypisze - już prawie dwie godziny.

- Pójdę, zobaczę, co się dzieje. - Podeszła do drzwi i obejrzała się na Pierce'a. - Co to była za kobieta?

- Jaka?

- Która właśnie wyszła z twojego pokoju.

- Och, to wynajęty dla mnie adwokat. Kaz to załatwił.

- Po co ci ona, skoro masz Każę?

- Ona specjalizuje się w sprawach karnych.

Nicole podeszła z powrotem do łóżka.

- obrońca w sprawach karnych? Henry, ludzie, do których dzwo-
nią przez pomyłkę, zwykle nie potrzebują adwokatów. Co się dzieje?

- W gruncie rzeczy sam już nie wiem. - Wzruszył ramionami. -
Władowałem się w coś, z czego teraz próbuję wydostać się w jednym
kawalku. Pozwól, że cię o coś zapytam.

Wstał z łóżka i podszedł do Nicole. Z początku miał kłopoty
z utrzymaniem równowagi, jednak szybko doszedł do siebie. Położył
jej lekko dłonie na przedramionach. Na jej twarzy pojawiła się po-
dejrzliwa mina.

- O co chodzi?

- Dokąd mnie zabierzesz, kiedy wyjdziemy ze szpitala?

- Henry, mówiłam ci, że do domu. Twojego domu. - Nawet mimo
obrzęku i przypominających mapę drogową rzędów szwów na jego
twarzy odmalowało się widoczne rozczarowanie. - Henry, uzgodnili
śmy, że przynajmniej tego spróbujemy. Spróbujmy więc.

- Po prostu myślałem...

Nie dokończył. Sam dokładnie nie wiedział, co myślał ani jak
ująć to w słowa.

- Chyba myślisz, że to wszystko stało się za szybko - powiedziała
Nicole. -I że równie szybko można to załatwić.

Odwróciła się i ruszyła do drzwi.

- Ale mylę się?

Obejrzała się na niego.

- Trzeba na to miesięcy, Henry, i dobrze o tym wiesz. Nie układa-
ło się nam od bardzo, bardzo dawna.

Wyszła rozejrzeć się za lekarzem. Pierce usiadł na łóżku, próbu-
jąc przypomnieć sobie spędzone z Nicole na diabelskim młynie kwa-
dranse i to, jak wszystko wydawało się wówczas idealne.

iyFrew była wszędzie. Jej strużka znaczyła beżowy dywan, zaś schnięte plamy znajdowały się na nowym łóżku, dwóch ścianach i aparacie telefonicznym. Pierce zatrzymał się w drzwiach sypialni i popatrzył na bałagan. Nie przypominał sobie prawie wcale tego, co działo się po wyjściu Wentza i jego monstrualnego kompana.

Wszedł do pokoju i zatrzymał się nad telefonem. Ostrożnie podniósł dwoma palcami słuchawkę i przytrzymał ją niecałe dziesięć centymetrów od głowy - wystarczająco blisko, by po sygnale zorientować się, czy ma jakieś nowe wiadomości.

Nie było żadnych. Wyłączył aparat z sieci i zaniósł go do łazienki, by spróbować wyczyścić.

Zlew pokrywały rozbryzgi zaschniętej krwi. Krwawe odciski palców znaczyły drzwiczki szafki z lekarstwami. Pierce nie przypominał sobie, że wchodził do łazienki po napaści. W środku panował jednak bałagan. Twarda, brunatna krew przypominała mu o materacu wyniesionym przez policjantów z domu Lilly Quinlan.

Gdy dokładniej wycierał zwilżonymi chusteczkami telefon, przypomniał sobie film „Curdled”, który widział kilka lat wcześniej z Codym Zellerem. Jego bohaterką była kobieta, uprzątająca miejsca krwawych zbrodni po tym, gdy policja kończyła dochodzenia na miejscu. Zastanawiał się teraz, czy rzeczywiście istnieje taka profesja i czy mógłby zamówić usługi jej przedstawicieli. Nie uśmiechała mu się perspektywa sprzątania sypialni.

Gdy jako tako doczyścił telefon, włączył go z powrotem do gniazodka w sypialni i usiadł na niepoplamionym skraju materaca. Znów sprawdził, czy ma wiadomości. Nie miał, co uznał za dziwne. Nie było go w domu przez prawie trzy doby i nikt nie nagrał żadnej wiadomo-

ści. Pomyślał, że pewnie strona Lilly Quinlan została wreszcie zdjęta z witryny internetowej L.A. Darlings. Potem przypomniał sobie coś jeszcze. Wybrał numer swojego gabinetu w Amedeo Technologies i zaczął czekać, aż zgłosi się Monika Purl.

- Monika? To ja. Zmieniłaś mój domowy numer?

- Henry? Co ty...

- Zmieniłaś numer w moim mieszkaniu?

- Tak. Przecież kazałaś. Nowy powinien działać od wczoraj.

- Pewnie tak jest.

Dopiero teraz przypomniał sobie, że kiedy namówił w sobotę Monikę na telefon do Ali American Mail, kazał jej w poniedziałek zmienić numer. Wówczas myślał, że tak będzie najlepiej. Obecnie jednak zmiana numeru budziła w nim dziwny niepokój. Czuł się, jakby trafił więz z innym światem - światem Lilly i Lucy.

- Henry? Jesteś tam jeszcze?

- Tak. Jaki jest ten nowy numer?

- Muszę sprawdzić. Wyszedłeś ze szpitala?

- Tak. Sprawdź go, dobrze?

- Już. Chciałam ci go podać wczoraj, ale miałeś gościa, kiedy przyszedłam.

- Rozumiem.

- No dobrze, mam go.

Podawała mu numer. Wziął długopis ze stolika przy łóżku i zapisał go na nadgarstku, bo nie miał pod ręką notesu.

- Gdy ktoś dzwoni pod stary numer, dostaje nowy?

- Nie, bo myślałam, że nadal będziesz dostawał telefony od tych wszystkich mężczyzn.

- Właśnie. Dobrze się spisałaś.

- Hm, Henry, przyjedziesz dzisiaj? Charlie pytał, co z harmonogramem.

Zastanowił się przed odpowiedzią. Połowa dnia i tak była stracona. Charlie pewnie gadałby w nieskończoność o demonstracji programu Proteus Maurice'owi Goddardowi.

- Nie wiem, czy dam radę - odparł Pierce. - Lekarz powiedział mi, żebym się oszczędzał. Jeżeli Charliemu na tym zależy, podaj mu mój nowy numer i powiedz, że jestem w domu.

- Dobrze, Henry.

- Dziękuję, Moniko. Zobaczymy się później.

Czekał, aż się z nim pożegna, ale tego nie zrobiła. Już miał odłożyć słuchawkę, kiedy powiedziała:

- Henry, nic ci nie jest?

- Nie, nic. Po prostu nie chcę wystraszyć wszystkich swoją twarzą, tak jak ciebie wczoraj.

- Nie przestraszyłam...

- Przestraszyłaś się, ale nic się nie stało. I dzięki za pytanie, jak się czuję, Moniko. To było miłe. No nic, muszę już kończyć.

Rozłączył się, zaczekał na ciągły sygnał i wybrał numer Lucy La-Porte. Znał go już teraz na pamięć. Znowu zgłosiła się jej poczta głosowa, komunikat był jednak tym razem inny. Nagrała go Lucy, tym razem informowała jednak, że jest na wakacjach i do listopada nie przyjmuje klientów.

Ponad miesiąc, pomyślał Pierce. Poczuł, że coś go skręca w środku, gdy przypomniał sobie groźby Wentza i jego osiłka pod jej adresem oraz to, o czym wspominał Renner. Mimo treści komunikatu nagrał wiadomość:

- Lucy, tu Henry Pierce. Oddzwoń, to ważne. Bez względu na to, co się stało i co ci zrobili, zadzwoń. Mogę ci pomóc. Mam nowy numer, więc go zapisz.

Przeczytał numer z nadgarstka i odłożył słuchawkę. Potrzymał przez kilka chwil aparat na kolanach, mając nadzieję, że Lucy natychmiast oddzwoni, jednak tego nie zrobiła. Wreszcie wstał i wyszedł z sypialni.

W kuchni zastał na blacie pusty kosz na pranie. Przypomniał sobie, że niósł w nim torby z jedzeniem z samochodu, kiedy natknął się na Wentza i Sześć-Osiem koło windy. Pamiętał też, że upuścił go, kiedy został wypchnięty z windy. Kosz stał teraz w kuchni. Pierce zajrzał do lodówki. Wszystko, co zabierał na górę - z wyjątkiem jajek, które prawdopodobnie się potłukły - zostało pochowane do środka. Zastanawiał się, kto to zrobił? Nicole? Policja? Nieznany mu sąsiad?

Myśl ta przypominała mu uwagę detektywa Rennera o kompleksie dobrego samarytanina. Jeśli była to prawda i taki kompleks rzeczywiście istniał, to Pierce współczuł wszystkim chętnym do pomocy innym na świecie. Przygnębiła go myśl, że ich starania bywają opacznie odbierane przez stróżów prawa.

Przypomniał sobie, że w bagażniku bmw zostało kilka toreb z jedzeniem. Zabrał kosz na pranie - postanowił zjechać po nie, bo był głodny, a wśród kupionej przez niego wcześniej żywności znajdowały się napoje gazowane, precele i inne przekąski.

Wciąż osłabiony po napaści i zabiegu chirurgicznym nie przeciążał kosza. Postanowił zabrać jedzenie w dwóch turach. Gdy wrócił z ostatnią porcją zakupów, sprawdził telefon i stwierdził, że ktoś dzwonił pod jego nieobecność. Miał też wiadomość. Sprawdził wy-

światłacz - dzwoniąca osoba nie została jednak zidentyfikowana. Poznał jednak numer - należał do Lucy LaPorte.

Sklął się za to, że nie było go w mieszkaniu, po czym szybko powtórzył proces ustalania hasła dla poczty głosowej. Wkrótce zaczął słuchać wiadomości.

„Chcesz mi pomóc? Dość mi już pomogłeś, Henry. Pobili mnie. Jestem cała czarna i sina. Nikt nie może mnie oglądać w takim stanie. Chcę, żebyś przestał do mnie wydzwaniać i proponować mi swoją pomoc. Od tej pory nie będę z tobą rozmawiała. Przestań tu dzwonić, rozumiesz?”.

Wiadomość dobiegła końca. Pierce nadal trzymał słuchawkę przy uchu, odtwarzając w myślach jej części jak zdartą płytę. „Pobili mnie. Jestem cała *czarna* i sina”. Poczuł, że dostaje zawrotów głowy. Przytrzymał się ściany dla równowagi. Po chwili oparł się o nią plecami i osunął na podłogę, składając telefon na kolanach.

Przez kilka sekund nie ruszał się, aż wreszcie podniósł słuchawkę i zaczął znowu wybierać numer Lucy. W połowie rozmyślił się i odłożył słuchawkę.

- Dobrze - powiedział na głos.

Przymknął oczy. Zastanowił się, czy zadzwonić do Janis Langwiser i powiedzieć, że miał telefon od Lucy. Dowiedziałyby się, czy wypłynęło coś nowego od jej porannej wizyty w szpitalu.

Zanim to zrobił, zadzwonił telefon. Podniósł natychmiast słuchawkę, nie patrząc na wyświetlacz. Myślał, że to Lucy - kto jeszcze miał jego nowy numer? Powiedział „halo” nagłym, zdesperowanym tonem. Nie była to jednak Lucy, lecz Monika.

- Zapomniałam ci powiedzieć: w poniedziałek i wtorek twój przyjaciel Cody Zeller nagrał ci trzy wiadomości na prywatnej linii. Myślę, że naprawdę mu *zależy*, żebyś się z nim skontaktował.

- Dziękuję, Moniko.

Pierce nie mógł zadzwonić prosto do Zellera - jego przyjaciel nie odbierał bezpośrednich telefonów. Aby się z nim skontaktować, trzeba było zadzwonić na pager i podać numer. Zeller odpowiadał, jeśli go znał. Ponieważ Pierce miał nowy numer, nieznaną Cody'emu, na początku podał trzy siódemki - kod dla Zellera, że stara się z nim skontaktować wspólnik w interesach lub przyjaciel. Był to niezręczny i irytujący sposób załatwiania spraw, lecz Zeller był paranoikiem nad paranoikami i Pierce musiał przestrzegać jego reguł gry.

Nastawił się na oczekiwanie na telefon, Zeller odpowiedział jednak na zgłoszenie na pager prawie natychmiast. Było to dla niego nietypowe.

- Jezu, człowieku, kiedy kupisz sobie wreszcie komórkę? Od trzech dni staram się z tobą skontaktować.
- Nie lubię komórek. Co się stało?
- Wiesz przecież, że można dostać aparat z szyfratorem.
- Wiem. Co się stało?
- To, że w sobotę cholernie ci zależało na tym, co chciałeś, żebym wyszukał, a potem przez trzy dni się nie odzywasz. Zaczynałem myśleć, że ci...
- Byłem w szpitalu, Code. Właśnie wyszedłem.
- Szpitalu?
- Miałem trochę przejść z paroma gośćmi.
- Chyba nie z Entrepreneurial Concepts?
- Sam nie wiem. Czego się dowiedziałeś o tej firmie?
- Jak sobie życzyłeś, zrobiłem pełny przegląd. Wpadłeś w pa skudne towarzystwo, Hank.
- Dotarło to do mnie. Możesz mi o nich teraz opowiedzieć?
- Właściwie jestem w trakcie pewnej robótki, a poza tym i tak wolałbym nie robić tego przez telefon. Wszystko wysłałem wczoraj przez Federal Express - bo nie miałem od ciebie wiadomości. Powin no dojść dzisiaj rano. Dostałeś?

Pierce popatrzył na zegarek. Była druga po południu. Poczta Federal Express przychodziła do firmy około dziesiątej. Nie podobała mu się myśl, że koperta od Zellera leży przez te wszystkie godziny na jego biurku.

- Nie byłem w firmie, ale zaraz tam pojadę. Masz dla mnie coś jeszcze?
- Nie przychodzi mi do głowy nic, czego nie ma w pakiecie.
- Dobrze. Zadzwoń do ciebie, kiedy wszystko przejrzę. Na razie pozwolisz, że cię o coś zapytam. Muszę ustalić, gdzie ktoś mieszka, ale mam tylko jej nazwisko i numer komórki. Rachunek na komórkę nie przychodzi jednak pod jej adres, a jego właśnie potrzebuję.
- W takim razie rachunek jest bezwartościowy.
- Można spróbować czegoś jeszcze?
- Trudna sprawa, ale da się zrobić. Ona jest zarejestrowana w okręgu wyborczym?
- Raczej w to wątpię.
- Hm, zostają jeszcze opłaty i karty kredytowe. Ma pospolite na zwisko?
- Lucy LaPorte. Z Luizjany.

Pierce przypomniał sobie, że żądała od niego, by przestał do niej wydzwaniać. Nie mówiła, żeby jej nie szukał.

- I ciebie dopadła moda na aliterację, co? - rzekł Zeller. - No, spróbuję paru sztuczek, zobaczymy, co wyjdzie.
- Dzięki, Code.
- I pewnie chcesz to na wczoraj?
- Zgadza się.
- Oczywiście.
- Muszę już kończyć.

Pierce przeszedł do kuchni i wyszukał w złożonych na blacie torbach chleb i masło orzechowe. Zrobił szybko kanapkę i wyszedł z mieszkania. Nie zapomniał włożyć czapki z napisem „Moles” i naciągnąć jej nisko na czoło. Zjadł kanapkę, czekając na windę. Chleb był czerstwy - przez cztery dni leżał w bagażniku.

Po drodze na dół winda zatrzymała się na piątym piętrze. Wsiadła do niej kobieta i wedle przyjętego w takich okolicznościach zwyczaju unikała patrzenia na Pierce'a. Gdy ruszyli w dalszą drogę, ukradkiem jednak spojrzała na jego odbicie w chromowanym obramowaniu drzwi. Pierce spostrzegł, że ze strachem przyjrzała się mu dokładniej.

- Och, mój Boże! - zawołała. -To o panu wszyscy mówią.
- Słucham?
- To pana wywiesili z balkonu, prawda?

Pierce popatrzył na nią długą chwilę. W tym momencie zdał sobie sprawę, że bez względu na to, co będzie między nim i Nicole, nie zdoła zamieszkać na stałe w tym bloku. Wiedział, że czeka go wyprawka.

- Nie wiem, o czym pani mówi.
- Nic panu nie jest? Co panu zrobili?
- Nic mi nie zrobili. Nie wiem, o czym pani mówi.
- To nie pan dopiero co wprowadził się na jedenaste piętro?
- Nie. Mieszkam na siódmym. U przyjaciela, do czasu kiedy wyzdrowieję.
- To co panu się stało?
- Operacja. Skrzywienie przegrody nosowej.

Kobieta popatrzyła na niego podejrzliwie. Drzwi wreszcie otworzyły się na poziomie garażu. Pierce nie przepuścił kobiety; wyszedł szybko z windy i skierował się do drzwi na zewnątrz. Obejrzał się i zauważył, że kobieta zatrzymała się koło windy i patrzy w jego stronę.

Gdy z powrotem odwrócił głowę, o mało nie wpadł na drzwi do schowków w piwnicy, przez które wychodzili właśnie mężczyźni i kobieta z rowerami. Pierce pochylił głowę, naciągnął jeszcze niżej da-

szek czapki, przytrzymał drzwi i czekał, aż para go minie. Obydwoje mu podziękowali, ale nie pytali go, czy jest właśnie tym facetem, który wisiał z balkonu.

Pierwszą rzeczą, jaką Pierce zrobił po znalezieniu się w samochodzie, było wyjęcie ze schowka na rękawiczki ciemnych okularów.

ISTY

Henry Pierce wszedł do gabinetu, koperta Federal Express leżała na biurku. Żeby dostać się tutaj, Henry musiał stoczyć prawdziwą walkę - prawie na każdym kroku odpowiadał na pytania dotyczące jego twarzy. Pod koniec przeprawy do pomieszczeń administracji na drugim piętrze na wszystko odpowiadał jednym słowem: „Wypadek”.

- Światła - powiedział, wsuwając się za biurko.

Lampy się jednak nie zapaliły. Pierce zdał sobie sprawę, że wskutek obrzęku przewodów nosowych zmienił mu się głos. Podniósł się, włączył światło i wrócił za biurko. Zdjął okulary przeciwsłoneczne i położył je na monitorze komputera.

Sprawdził adres zwrotny na kopercie. Zagrywka Cody'ego Zellera wzbudziła u niego bolesny uśmiech, przyjaciel podał bowiem jako nadawcę Eugene'a Briggsa, dziekana ze Stanfordu, który w dalekiej przeszłości padł obiektem dowcipu Potępieńców. Żartu, który odmienił ich życie.

Uśmiech zgasł Pierce'owi na twarzy, gdy odwrócił kopertę, by ją rozdrzeć. Okazało się, że nacięty pasek ktoś już oderwał - koperta została otworzona. Zajrzał do środka i zobaczył drugą, białą kopertę. Wyjął ją; okazało się, że również jest otwarta. Na kopercie znajdował się napis: „Dla Henry'ego Pierce'a. Osobiste i poufne”. W środku był plik złożonych dokumentów. Pierce nie potrafił stwierdzić, czy ktoś wyjmował je ze środka, czy nie.

Wyszedł do pokoju, gdzie były stanowiska pracy asystentek. Podszedł do biurka Moniki z opakowaniem Federal Express i rozerwaną kopertą w ręku.

- Kto to otworzył, Moniko?

Asystentka podniosła na niego wzrok.

- Ja, bo co?

- Dlaczego to zrobiłaś?
- Otwieram całą twoją pocztę. Nie masz ochoty się w to bawić, nie pamiętasz? Robię to, żebym mogła ci powiedzieć, która jest ważna, a która nie. Jeśli chcesz, żebym przestała, po prostu mi powiedz. Nie będę się krzywiła, że mam mniej pracy.

Pierce uspokoił się, Monika miała rację.

- Nie, nic się nie stało. Czytałaś te materiały?
- Właściwie nie. Zobaczyłam zdjęcie dziewczyny, po której dostałam numer telefonu, i uznałam, że nie mam ochoty tego oglądać. Pamiętasz naszą umowę z soboty?

Pierce kiwnął głową.

- Tak. Bardzo dobrze. Dzięki.

Ruszył z powrotem do swojego gabinetu.

- Mam powiedzieć Charliemu, że jesteś w firmie?

- Nie, zostanę tylko kilka minut.

W drzwiach obejrzał się na Monikę i stwierdził, że wpatruje się w niego w typowy dla siebie sposób - jakby sądziła, że czemuś zawinił, że popełnił jakąś zbrodnię, o której nie miał pojęcia.

Zamknął drzwi i wrócił za biurko. Wyjął z koperty plik wydruków od Zellera.

Zdjęcie Lilly Quinlan, o którym wspomniała Monika, nie było tym samym co na stronie internetowej. Fotografii zrobiono podczas zatrzymania przez policję w Las Vegas trzy lata temu pod zarzutem prostytucji. Na tym zdjęciu dziewczyna wcale nie wyglądała tak zachwycająco jak w reklamie w Internecie. Sprawiała wrażenie zmęczonej i rozgniewanej, a równocześnie nieco wystraszonej.

Raport Zellera na temat Lilly Quinlan był krótki. Udało mu się ustalić, że z Tamy przewędrowała kolejno do Dallas, Las Vegas, a wreszcie do Los Angeles. Miała naprawdę dwadzieścia osiem lat, a nie dwadzieścia trzy, co twierdził tekst reklamowy na jej stronie internetowej. Była dwukrotnie aresztowana za nagabywanie klientów w Dallas i raz w Las Vegas. Po każdym zatrzymaniu spędzała kilka dni w więzieniu i zwalniano ją, uznając, że była to dostateczna kara. Pokwitowania różnorodnych opłat świadczyły, że do Los Angeles przyjechała przed trzema laty. Do tej pory udawało się jej unikać aresztowania i policji.

I tyle. Pierce popatrzył raz jeszcze na zdjęcie i poczuł przygnębienie. Fotografia zrobiona przy aresztowaniu stanowiła rzeczywistość. Zdjęcie ściągnięte z witryny internetowej, które tyle razy oglądał podczas weekendu, było fantazją. Droga od Tamy przez Dallas i Las Vegas do Los Angeles dobiegła kresu w kamienicy w Venice. Jej

morderca przebywał na wolności, policja natomiast koncentrowała swoje wysiłki na Henrym.

Odłożył plik wydruków i sięgnął po słuchawkę. Wyłowił z kieszeni wizytówkę Janis Langwiser i zadzwonił do niej, żeby powiedzieć, co się z nim dzieje. Musiał czekać pięć minut, zanim przywołano ją do telefonu.

- Przepraszam, dzwonił do mnie inny klient. Co się z panem dzieje?

- Ze mną? Nic. Jestem w pracy. Po prostu chciałem sprawdzić, co słychać i czy dowiedziała się pani czegoś nowego.

Znaczyło to: czy Renner nadal go prześladowuje.

- Nie, właściwie nic nowego nie zaszło. Myślę, że gramy na prze czekanie. Renner wie, że jest na cenzurowanym i nie może dłużej pana naciskać. Musimy czekać, co się wydarzy, i w zależności od tego działać dalej.

Pierce popatrzył na fotografię z policyjnego archiwum. Surowe oświetlenie i cienie na twarzy Lilly sprawiały, że równie dobrze mogłoby to być zdjęcie z kostnicy.

- Chodzi pani o znalezienie ciała?

- Niekoniecznie.

- Hm, dzwoniła do mnie dzisiaj Lucy LaPorte.

- Naprawdę? Co powiedziała?

- Właściwie dostałem tylko jej wiadomość. Mówiła, że została pobita i nie chce, żebym kiedykolwiek więcej się z nią kontaktował.

- Cóż, przynajmniej wiemy, że nie zaginęła. Możemy jej potrze bować.

- Po co?

- Jeśli cała sprawa nie przyschnie, wykorzystamy ją jako świad ka pańskich motywów i działań.

- No, Renner myśli, że wszystko, co przy niej robiłem, stanowiło część mojego planu. Wie pani, tego, że udawałem samarytanina i tak dalej.

- To tylko jego pogląd. W sądzie wszystko można naświetlić z dwóch stron.

- W sądzie? Sprawa nie może...

- Niech pan się odpręży, Henry. Chodzi mi tylko o to, że Renner zdaje sobie sprawę, iż wszystkie jego dowody będziemy inaczej in terpretować, odmiennie niż policja.

- W porządku. Dowiedziała się pani od swoich znajomych, co mu powiedziała Lucy?

- Znam inspektora z tego wydziału. Powiedział, że jeszcze do niej

nie dotarli. Rozmawiali z nią telefonicznie, ale się nie zgłosiła. I się nie zgłosi.

Pierce miał właśnie powiedzieć, że szuka jej dla niego Cody Zeller, gdy rozległo się zdecydowane stukanie i drzwi otworzyły się, zanim zdążył zareagować. Do środka wsunął głowę Charlie Condon. Uśmiechał się, dopóki nie zobaczył twarzy Pierce'a.

- Jezu Chryste!

- Kto tam? - spytała Janis Langwiser.

- Mój współnik. Muszę już kończyć. Niech pani mnie informuje, jeśli pojawi się coś nowego.

- Od razu. Do widzenia, Henry.

Pierce odłożył słuchawkę i popatrzył na wstrząśniętego Condona. Uśmiechnął się.

- Właściwie Jezus Chrystus ma gabinet za zakrętem korytarza, po lewej stronie. Ja się nazywam Henry Pierce.

Condon uśmiechnął się z zażenowaniem. Pierce odwrócił materiały od Zellera niezadrukowaną stroną do góry, starając się zrobić to niedbale. Condon wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

- Człowieku, jak się czujesz? Nic ci nie jest?

- Wyżyję.

- Chcesz o tym porozmawiać?

-Nie.

- Henry, naprawdę mi przykro, że nie dotarłem do szpitala, ale przez przygotowania na przyjazd Maurice'a mamy tu istny dom waariatów.

- Nie przejmuj się. Domyślam się, że prezentacja mimo wszystko odbędzie się jutro?

- Goddard jest już w mieście i czeka na nas - przytaknął Condon. - Nie będzie żadnej zwłoki. Przyjmujemy go jutro albo wyjeżdża i zabiera kasę ze sobą. Rozmawiałem z Larrabym i Groomsem. Powiedzieli, że jesteśmy...

- ...gotowi. Wiem. Dzwoniłem do nich ze szpitala. Proteus to nie problem - nie dlatego zależało mi na zwłoce. Chodzi o moją twarz. Wyglądam jak kuzyn Frankensteina, a do jutra nie będę prezentował się o wiele lepiej.

- Powiedziałem Goddardowi, że miałeś wypadek samochodowy. Nieważne, jak będziesz wyglądał. Liczy się Proteus. Goddard chce obejrzeć program, a my obiecaliśmy, że mu to umożliwimy, zanim złożymy wnioski patentowe. Słuchaj, Goddard należy do ludzi zdolnych do wypisania czeku od ręki. Musimy to zrobić, Henry. Załatwmy to wreszcie i będziemy mieli spokój.

Pierce uniósł ręce na znak poddania się. Pieniądze zawsze okazywały się kartą atutową.

- Mimo to zada mnóstwo pytań, kiedy zobaczy moją gębę.
- Posłuchaj, to będzie przedstawienie pod publiczność - odparł Condon. - Nic wielkiego. Skończycie do obiadu. Jeśli będzie cię wypytywał, powiedz mu po prostu, że wyleciałeś przez przednią szybę i nie rozwijaj tematu. Ostatecznie nawet mnie nie powiedziałaś, co się stało. Dlaczego jego miałbyś potraktować inaczej?

W oczach Condona na moment pojawił się wyraz świadczący, iż czuje się pokrzywdzony brakiem zaufania.

- Wszystko ci opowiem, Charlie, kiedy przyjdzie pora. Na razie po prostu nie mogę.

- No, właśnie po to są partnerzy, żeby mówić sobie *rzeczy* we właściwym czasie.

- Posłuchaj, wiem, że nie wygram z tobą tej dyskusji. Na razie ją odłożymy, dobrze?

- Pewnie, Henry, jak sobie *życzysz*. Nad czym teraz pracujesz?

- Nad niczym. Zwykle pierdoły.

- Będziesz gotowy na jutro?

- Już jestem.

Condon kiwnął głową.

- Tak czy inaczej, jesteśmy do przodu - powiedział. - Albo dostaemy forszę, albo składamy wnioski i ogłaszamy w prasie istnienie Proteusa. Na sympozjum w styczniu ustawi się do nas taka kolejka, jak na premierę „Gwiezdných wojen”.

Pierce pokiwał głową. Nie miał jednak ochoty jechać na doroczne sympozjum w Las Vegas, poświęcone rozwojowym dziedzinom techniki. Była to wyjątkowo dęta impreza, służąca głównie zawieraniu kontaktów między światem nauki i finansów. Roiło się na niej od szarlatanów i szpiegów DARPA. Tam właśnie osiem miesięcy wcześniej Pierce i jego ludzie zaczęli zanęcać szperaczy Maurice'a Goddarda.

- O ile dotrwamy do stycznia - powiedział Pierce. - Pieniądze potrzebne są nam teraz.

- O to się nie martw. Znajdowanie szmalu to moja robota. Myślę, że zdołam wygrzebać kilka rybek na przeczekanie, zanim upolujemy kolejnego wieloryba.

Pierce kiwnął głową pocieszony zapewnieniami partnera. Zważywszy na sytuację, wybieganie myślami nawet miesiąc naprzód wydawało się niedorzecznością.

- W porządku, Charlie.

- O rany, to i tak nieważne. Przecież upolujemy Maurice'a, prawda?

- Prawda.
 - Właśnie. No to wracaj do pracy. Jutro o dziewiątej?
- Pierce odchylił się na oparcie i jęknął - tym razem zaprotestował przeciwko wyznaczonej porze. - Będę.
- Nasz nieustraszony wódz.
 - No pewnie.

Charlie zastukał mocno w wewnętrzną stronę drzwi - być może był to jakiś znak solidarności - i wyszedł. Pierce odczekał chwilę, po czym wstał i zamknął drzwi na klucz. Nie chciał, by mu ktoś jeszcze przeszkodził.

Zabrał się z powrotem do studiowania wydruków. Po krótkim raporcie na temat Lilly Quinlan następował znacznie dłuższy, poświęcony Williamowi Wentzowi, właścicielowi i menedżerowi Entrepreneurial Concepts Unlimited. Wynikało z niego, że Wentz kieruje kwitnącym imperium internetowego półświatka, od usług hostess po pornograficzne witryny. Chociaż witrynami tymi zarządzano z Los Angeles, mieściły się w dwudziestu miastach czternastu stanów.

Wprawdzie kierowane przez Wentza firmy internetowe należały w powszechnej opinii do półświatka, to jednak były legalne. Internet to pole przeważnie niczym nieskrępowanej przedsiębiorczości. Dopóki Wentz nie zamieszczał fotografii uprawiających seks nieletnich modelek i opatrywał witryny hostess odpowiednimi komunikatami dla klientów, że zrzekają się prawa do roszczeń, działał w zasadzie w zgodzie z prawem. Mógł się łatwo od wszystkiego zdystansować, nawet jeśli jego hostessy były aresztowane za prostytucję. Komunikaty na stronach internetowych stwierdzały bowiem wyraźnie, że ich właściciel nie popiera prostytucji ani jakichkolwiek transakcji, gdzie za seks płacono pieniędzmi czy w inny sposób. Jeśli hostessa zgadzała się na płatny seks, była to jej własna decyzja, za którą groziło jej natychmiastowe usunięcie strony z witryny.

Pierce od Philipa Glassa dowiedział się już w ogólnych zarysach, jak działa Wentz. Raport Zellera był jednak znacznie szczegółowszy, świadczył o potędze i zasięgu działania Internetu. Zeller dotarł do kryminalnej przeszłości Wentza w stanach Floryda i Nowy Jork. Pakiet wydruków zawierał kilka kolejnych zdjęć z policyjnych archiwów - przedstawiających Wentza i drugiego mężczyznę, nazwiskiem Grady Allison, figurującego w rejestrze przemysłowym Kalifornii jako dyrektor finansowy ECU. Pierce przypomniał sobie, że Lucy LaPorte wspominała o tym człowieku. Pomiął zdjęcia i przeczytał początek podsumowania Zellera:

Wygląda na to, że Wentz i Allison działają w parze. Przyjechali sześć lat temu z Florydy w odstępie miesiąca. Zapewne po wielokrotnych aresztowaniach w Orlando grunt palił się im tam pod nogami. Z akt wywiadu śledczego Departamentu Sprawiedliwości Stanu Floryda (FDLE) wynika, że obydwaj byli właścicielami sieci knajp ze striptizem na Orange Blossom Trail w Orlando. Było to, zanim Internet uczynił uprawianie seksu, prawdziwego lub wyimaginowanego, o wiele łatwiejsze od stawiania na scenie nagich dziewczuch i obciągania druta na boku. Allison miał na Florydzie przydomek „Grade A” - „Pierwsza Klasa” - ze względu na talent do rekrutowania utalentowanych kandydatek na sceny Orange Blossom Trail. Sieć klubów Wentza i Allisona nazywała się „No Strings Attached” - jako aluzja do całkowitej nagości tancerek.

UWAGA: W aktach FDLE ta para jest powiązana z niejakim Dominikiem Silvą, lat 71, zamieszkałym w Winter Park na Florydzie, który z kolei ma związki z tradycyjną zorganizowaną przestępczością w Nowym Jorku i północnej części New Jersey. ZACHOWAJ OSTROŻNOŚĆ!

To, iż Wentz i jego kompan okazali się rasowymi gangsterami, nie zaskoczyło Pierce'a. Nie po tym, z jakim wykalkulowanym chłodem i brutalnością został potraktowany podczas napaści. Dziwne wydało mu się jedynie, że Wentz - człowiek spokojnie posługujący się telefonem jako tępym narzędziem i noszący spiczaste buty ułatwiające miażdżenie kości - mógł być szefem rozkwitającego, wyrafinowanego imperium internetowego.

Pierce widział Wentza w działaniu. Do tej pory miał wrażenie, iż mięśnie u jego kompana są na pierwszym miejscu, a mózg im ustępuje. Wentz wyglądał bardziej na majstra, pilnującego przebiegu robót, niż kierujący nimi intelekt. Pierce pomyślał o starym gangsterze, wspomnianym w raporcie Zellera. Dominie Silva z Winter Park. Czy to on był faktycznym szefem? Uznał, że warto się tego dowiedzieć.

Sięgnął po następną kartkę. Było na niej podsumowanie kryminalnej kartoteki Wentza. W ciągu pięciu lat na Florydzie wielokrotnie aresztowano go za stręczycielstwo oraz dwukrotnie za coś, co określano jako GBI. Został również aresztowany w związku z zarzutem o spowodowanie śmierci.

Podsumowanie nie zawierało informacji, jak zakończyły się te dochodzenia. Jego lektura - aresztowanie po aresztowaniu - budziła jednak zdziwienie, dlaczego Wentz nie jest w więzieniu.

Identyczne pytania nasunęły się Pierce'owi, gdy przystąpił do lektury kolejnej kartki - podsumowania kartoteki kryminalnej Grady'ego „Pierwszej Klasy” Allisona. On również był systematycznie zgarniany za stręczycielstwo. Przewyższył Wentza w kategorii GBI - aresztowano go pod tym zarzutem czterokrotnie. Został również zatrzymany za przestępstwo określone jako „sexbat-minor” - co, jak tłumaczył Zeller, oznaczało napaść seksualną na nieletnią.

Pierce podniósł słuchawkę i zadzwonił po raz kolejny do Janis Langwiser. Tym razem nie musiał czekać długo, nim się zgłosiła.

- Mam parę szybkich pytań - powiedział. - Wie pani, co znaczy „stręczycielstwo”?

- Bycie alfonsem. Podsuwanie kobiety w zamian za pieniądze lub inne dobra. Dlaczego pan pyta?

- Chwileczkę. A co to jest GBI?

- Tego określenia nie ma w kodeksie karnym Kalifornii, ale zwyczajnie GBI oznacza *great body injury* - poważne uszkodzenia ciała. Pewnie chodzi o jeden z zarzutów przy oskarżeniu o napaść. - Pierce za stanął nad jej słowami. GBI - czyli na przykład rozbicie komuś twarzy telefonem i wywieszenie go z balkonu jedenastego piętra. - Dlaczego pan pyta, Henry? Rozmawiał pan z Rennerem?

Zawahał się przed odpowiedzią. Uświadomił sobie, że nie powinien był dzwonić do prawniczki, bo mogła zorientować się, że nadal zajmuje się sprawą, od której kazała mu trzymać się z daleka.

- Nie, nic takiego. Właśnie przeglądałem wyniki wywiadu, dotyczącego człowieka, który chce się u mnie zatrudnić. Czasami trudno dojść, o co chodzi.

- Hm, nie wygląda na to, żeby to był ktoś, kogo warto by było zatrudniać.

- Chyba ma pani rację. No dobrze, dziękuję. Może pani dopisać to do mojego rachunku.

- Nie ma sprawy.

Rozłączył się i sięgnął po ostatnią kartkę raportu Zellera. Zawierała listę wszystkich witryn internetowych, które zdołał powiązać z Wentzem i ECU. Wydrukowany z pojedynczym odstępem wykaz zajmował całą stronę. Aż nieprawdopodobne, iż tym wszystkim zarządza tylko jeden człowiek.

W trakcie przeglądania listy Pierce'owi wpadła w oczy jedna nazwa: FetishCastle.com. Zdał sobie sprawę, że już ją słyszał. Dopiero po kilku chwilach przypomniał sobie, że Lucy LaPorte powiedziała mu, iż poznała Lilly Quinlan na sesji zdjęciowej dla tej witryny.

Pierce obrócił się z fotelem, włączył komputer i podłączył się do Sieci. Po kilku minutach dotarł na stronę główną FetishCastle. Największe zdjęcie na niej przedstawiało Azjatkę ubraną w sięgające ud czarne buty i niewiele więcej. Wspierała ręce na biodrach w pozycji surowej nauczycielki. Prenumeratorom obiecywano tysiące dających się zapisać na twardym dysku zdjęć z fetyszami, filmy wideo i linki do innych stron. Wszystko gratis - oczywiście po opłaceniu subskrypcji. Zakodowana, lecz łatwa do odcyfrowania lista tematyki obejmowała dominację, podległość, transwestytyzm, zabawy z wpompowywaniem wody, podduszanie i tak dalej.

Pierce kliknął na tabliczkę „zapisz się” i przeszedł na stronę z menu, oferującym kilka różnych wariantów subskrypcji wraz z obietnicą natychmiastowej akceptacji zgłoszenia i udostępnienia zawartości. Aktualna stawka wynosiła 29,95 dolarów miesięcznie, którą obciążano dowolną wybraną przez klienta kartę kredytową. Pod menu znajdowało się zapewnienie dużym drukiem, że wpłata ta będzie figurowała na wszystkich wyciągach z kart kredytowych jako „ECU Enterprises”, co oczywiście nie rzucało się tak w oczy żonom czy szefom jak „FetishCastle”.

Proponowano również ofertę wstępną - dostęp do strony przez pięć dni za 5,95 dolarów. Jeśli klient nie zdecydował się na którąś z miesięcznych lub rocznych subskrypcji, z karty nie potrącano dalszych opłat. Z oferty tej można było skorzystać tylko raz na jedną kartę kredytową.

Pierce wyciągnął kartę American Express z portfela i wpisał jej numer na zgłoszeniu próbnej subskrypcji. Po paru minutach otrzymał nazwę użytkownika i hasło. Wszedł dalej - do strony z listą tematów oraz oknem wyszukiwania. Wpisał w nie „Robin” i nacisnął „enter”. Nie wyświetliły się żadne rezultaty. Tak samo było, gdy spróbował wyszukać „Lilly”. Udało mu się ze słowami kluczowymi „dwie dziewczyny” - przypomniał sobie, że tak właśnie opisała Lucy sesję zdjęciową z Lilly.

Wyświetliła się strona z trzydziestoma sześcioma zakładkami w sześciu rzędach. Na dole strony znajdowały się łącza do następnej lub którejkolwiek z czterdziestu ośmiu stron zakładek.

Pierce przejrzał zakładki na pierwszej stronie. Były to wyłącznie fotografie par kobiet. Modelki uczestniczyły w różnych aktach seksualnych i praktykach sadomasochistycznych - zawsze jedna z postaci odgrywała rolę dominującą, a druga - podporządkowaną. Choć fotografie były małe, Pierce nie chciał tracić czasu na oglądanie ich w powiększeniu. Otworzył szufladę i wyjął z niej lupę. Pochylił się

przed monitorem i przyjrzał dokładniej szeregom zakładek. W ten sposób mógł szybko stwierdzić, czy są na nich Lilly i Lucy.

Na czwartej stronie trzydziestu sześciu zakładek natrafił na serię ponad dziesięciu fotografii Lilly i Lucy. Na każdym z nich Lilly odgrywała rolę dominującą, a Lucy - podporządkowaną, chociaż była roślejsza od drobnej partnerki. Pierce kliknął na jedną z zakładek; powiększenie zajęło cały ekran.

Dekorację stanowiła niewątpliwie namalowana skalna ściana zamczyska. Lochu, domyślił się Pierce. Na podłodze leżała słoma, a na stojącym blisko stole płonęły świece. Naga Lucy była przykuta do ściany błyszczącymi i nowymi, wcale nie średniowiecznymi kajdanami. Ubrana w najwyraźniej obowiązkowy czarny skórzany strój dominy Lilly stała przed partnerką ze świecą, przekrzywiwszy nadgarstek tak, by roztopiony воск ściekał na jej piersi. Twarz Lucy przybrała wyraz, mający zdaniem Pierce'a przekazywać równoczesną udrękę i ekstazę. Mina Lilly wyrażała surową aprobatę i dumę.

- Och, przepraszam. Myślałam, że już wyszedłeś.

Pierce zobaczył, że do środka weszła Monika. Jako asystentka znała kombinację do zamka szyfrowego jego gabinetu, ponieważ czasami musiała tu wchodzić, gdy Pierce był w laboratorium. Chciała położyć plik poczty na jego biurku.

- Powiedziałeś, że będziesz tylko kilka...

Urwała, kiedy zobaczyła obraz na monitorze. Otworzyła usta tak, że zrobiło się z nich idealne kółko. Pierce zgasił natychmiast monitor. Był zadowolony, że ma posiniaczoną i pokrytą skaleczeniami twarz - pomagało to ukryć zażenowanie.

- Moniko, posłuchaj, ja...

- To ona? Ta kobieta, pod którą kazałeś mi się podszywać?

Kiwnął głową.

- Staram się tylko...

Nie wiedział, jak wytłumaczyć to, co zrobił. Sam nie był tego pewien. Poczul się jeszcze bardziej głupio, gdy uświadomił sobie, że trzyma w ręce lupę.

- Doktorze, podoba mi się praca tutaj, ale nie jestem pewna, czy chcę być dalej pańską asystentką.

- Nie nazywaj mnie tak, Moniko. I nie zaczynaj wygadywać znowu o swojej pracy.

- Czy mogę przenieść się z powrotem do puli sekretarek?

Pierce sięgnął na monitor po okulary przeciwsłoneczne i je nałożył. Kilka dni temu pragnął pozbyć się asystentki, ale obecnie nie był w stanie zmierzyć się z jej pełnym dezaprobaty wzrokiem.

- Możesz zrobić, na co tylko masz ochotę, Moniko - powiedział, wlepiając wzrok w ekran zgaszonego monitora. - Myślę jednak, że wyrobiłaś sobie o mnie niewłaściwą opinię.
- Dziękuję. Porozmawiam z Charliem. Proszę bardzo, pańska poczta.

Wyszła i zamknęła za sobą cicho drzwi.

Pierce przez chwilę kołysał się w fotelu, wpatrując się przez ciemne okulary w zgaszony monitor. Wkrótce pałący wstyd rozproszył się, zastąpiony rosnącym gniewem. Na Monikę, że nie rozumiała. Na własne położenie. I przede wszystkim na siebie samego.

Wcisnął guzik i ekran zaświecił się z powrotem. Nadal widniało na nim wspólne zdjęcie Lucy i Lilly. Przyjrzał się krzepnącemu na skórze Lucy woskowi; jego strużka zwisała ze sterczącego sutka. Była to dla nich tylko praca, umówiona sesja. Nigdy się nie spotkały przed tym uwiecznionym na taśmie momentem.

Przyglądał się minom obydwóch kobiet, temu, jak na siebie patrzyły. Nie wykrył żadnego śladu, iż dla obydwu to tylko gra. Emocje na ich twarzach wyglądały na autentyczne i wzbudziło to w nim podniecenie. Zamek i cała reszta stanowiły ewidentny fałsz - ale nie wyrazi ich twarzy. Nie, one mówiły coś zupełnie innego. Świadczyły, kto ma władzę, a kto jest manipulowany, kto jest górą, a kto musi słuchać.

Pierce długo wpatrywał się w zdjęcie. Przejrzał wszystkie fotografie z sesji, nim zgasił komputer.

lylerce nie wrócił do domu na środową noc. Mimo pewności siebie, W odegranej w swoim gabinecie przed Charliem Condonem, czuł, że przez spędzone w szpitalu dni narobiły mu się zaległości w laboratorium. Nie uśmiechała się mu również perspektywa powrotu do mieszkania, w którym czekało go uprzątnięcie śladów krwi. Zamiast tego spędził noc w podziemiach Amedeo Technologies, przeglądając wyniki testów zrobionych pod jego nieobecność przez Larraby'ego i Groomsa. Sam również przeprowadził kilka eksperymentów związanych z programem Proteus. Ich powodzenie jak zwykle dodało mu na jakiś czas energii, w końcu przemogło go jednak zmęczenie i przed świtem położył się spać w laboratorium laserowym.

Wykonywano w nim najsztudniejsze pomiary. Miało trzydziestocentymetrowej grubości betonowe ściany, pokryte z zewnątrz miedzianą blachą, a od środka grubą pianką, wszystko to eliminowało zakłócające nanoodczyty drgania i fale radiowe. Szczury laboratoryjne nazywały tę salę schronem na wypadek trzęsienia ziemi, ponieważ było najbezpieczniejszym pomieszczeniem w budynku, a może i w całym Santa Monica. Arkusze wyściółki wielkości materacy przypięto do ścian rzepami. Często zdarzało się, że przepracowani laboranci zaszywali się w pracowni laserowej, układali wyściółkę na podłodze i wysypiali się, jeśli tylko sali nie używano. W istocie wyżsi rangą członkowie zespołu popodpisywali niektóre arkusze swoimi nazwiskami i z czasem pojawiły się w nich zagłębienia odpowiadające kształtem konturom ich ciał. Po przypięciu na miejsce ślady te sprawiały wrażenie, że w laboratorium doszło do koszmarnej burdy lub meczu zapaśniczego, podczas którego rzucano przeciwnikami o ściany.

Pierce przespał się dwie godziny i obudził odświeżony, gotowy na przyjęcie Maurice'a Goddarda. W szatni na pierwszym piętrze znaj-

dował się prysznic, a Pierce zawsze trzymał w szafce zapasowe ubranie. Niekoniecznie było świeżo uprane, ale przynajmniej świeższe od tego, w którym spał. Tym razem wziął prysznic i przebrał się w dżinsy oraz beżową koszulę z wzorkiem z ryb welonów. Wiedział, że Goddard, Condon i wszyscy pozostali będą wystrojeni oficjalnie dla podkreślenia znaczenia prezentacji, ale tym się nie przejmował. Naukowiec miał prawo nie przestrzegać konwenansów.

W lustrze zobaczył, że rzędy szwów zaczerwieniły się i są wyraźniejsze niż dzień wcześniej - przez całą noc tarł się po twarzy, bo rany swędziały go i paliły. Doktor Hansen powiedział, że to go czeka: gojeniu się skóry zawsze towarzyszy uczucie świerzbień. Lekarz dał Pierce'owi tubkę kremu łagodzącego podrażnienia, ale zostawił go w swoim mieszkaniu.

Pochylił się bliżej lustra i popatrzył sobie w oczy. Krwiak zniknął prawie całkowicie z rogówki prawego oka. Purpurowe podbiegnięcia pod oczyma zmieniały barwę na żółtą. Pierce przecesał włosy palcami i uznał, że przypominające suwaki szwy dodają jego twarzy niepowtarzalnego charakteru. Natychmiast powstydział się własnej próżności i z zadowoleniem pomyślał, że w szatni nie ma nikogo, kto byłby świadkiem jego fiksacji na punkcie lustra.

O dziewiątej znalazł się z powrotem w laboratorium. Byli w nim Larraby i Grooms, schodzili się inni laboranci. Brandon Larraby był wysokim, szczupłym mężczyzną, przywiązany do noszenia białego fartucha. Jedyne on wkładał go w całym Amedeo. Pierce sądził, że to kwestia upewniania się co do własnej roli: jeśli człowiek wyglądał jak prawdziwy naukowiec, dowodziło to, że zajmuje się prawdziwą nauką. Pierce'a jednak nic nie obchodziło, kto w czym chodził, jeśli tylko sprawdzał się w pracy. W przypadku immunologa nie było jednak wątpliwości co do jego kompetencji. Larraby był o kilka lat starszy od Pierce'a i półtora roku wcześniej przeszedł do firmy z przemysłu farmaceutycznego.

Sterling Grooms był w firmie Pierce'a najdłużej z wszystkich pełnoetatowych pracowników. Kierował laboratorium podczas trzech kolejnych przeprowadzek, począwszy od starego magazynu koło lotniska, gdzie narodziła się Amedeo Technologies - pierwszej pracowni, stworzonej własnymi rękami przez Henry'ego. Niekiedy podczas długich godzin pracy w laboratorium obydwaj rozmawiali o „dawnych czasach” z nostalgiczną rewerencją, bez względu na to, że było to niecałe dziesięć lat temu. Grooms był rówieśnikiem Pierce'a. Przeszedł do firmy po studiach doktoranckich na Uniwersytecie Południowej Kalifornii. Dwukrotnie kusili go konkurenci, lecz Pierce

utrzymał go, dając udziały w firmie i patentach oraz miejsce w pokazowej radzie naczelnej spółki.

Dwadzieścia po dziewiątej asystentka Charliego Condon zadzwoniła z informacją, że przyjechał Maurice Goddard. Nadeszła pora na spektakl pod publiczność. Pierce odłożył słuchawkę telefonu w laboratorium i popatrzył na Groomsa i Larraby'ego.

- Elvis jest w budynku - powiedział. - Jesteśmy gotowi? - Oby dwaj pokiwali głową. Odpowiedział im tym samym. - No dobrze, przygotujcie się, a ja pójdę po nich.

Przeszedł przez służbę i wjechał windą na piętro administracji. Goście czekali w towarzystwie Condon w sali konferencyjnej: Goddard i jego prawa ręka, Justine Bechy, którą Condon przechrzczył na „Just Bitchy” - Po Prostu Suka. Była to prawniczka, chroniąca dostęp do Goddarda i wrót jego inwestycyjnych bogactw z niezręczną gorliwością, co upodabniało ją do stu pięćdziesięciokilogramowego obrońcy futbolowego, kryjącego gracza przeciwnej drużyny. Przy długim stole siedział również Jacob Kaz, prawnik od patentów. Clyde Vernon stał nieco z boku, demonstrując, że w razie potrzeby ochrona jest na miejscu.

W chwili wejścia Pierce'a Goddard mówił właśnie coś o wnioskach patentowych. Henry przerwał rozmowę głośnym powitaniem, wskutek czego wszystkie oczy zwróciły się na niego - i natychmiast odmalowała się w nich reakcja na jego wygląd.

- O kurczę! - wykrzyknęła Justine Bechy. - Henry!

Goddard milczał i jedynie przyglądał się Pierce'owi. Na jego twarzy pojawił się dyskretny, zdaniem Henry'ego nieco rozbawiony uśmiech.

- Henry Pierce - powiedział Condon. - Facet wie, jak zapewnić sobie mocne wejście.

Pierce uścisnął ręce Justine Bechy, Goddardowi i Kazowi. Usiadł w fotelu po przeciwnej niż goście stronie szerokiego wypolerowanego stołu. Dotknął ramienia Charliego, który na tę okazję włożył chyba najdroższy garnitur, rzucił spojrzenie Vernonowi i skinął mu głową. Vernon odpowiedział tym samym, robiąc minę, jakby kosztowało go to nieco wysiłku. Pierce znowu pomyślał, że szef ochrony nadaje na zupełnie innej fali.

- Dzięki, że przybyłeś na dzisiejsze spotkanie, Henry - powie działa Justine Bechy tonem sugerującym, że termin prezentacji zo stał dotrzymany wyłącznie dzięki jego dobrej woli. - Nie mieliśmy pojęcia, że odniosłeś tak poważne obrażenia.

- Nie ma sprawy. Tylko tak źle wyglądają. Wróciłem do pracy

w laboratorium już wczoraj, chociaż nie jestem pewien, czy swoim wyglądem do niego pasuję.

Nikt nie wychwycił jego niezręcznej aluzji do Frankensteina.

- To dobrze - powiedziała Justine Bechy.
- Słyszeliśmy, że miałeś wypadek samochodowy - powiedział Goddard; były to jego pierwsze słowa od pojawienia się Pierce'a.

Maurice Goddard miał nieco ponad pięćdziesiąt lat, bujne włosy i przenikliwy wzrok ptaszka, który w ciągu dnia nazbierał ćwierć miliarda robaczków. Był ubrany w kremowy garnitur, białą koszulę i żółty krawat, a obok niego na stole leżał dopasowany kolorystycznie kapelusz. Po jego pierwszej wizycie Pierce usłyszał od kogoś, że inwestor nosi się na modłę pisarza Toma Wolfe'a, brakuje mu jedynie laseczki.

- Owszem - odparł Pierce. - Wpadłem na mur.
- Kiedy to się stało? Gdzie?
- W niedzielę po południu, tutaj, w Santa Monica.

Pierce miał ochotę zmienić temat. Czuł się niezręcznie, klucząc wokół prawdy. Wiedział, że pytania Goddarda nie są ani wyrazem troski, ani grzecznościową konwersacją. Ptasek zastanawiał się, czy oddać piętnaście milionów swoich robaczków. Jego wypytywanie dowodziło jedynie należytej ostrożności: starał się dowiedzieć, w co może się władować.

- Piłeś? - zapytał bez ogródek Goddard.
- Nie. - Pierce uśmiechnął się i potrząsnął głową. - Nawet nie prowadziłem, chociaż i tak nie siadam za kierownicą, kiedy wypiję, Maurice, jeśli o to ci chodzi.
- Cóż, cieszę się, że nie stało się ci nic poważnego. Możesz mi przy okazji przesłać kopię raportu z miejsca wypadku? Do naszej dokumentacji, rozumiesz?

Zapadło krótkie milczenie.

- Nie jestem pewien, czy zdołam. Ostatecznie to nie miało nic wspólnego z Amedeo i tym, co tu robimy.
- Rozumiem. Bądźmy jednak szczerzy, Henry. Amedeo Technologies to ty. Firma powstała dzięki twojemu twórczemu geniuszowi. W swoim czasie poznałem wielu geniuszów. Niektórym oddałbym ostatniego dolara, a na niektórych nie postawiłbym ani jednego, chociaż miałbym ich setkę.

Urwał. Pałeczkę przejęła Justine Bechy. Była dwadzieścia lat młodsza od Goddarda, miała krótkie ciemne włosy i jasną skórę, emanowała pewnością siebie i przebojowością.

- Maurice chce powiedzieć, że zastanawia się nad pokazną inwestycją w Amedeo Technologies. Żeby zrobić to ze spokojnym sumie-

niem, musi być was pewny. Musi was poznać. Nie chce inwestować w kogoś, kto okaże się ryzykantem i mógłby beztrudno obejść się z zainwestowanymi funduszami.

- Myślałem, że chodzi o naukę. O program.

- Owszem, Henry - odparła. - Te dwie sfery są jednak nierozłączne. Nauka jest nic niewarta bez naukowca. Zależy nam, byś był oddany nauce, by twoje programy stanowiły dla ciebie obsesję. Nie możesz jednak bezmyślnie narażać życia poza laboratorium.

Pierce przez długą chwilę patrzył jej prosto w oczy. Nagle zadał sobie pytanie, czy Justine Bechy przypadkiem nie wie, co wydarzyło się naprawdę i jak obsesyjnie Henry stara się wyjaśnić tajemnicę zniknięcia Lilly Quinlan.

Condon odchrząknął i włączył się do rozmowy, starając się posunąć spotkanie naprzód:

- Justine, Maurice, jestem pewny, że Henry z zadowoleniem będzie współpracował przy wszelkiego rodzaju osobistych dochodzeniach, na jakie mielibyście ochotę. Znam go od dawna, a jeszcze dłużej pracuję w branży rozwojowych gałęzi technologii. Jest jednym z najbardziej zrównoważonych i skoncentrowanych badaczy, z którymi miałem do czynienia. Dlatego właśnie tu jestem. Podoba mi się ta nauka, podoba mi się ten program i bardzo mi odpowiada ten człowiek.

Justine Bechy przeniosła wzrok z Pierce'a na Condon'a i kiwnęła twierdząco głową.

- Niewykluczone, że podejmiemy decyzję na podstawie twojej oceny - powiedziała.

Wymiana zdań w niewielkim stopniu zmniejszyła napięcie, które szybko wypełniło salę. Pierce czekał, aż ktoś coś powie, ale zapanało milczenie.

- Jest chyba coś, o czym powinienem wam powiedzieć - rzekł wreszcie. - I tak się zresztą tego dowiecie.

- W takim razie mów i oszczędź nam czasu - odparła Justine Bechy. Pierce niemal dosłownie czuł, jak mięśnie Charliego Condon'a tężeją w trakcie oczekiwania na rewelację, o której nie miał pojęcia.

- Hm, chodzi o to... że kiedyś nosiłem kucyk. Nie będzie to problemem?

Zrazu nadal panowało milczenie, wreszcie jednak na kamiennej twarzy Goddarda pojawił się uśmiech, a potem roześmiał się już głośno. Potem uśmiechnęła się Justine Bechy, a po chwili śmiali się wszyscy - z Pierce'em włącznie, chociaż go to zabolalo. Napięcie zostało rozładowane. Charlie zacisnął pięść i uderzył nią parę razy w stół, akcentując w ten sposób swoje ubawienie. Była to reakcja zbyt żywiołowa.

- No dobrze - powiedział Condon. - Przyjechaliście tutaj obejrzeć widowisko. Może zjedziemy do laboratorium, to zobaczycie program, dzięki któremu ten komediant dostanie Nagrodę Nobla?

Otoczył szyję Pierce'a rozpostartymi dłońmi, udając, że go dusi. Pierce przestał się uśmiechać i zaczerwienił się - nie ze względu na pozorowane duszenie, lecz z powodu żartu na temat Nobla. Pomyślał, że trywializowanie tak doniosłej nagrody jest w złym guście. Poza tym wiedział, że nigdy jej nie dostanie. Nie miał na nią szans żaden właściciel prywatnego laboratorium; wykluczały to względy polityczne.

- Jeszcze jedno, zanim zjedziemy na dół - powiedział Pierce. - Przyniosłeś formularze zobowiązania się do zachowania tajemnicy, Jacob?

- Och, mam je tutaj - odpowiedział prawnik. - Prawie zapomniałem.

Podniósł neseser z podłogi i otworzył go na stole.

- To naprawdę konieczne? - zapytał Condon.

Była to część uzgodnionej inscenizacji. Pierce upierał się, by Goddard i Justine Bechy podpisali formularze o zachowaniu tajemnicy przed obejrzeniem prezentacji w laboratorium. Condon sprzeciwiał się, okazując troskę, że jest to zachowanie obraźliwe względem inwestora kalibru Goddarda. Pierce'a to jednak nie obchodziło i nie zamierzał ustępować. Jego laboratorium, jego reguły. Ostatecznie zgodzili się na plan, według którego miało to stać się częścią irytującej rutyny.

- Taka jest polityka laboratorium - powiedział Pierce. - Myślę, że nie powinniśmy jej łamać. Justine dopiero co mówiła, jak ważne jest unikanie ryzyka. Jeśli tego nie zrobimy...

- Myślę, że to w pełni zasadny pomysł - przerwał mu Goddard. -

W istocie zmartwiłbym się, gdybyście nie poczynili takiego kroku.

Kaz przesunął dwa egzemplarze dwustronicowego dokumentu przez stół w stronę Goddarda i Justine Bechy. Wyjął pióro z wewnętrznej kieszeni marynarki, odkręcił kołpaczek i położył je przed gośćmi.

- To dość standardowy formularz - powiedział. - Zasadniczo służy ochronie wszelkich zastrzeżonych procesów, technologii i formuł. Wszystko, co zobaczycie w laboratorium, będziecie musieli traktować jako całkowicie poufne.

Goddard nie zadał sobie trudu przeczytania dokumentu. Zostawił to Justine Bechy, której dwukrotna lektura zabrała co najmniej pięć minut. Gdy skończyła, wzięła pióro do ręki i podpisała. Następnie podała je Goddardowi, który zrobił to samo ze swoim egzemplarzem.

Kaz zebrał dokumenty i schował je do neseseru. Wszyscy wstali i skierowali się ku drzwiom. Pierce przepuścił pozostałych. Gdy dochodzili do windy, Jacob Kaz poklepał go po ramieniu. Na chwilę zostali w tyle za pozostałymi.

- Wszystko w porządku z Janis? - szepnął prawnik.

- Z kim?

- Janis Langwiser. Dzwoniła do ciebie?

- Och, tak. Dzwoniła. Wszystko w porządku. Dziękuję, że mi ją przedstawiłeś, Jacob. Wydaje się bardzo kompetentna.

- Mogę zrobić dla ciebie coś jeszcze?

- Nie. Wszystko w porządku. Dzięki.

Ruszyli w stronę otwierających się drzwi windy.

- Zjeżdżamy w króliczą norę, co, Henry? - powiedział Goddard.

- Dobra metafora - odparł Pierce.

Obejrzał się i zobaczył, że Vernon również został z tyłu i najprawdopodobniej był tuż za nim i Kazem, kiedy rozmawiali na osobności. Zirykowało go to, ale nic nie powiedział. Vernon wszedł do windy ostatni. Włożył kartę szyfrową do szczeliny tablicy kontrolnej i nacisnął guzik podziemia.

- P czyli piwnica - poinformował Gondon gości, gdy drzwi się zamknęły. - Gdyby było L - jak laboratorium - to ludzie mogliby po myśleć, że chodzi o lobby.

Roześmiał się, jednak nikt do niego nie dołączył. Pierce zorientował się, że Condon denerwuje się przed prezentacją. Nie wiedzieć czemu myśl ta go rozbawiła. Uśmiechnął się, ale nie na tyle szeroko, by to go zabolalo. Condon żywił obawy w związku z pokazem, których Pierce całkowicie nie podzielał. Czuł, że im winda znajduje się niżej, tym jemu przybywa energii. Wyprostował się, poprawiło mu się nawet pole widzenia. Laboratorium było jego królestwem. Jego sceną. W świecie na zewnątrz mogły panować zamęt i mrok, wojna i zniszczenie. Mógł przypominać chaos malowideł Hieronima Boscha z kupczącymi ciałami kobietami i mężczyznami, porywającymi je, więżącymi, a czasem nawet mordującymi. W laboratorium było jednak inaczej. Panował tu ład, porządek. Określony przez Pierce'a. Był to jego świat.

Nie miał wątpliwości, jak wypadnie nauka ani on sam podczas prezentacji. Wiedział, że w ciągu następnej godziny zmieni sposób patrzenia Maurice'a Goddarda na świat. Nawróci go na swoją wiarę, przekona, że pieniądze zostaną nie tyle zainwestowane, ile wykorzystane do zmiany oblicza świata. Goddard zaś odda je z chęcią. Wyjmie pióro i ze zniecierpliwieniem będzie się dopytywał, gdzie ma podpisać.

laboratorium goście skupili się w ciasnym półokręgu naprzeciw Pierce'a i Larraby'ego. Pięciu przybyszów oraz stali pracownicy sprawili, że zrobiło się tu ciasno. Odbyły się już wzajemne prezentacje, a gości oprowadzono po poszczególnych salach. Nadszedł czas na przedstawienie. Pierce był gotowy. Czuł się rozluźniony. Nigdy nie uważał się za wielkiego mówcę, ale było o wiele łatwiej mówić o programie w laboratorium, w którym powstał, niż w auli wykładowej na uniwersytecie czy na sympozjum.

- Myślę, że już wiecie, na co kładliśmy nacisk w naszych pracach w ciągu ostatnich kilku lat - powiedział Pierce. - Rozmawialiśmy o tym podczas waszej pierwszej wizyty. Dzisiaj chcielibyśmy omówić konkretny program, który narodził się w wyniku tych badań. Nazwa liśmy go Proteus. Jest dość nowy, powstał dopiero w ciągu minionego roku, stanowi jednak konsekwencję naszych pozostałych prac. W tej branży wszystkie badania są wzajemnie powiązane, a jedna idea ro dzi następną. Można to porównać do przewracających się po kolei ko stek domina czy reakcji łańcuchowej. Proteus stanowi jej ogniwo.

Opisał długotrwałą fascynację potencjalnymi medycznymi i biolo gicznymi zastosowaniami nanotechnologii i decyzję sprzed prawie dwóch lat, by zatrudnić w Amedeo Brandona Larraby'ego jako lidera poszukiwań w tej dziedzinie.

- Każdy artykuł, jaki przeczytacie w magazynach i pismach nau kowych, omawia biologiczny aspekt badań w dziedzinie nanotechno logii. Jest to zawsze gorący temat, począwszy od eliminacji zaburzeń biochemicznych po ewentualną terapię schorzeń przenoszonych z krwiobiegiem. Cóż, Proteus sam w sobie nie stanowi metody leczeni czej, a dzień, kiedy jego użycie przyniesie wymierne efekty, nadal jest odległy. Nie jest to już fantastyka naukowa, ale nadal musimy

jeszcze sporo poczekać. Proteus stanowi układ transportujący. Jest to źródło zasilania, które pozwoli przyszłym urządzeniom i systemom nanotechnologicznym działać wewnątrz organizmu. Stworzyliśmy układ biochemiczny, dzięki któremu napędem dla owych przyszłych wynalazków będą komórki krwi, dostarczające im impulsów elektrycznych.

- W gruncie rzeczy przypomina to pytanie o kurę i jajko - dodał Larraby. - Co było pierwsze? Uznaliśmy, że pierwsze musi być źródło energii. Trzeba budować od podstaw. Zaczyna się od silnika, a dopiero potem dodaje się taką aparaturę, jakiej potrzeba.

Urwał. Zapanowało milczenie. Można było się tego spodziewać - zawsze tak się działo, kiedy naukowiec próbował porozumieć się z laikami. W tym momencie zgodnie z wcześniejszymi uzgodnieniami włączył się Condon, któremu przypadła rola pośrednika i tłumacza.

- Chodzi ci o to, że ten układ, to źródło zasilania, stanowi podstawę, na której opierać się będą wszystkie inne badania i wynalazki?

- Tak - odparł Pierce. - Kiedy ogłosimy istnienie Proteusa w piśmie naukowym i na sympozjach, ukierunkuje to inne prace. Naukowcy bardziej zainteresują się tą dziedziną, ponieważ został pokonany podstawowy problem. Przetarliśmy szlak. W poniedziałek rano wystąpimy o ochronę patentową tego układu. Wkrótce potem opublikujemy rezultaty naszych prac, a następnie będziemy sprzedawać licencje tym, którzy zajmują się tą dziedziną.

- Ludziom wynajdującym i konstruującym urządzenia, które będą wprowadzane do krwiobiegu.

Słowa te padły z ust Goddarda; były stwierdzeniem, nie pytaniem. Stanowiło to dobry znak - ogarniała go ekscytacja.

- Właśnie - powiedział Pierce. - Jeśli ma się źródło energii, od razu otwierają się wielkie możliwości. Samochód bez silnika nigdzie nie pojedzie. Cóż, skonstruowaliśmy właśnie silnik, który zawiezie badacza z naszej branży wszędzie, gdzie ten zechce.

- Dla przykładu, tylko w tym kraju ponad milion cukrzyków musi podawać sobie własnoręcznie insulinę. Prawdę mówiąc, sam do nich należę. Jest do pomyślenia, że w niezbyt odległej przyszłości da się zbudować, zaprogramować i wprowadzić do krwi komórkowe urządzenie, które będzie mierzyło poziom insuliny, wytwarzało ją i uwalniało potrzebną jej ilość.

- Powiedz im o węgluku - rzekł Condon.

- Węgluk - przejął pałeczkę Pierce. - Wiemy po wydarzeniach z ubiegłego roku, jaka to śmiertelna bakteria i jak trudno ją wykryć w powietrzu. Dzięki naszym badaniom zbliżamy się do dnia, kie-

dy na przykład pracownicy poczty, członkowie sił zbrojnych, a może my wszyscy będziemy mieli wszczepiony biochip, wykrywający zarazki w rodzaju wąglika, zanim zdołają namnożyć się w organizmie.

- Widzą państwo, możliwości są nieograniczone - powiedział Lar-raby. - Jak powiedziałem, nauka zacznie je wykorzystywać. Jak jednak zasilać te urządzenia w organizmie? Był to poważny problem, pytanie, które od dawna pozostawało bez odpowiedzi.

- Myślimy, że znaleźliśmy rozwiązanie - rzekł Pierce. - To nasza formuła.

Znów zapanowało milczenie. Pierce przyjrzał się Goddardowi i zrozumiał, że złowił go na haczyk. Jest takie powiedzenie: nie strzelaj, dopóki nie widzisz białek oczu. Pierce je teraz zobaczył. Goddard trafiał zapewne we właściwe miejsca we właściwym czasie i dzięki temu przez lata wszedł w mnóstwo korzystnych interesów, jednak żaden nie był równie wspaniały. Żaden nie mógł przynieść mu zysków - i to wielkich - a równocześnie uczynić go bohaterem. Sprawić, że zarabiając pieniądze, będzie czuł się równocześnie dobroczyńcą.

- Możemy obejrzeć już demonstrację? - zapytała Justine Bechy.

- Oczywiście - odrzekł Pierce. - Urządziliśmy ją pod mikroskopem elektronowym.

Zaprowadził całą grupę do laboratorium obrazowania. Była to salka wielkości sypialni, zawierająca skomputeryzowany mikroskop wielkości biurka, z monitorem o przekątnej dwudziestu cali.

- Oto skaningowy mikroskop elektronowy - powiedział Pierce. - Prowadzone przez nas eksperymenty dotyczą struktur zbyt małych, by można je zobaczyć w większości mikroskopów. Dlatego też przeprowadzimy przetestowaną wcześniej reakcję, stanowiącą potwierdzenie, że Proteus działa. Będzie ona przebiegać w komorze mikroskopu elektronowego, dzięki czemu zobaczymy ją na monitorze.

Wskazał przypominającą sejf konstrukcję na podstawie obok monitora. Otworzył drzwiczki komory i wyjął z niej tackę z krzemową płytką.

- Nie będę nazywał poszczególnych białek, wchodzących w skład układu Proteus. Mówiąc prosto, na płytce znajdują się ludzkie komórki, do których dodamy połączenie pełnych białek, wiążących się z błonami komórkowymi. Proces ten spowoduje konwersję energii, o której mówiliśmy. Uzyskanie tej energii sprawia, że można ją wykorzystać do zasilania urządzeń molekularnych, o których dyskutowaliśmy wcześniej. Aby sprawdzić, czy taka konwersja zachodzi, dodamy roztworu chemicznego, reagującego na impulsy elektryczne luminescencją, czyli emisją światła.

Pierce włożył tackę z powrotem do komory i ją zamknął, podczas gdy Larraby tłumaczył dalej:

- W wyniku tego procesu energia zostaje przekształcona w cząsteczki ATP - adenozyntrifosforanu - stanowiącego jej dalsze źródło w organizmie. Wytworzony ATP będzie się wiązał z leucyną - tym samym aminokwasem, dzięki któremu świecą robaczki świętojańskie. Proces ten nazywa się chemoluminescencją.

Pierce pomyślał, że Larraby zaczyna mówić w zbyt naukowy sposób. Nie chciał stracić słuchaczy. Dał znak immunologowi, by zasiadł przed monitorem. Larraby go posłuchał i zaczął stukać w klawiaturę. Monitor na razie był czarny.

- Brandon dobiera w tej chwili składniki - powiedział Pierce. - Patrzcie na monitor; wyniki powinny pojawić się szybko i być zupełnie oczywiste.

Cofnął się, ustępując miejsca Goddardowi i Justine Bechy, by mogli patrzeć przez ramię Larraby'ego na ekran. Sam stanął w głębi pokoju.

- Światła.

Lampy pod sufitem pogasły, a Pierce z zadowoleniem zauważył, że jego głos znormalizował się na tyle, że akceptowały go czujniki systemu identyfikacyjnego. W pozbawionym okien laboratorium zapanała całkowita ciemność, rozpraszana jedynie mętną poświatą szarocznego ekranu. Było zbyt ciemno, by Pierce mógł przyjrzeć się twarzom pozostałych. Wyciągnął dłoń do ściany i przesunął po niej, aż natrafił na wiszący na haczyku noktowizor. Nałożył go, sięgnął do zasilacza przy lewej oprawce i włączył urządzenie. Następnie jednak nasunął gogle na czoło; jeszcze ich nie potrzebował. Sam powiesił tego ranka noktowizor na ścianie. Korzystano z niego w laboratorium laserowym. Pierce przyniósł go jednak tutaj, bo zależało mu, by potajemnie ocenić reakcje Goddarda i Justine Bechy.

- No dobrze, zaczynamy - powiedział Larraby. - Proszę patrzeć na monitor.

Prawie przez pół minuty ekran pozostał szaroczarny, po czym pojawiło się na nim kilka świetlnych punkcików, przypominających gwiazdy w pochmurną noc. Potem zjawiły się kolejne i jeszcze następne, aż ekran zaczął przypominać Drogę Mleczną.

Wszyscy milczeli, wpatrując się w monitor.

- Przejdź na termowizję, Brandon - powiedział wreszcie Pierce.

To również należało do planu - stanowiło przygotowanie do finałowego crescendo. Larraby znów *zaczął* wpisywać polecenia na klawiaturze, tak w tym wprawiony, iż nie potrzebował światła.

- Termowizja oznacza, że zobaczymy barwny obraz - poinformował. - Gradację intensywności impulsów, począwszy od najmniej intensywnych niebieskich przez zielone, żółte i czerwone po purpurowe - najintensywniejsze.

Ekran ożył falami kolorów. Dominowały żółty i czerwony, purpury było jednak dość, by wyrzeć należyte wrażenie. Barwy w polu widzenia zmieniały się w nieustającej reakcji łańcuchowej, przypominającej oglądane w nocy falowanie powierzchni oceanu czy widok głównej arterii Las Vegas z wysokości dziesięciu kilometrów.

- Zorza polarna - szepnął ktoś.

Pierce pomyślał, że to Goddard. Opuścił gogle i sam zobaczył barwny obraz. Ludzie w polu widzenia rozjarzyli się na czerwono i żółto. Pierce skupił się na twarzy inwestora. Gradacja barw umożliwiała mu widzenie w ciemnościach. Goddard nie odrywał wzroku od monitora. Miał otwarte usta, a jego czoło i policzki były ciemnoczerwone - barwy karmazynu, przechodzącego w purpurę - co świadczyło o podwyższeniu temperatury wskutek ekscytacji.

Noktowizor umożliwiał swego rodzaju naukowe podglądactwo - obejrzenie tego, co zdaniem obserwowanych pozostawało w ukryciu. Na twarzy wpatrującego się w monitor Goddarda pojawił się szeroki uśmiech. W tym momencie Pierce zrozumiał, że upragniony interes dojdzie do skutku. Amedeo zyskiwało pieniądze i przyszłość. Henry przeniósł wzrok na drugą stronę pogrążonego w ciemności pokoju i zobaczył, że Charlie Condon opiera się o ścianę i patrzy na niego, chociaż nie miał noktowizora. Charlie kierował spojrzenie w to miejsce, w którym, jak wiedział, znajduje się Pierce. Kiwnął mu głową - zrozumiał to samo co Henry, nie potrzebując do tego noktowizora.

Była to chwila, w której można było się rozsmakować. Znajdowali się na drodze do zdobycia bogactwa i sławy. Nie to było jednak dla Pierce'a najważniejsze; chodziło mu o coś innego, cenniejszego niż pieniądze. O coś, czego nie mógłby schować do kieszeni, ale co umiejscowiło się w głowie i sercu, przynosząc z czasem oszałamiające, mierzone dumą dywidendy.

To właśnie dawała nauka. Przewyższającą wszystko dumę, zapewniającą nawet odkupienie za wszystko, co się nie udało, za każdą błędną decyzję.

Przede wszystkim za Isabelle.

Pierce zdjął noktowizor i powiesił go na haczyku.

- Zorza polarna - szepnął cicho sam do siebie.

fcirzeprowadzono jeszcze dwa eksperymenty pod mikroskopem 0 elektronowym, wykorzystując kolejne płytki. Monitor znów rozjarzał się jak bożonarodzeniowa choinka, co usatysfakcjonowało Goddarda. Pierce obszedł jeszcze z gośćmi i Groomsem jako przewodnikiem pozostałe laboratoria, kończąc prezentację. Goddard miał przecież inwestować we wszystkie badania, nie tylko w program Proteus. O wpół do pierwszej prezentacja dobiegła końca i nastąpiła przerwa na obiad w sali konferencyjnej. Condon załatwił dostarczenie go z Joe's, restauracji na Abbot Kinney Boulevard, stanowiącej rzadkość dzięki temu, że była modna, i jednocześnie podawano w niej dobre jedzenie.

Konwersacja przy obiedzie była ożywiona; nawet Justine Bechy wyglądała na pogodną. Wiele mówiono o możliwościach nauki. Nie dyskutowano o pieniądzach, które można na niej zarobić. W pewnym momencie Goddard obrócił się do siedzącego obok niego Pierce'a.

- Moja córka ma zespół Downa - zwierzył się cicho.

Nie powiedział nic więcej, nie musiał. Pierce wiedział, że inwestor po prostu rozmyśla o fatalnym zrzędzeniu losu. Jego córka urodziła się za wcześnie. Zbliżała się przyszłość, w której tego rodzaju schorzenia będzie można eliminować, zanim do nich dojdzie.

- Założę się, że bardzo ją kochasz - powiedział Pierce. - I założę się, że ona o tym wie.

Goddard spojrział mu na chwilę w oczy przed odpowiedzią.

- Tak, Kocham ją i ona o tym wie. Często o niej myślę, kiedy pod pisuję inwestycje.

Pierce pokiwał głową.

- Musisz dopilnować, żeby miała zabezpieczenie.

- Nie, nie o to chodzi. Ma zabezpieczenie finansowe, wielokrotnie przekraczające jej potrzeby. Chodziło mi o to, że bez względu na to, ile zarobię w tym świecie, nie zdołam jej odmienić. Uzdrowić jej... chyba chodzi mi o to, że... przyszłość jest przed nami. To... to, co robicie...

Odwrócił wzrok, niezdolny do ujęcia w słowa swych myśli.

- Rozumiem - odparł Pierce.

Chwila milczenia została nagle przerwana głośnym wybuchem śmiechu Justine Bechy, siedzącej po przeciwnej stronie stołu obok Condon. Goddard uśmiechnął się i pokiwał głową, jakby słyszał, co tak śmiesznego zostało powiedziane.

Później, podczas deseru - placka z limoną - Goddard zapytał o Nicole.

- Wiesz, kogo mi brakuje? - spytał. - Nicole James. Gdzie jest dzisiaj? Chciałbym przynajmniej się z nią przywitać.

Pierce i Condon popatrzyli po sobie. Umówili się wcześniej, że wszelkimi wyjaśnieniami na temat Nicole zajmie się Charlie.

- Niestety, nie ma jej już z nami - powiedział. - Piątek był ostatnim dniem jej pracy w Amedeo.

- Naprawdę? Dokąd odeszła?

- Na razie donikąd. Pewnie potrzebuje trochę czasu, żeby obmyślić, co robić dalej. Podpisała jednak kontrakt, że nie zatrudni się u konkurencji, więc nie musimy się o to martwić.

Goddard zmarszczył czoło i pokiwał głową.

- Zajmowała dość kluczowe stanowisko - powiedział.

- I tak, i nie - odparł Condon. - Zajmowała się innymi, nie nami.

Wiedziała o naszych programach tylko tyle, by orientować się, czego szukać u konkurencji. Nie miała na przykład dostępu do laboratorium. Inigdy nie widziała demonstracji, jakiej dzisiaj byliście świadkami.

Była to nieprawda, ale Charlie Condon o tym nie wiedział. Podobnie jak o tym, iż Pierce skłamał Clyde'owi Vernonowi, ile wiedziała i widziała Nicole. W rzeczywistości widziała wszystko. Pierce przywiózł ją do laboratorium pewnego niedzielnego wieczora i pokazał jej, jak ekran mikroskopu skaningowego rozświetla się niczym zorza polarna. Było to, gdy ich związek się walił, a Pierce czepiał się rozpaczliwie wszelkich chwytów, by ją zatrzymać - by zostali razem. Wiedział, że złamał własne zasady, zabierając ją do laboratorium i pokazując to, co tak często go od niej odciągało. Nic jednak nie mogło powstrzymać rozpadu ich związku. Niecały miesiąc później Nicole zerwała z Henrym.

Podobnie jak Goddardowi, Pierce'owi brakowało w tej chwili Nicole, chociaż z odmiennych przyczyn. Przez resztę posiłku prawie cał-

kowicie milczał. Podano kawę, potem wyniesiono filiżanki. Uprzątnięto sztućce i naczynia, aż w wypolerowanym blacie widać było jedynie nieco niesamowite odbicia twarzy siedzących przy nim ludzi. Kelnerzy posprząтали salę. Nadszedł czas powrotu do interesów.

- Opowiedz o patentach - powiedziała Justine Bechy, składając przed sobą ręce i pochylając się nad stołem.

Pierce skinął Kazowi.

- Właściwie to patent szeregowy - udzielił odpowiedzi prawnik. - Składa się z dziewięciu części, obejmujących wszystkie procesy, które wam dzisiaj zaprezentowaliśmy. Naszym zdaniem zapewniliśmy wszystkiemu dokładną ochronę. Sądzymy, że ani teraz, ani .w przyszłości nikomu nie uda się podważyć patentów.

- Kiedy składacie wnioski?

- W poniedziałek rano. Jutro lub w sobotę lecę do Waszyngtonu. Zamierzam osobiście złożyć wnioski w Urzędzie Patentowym Stanów Zjednoczonych w poniedziałek o dziewiątej.

Ponieważ Pierce siedział obok Goddarda, mógł dzięki temu łatwiej i bardziej nonszalancko spoglądać na Justine Bechy po drugiej stronie stołu. Wydawała się zaskoczona szybkością, z jaką Amedeo zamierzało ubiegać się o patenty. I bardzo dobrze; Pierce i Condon chcieli wymusić na inwestorach szybką decyzję.

- Jak wiecie, to bardzo konkurencyjna branża - powiedział Pierce. - Chcemy upewnić się, że pierwsi zarejestrujemy naszą formułę. Brandon i ja napisaliśmy na jej temat również pracę naukową, którą jutro złożymy do druku. - Uniósł rękę i popatrzył na zegarek. Dochodziła druga. - Niestety muszę już was opuścić i wracać do pracy. Jeśli wytną jeszcze jakieś sprawy, z którymi Charlie nie będzie mógł się uporać, możecie zadzwonić do laboratorium. Jeżeli nikt nie odpowie, będzie to znaczyło, że pracujemy z próbnikami i wyłączyliśmy telefon.

Odsunął krzesło i właśnie wstawał, gdy Goddard zatrzymał go, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Chwileczkę, Henry, jeśli łaska. - Pierce usiadł z powrotem. Goddard spojrział na niego, a potem z rozmysłem powiódł wzrokiem po wszystkich pozostałych. Pierce wiedział, co go czeka. Poczł gniew w piersiach. - Chciałem tylko powiedzieć, skoro jesteśmy jeszcze wszyscy razem, że zamierzam zainwestować w waszą firmę. Chcę należeć do wielkiego dzieła, którym się zajmujecie.

Rozległy się hałaśliwe wiwaty i oklaski. Pierce wyciągnął dłoń, Goddard uścisnął ją energicznie, a następnie rękę Condon, który siedział z drugiej strony stołu.

- Niech nikt się nie rusza - powiedział Condon.

Przeszedł w kąt sali, gdzie na stoliku stał telefon. Wystukał trzy cyfry - numer wewnętrzny - i wymamrotał coś do słuchawki. Wrócił następnie na miejsce. Po kilku minutach Monika Purl i osobista asystentka Condon, Holly Kannheiser, weszły do sali konferencyjnej z dwoma butelkami dom perignona i tacą kieliszków do szampana.

Condon otworzył butelki i rozlał trunk. Asystentkom pozwolono zostać i brać udział w toastach. Obydwie miały jednak jednorazowe aparaty fotograficzne i w przerwach między kolejnymi łykami robiły zdjęcia.

Pierwszy toast wznosił Condon.

- Za Maurice'a Goddarda. Jesteśmy szczęśliwi, że zabierasz się z nami w tę magiczną podróż.

Nastąpiła kolej Goddarda. Uniósł kieliszek i powiedział po prostu:

- Za przyszłość!

Patrzył w tym momencie na Pierce'a. Henry skinął głową i uniósł prawie pusty kieliszek. Powiódł wzrokiem po twarzach wszystkich na sali, z Moniką włącznie. Dopiero wtedy powiedział:

- „Nasze budynki mogą wydawać się wam strasznie małe. My jednak nie jesteśmy duzi i dla nas są cudownie wysokie”. - Dopił szampana i popatrzył po obecnych. Nikt najwyraźniej go nie zrozumiał. - To cytat z książki dla dzieci - wyjaśnił. - Doktora Seussa. Chodzi o wiarę w możliwość istnienia innych światów. Światów wielkości drobin pyłu.

- Wypijmy za to - powiedział Condon, ponownie unosząc kieliszek.

Pierce ruszył po sali, ściskając dłonie i wypowiadając słowa podziękowania i zachęty. Kiedy dotarł do Moniki, kobieta przestała się uśmiechać i odniosła się do niego z wyraźnym chłodem.

- Dzięki, że doczekałaś do tej chwili, Moniko. Rozmawiałaś już z Charliem o przeniesieniu?

- Jeszcze nie, ale to zrobię.

- Dobrze.

Nie przychodziło mu do głowy nic więcej, co mógłby powiedzieć.

- Ma pan kilka wiadomości na biurku - poinformowała asystentka. - Jedna z nich, od pani mecenas, jest według niej ważna, ale po wiedziałam, że nie mogę przerywać prezentacji.

- No dobrze, dzięki.

Ze spokojem, na jaki tylko potrafił się zdobyć, Pierce wrócił do Goddarda i rzekł, że zostawia go w rękach Condon, by uzgodnili szczegóły umowy inwestycyjnej. Uścisnął mu raz jeszcze dłoń, wyszedł z sali konferencyjnej i ruszył do swojego gabinetu. Szedł miarowym krokiem, chociaż miał ochotę biec.

wiatła.

wsunął się za biurko i wziął do ręki trzy karteczki z informacjami, odebranymi przez Monikę. Dwie pochodziły od Janis Langwiser i były oznaczone jako pilne. Obydwie głosiły jedynie: „Proszę szybko zadzwonić”. Ostatnia wiadomość była od Cody'ego Zellera.

Pierce odłożył karteczki na biurko i zastanowił się nad nimi. Nie wyobrażał sobie, że Janis Langwiser może mieć dla niego cokolwiek oprócz złych wieści. Po ekscytacji w laboratorium otrzeźwienie prawie zbijało z nóg. Henry poczuł duszność, praktycznie klaustrofobię. Podszedł do okna i je uchylił.

Postanowił najpierw zadzwonić do Zellera w nadziei, że jego przyjaciel wyszukał coś nowego. Po zgłoszeniu na pager Zeller odzwonił w niecałą minutę.

- Przykro mi, stary - powiedział tytułem przywitania. - Dupa blada.
- O co ci chodzi?
- O Lucy LaPorte. Nie mogę jej odszukać. Nie znalazłem żadnego śladu, człowieka. Laska nie ma nawet kablówki.
- Och.
- Na pewno to jej prawdziwe nazwisko?
- Tak mi powiedziała.
- Ej, daj spokój, zastanów się, w jaki sposób zarabia. Szansa, że mówi prawdę na jakikolwiek temat, nawet własnego nazwiska, wy nosi jeden do...
- Powiedziała mi prawdę. Było to w intymnej chwili. Wiem, że to na pewno prawda.
- Intymnej chwili? Wydawało mi się, że mówiłeś...
- Nic z tych rzeczy. Powiedziała mi, kiedy rozmawialiśmy przez telefon.

- Och, pewnie, seks na telefon to zupełnie inna para kaloszy.
- Nieważne, Cody. Muszę już kończyć.
- Ej, zaczekaj minutkę. Jak wam dzisiaj poszło z dzianą szyszką?
- Doskonale. Charlie dogrywa z nim teraz szczegóły.
- Klawo.
- Muszę już kończyć, Cody. Dzięki, że próbowałeś.
- Nie ma sprawy, doliczę to do rachunku.

Pierce rozłączył się i wziął do ręki jedną z wiadomości od Janis Langwiser. Wybrał numer jej telefonu. Odebrała sekretarka i od razu połączyła go z prawniczką.

- Gdzie pan się podziewał? - zapytała na wstępie Janis Langwiser. - Powiedziałam pańskiej asystentce, żeby natychmiast przekazała panu moją wiadomość.
- Postąpiła zgodnie z instrukcjami. Nie lubię, kiedy mi się przeszkadza w laboratorium. Co się dzieje?
- Cóż, wystarczy powiedzieć, że pańska prawniczka ma niezłe kontakty. Wciąż mam swoje źródła w policji.
- I?

- Powiem panu coś, ale to bardzo poufna informacja. Nie powinien nam być jej zdobyć. Jeżeli to wyjdzie na jaw, da podstawę do osobnego dochodzenia.

- No dobrze, o co chodzi?
- Dowiedziałam się od mojego źródła, że Renner przepracował dzisiaj sporą część dnia za biurkiem, opracowując wniosek o nakaz rewizji. Potem poszedł z nim do sędziego.
- Rozumiem. - Ostrzeżenie prawniczki nie wstrząsnęło Pierce'em. - Co to oznacza?
- To, że zamierza przeszukać pańską własność. Mieszkanie, sąmochód, zapewne dom, w którym mieszkał pan przed przeprowadzką, ponieważ przypuszczalnie żył pan tam w chwili zbrodni.
- Czyli zniknięcia i domniemanego morderstwa Lilly Quinlan.
- Właśnie. Ale - i to wielkie ale - wniosek został odrzucony. Sędzia powiedział, że nie ma dostatecznych podstaw. Renner nie zaprezentował wystarczających dowodów, by rewizja była uzasadniona.
- A więc wszystko w porządku, prawda? Po sprawie.
- Nie. Renner może wrócić z wnioskiem, kiedykolwiek zechce. Gdy tylko zdobędzie jakieś nowe dowody. Domyślam się, że oparł się na taśmie - tym, co nazywa pańskim przyznaniem się do winy. Bardzo dobrze, że sędzia nie dał się na to nabrać i odrzucił wniosek.

Pierce zastanowił się nad tym, co usłyszał. Nie był w swoim żywiole; nie wiedział, co oznaczają te wszystkie prawne sztuczki.

- Renner może teraz rozejrzeć się za uleglejszym sędzią - kontynuowała Janis Langwiser.
- To znaczy pójść z wnioskiem do kogoś innego?
 - Tak - przychylniej nastawionego. Problem w tym, że pewnie od razu poszedł do najbardziej uległego ze znanych sobie sędziów. Jeżeli wybierze się do kogoś innego, pewnie napyta sobie tylko kłopotów. Jeżeli sędzia dowie się, że wniosek o rewizję był już odrzucony, może się zirytować.
- Śledzenie prawniczych niuansów wydawało się Henry'emu stratą czasu. Informacje Janis Langwiser nie niepokoiły go tak, jak prawniczki. Rozumiał, że Janis nie może mieć całkowitej pewności, iż on jest niewinny. Trochę się niepokoiła, co policja mogłaby znaleźć podczas rewizji u jej klienta.
 - A jeśli pozwolimy mu na rewizję bez nakazu? - zapytał Pierce.
 - Nie.
 - Nic nie znajdzie. Nie zrobiłem tego, Janis. Nie widziałem Lilly Quinlan nigdy w życiu.
 - Nieważne. Nie idziemy na współpracę. Inaczej łąduje się pan w pułapkę.
 - Nie rozumiem. Jaka może mnie czekać pułapka, skoro jestem niewinny?
 - Henry, zależy panu na moich radach?
 - Tak.
 - To proszę ich słuchać. Nie robimy żadnych ustępstw wobec drugiej strony. Daliśmy Rennerowi ostrzeżenie, żeby się zachowywał jak należy, i tego się trzymamy.
 - Jak pani sobie życzy.
 - Dzięki.
 - Dowie się pani, jeśli poszuka innego sędziego lub wróci z wnioskiem do pierwszego?
 - Nadstawiam ucha. Może dowiemy się o tym z wyprzedzeniem. Tak czy inaczej, niech pan udaje zaskoczonego, jeśli Renner zjawi się z nakazem. Muszę chronić swoje źródło.
 - Dobrze.
- Pierce przypomniał sobie nagle coś, od czego pierś przeszył mu ostry lęk.
 - A moje biuro? I laboratorium? Może zrobić rewizję i tutaj?
- To trudno byłoby naprawić. Na pewno doszłoby do przecieków w kręgach, gdzie dyskutowano o rozwojowych dziedzinach techniki. Niewątpliwie dotarłoby to również do Goddarda i Justine Bechy.
 - Nie wiem na pewno, ale wydaje się to nieprawdopodobne.

Rennerowi zależy przede wszystkim na miejscach, w których mogło dojść do morderstwa. Pewnie byłoby mu jeszcze trudniej przekonać sędziego do podpisania nakazu, gdyby starał się przekonać go do przeszukiwania miejsca, w którym prawie na pewno nie mogło zostać popełnione.

Pierce przypomniał sobie o notesie z telefonami, schowanym w szafce w kopiami - bezpośrednim dowodem związku z Lilly Quinlan. Nie przyznał się do jego zabrania. Musiał się go jakoś pozbyć.

Pomyślał też o czymś innym.

- Wie pani, już przeszukano mój samochód - powiedział. - Zrobiono to tej nocy, kiedy pojechałem do mieszkania Lilly.

- Jeśli tak, to przeszukiwanie było nielegalne - odpowiedziała Janis Langwiser po chwili milczenia. - Bez świadków nie będziemy jednak mogli tego nigdy dowieść.

- Nie widziałem tam nikogo oprócz policjantów.

- Na pewno rozejrzeli się tylko po wnętrzu z latarkami. Szybko i pobieżnie. Jeśli Renner dostanie nakaz, urządzi legalną rewizję i nie ograniczy się do rzucenia okiem na wnętrze samochodu. Będzie zbierał próbki do zbadania materiałów śladowych, włosów, włókien i tak dalej. Rzeczy zbyt drobnych, by je zobaczyć przy świetle latarki.

Pierce'owi przypomniał się toast, wygłoszony niecałe pół godziny temu. Zdał sobie sprawę, że od drobin pyłu może zależeć cała jego przyszłość.

- No, jak powiedziałem, niech sobie rewidują - powiedział z nutą nonszalancji w głosie. - Może kiedy zrozumieją, że jestem czysty, zaczną szukać prawdziwego mordercy.

- Domyśla się pan, kto mógłby nim być?

-Nie.

- Cóż, na razie powinien pan martwić się o własną skórę. Najwyraźniej nie dociera do pana powaga sytuacji. To znaczy, jeśli chodzi o nakaz rewizji. Myśli pan, że tylko dlatego, że nic się nie znajdzie, policja da panu święty spokój.

- Niech pani posłucha, Janis, jestem chemikiem, a nie prawnikiem. I wiem tyle, że tkwię w środku tej sprawy, ale nikogo nie zabiłem. Skoro nie rozumiem powagi sytuacji, niech pani mi jasno wszystko wytłumaczy.

Po raz pierwszy wyładował swoją frustrację na prawnicze i natychmiast tego pożałował.

- Rzeczywistość wygląda tak, że ma pan na karku gliniarza, którego na pewno nie zniechęci ta porażka. Dla Rennera to jedynie chwilowa zwłoka. Jest cierpliwy i będzie nadal pracować nad spr-

wą, aż zdobędzie to, co wystarczy mu do uzyskania nakazu rewizji. Dociera to do pana? -Tak.

- A to będzie dopiero początek. Renner jest dobry w swoim fachu. Większość policjantów, jakich znam, jest dobra dlatego, że nie ustępliwa. - Pierce poczuł, że znowu robi mu się gorąco. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Nastąpiła długa chwila milczenia, którą przerwała wreszcie Janis Langwiser: - Chodzi jeszcze o coś. W sobotę powiedział pan policjantom o domu Lilly Quinlan i podał pan im adres. Cóż, pojechali tam i przeszukali go, ale do oficjalnej rewizji doszło dopiero w niedzielę po południu, kiedy Renner uzyskał na kaz. Zachodziły wątpliwości, czy właścicielka żyje, czy nie, aczkolwiek było jasne, że najprawdopodobniej zajmowała się prostytutką i innymi nielegalnymi rzeczami.

Pierce pokiwał głową. Zaczynał pojmować, jak rozumował Renner.

- Zdobył więc nakaz rewizji, żeby się zaasekurować - powiedział.

- Na wypadek gdyby znaleziono coś wiążącego się z owymi nielegalnymi procederami. Lub też Lilly odnalazła się i zapytała, co, do diabła, policja robi w jej domu.

- Racja. Istniał jednak i inny powód.

- Aby zebrać dowody przeciwko mnie.

- Znowu racja.

- Jak jednak mógłby *znaleźć* dowody przeciwko mnie? Mówiłem mu, że byłem w tym domu. Pełno tam moich odcisków palców, bo rozglądałem się za Lilly i próbowałem dowiedzieć się, co się stało.

- To pańska wersja i ufam panu. Renner w nią nie wierzy. Uważa, że to historyjka zmyślona dla ukrycia faktu, że wcześniej odwiedził pan jej dom.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Lepiej niech pan uwierzy. Prawo zobowiązuje go do złożenie w ciągu czterdziestu ośmiu godzin protokołu z wynikami rewizji. W zasadzie to lista wszystkiego, co policja zabrała w jej trakcie.

- Zrobił to?

- Tak, a ja dostałam jej kopię. Nie była zapieczętowana - błąd Rennera. Tak czy inaczej to wykaz zabranych przedmiotów osobistych, na przykład szczotki do włosów, z której zostaną próbki do badań DNA, i tak dalej. Wiele przedmiotów wzięto, żeby zebrać z nich odciski palców: pocztę, biżuterię, flakony perfum, szuflady, nawet znalezione w nich akcesoria seksualne. - Pierce milczał. Przy pomniął sobie flakon perfum, który wziął do ręki w domu Lilly. Czy taki drobiazg mógł wystarczyć do skazania go? Poczuł ucisk w żołąd-

ku, a twarz pokryła mu się szkarłatem. Janis Langwiser dodała: - Jest pan tam, Henry.

- Wiem. Po prostu się zastanawiam.

- Niech pan mi nie mówi, że dotykał pan tych akcesoriów.

- Nie. - Pierce potrząsnął głową. - Nawet ich nie widziałem. Brałem jednak do ręki flakon perfum. - Usłyszał głośne westchnienie prawniczki. - Co się stało?

- Dlaczego pan go dotykał?

- Sam nie wiem. Po prostu wziąłem go do ręki. Pewnie z czymś mi się skojarzył. Z kimś. O co tyle hałasu? Czy wzięcie do ręki flakonu perfum stanowi dowód, że jestem mordercą?

- Może być jedną z poszlak. Mówił pan policjantom, że wchodził do domu, by sprawdzić, czy nie ma w nim Lilly, czy nic się jej nie stało.

- Tak powiedziałem, bo to prawda.

- Hm, a mówił pan im, że wąchał pan również jej perfumy? Grzebał pan też w jej bieliźnie? - Pierce nie odpowiedział. Czuł się, jak by miał zwymiotować. Wyciągnął kosz na śmieci spod biurka i postawił go przy fotelu. - Zachowuję się wobec pana jak prokurator, Henry, bo musi pan zrozumieć, jak niebezpieczną ścieżką pan kroczy. Wszystko, co pan powie, może zostać obrócone przeciwko panu. Każdą rzecz ktoś inny może zinterpretować całkowicie odmiennie od pana.

- No dobrze, dobrze. Ile czasu potrzeba na analizę odcisków palców?

- Pewnie kilku dni. Ponieważ brakuje ciała, sprawa nie jest priorytetowa dla nikogo z wyjątkiem Rennera. Słyszałam, że jego partner zajmuje się innymi dochodzeniami.

Oboje przez chwilę milczeli. Pierce nie miał nic więcej do powiedzenia, dopóki jednak Janis Langwiser była na linii, czuł nadzieję.

- Pracuję nad listą ludzi, z którymi możemy porozmawiać - rzekła.

- O co pani chodzi?

- O listę ludzi powiązanych ze sprawą i pytań, które powinniśmy im zadać. Wie pan, w razie potrzeby.

- Rozumiem.

Wiedział, że prawniczka rozumie przez to jego aresztowanie i postawienie w stan oskarżenia. Gdyby czekał go proces.

- Pozwoli więc pan, że zajmę się tymi rzeczami - powiedziała Janis Langwiser. - Zadzwoń do pana, jeśli pojawi się coś nowego.

Pierce pożegnał się wreszcie i odłożył słuchawkę. Siedział w bezruchu w fotelu, rozmyślając nad otrzymanymi informacjami. Ren-

ner szykował się do decydującego posunięcia - mimo że nie miał zwłok. Pierce wiedział, że musi zadzwonić do Nicole i w jakiś sposób wytłumaczyć jej, że w przekonaniu policji jest mordercą, wobec czego prawdopodobnie czeka ją rewizja w domu, który wspólnie zamieszkiwali.

Myśl ta przyprawiła go o kolejną falę mdłości. Utkwił wzrok w koszu na śmieci. Gdy wreszcie podniósł się, by pójść po wodę lub coca-colę, rozległo się pukanie do drzwi.

Przez *drzwi* wsunął głowę rozpromieniony Charlie Condon. Jego są uśmiech był szeroki jak rzeka Los Angeles.

- Udało ci się, człowieku! Cholera, udało ci się!

Pierce przełknął ślinę i spróbował otrząsnąć się z uczuć, jakie wywołała w nim rozmowa telefoniczna.

- Wszystkim nam się udało - powiedział. - Gdzie Goddard?

Condon wszedł do gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Pierce za uważał, że Charlie poluzował krawat po wypiciu szampana.

- Jest w moim gabinecie i rozmawia przez telefon ze swoim prawnikiem.

- Myślałem, że jest nim Just Bitchy.

- To prawniczka, nie profesjonalistka.

Pierce'owi trudno było słuchać Condon, ponieważ wciąż pamiętał o rozmowie z Janis Langwiser.

- Chcesz usłyszeć jego wstępną ofertę? - Pierce podniósł wzrok na Condon i kiwnął głową. - Zamierza włożyć w ten interes piętnaście milionów przez cztery lata i dostać w zamian dwanaście procent udziałów oraz zostać prezesem rady.

Pierce wyrzucił z myśli obraz Rennera i skupił się na uśmiechniętym Charliem. Oferta Goddarda była dobra. Nie najlepsza, ale dobra.

- Nieźle, Charlie.

- Nieźle? Wspaniale! - Condon zbyt głośno zaakcentował ostatnie słowo.

- No cóż, to tylko otwarcie. Musimy uzyskać lepsze warunki.

- Wiem. Tak zrobimy. Chciałem wypytać cię o parę *rzeczy*. Po pierwsze, pozycja prezesa. *Zależy* ci na niej?

- Nie, jeśli tobie nie zależy.

Do tej pory prezesem rady zarządzającej był Charlie Condon. Rada nie miała jednak żadnej praktycznej władzy, gdyż Pierce dzierżył pakiet kontrolny. Condon miał kolejne dziesięć procent udziałów, osiem rozdzielono między wcześniejszych inwestorów - żaden z nich nie był kalibru Maurice'a Goddarda - a dziesięć poszło na premie dla pracowników. Reszta - siedemdziesiąt dwa procent - wciąż była w rękach Pierce'a. Oddanie Goddardowi stanowiska prezesa w zasadzie dekoracyjnej rady nie wyglądało więc na rezygnację z niczego istotnego.

- Moim zdaniem zrobimy mu radochę i dajmy ten stołek - powie dział Condon. - A co z udziałami? Dasz mu tyle, jeśli zdołam z niego wycisnąć piętnaście milionów w trzy lata?

- Nie. - Pierce pokręcił głową. - Różnica między dziesięcioma i dwunastoma procentami może ostatecznie równać się paruset milionom dolarów. Nie zrezygnuję z dwóch procent. Do tego Goddard musi dać nam co najmniej dwanaście milionów w trzy lata. Cztery miliony rocznie to dla nas wartość progowa. Namów go do tego, dobrze?

- Łatwiej powiedzieć niż zrobić. Dałeś mi tylko jedną kartę przetargową: stanowisko prezesa.

- Nie, dałem ci do dyspozycji wynalazek dziesięciolecia. Widziałeś wzrok tego faceta, kiedy zapaliliśmy z powrotem światło, Charlie? Mamy go nie tylko na haczyku. Jest już wyfiletowany i leży na patelni. Uzgadniasz już tylko szczegóły. Idź, dobij targu i wydeń od niego czek, bez żadnych dodatkowych procentów, i zdobądź minimum cztery miliony rocznie. Potrzebujemy ich, żeby utrzymać się w czołówce i dokończyć prace.

- Dobrze, wycisnę to z niego, ale powinieneś przyjść mi z pomocą. Targujesz się lepiej ode mnie.

- Akurat.

Condon wyszedł wreszcie z gabinetu i Pierce został sam ze swoimi myślami. Raz jeszcze analizował wszystko, czego dowiedział się od Janis Langwiser. Renner zamierzał przeszukać jego mieszkanie i samochód. Ten ostatni w istocie po raz drugi, tyle że teraz oficjalnie i legalnie. Najprawdopodobniej w poszukiwaniu śladów, pozostawionych - według domysłów - podczas transportu ciała.

- Jezu! - jęknął Pierce.

Postanowił przeanalizować swoją sytuację w ten sam sposób, w jaki podchodził do eksperymentów w laboratorium. Zaczynając od podstaw. Obejrzeć ją z jednej strony, następnie odwrócić i przyjrzeć się jej z innej. Zemleć na proszek, a potem ocenić pod lupą.

Na początku nie przyjmując niczego za pewnik. Wyjął notes i na nowej kartce zapisał główne elementy rozmowy z Janis Langwiser.

Rewizja: mieszkanie
 Amalfi
 samochód - po raz drugi - dowody rzeczowe
 gabinet/laboratorium?

Protokół rewizji: odciski palców wszędzie
 - na perfumach

Wpatrywał się w kartkę, ale nie nasuwały mu się żadne nowe pytania ani odpowiedzi. Wreszcie wydarł ją, zmiął i rzucił do kosza na śmieci w kącie. Spudłował.

Odchylił się na oparcie i zamknął oczy. Wiedział, że musi zadzwonić do Nicole i przygotować ją na nieuniknione. Policja przyjedzie przeszukać wszystko; nieważne, czy należało do niego, czy do niej. Nicole bardzo wysoko ceniła sobie prywatność. Jej naruszenie byłoby dla Nicole niewątpliwie niezmiernie traumatyzujące i wywarłoby katastrofalny wpływ na szansę, by zeszli się na powrót.

- Rany boskie - powiedział.

Obszedł biurko i podniósł z podłogi zmiętą kartkę. Zamiast wrzucić ją do kosza, wrócił z nią na fotel. Rozprostował papier i spróbował go jak najdokładniej wygładzić na biurku.

- Nie przyjmuj niczego za pewnik - powiedział.

Słowa na pomarszczonej kartce nie docierały do niego. Nic nie znaczyły. Zamaszystym gestem zgarnął kartkę z blatu i zmiął ponownie. Znów chciał rzucić ją do kosza, kiedy coś sobie uświadomił. Raz jeszcze rozprostował kartkę. Przyjrzał się napisanej przez siebie linijce:

Samochód - po raz drugi - dowody rzeczowe

Nie przyjmuj niczego za pewnik. Znaczyło to, by nie wierzyć także, iż za pierwszym razem samochód przeszukiwali policjanci. Pierce poczuł rozpalającą się w środku iskrę. Pomyślał, że wpadł na coś istotnego. A jeśli to nie policja przeszukała jego wóz? W takim razie kto?

Następna hipoteza nasuwała się sama. Skąd wiedział, że w ogóle chodziło o przeszukanie samochodu? Faktycznie nie miał na to dowodów. Wiedział tylko jedno: ktoś dostał się do wnętrza wozu, gdy

stał zaparkowany w zaułku. Przełożył plecak. Czy jednak zaglądał do jego wnętrza lub w ogóle szukał czegoś w samochodzie?

Zdał sobie sprawę, że łowił ryby w mętnej wodzie, zakładając, że policja - w osobie Rennera - przeszukiwała samochód. W istocie nie miał na to dowodów ani nawet żadnych wskazówek potwierdzających taki domysł. Tylko jedno było pewne: iż ktoś dostał się do wozu. Z tego stwierdzenia mogło wynikać jednak wiele różnych wniosków. Hipoteza rewizji policyjnej była tylko jednym z nich. Kolejny brzmiał, iż samochód przeszukał ktoś inny. Jeszcze inny polegał na tym, iż ktoś dostał się do samochodu, by coś z niego zabrać.

A niewykluczone, iż ktoś wtargnął do wozu, by coś w nim umieścić.

Pierce wyszedł szybko z biura. Na korytarzu nacisnął guzik windy, ale od razu postanowił na nią nie czekać. Błyskawicznie zbiegł dwa piętra na dół. Przeszedł przez hol, nie skinąwszy nawet głową siedzącemu na podwyższeniu strażnikowi. Dotarł wreszcie do garażu.

Zaczął od bagażnika bmw. Podważył wyściółkę, zajrzał pod koło zapasowe, otworzył zmieniacz płyt kompaktowych i torbę z narzędziami. Nie spostrzegł, by cokolwiek stamtąd zabrano czy tam zostawiono. Następnie zajął się kabiną; przeszukanie i inwentaryzacja zawartości zajęły mu tu prawie dziesięć minut. Nic nie zabrano ani nie podrzucano.

Na koniec komora silnika: Pierce uporał się z nią najszybciej. Znowu nic.

Zostawał jeszcze plecak. Pierce zamknął samochód i wrócił do budynku. Znow wybrał schody zamiast oczekiwania na windę. Mijając w drodze do gabinetu Monikę, która siedziała za biurkiem, spostrzegł, że dziwnie mu się przygląda,

- Co się stało?

- Nic. Po prostu... dziwnie się zachowujesz.

- Bo jestem dziwakiem.

Zamknął za sobą na klucz drzwi gabinetu. Plecak leżał na biurku. Pierce na stojąco zaczął rozsuwać kolejne przegródki i do nich zaglądać. Jedną był wyściełany przedział na laptopa, druga miała wewnętrzne przegródki na dokumenty i skoroszyty, trzy mniejsze służyły do chowania drobniejszych przedmiotów w rodzaju długopisów, paszportu czy gumy do żucia.

Pierce nie znalazł nic niezwykłego, aż dotarł do frontowego przedziału z wewnętrzną przegródką - zasuwaną na zamek błyskawiczny kieszeni, w której można było trzymać paszport lub niewielki plik pieniędzy. Przegródka nie była ukryta, ale można było ją zamasko-

wać książką czy złożoną gazetą. Pierce otworzył zamek i wsunął dłoń do środka.

Natrafił palcami na coś, co w dotyku przypominało kartę kredytową. Pomyślał, że może to rzeczywiście stara karta, którą wcisnął tam podczas jakiejś podróży, a potem o niej zapomniał. Kiedy jednak wyjął prostokąt, okazało się, że to czarna, plastikowa karta magnetyczna. Po jednej stronie znajdował się namagnesowany pasek, po drugiej - godło firmy: U-Store-It. Pierce z całą pewnością widział kartę po raz pierwszy. Nie należała do niego.

Odłożył kartę na biurko i patrzył na nią przez długą chwilę. Wiedział, że U-Store-It to firma o ogólnokrajowym zasięgu, wynajmująca ciężarówki do przeprowadzek i pomieszczenia w magazynach, zwykle położonych przy autostradach. Przypomniał sobie co najmniej dwa z nich, widoczne z odcinka autostrady 405 w samym Los Angeles.

Ogarnęła go trwoga. Ktokolwiek dostał się do jego samochodu w sobotnią noc, włożył mu do plecaka kartę magnetyczną. Pierce poczuł, że trafił w środek wydarzeń, których nie kontroluje. Był manipulowany, wykorzystywany w jakimś celu, o którym nie miał pojęcia.

Spróbował się otrząsnąć. Wiedział, że strach rodzi bierność, a nie mógł sobie pozwolić na bezczynność. Musiał się ruszać, coś począć.

Wyciągnął z szafki pod monitorem komputera grubą książkę telefoniczną firm w Kalifornii. Szybko odszukał strony z numerami i reklamami firm oferujących wolne pomieszczenia. Wykaz filii U-Store-It zajmował pół strony i obejmował osiem magazynów w Los Angeles i okolicach. Pierce zaczął od miejsca położonego najbliżej Santa Monica - wybrał numer magazynu w Culver City. Telefon odebrał młody mężczyzna. Pierce'owi stanął przed oczyma Curt, cierpiący na trądzik chłopak z Ali American Mail.

- Pewnie to zabrzmiało dziwnie, ale chyba wynająłem u państwa pomieszczenie, chociaż nie mogę sobie tego dokładnie przypomnieć - powiedział Pierce. - Wiem, że w U-Store-It, ale nie pamiętam, w którym magazynie.

- Nazwisko? - Chłopak zachowywał się, jakby był otrzaskany z takimi pytaniami.

- Henry Pierce.

Usłyszał, że nazwisko jest wpisywane do komputera.

- Nie, nie u nas.

- Może pan otworzyć listy klientów innych magazynów? Może mi pan powiedzieć...

- Nie, tylko naszych. Jesteśmy agencją. Nie jesteśmy w sieci.

Pierce nie pojmował, dlaczego miałyby to wykluczać dostęp do scentralizowanej sieci komputerowej, ale dał sobie spokój. Podziękował chłopakowi, rozłączył się i wybrał numer kolejnej pod względem odległości agencji z listy w książce telefonicznej.

Komputer podał jego nazwisko za trzecim razem. Henry rozmawiał z kobietą z agencji U-Store-It w Van Nuys. Powiedziała mu, że sześć tygodni temu wynajął pomieszczenie cztery na trzy i pół metra w magazynie przy Yictory Boulevard. Dowiedział się od niej, że miało ono klimatyzację, zasilanie elektryczne i alarm. Miał do niego dostęp przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Jaki ma pani mój adres w komputerze?

- Nie mogę panu powiedzieć. Jeśli sam mi go pan poda, to mogę sprawdzić, czy się zgadza.

Sześć tygodni temu Pierce jeszcze nawet nie rozpoczął poszukiwań nowego mieszkania, w wyniku których trafił wreszcie do The Sands. Podał więc adres przy Amalfi Drive.

- Zgadza się.

Pierce nie odpowiedział. Wpatrywał się w czarny kawałek plastiku na biurku.

- Jaki jest numer przechowalni? - zapytał wreszcie.

- Mogę to panu powiedzieć jedynie wtedy, gdy mi pan przedstawi dowód tożsamości ze zdjęciem. Proszę przyjechać przed szóstą z prawem jazdy, a przypomnę panu numer.

- Nie rozumiem, chyba pani mówiła, że jesteście otwarci dwa dziesięć cztery godziny na dobę.

- Owszem, ale biuro jest czynne tylko do szóstej.

- Rozumiem.

Próbował się zastanowić, o co jeszcze powinien zapytać, nic mu jednak nie przyszło do głowy. Podziękował kobiecie i odłożył słuchawkę.

Długą chwilę siedział nieruchomo, po czym powoli wsunął kartę magnetyczną do kieszeni koszuli. Położył dłoń z powrotem na słuchawce, jednak w końcu jej nie podniósł.

Wiedział, że powinien zadzwonić do Janis Langwiser, ale nie potrzebował jej opanowanej profesjonalnej manieri i nie chciał usłyszeć, żeby się nie angażował. Zdawał sobie sprawę, że powinien zadzwonić do Nicole, ale skończyłoby się to tylko sprzeczką. Wiedział, że i tak go to czeka, kiedy zadzwoni do niej z informacją o ewentualnej rewizji.

Zdawał sobie też sprawę, że powinien zatelefonować do Cody'ego Zellera, ale nie zniósłby jego sarkazmu.

Przez moment przemknęła mu myśl, żeby zadzwonić do Lucy La-Porte. Szybko z tego pomysłu zrezygnował, ale dotarło do niego, o czym świadczył. Proszę bardzo, w życiu nie znajdował się w tak rozpaczliwej sytuacji, a do kogo może zadzwonić po pomoc i radę?

Odpowiedź brzmiała: do nikogo. Sprawiała, że poczuł, jak od środka wypełnia go dojmujący chłód.

ciemnymi okularami i w czapce na głowie Pierce podszedł do a kontuaru biura U-Store-It w Van Nuys, trzymając prawo jazdy dłoni. Młoda kobieta w zielonej golfowej koszuli i płowych spodniach czytała książkę. Najwyraźniej musiała stoczyć wewnętrzną walkę, by oderwać od niej oczy i popatrzeć na Pierce'a. Gdy to wreszcie zrobiła, natychmiast opuściła wzrok, wystraszona widokiem szkaradnego rzędu szwów, niknącego za ciemnymi okularami. Natychmiast spróbowała to zamaskować, jakby nie zauważyła niczego nadzwyczajnego.

- Nic się nie stało - powiedział Pierce. - Mnóstwo razy mnie to spotyka. - Przesunął prawo jazdy po blacie. - Niedawno dzwoniłem w sprawie pomieszczenia, które u państwa wynająłem. Nie mogę sobie przypomnieć numeru.

Kobieta wzięła prawo jazdy do ręki i porównała zdjęcie z twarzą Pierce'a, przyglądając się mu przez długą chwilę. Pierce zdjął czapkę, ale zostawił okulary przeciwsłoneczne na nosie.

- To ja.

- Przepraszam, ale musiałam się upewnić.

Podjechała fotelem na kółkach w stronę komputera na stole po przeciwnej stronie biura.

Monitor był za daleko, by Pierce mógł odczytać, co jest na ekranie. Patrzył, jak kobieta wpisuje jego nazwisko. Po paru sekundach otworzyło się okno z danymi; kobieta zaczęła porównywać z nimi informacje na prawie jazdy. Był na nim wciąż adres przy Amalfi Drive, a Henry dowiedział się wcześniej od kobiety, że właśnie on został podany przy wynajęciu pomieszczenia.

Usatysfakcjonowana kobieta przewinęła stronę i przeczytała coś jeszcze, wodząc palcem po monitorze.

- Trzysta trzydzieści jeden - powiedziała.

Odepchnęła się od przeciwnej ściany i podjechała z powrotem do kontuaru. Położyła na nim z kłaśnięciem prawo jazdy. Pierce je schował.

- Po prostu wjadę windą na górę, tak?

- Pamięta pan kod?

- Nie. Przepraszam, jestem dzisiaj do niczego.

- Czteryście pięćdziesiąt cztery plus cztery ostatnie cyfry numeru prawa jazdy.

Pokiwał głową, podziękował i odwrócił się od kontuaru, po czym obejrzał się na kobietę.

- Jestem wam winien jakieś pieniądze?

- Słucham?

- Nie przypominam sobie, jak zapłaciłem. Interesuje mnie, czy nie przyjdzie rachunek.

- Och. - Kobieta podjechała znowu do komputera; dane o wynajęciu wciąż były na ekranie. Przewinęła stroną i powiedziała, nie oglądając się na Pierce'a. - Nie, wszystko w porządku. Zapłacił pan gotówką za sześć miesięcy z góry. Zostało panu jeszcze trochę czasu.

- Dobrze. Świetnie. Dzięki.

Wyszedł z biura i ruszył do windy. Wprowadził kod, zaczekał i wjechał na drugie piętro. Znalazł się na puściutkim korytarzu długości boiska futbolowego. Po obu stronach znajdowały się podnoszone drzwi. Ściany były szare, a linoleum tej samej barwy było poznaczone śladami przetaczania tysięcy razy wózków. Pierce ruszył korytarzem, aż dotarł do drzwi oznaczonych numerem 331.

Drzwi miały rdzawobrazowy kolor. Nie zobaczył na nich żadnych oznaczeń oprócz cyfr wymalowanych za pomocą szablonu. Po prawej stronie znajdował się czytnik kart magnetycznych z palącym się czerwonym światełkiem. U dołu drzwi dostrzegł jednak ucho z zamkniętą kłódką. Pierce zorientował się, że znaleziona w plecaku karta służy jedynie do dezaktywacji alarmu, ale nie da się nią otworzyć drzwi.

Wyciągnął kartę z kieszeni i wsunął ją w czytnik. Zapaliło się zielone światełko - alarm się wyłączył. Pierce przykucnął i wziął kłódkę w rękę. Pociągnął, ale nawet nie drgnęła. Nie mógł dostać się do środka.

Po długiej chwili zastanawiania się nad następnym posunięciem zawrócił do windy. Uznał, że musi wrócić do samochodu i jeszcze raz przeszukać plecak. Musiał być w nim klucz do kłódki. Po co miano by podrzucać kartę magnetyczną bez niego? Gdyby go tam nie było,

Pierce'a czekał powrót do biura magazynu. Kobieta za kontuarem na pewno miała przecinak do metalu; Pierce pożyczylby go, wyjaśniając, że zgubił klucz.

Na parkingu Pierce otworzył pilotem samochód. W momencie gdy usłyszał szczęknięcie odblokowywanych zamków, znieruchomiał i popatrzył na własną dłoń. W jego myślach pojawiła się scena z niedawnej przeszłości. Wentz szedł przed nim korytarzem do drzwi jego mieszkania. Pierce przypomniał sobie szczękanie kluczy w rękach niskiego mężczyzny oraz komentarz na temat jakości bmw.

Pierce obejrzał po kolei klucze na kółku. Identyfikował, gdzie pasowały: mieszkanie, garaż, sala gimnastyczna, frontowe i tylne drzwi domu przy Amalfi Drive, zapasowy klucz do gabinetu i laboratorium, biurko, sala komputerowa. Odnalazł nawet klucz do domu, w którym się wychowywał, chociaż rodzina już dawno go sprzedała. Zawsze nosił go przy sobie, bo było to ostatnie ogniwo łączące go z tamtym miejscem i tamtymi czasami.-Miał w zwyczaju nosić klucze do domów, w których już nie mieszkał.

Zidentyfikował wszystkie klucze na kółku z wyjątkiem dwóch - małych, z nierdzewnej stali, niepasujących do drzwi. Jeden był nieco większy od drugiego. Obydwa miały wytłoczony na obwodzie główki napis „Masterlock”.

Patrząc na klucze, Pierce odniósł wrażenie, że marszczy się mu skóra na ciemieniu. Instynktownie wyczuł, że jeden z nich otwiera drzwi do przechowalni, w której nie był nigdy w życiu.

Wentz. Właśnie tak - niski bandyta. Wsunął klucze w kółko, gdy szli korytarzem. A może potem, kiedy Pierce został wywleczony na balkon.

Henry nie miał pojęcia, czemu miałyby to służyć. Dlaczego to zrobiono? Co się działo? Chociaż nie znał odpowiedzi, wiedział, gdzie ją znajdzie - a przynajmniej wstęp do niej. Zawrócił do windy.

Po trzech minutach wsunął większy z dwóch obcych kluczy w kłódkę u spodu drzwi przechowalni 331. Obrócił go i zamek otworzył się bez problemów. Pierce zdjął kłódkę i zostawił ją na podłodze. Chwycił poręcz drzwi i zaczął je podnosić.

Rozległ się przenikliwy zgrzyt, odbijający się echem zarówno w głębi korytarza, jak i wewnątrznościach Pierce'a. Drzwi łupnęły głośno, gdy uniosły się na maksymalną wysokość. Pierce przystanął, nie zdejmując dłoni z poręczy.

Pomieszczenie miało wymiary trzy i pół na trzy i pół metra. Było pogrążone w ciemnościach, znad ramienia Pierce'a do środka wpadało jednak światło z korytarza. Na jego środku stała wielka, biała

skrzynia. Z wnętrza dobiegał niski szum. Pierce wszedł do środka. Jego wzrok trafił na białą linkę służącą do zapalania lampy pod sufitem. Pociągnął za nią i wewnątrz wypełniło białe światło.

Skrzynia okazała się zamrażarką. Skrzynią chłodniczą z podnoszonym wiekiem, zamkniętym na małą kłódkę. Pierce wiedział, że otworzy ją drugim kluczem.

Nie musiał otwierać zamrażarki, by wiedzieć, co jest w środku. Mimo wszystko zrobił to, jakby wiedziony zewnętrzną siłą - być może złudzeniem, że zamrażarka okaże się pusta, że stanowi szczegół jakiegoś wymyślnego dowcipu. Właściwie jednak Pierce musiał przekonać się na własne oczy, co jest w jej wnętrzu. By nie było wątpliwości ani drogi odwrotu.

Wyciągnął mniejszy z kluczy przed siebie. Otworzył kłódkę. Zdjął ją, upuścił na podłogę. Podniósł ucho. Następnie uniósł klapę zamrażarki. Cmoknęło zassane powietrze, gdy gumowa uszczelka straciła kontakt z dolną powierzchnią. Pierce poczuł wionące z wnętrza zimne powietrze. W jego nozdrza uderzyła wilgotna, zatęchła woń.

Przytrzymał ramieniem uchyloną klapę i zajrzał do środka poprzez unoszący się stamtąd, niemal widmowy opar. Zobaczył ludzki kształt na dnie zamrażarki. Nagiej kobiety, zwiniętej w pozycji embrionalnej, z koszmarnie pokaleczoną, zakrwawioną szyją. Leżała na prawym boku. Krew zebrała się w czarną, zamarznąętą kałużę na dnie komory chłodniczej. Twarz kobiety zasłaniały włosy, jednak niezupełnie. Pierce bez trudu ją rozpoznał. Widział ją tylko na zdjęciach, ale mimo to ją rozpoznał.

Była to Lilly Quinlan.

- Och, Jezu.

Puścił klapę, która opadła z łupnięciem donośnie j szym, niż się spodziewał. Wystraszył się, jednak uczucie to i tak ustępowało wypełniającej go przemożnej trwodze. Odwrócił się i osunął po ścianie zamrażarki, aż siadł na podłodze z łokciami na kolanach, przegarniając włosy na tyle głowy.

Zamknął oczy. Usłyszał narastający, dudniący odgłos, jakby ktoś biegł w jego stronę. Uświadomił sobie po chwili, że ten dźwięk dobiega z jego wnętrza - było to pulsowanie krwi w uszach, któremu towarzyszyły coraz silniejsze zawroty głowy. Pomyślał, że zemdleje, chociaż czuł, że musi zachować przytomność i czujność. Zadawał sobie pytanie: Co by było, gdyby zemdlał? Gdyby go tu znaleziono?

Otrząsnął się, sięgnął ręką do wierzchu zamrażarki i dźwignął się z podłogi. Walczył o zachowanie równowagi i powstrzymanie ogarniających go mdłości. Pochylił się nad zamrażarką i objął ją, przykłada-

jąc policzek do białej, zimnej powierzchni. Oddychał głęboko i po kilku chwilach zdołał odzyskać panowanie nad sobą. Umysł miał jasny. Wyprostował się i cofnął o krok. Przyglądał się zamrażarce, wsłuchując się w jej równy szum. Zdał sobie sprawę, że znów nadzedł czas na analizę i ocenę. Gdy w laboratorium następowało jakieś nieoczekiwane zjawisko, trzeba było przerwać pracę, aby dokonać analizy i oceny. Co widzisz? Co wiesz? Co to oznacza?

Pierce wpatrywał się w zamrażarkę na środku przechowalni, którą według dokumentacji w biurze sam wynajął. W zamrażarce znajdowało się ciało kobiety, której nigdy w życiu nie widział, o której zamordowanie zostanie jednak teraz na pewno obwiniony.

Zrozumiał, że został z premedytacją wrobiony. Stał za tym Wentz albo przynajmniej brał w tym udział. Pierce nie wiedział jednak dlaczego.

Postanowił nie zawracać sobie głowy tym pytaniem. Przynajmniej na razie. Aby na nie odpowiedzieć, potrzebował więcej informacji. Uznał, że lepiej zabrać się do dalszej analizy i oceny. Gdyby zdołał rozebrać intrygę na wszystkie elementy składowe, może udałoby mu się zrozumieć, kto się za nią krył i dlaczego.

Zaczął krążyć po niewielkiej przestrzeni przed zamrażarką i rozmyślać o faktach, które doprowadziły go do odkrycia, że jest wrabiany. Karta magnetyczna i klucze do klódek zostały ukryte, a przynajmniej zakamuflowane. Czy powinien je znaleźć? Zatrzymał się, długą chwilę rozmyślał nad tym pytaniem i w końcu doszedł do wniosku, że nie. Miał szczęście, że zauważył, iż ktoś dostał się do jego samochodu. Plan równie skomplikowany i rozbudowany nie mógł opierać się na tak wątpliwym elemencie.

Doprowadziło to Pierce'a do wniosku, że teraz zyskał pewną przewagę. Wiedział coś, czego nie powinien się dowiedzieć. Wiedział o ciele w zamrażarce w magazynie przechowalniczym.

Następne pytanie: a gdyby nie znalazł karty magnetycznej i nie dotarł do ciała? Zastanowił się nad tym. Janis Langwiser ostrzegła go o grożącej rewizji. Renner wraz z kolegami na pewno nie przepuściliby niczego. Znalęzliby kartę magnetyczną i w końcu odszukaliby ciało. I wtedy nastąpiłby koniec historii. Pierce musiałby się bronić samotnie przed bezbłędnie sfabrykowanym zarzutem.

Poczuł gorąco pod czaszką na samą myśl o tym. Równocześnie pojął w pełni, jak perfekcyjnie go wrobiono. Wszystko zależało od policyjnego dochodzenia - od podejmowanych przez Rennera działań.

Powodzenie intrygi zależało również od Pierce'a. Gdy to do niego dotarło, poczuł, że pot zaczyna mu perlić się pod włosami. Poczuł roz-

palający go od środka żar. Przydałaby mu się klimatyzacja. Zamęt i smutek - a pewnie i podziw wobec misterności planu - ustępowały miejsca gniewowi, przypominającemu rozpalony do białości szpic.

Zrozumiał, że intryga opierała się na przewidywaniu jego posunięć. Wszystkich bez wyjątku. Bazowała na jego przeszłości i prawdopodobnym postępowaniu. Ktoś liczył, że zachowa się w równie przewidywalny sposób, jak związki chemiczne na płycie krzemowej, wchodzące w reakcje według powszechnie obowiązujących reguł.

Podszedł do zamrażarki i znowu ją otworzył. Musiał. Chciał, żeby wstrząsający widok podziałał na niego trzeźwiąco jak wiadro zimnej wody. Musiał działać. Musiał postępować w niedający się przewidzieć sposób. Potrzebował planu i jasności w głowie, by go sformułować.

Ciało oczywiście leżało w tej samej pozycji. Pierce przytrzymał otwartą klapę jedną ręką, a drugą przyłożył do ust. Lilly Quinlan wydawała się w pozie ostatecznego spoczynku drobna jak dziecko. Pierce próbował przypomnieć sobie, jaką masę ciała i wzrost podała na swojej stronie internetowej, ale dzień, kiedy ją po raz pierwszy przeczytał, wydawał się tak odległy, że nie potrafił odtworzyć tych szczegółów.

Przeniósł ciężar ciała na drugą nogę. Przy jego poruszeniu zmieniło się oświetlenie wnętrza zamrażarki i coś zabłysło we włosach Lilly. Pochylił się do środka chłodziarki.

Spróbował odgarnąć włosy z jej twarzy. Były jednak zamrożone i odłamywały się po kolei. Odstąpił jej ucho i zobaczył w jego małżowinie kolczyk - piórko, a na nim srebrną czarkę z kroplą bursztynu. Obrócił dłoń tak, że na bryłkę bursztynu padło więcej światła. Był w niej jakiś drobnutki owad, dawno temu skuszony słodkim pożywieniem w jedną ze śmiertelnych pułapek natury.

Pierce pomyślał o losie owada i zrozumiał, co musi zrobić. On również musiał ukryć Lilly. Przenieść ją. Nie dopuścić do jej znalezienia. Przez Rennera czy kogokolwiek.

Z piersi wyrwało mu się westchnienie. Sytuacja była surrealistyczna, nawet groteskowa. Zastanawiał się, jak ukryć zamrożone ciało tak, by niełatwo było je z nim powiązać. Zadanie wyglądało na niemożliwe.

Opuścił wzrok na podłogę i stwierdził, że nadal leży na niej mniejsza kłódka. Szybko zamknął zamrażarkę z powrotem, jakby wystarczało to, by jego zawartość nigdy mu nie zaszkodziła ani nie nawiedzała go we wspomnieniach.

Ta prosta czynność przerwała jednak inercję jego umysłu. Zaczął się zastanawiać.

Zrozumiał, że musi przenieść zamrażarkę. Nie miał innego wyboru. Renner był bliski jej znalezienia. Możliwe, że dowiedziałby się o wynajętej przechowalni nawet bez karty magnetycznej i kluczy. Pierce nie mógł na nic liczyć. Musiał przenieść zamrażarkę. Gdyby Renner ją znalazł, nastąpiłby koniec - Amedeo Technologies, Proteusa, życia Pierce'a - wszystkiego.

Pochylił się i wsparł dłonie na przednich rogach skrzyni. Pchnął, by sprawdzić, czy w ogóle da się ruszyć ją z miejsca. Zamrażarka bez większego oporu przesunęła się o piętnaście centymetrów, dzielących ją od tylnej ściany. Miała kółka, a więc nadawała się do transportu. Pozostawało tylko pytanie: dokąd?

Potrzebne było jakieś szybkie rozwiązanie, przynajmniej tymczasowe, dopóki Pierce nie obmyśli lepszego planu. Wyszedł z pomieszczenia na korytarz i ruszył nim, wodząc wzrokiem po drzwiach po obu stronach. Szukał otwartej, niewynajętej sali.

Minął windy i był w połowie drugiego skrzydła, nim znalazł drzwi bez klódki. Przechowalnia miała numer 307. Światelka na czytniku obok drzwi nie paliły się - alarm był zapewne wyłączony do czasu, aż ktoś wynajmie pomieszczenie. Pierce schylił się, zdjął metalowe ucho i podniósł drzwi. W przechowalni panowała ciemność. Alarm milczał. Pierce odnalazł linkę lampy i przekonał się, że pomieszczenie jest identyczne z tym, które wynajęto na jego nazwisko. Spojrzał na tylną ścianę i dostrzegł gniazdko elektryczne.

Zawrócił biegiem korytarzem do przechowalni 331. Obszedł zamrażarkę i wyciągnął kabel. Szum elektrycznego serca urządzenia umilkł. Pierce zarzucił przewód na wierzch zamrażarki i napał na nią. Wytoczyła się bez większego trudu. Po paru sekundach potoczył ją korytarzem.

Rolki zamrażarki były rozmieszczone tak, by łatwo dawało się przesuwać ją w tył i przód w ciasnych miejscach, aby dostać się do agregatu. Pierce musiał jednak włożyć wszystkie siły, by pokonać zakręt. Rolki zapiszczały głośno po podłodze. Gdy tylko obrócił ją w pożądanym kierunku, pchnął silnie jeszcze raz, by toczyła się siłą rozpędu.

Przebył niecałą połowę drogi do przechowalni 307, kiedy usłyszał szum windy. Ugiął kolana i zaczął wkładać w pchanie zamrażarki jeszcze więcej energii, jednak bez względu na wysiłek nie mógł poruszać się szybciej. Rolki były tak małe, że to uniemożliwiały.

Pierce dotarł przed windę w chwili, gdy szum w szybie ucichł. Odwrócił głowę i pchał dalej, nasłuchując, czy nie rozlegnie się dźwięk otwierających się drzwi którejs z kabin.

Nie rozległ się - najwyraźniej winda zatrzymała się na innym piętrze. Pierce westchnął z ulgą. Gdy dojeżdżał do otwartych drzwi przechowalni 307, otworzyły się jednak drzwi w pobliskim końcu korytarza i pojawił się w nich jakiś mężczyzna. Pierce poderwał się i o mało nie zaklął na głos.

Mężczyzna w białym malarskim kombinezonie oraz popstrzonymi tej barwy farbą włosami i skórą podszedł bliżej. Wydawał się zdyszany po wspinaczkę po schodach.

- To pan przetrzymywał windę? - spytał dobrodusznie.

- Nie - odpowiedział zanadto obronnym tonem Pierce. - Przez cały czas byłem tutaj.

- Tak tylko pytałem. Potrzebna panu pomoc?

- Nie, dziękuję. Po prostu...

Malarz zignorował jego protest, stanął obok Pierce'a, wsparł ręce na zamrażarce i wskazał głową otwarte drzwi.

- Tutaj? - zapytał.

- No. Dzięki.

Wspólnie szybko zawrócili zamrażarkę i wepchnęli ją do przechowalni 307.

- Proszę - powiedział zdyszany na nowo malarz, po czym wyciągnął rękę. - Frank Aiello.

Pierce uścisnął mu dłoń. Aiello wyjął lewą ręką wizytówkę z kieszeni koszuli i podał ją Henry'emu.

- Jak będzie pan potrzebował malowania, niech pan zadzwoni.

- Dobrze.

Malarz popatrzył na zamrażarkę, jakby dopiero teraz zauważył, co pomagał pchać.

- Ciężkie jak skurczysyn. Co pan tam ma, trupa?

Pierce udał, że parska śmiechem, i potrząsnął głową, cały czas nie podnosząc wzroku.

- Właściwie jest pusta. Po prostu ją tu przechowuję.

Aiello potrząsnął kłódką przy kłapie.

- Upewnia się pan, że nikt nie ukradnie powietrza ze środka?

- Nie, to... przez dzieciaki. Wszędzie się dostaną, więc zawsze trzymam ją zamkniętą.


- Pewnie niezła myśl.

Pierce odwrócił się i światło padło na jego twarz. Malarz zauważył rządki szwów.

- Wygląda, jakby nieźle pan oberwał.

Pierce pokiwał głową.

- To długa historia.

- 
- Nie taka, jakiej miałbym ochotę słuchać. Niech pan pamięta, co powiedziałem.
 - To znaczy?
 - Niech pani dzwoni, jeśli będzie potrzebny malarz.
 - Dobrze, mam pańską wizytówkę.

Pokiwał głową, gdy Aiello wychodził z przechowalni, i słuchał, jak jego kroki cichną na korytarzu. Zastanowił się nad uwagą o trupie w zamrażarce. Czy był to tylko przypadek, czy też Aiello nie był tym, za kogo się podawał?

Pierce usłyszał z korytarza brzękanie kluczy i szcęknięcie otwieranej kłódki. Nastąpiło zgrzytanie unoszonych drzwi. Henry pomyślał, że Aiello przyszedł pewnie do swojej przechowalni po narzędzia. Odczekał kilka minut i usłyszał odgłosy ściągniętych i zamykanych drzwi. Wkrótce potem rozległ się szum windy - Aiello tym razem skorzystał z niej, a nie ze schodów.

Gdy tylko Pierce upewnił się, że został sam na piętrze, włączył zamrażarkę do sieci i zaczął czekać, aż usłyszał uruchamiający się kompresor. Następnie wyciągnął koszulę ze spodni i jej połą wytarł wszystkie powierzchnie urządzenia, których mógł dotykać, łącznie z kablem. Upewniwszy się, że zatarł ślady, wyszedł z przechowalni i ściągnął drzwi. Założył kłódkę od numeru 331 i ją też wytarł połą koszuli.

Gdy szedł w stronę wnęki z windami, ogarnęło go koszarne poczucie winy i strachu. Wiedział, że to skutek instynktownego działania przez minione pół godziny i adrenaliny. Nie tyle obmyślał swoje posunięcia, ile po prostu je wykonywał. Zapas adrenaliny jednak się wyczerpywał.

Wiedział, że jeszcze wiele brakuje, by nic mu nie groziło. Przeniesienie zamrażarki przypominało zalepienie plastrem dziury po kuli. Pierce musiał się dowiedzieć, co mu zgotowano i dlaczego. Musiał też obmyślić plan, jak wyjść z tego cało.

Henry Pierce miał ochotę zwinąć *się* na podłodze w tej samej pozycji, w której ułożono ciało w zamrażarce. Wiedział jednak, że poddanie *się* oznaczałoby klęskę. Otworzył drzwi swojego mieszkania i wszedł do środka, dygocząc ze strachu i gniewu; miał pewność, że może polegać jedynie na sobie w szukaniu wyjścia z mrocznego tunelu, w jakim się znajdował. Obiecał sobie, że pozbiera się i będzie walczył.

Jakby dla podkreślenia tego przyrzeczenia zacisnął pięść i zamachnął się na przywieszoną pięć dni temu lampę, która stała koło kanapy. Przewróciła się na ścianę, spadł beżowy abażur, żarówka się roztrzaskała. Lampa osunęła się po murze na podłogę jak oszołomiony po ciosie bokser.

- No, do cholery!

Pierce usiadł na kanapie, ale natychmiast wstał. Czuł się jak pracujący na najwyższych obrotach silnik. Właśnie odnalazł i ponownie ukrył zwłoki - ofiarę morderstwa. Siedzenie w bezruchu wydawało się w tej sytuacji wyjątkowo bezsensowne.

Wiedział, co powinien zrobić. Musiał usiąść i się zastanowić. Musiał myśleć jak naukowiec, nie jak detektyw. Policjanci rozumują w liniowy sposób. Posuwają się od poszlaki do poszlaki, tworząc całościowy obraz. Czasami jednak poszlaki składają się na niewłaściwy wniosek.

Pierce był naukowcem. Wiedział, że trzeba posłużyć się metodami, które zawsze się sprawdzały. Znajdzie rozwiązanie w ten sam sposób, w jaki podszedł do kwestii przeszukania samochodu. Zaczynając od podstaw. Musiał *znaleźć* bramki logiczne - miejsca skrzyżowania przewodów. Rozebrać konstrukcję i przestudiować jej architekturę, ogólny plan. Odrzucić logiczne myślenie i podchodzić do sprawy od różnych stron. Studiować zagadnienie, a następnie odwra-

cać je i oglądać ponownie. Zemleć je na proszek i zbadać pod lupą. Życie stanowiło eksperyment przeprowadzany w niekontrolowanych warunkach. Było nieustającą reakcją chemiczną, równie dynamiczną, jak nieprzewidywalną. Intryga, której padł ofiarą, była jednak czym innym. Realizowano ją w kontrolowanych warunkach. Z góry przewidywano wynik reakcji. Czuł, że w tym tkwi klucz do znalezienia wyjścia. Oznaczało to, iż ma do czynienia z sytuacją, która da się rozebrać na czynniki pierwsze.

Wyciągnął notes z plecaka i przygotował się do pisania. Pierwszym obiektem jego rozważań został Wentz. Człowiek, którego Pierce nie znał, którego widział po raz pierwszy w życiu na oczy w dniu napaści. Który według wstępnej analizy był kluczowym uczestnikiem intrygi. Pytanie brzmiało: dlaczego Wentz wybrał Pierce'a, by zrobić go w morderstwo?

Po kilku minutach rozpatrywania tego pytania, ścierania go na proszek i oglądania z różnych stron Pierce doszedł do kilku podstawowych konkluzji.

Wniosek 1: Wentz nie wybrał Pierce'a. Nie istniał między nimi żaden logiczny związek, tłumaczący taki pomysł. Chociaż dzieliła ich obecnie wzajemna wrogość, nie mieli ze sobą żadnych kontaktów, dopóki nie zaczęła się intryga. Pierce był tego pewny. Wniosek ten nasuwał kolejny: iż ktoś inny wybrał Pierce'a na ofiarę Wentza.

Wniosek 2: W intrydze uczestniczyła trzecia strona. Wentz i osiłek o przydomku Sześć-Osiem stanowili jedynie narzędzia. Byli kółeczkami w maszynerii intrygi, którą kierował ktoś inny.

Trzecia strona.

Pierce zastanowił się nad tym wnioskiem. Dlaczego ktoś trzeci chciał zrobić Pierce'a w morderstwo? Intryga była skomplikowana i opierała się na dających się przewidzieć reakcjach Pierce'a. Wiedział, że w kontrolowanych warunkach można przewidzieć zachowanie molekuł. A jego postępowanie? Rozważył to pytanie i doszedł do kluczowego wniosku, dotyczącego jego związku z nieznanym uczestnikiem intrygi.

Wniosek 3: Isabelle. Jego siostra. Intrygę zaaranżował ktoś znający jego osobistą historię i dzięki temu rozumiejący, jak zachowa się w kontrolowanych warunkach. Telefony od klientów Lilly były jedynie przynętą uruchamiającą eksperyment. Ktoś domyślał się, jak Pierce najprawdopodobniej zareaguje - iż zacznie wyjaśniać tajemnicę, z jaką miał do czynienia. Że zachce się mu ściagać ducha niezżyjącej siostry. Wynikało z tego, iż ów trzeci człowiek wiedział o Isabelle. Wiedział o gnębiących Pierce'a wspomnieniach.

Wniosek 4: Niewłaściwy numer był właściwy. Pierce nieprzypadkowo dostał numer należący wcześniej do Lilly Quinlan. Był to zamierzony element intrygi.

Wniosek 5: Monika Purl. Ona również uczestniczyła w intrydze. To ona załatwiała Pierce'owi podłączenie telefonu. Nasuwało się podejrzenie, iż to ona poprosiła o numer telefonu, który zainicjował ciąg wydarzeń.

Pierce zaczął krążyć po pokoju. Ostatni wniosek stawiał wszystko w nowym świetle. Skoro Monika uczestniczyła w intrydze, to wiązała się ona z Amedeo. Oznaczało to, iż jest to część o wiele szerszej zakrojonego spisku. Nie chodziło o zrobienie Pierce'a w morderstwo, lecz o coś innego. Pod tym względem Lilly Quinlan znaczyła tyle samo co Wentz. Była jedynie narzędziem, kółkiem w maszynie. Zamordowanie jej stanowiło jedynie sposób dobrania się do Pierce'a.

Unikając myślenia o wynikających z tego koszmarnych wnioskach, Pierce usiadł i zastanowił się nad najbardziej podstawowym pytaniem - tym, na które odpowiedź wytłumaczyłaby wszystko. Dlaczego?

Dlaczego zaczęto go wrabiać? Czego chcieli ci, którzy obmyślili intrygę?

Odwrócił pytanie i popatrzył na nie pod innym kątem. Co by się stało, gdyby intryga się powiodła? Zostałby aresztowany, osądzony i skazany. Siedziałby w więzieniu, może nawet zostałby skazany na karę śmierci. Ale wprawdzie stałby się obiektem zainteresowania mediów. Czekaliby go skandal i niesława. Maurice Goddard wycofałby się wraz ze swoimi pieniędzmi. Amedeo Technologies przepadłoby z kretesem.

Przeformułował pytanie raz jeszcze: jakich użyto środków? Po co zadawano sobie tyle trudu? Po co tak wymyślny plan? Czemu zabito Lilly Quinlan i zorganizowano skomplikowaną intrygę, mogącą zawieść na każdym etapie? Wystarczało jego zabić zamiast Lilly, i w ten sposób osiągało się ten sam cel o wiele prostszymi środkami. Byłoby po nim, Goddard wycofałby się z pieniędzmi, a firma i tak przepadłaby z kretesem.

Wniosek 6: Celem jest coś innego. Nie chodzi o Pierce'a i Amedeo, lecz o coś innego.

Jako naukowiec czuł, że myśli mu się najlepiej, gdy patrzy w obiektyw mikroskopu - kiedy łączyły się oddzielne elementy, gdy cząsteczki tworzyły zgodnie z jego oczekiwaniami naturalne związki. Była to magia, z którą miał do czynienia na co dzień.

Moment podobnej jasności myśli przydarzył się mu i teraz, gdy siedział na kanapie. Była to chwila, w której pojął zarys intrygi i zrozumiał naturalny porządek jej elementów.

- Proteus - szepnął.

Ktoś chciał przywłaszczyć sobie Proteusa.

Wniosek 7: Celem intrygi było przyprzeć go tak silnie do muru, iż nie mając wyboru, oddałby wszystko, czego by tylko od niego zażądano. Przehandlowałby program Proteus w zamian za wolność, za szansę na dalsze życie.

Pierce cofnął się myślami. Musiał się upewnić, czy prawidłowo rozumuje. Jeszcze raz powtórzył tok analizy i znowu doszedł do wniosku, że chodziło o Proteusa. Zgiął się i przegarnął rękami włosy. Zebrało mu się na mdłości - nie dlatego że ostatecznym celem był Proteus. Pierce poszedł bowiem w swoim rozumowaniu jeszcze dalej. Poskładał wszystko w całość. Pojął wreszcie zarys intrygi, w której centrum stała osoba trzecia. Uśmiechała się do niego. Była piękna, jej oczy gorzały.

Wniosek 8: Nicole.

Stanowiła łączące wszystko ogniwo. Ona spajała wszystkie odrębne elementy. Znała tajne informacje dotyczące programu Proteus, bo sam się z nią nimi podzielił - do diabła, pokazał jej go na własne oczy. Znała też większość skrywanych przez niego faktów ze swojej przeszłości - prawdziwą i pełną historię Isabelle. Nie opowiedział jej nikomu z wyjątkiem Nicole.

Potrząsnął głową. Nie potrafił w to uwierzyć, a jednak był tego pewien. Wiedział, że jest to logiczna hipoteza. Domyślał się, że Nicole pomagała Elliotowi Bronsonowi lub Gilowi Franksowi, szefowi Midas Molecular. Może nawet działała na rzecz DARPA. Nieważne. Było jasne, że sprzedała Pierce'a, zdradziła program, zgodziła się go wykraść albo opóźnić na tyle, by konkurencja mogła go odtworzyć i pierwsza zgłosić do urzędu patentowego.

Odchylił się na oparcie kanapy. Poczłł chłodną skórę pod karkiem. Moment mdłości minął.

Wiedział, że potrzebuje planu. Musiał w jakiś sposób przetestować swoje wnioski, a potem zareagować stosownie do rezultatów. Nadszedł czas na eksperyment.

Uznał, że jest na to tylko jeden sposób. Musiał pojechać do niej, skonfrontować z nią to, czego się dowiedział, i wycisnąć z niej prawdę.

Pamiętał, że przecież postanowił się nie poddawać. Zamierzał oddać pierwszy strzał. Podniósł słuchawkę i wybrał numer biura Jacoba Każą. Było późne popołudnie, ale adwokat jeszcze pracował i szybko odebrał telefon.

- Byłeś dzisiaj fantastyczny, Henry - powiedział na powitanie.

- Sam byłeś niezły, Jacob.

- Dziękuję. Co mogę dla ciebie zrobić?
- Pakiet jest gotowy do złożenia?
- Tak. Skończyłem pracować nad nim wczoraj w nocy. Nic, tylko go złożyć. Zamierzam wylecieć w sobotę, odwiedzić brata na południu Marylandu, może jeszcze kilku przyjaciół w Bailey's Crossings i w poniedziałek z samego rana być w urzędzie patentowym. Zgodnie z planem, jak mówiłem dzisiaj Maurice'owi.

Pierce odchrząknął.

- Musimy go zmienić.
- Naprawdę? Dlaczego?
- Jacob, chcę, żebyś zabrał się dzisiaj nocnym lotem. Złóż wniosek jutro z samego rana. Kiedy tylko urząd zostanie otwarty.
- Henry, ja... wylot jeszcze dzisiaj będzie dość drogi. Zwykle lecę pierwszą klasą, a to...
- Nie obchodzi mnie, ile to będzie kosztowało. Nie obchodzi mnie, gdzie będziesz siedział. Chcę, żebyś dzisiaj wieczorem znalazł się w samolocie. Zadzwoń rano, kiedy tylko złożysz wnioski.
- Coś się stało, Henry? Wydajesz się trochę...
- Tak, stało się, Jacob. Dlatego wysłałem cię dzisiaj w nocy.
- Hm, chcesz o tym porozmawiać? Może zdołam pomóc?
- Pomożesz, jeśli wsiądziesz w samolot i z samego rana załatwisz sprawę. Nic więcej nie mogę ci na razie powiedzieć, ale leć, złóż wnioski i zadzwoń do mnie. Nie obchodzi mnie, która tu będzie wte dy godzina. Zadzwoń.
- Dobra, Henry, zrobię to. Zaraz zabiorę się do załatwienia biletu.
- Kiedy jest otwierany urząd patentowy?
- Myślę, że o dziewiątej.
- Dobrze, w takim razie czekam na twój telefon krótko po szóstej naszego czasu. Dzięki, Jacob.

Pierce rozłączył się i usłyszał ciągły sygnał. Wybrał bezpośredni numer Charliego Condon. Okazało się, że jest jeszcze w firmie.

- Tu Henry.
- Właśnie szukałem cię w twoim gabinecie.
- Jestem w domu. Co się stało?
- Pomyślałem, że może zechcesz pożegnać się z Maurice'em. Już za późno - odjechał. Leci z powrotem do Nowego Jorku jutro, ale powie dział, że chciałby jeszcze przedtem z tobą porozmawiać. Zadzwoń rano.
- Świetnie. Dobiliście targu?
- W zasadzie doszliśmy do porozumienia. Pod koniec przyszłego tygodnia będziemy mieli kontrakt.
- Co uzgodniłeś?

- Trzyście milionów w trzy lata. Dostaniemy milion od ręki, a potem po milionie co kwartał. Goddard otrzyma dziesięć procent udziałów i tytuł prezesa rady. Udziały będzie odbierał według ustalonego harmonogramu: procent za pierwszy milion, a potem po jednym co cztery miesiące. Jeśli coś się wydarzy i wypisze się przedwcześnie ze współpracy, zachowa tylko te udziały, które otrzyma do tego momentu. Nie ma opcji na resztę.

- Dobrze.

- Tylko dobrze? Nie jesteś szczęśliwy?

- To porządny interes, Charlie. Dla niego i dla nas.

- Ja jestem bardzo szczęśliwy, Goddard również.

- Kiedy dostaniemy ten milion zaliczki?

- Mam już czek, ale nie możemy go zrealizować do chwili podpisania kontraktu. Pewnie pod koniec przyszłego tygodnia. Wszyscy dostaniemy wtedy podwyżkę, co?

- No pewnie.

Pierce wiedział, że Condon spodziewał się po nim jeśli nie dowcipkowania, to przynajmniej zadowolenia. Nie potrafił się jednak na nie zdobyć. Zastanawiał się, co z nim będzie pod koniec przyszłego tygodnia.

- No to gdzie zniknąłeś? - spytał Condon.

- Pojechałem do domu.

- Do domu? Dlaczego? Myślałem, że...

- Musiałem załatwić to i owo. Posłuchaj, wysłałem Jacoba jeszcze dzisiaj. Chcę, żeby złożył wnioski jutro rano.

- Dobrze - odpowiedział Condon po chwili milczenia. - Nie ma rudzi?

- Może i marudził, ale zrobi, o co go prosiłem.

- Coś się stało?

- Jeszcze nie wiem. Po prostu nie chciałem ryzykować.

- Nerwy, co?

- No. Czy Maurice albo Justine pytali o mnie? Dopytywali się jeszcze o wypadek?

Zapadło milczenie, podczas którego Condon najwyraźniej zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Nie. W istocie oczekiwałem, że wrócą do prośby o raport z miejsca wypadku, ale sobie odpuścili. Zadzwoiłem do Cody'ego Zellera. Powiedział, że w razie potrzeby może nam przyszykować raport, który będzie wyglądał jak prawdziwy.

Kłamstwa piętrzyły się jedno na drugim. Pierce wiedział, że to niebezpieczny sposób życia i prowadzenia firmy.

- Daj sobie z tym spokój, dopóki nie dadzą znać, że naprawdę chcą go dostać.

- Dobra, wiem. Proszę o niego przed prezentacją. Myślę, że tak zważyło ich z nóg to, co zobaczyli w laboratorium, że przestało ich obchodzić, co stało się z twoją twarzą.

Pierce przypomniał sobie szkarłat twarzy Goddarda w polu widzenia noktowizora.

- Mam nadzieję.

- Powiesz mi kiedykolwiek, co ci się stało?

Pierce popatrzył na zegarek.

- Na razie nie, Charlie. Muszę już kończyć.

Rozłączył się i wyjął breloczek z kluczami. Nie było już na nim kluczy od kłódek. Zostawił je w magazynie - schował na wierzchu małego neonu z napisem „wyjście” na drugim piętrze. Obecnie sprawdzał tylko, czy ma jeszcze klucz od domu przy Amalfi Drive. Zamierzał dostać się do środka, jeśli nie zastanie Nicole.

Pierce dojechał California Incline do nadbrzeżnej autostrady & i skręcił na północ u wylotu kanionu Santa Monica. Zjechał potem w prawo na Channel i stanął przy pierwszym wolnym automacie parkingowym. Wysiadł z bmw i zawrócił w stronę plaży, oglądając się co dziesięć metrów przez ramię, czy nikt go nie śledzi. Kiedy doszedł do rogu, obejrzał się raz jeszcze i szybko zszedł po schodach do tunelu dla pieszych, przebiegającego pod autostradą w stronę plaży.

Ściany tunelu pokrywał kolaż graffiti. Pierce poznawał niektóre, chociaż po raz ostatni szedł tędy rok wcześniej. Podczas szczęśliwych czasów z Nicole zwykli chodzić w niedzielne ranki z kawą i gazetą na plażę. Przez ostatni rok Pierce jednak pracował przez większość niedziel nad programem Proteus i nie miał czasu na wypad na plażę.

W przeciwnym końcu tunel rozwidłał się na dwie oddzielne klatki schodowe. Henry wiedział, że dalsze schody wychodzą na powierzchnię obok kanału odpływowego, którym deszczówka spływała z kanionu do oceanu. Skierował się ku nim i wkrótce znalazł się na pustej plaży. Zobaczył żółtą budkę ratownika, gdzie w niedziele wraz z Nicole pili kawę i czytali gazetę. Zależało mu, by się jej przyjrzeć i ją zapamiętać, nim wejdzie po stoku do domu Nicole. Po chwili zawrócił do tunelu i ruszył w stronę przeciwnego wyjścia.

W jednej czwartej drogi przez sześćdziesięciometrowy tunel Pierce zobaczył schodzącego po stopniach w drugim końcu mężczyzną. Ponieważ światło padało z góry, było widać tylko zarys postaci. Pierce'owi nagle przyszło do głowy, że w tunelu czeka go konfrontacja z Rennerem, że policjant śledził go, a teraz zamierza aresztować.

Mężczyzna zbliżył się szybko, ale wciąż nie sposób go było rozpoznać. Wydawał się zwalisty - a przynajmniej szeroki w barach. Pierce

zwolnił kroku, chociaż wiedział, że ich zetknięcie się jest nieuniknione. Próba ucieczki stanowiłaby bezsensowną oznakę poczucia winy.

Mężczyzna zakaszał, gdy był mniej więcej osiem metrów od Pierce'a. Z bliska można było mu się wreszcie dokładnie przyjrzeć. Okazało się, że to nie Renner ani nikt znany Pierce'owi. Mężczyzna miał dwadzieścia parę lat i wyglądał jak zniechęcony surfer. Nosił niepasującą do aury grubą kurtkę narciarską. Ponieważ była rozpięta, Henry dostrzegł, że facet nie włożył nic pod spód - miał bezwłosą, opaloną klatkę piersiową.

- Ej, szukasz kogoś... co ci się stało w twarz, człowieku?

Pierce przyspieszył bez słowa kroku, żeby minąć nieznanego. Nieraz spotykały go w tunelu nieprzyzwoite propozycje - na Channel były dwa bary homoseksualistów, a tunel również stanowił ich terytorium.

Wyjeżdżając po kilku minutach, Pierce spojrzął w lusterko bmw i stwierdził, że nikt go nie śledzi. Ucisk w piersi nieco zelżał - chociaż tylko odrobinę. Czekala go przecież konfrontacja z Nicole.

Na skrzyżowaniu, przy którym stała szkoła podstawowa, Pierce skręcił w lewo na Entrada i dojechał nią do Amalfi Drive. Skręcił jeszcze raz w lewo i wjechał ulicą pod górę po północnym stoku kanionu. Szosa pięła się serpentynami. Mijając swój poprzedni dom, Henry zobaczył na podjeździe speedstera Nicole. Wyglądało na to, że ją zastał. Zatrzymał się przy krawężniku. Przez chwilę siedział nieruchomo, zbierając w sobie odwagę. Na podjeździe zobaczył poobijanego starego volkswagena, zostawionego na jałowym biegu. Z podwójnej rury wydechowej buchały niebieskie kłębuszki dymu, a na dachu zamontowano tablicę z godłem „Domino's Pizza”. Przypomniało to Pierce'owi, że jest głodny. Podczas obiadu po prezentacji skubał tylko jedzenie, bo był zbyt podekscytowany perspektywą zawarcia umowy z Goddardem.

Jedzenie musiało jednak na razie zaczekać. Pierce wysiadł.

Podszedł do wnęki przed wejściem i zastukał do drzwi. Drzwi miały szybę, więc Nicole poznała go natychmiast po wyjściu do holu. Ale szyba była przejrzysta z obydwu stron, toteż zobaczył ją w tym samym momencie. Zawahała się, ale nie mogła udąć, że nie ma jej w domu. Podeszła i otworzyła drzwi.

Stała jednak w wejściu, nie wpuszczając Pierce'a do środka. Miała na sobie sprane dżinsy i lekki sweter barwy marynarskiego błękitu, tak krótki, iż odsłaniał jej płaski, opalony brzuch oraz złoty kolczyk w pępku. Była boso, ale Pierce domyślał się, że na pewno ma gdzieś pod ręką swoje ulubione chodaki.

- Co tu robisz, Henry?
- Muszę z tobą porozmawiać. Mogę wejść?
- Hm, czekam na kilka telefonów. Możesz...
- Od kogo, Billy'ego Wentza?

Nicole urwała. W jej oczach pojawił się wyraz niezrozumienia.

- Kogo?
- Wiesz kogo. A może Elliota Bronsona?

Potrząsnęła głową, jakby go żałowała.

- Posłuchaj, Henry, jeśli to coś w rodzaju sceny z zazdrosnym bytym chłopakiem, to ją sobie odpuść. Nie znam żadnego Billy'ego Wentza i nie staram się o pracę u Elliota Bronsona. Podpisałam klauzulę, że nie zatrudnię się u konkurencji, pamiętasz?

Wytrąciła w ten sposób Pierce'owi przynajmniej jeden atut z ręki. Odparowała pierwszy atak tak gładko i bez wysiłku, że zachwiało to jego zdecydowaniem. Całe maglowanie sytuacji na różne strony sprzed godziny nagle wydało mu się wątpliwe.

- Posłuchaj, mogę wejść czy nie? Nie chcę załatwiać tego pod drzwiami.

Zawahała się znowu, lecz potem odsunęła się na bok i wpuściła go do środka. Przeszli do salonu po prawej stronie holu. Był to wielki, ciemny pokój wysokości pięciu metrów z wiśniowym parkietem. Po kanapie Pierce'a - jedynym zabranym przez niego meblu - zostało puste miejsce. Jedną ścianę zajmowały od podłogi do sufitu podwójnej grubości półki na książki. Większość zapełniały książki Nicole, ustawione w dwóch rzędach. Umieszczała na nich tylko te, które przeczytała, a czytała mnóstwo. Jedną z rzeczy, którą Pierce kochał w niej najbardziej, było to, iż wolała spędzić wieczór na lekturze i jedzeniu kanapek z dżemem i masłem orzechowym niż w kinie i na kolacji w Chinois. Zdawał sobie zresztą sprawę, że to wykorzystywał. Nie potrzebowała go przy czytaniu książki, dzięki czemu mógł posiedzieć w laboratorium dodatkową godzinę. Czy godziny, co zdarzało się o wiele częściej.

- Dobrze się czujesz? - spytała Nicole, siląc się na serdeczność. -

Wyglądasz o wiele lepiej.

- Nic mi nie jest.

- Jak dzisiaj poszło z Maurice'em Goddardem?

- Doskonale. Skąd wiedziałaś, że jest u nas?

Na twarzy Nicole pojawiła się irytacja.

- Bo pracowałam w Amedeo do piątku, a termin prezentacji został ustalony wcześniej, pamiętasz?

Pokiwała głową. Miała rację. Nie było w tym nic podejrzanego.

- Zapomniałem.
- Wchodzi w interes?
- Na to wygląda.

Nie usiadła. Stała na środku salonu, zwrócona w stronę Pierce'a. Półki z książkami pięły się za nią jak forteca i sprawiały, że wydawała się mniejsza niż w rzeczywistości. Jednocześnie potępiała Pier-ce'a - za każdy wieczór, kiedy nie było go w domu. Wzbudzały w nim poczucie winy, chociaż zdawał sobie sprawę, że nie może zrezygnować z gniewu w obliczu czekającej go konfrontacji.

- Dobra, Henry, już tu jesteś. Ja też. O co chodzi?

Skinął głową. Nadszedł czas. Zaświtało mu w głowie, że przyjechał tu bez żadnego planu. Musiał improwizować.

- Hm, pewnie o to, że aczkolwiek w ostatecznym rozrachunku nie ma to już większego znaczenia, chciałbym przynajmniej się upewnić, bo może dzięki temu będzie mi łatwiej z tym żyć. Powiedz mi tylko, Nicki, czy ktoś dobrał się do ciebie, wywarł na ciebie presję, groził ci? Czy też tak po prostu mnie sprzedawał?

Usta Nicole utworzyły idealne koło. Pierce mieszkał z nią trzy lata i sądził, że zna wszystkie jej miny. Nie podejrzewał, że mógłby ujrzeć jakikolwiek nowy wyraz jej twarzy. Widział też już wcześniej podobne idealne kółko ust. Nie był to jednak wyraz wstrząsu, że ktoś ją rozgryzł. Świadczył o dezorientacji.

- O czym ty mówisz, Henry?

Musiał kontynuować, chociaż czuł, że już za późno.

- Wiesz, o co mi chodzi. Wystawiłaś mnie na odstrzał. Chcę wiedzieć, dlaczego i na czyje polecenie. Bronsona? Midas Technologies? Czyje?

W oczach Nicole zamigotały fioletowe iskry, sygnalizujące gniew. Albo łzy. Lub i to, i to.

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. Po co miałabym cię wystawiać?

- Daj spokój, Nicole. Są tutaj? Elliot chowa się gdzieś tu w domu? Kiedy dostanę od nich propozycję? Życie w zamian za Proteusa?

- Henry, chyba coś się z tobą dzieje. Od tego, że rąbnąłeś w mur, kiedy wisiłeś z balkonu. Sądzę...

- Gówno prawda! Tylko ty wiedziałaś, co stało się z Isabelle. Tylko tobie kiedykolwiek o tym powiedziałem. I wykorzystałaś to, żeby tak mnie załatwić. Jak mogłaś? Dla pieniędzy? A może po prostu chciałaś odegrać się za to, że zepsułem wszystko między nami?

Widział, że Nicole słabnie i zaczyna drżeć. Być może pękał jej opór. Uniosła przed siebie ręce z rozpostartymi palcami i zaczęła cofać się w stronę holu.

- Idź stąd, Henry. Zwariowałeś. Jeśli nie od walnięcia o ścianę, to od pracy w laboratorium. Przesiadywałeś tam tak długo, aż wreszcie pomieszało ci się w głowie. Lepiej idź się zbadać...

- Nie dostaniesz go - odparł spokojnie. - Nie dostaniesz Proteusa. Zostanie opatentowany, zanim obudzisz się jutro rano, rozumiesz?

- Nie, Henry. Nie rozumiem.

- Chciałbym wiedzieć jedno: kto ją zabił? Ty sama czy wynajęłaś do tego Wentza? Zajmował się całą brudną robotą, tak?

Po tych słowach Nicole zatrzymała się i wymierzyła w Pierce'a zdecydowany wzrok.

- Co?! - prawie wrzasnęła. - Co ty wygadujesz? Kogo niby zabiłam? Czy ty w ogóle siebie słyszysz?

Urwał, licząc, że Nicole się uspokoi. Konfrontacja nie przebiegała tak, jak się spodziewał czy też miał nadzieję. Potrzebował przyznania się Nicole, a zamiast tego zaczęła płakać.

- Kochałem cię, Nicole. Cholera, wciąż cię kocham.

Nicole opanowała się, otarła policzki i złożyła ręce na piersi.

- No dobrze. Wyświadczysz mi choć jedną przysługę, Henry? - zapytała cicho.

- Jeszcze ci nie dosyć? Czego więcej chcesz?

- Usiądź na tym fotelu, dobrze? Ja usiądę na drugim. - Wskazała mu miejsce i podeszła do fotela wybranego dla siebie. - Usiądź i wyświadc mi przysługę. Opowiedz mi, co się stało. Mów tak, jakbym nie miała o niczym pojęcia. Wiem, że w to nie wierzysz, ale chcę, że byś tak właśnie zrobił. Opowiedz mi to tak, jakby to była nowa historia. Możesz mówić o mnie, co tylko chcesz, nawet najgorsze rzeczy, ale po prostu opowiedz mi wszystko. Od początku. Dobrze, Henry?

Pierce powoli usiadł w fotelu wskazanym przez Nicole. Przez cały czas wpatrywał się jej w oczy. *Zaczął* opowiadać, gdy usiadła naprzeciw niego.

- Pewnie można by rzec, że wszystko zaczęło się dwadzieścia lat temu. Tej nocy, kiedy odnalazłem siostrę w Hollywood, i nie powie działałem o tym ojczymowi.

odzinę później Pierce wszedł do sypialni i zauważył, że nic się tu i nie zmieniło. Poczynając od stosu książek na podłodze obok łóżka, wszystko wyglądało tak samo. Podeszedł przyjrzeć się otwartej książce, leżącej na poduszce po stronie, po której zwykle spał. Była zatytułowana „Iguana Love”. Zastanowił się, o czym jest.

Nicole podeszła do niego z tyłu i musnęła palcami jego barki. Odwrócił się w jej stronę. Ujęła w dłonie jego twarz i przyjrzała się uważnie biegnącym od oka do nosa szwom.

- Przepraszam, kochanie - powiedziała.

- To ja cię przepraszam za scenę na dole. Że zwątpiłem w ciebie.

Przepraszam za wszystko, co wydarzyło się przez ubiegły rok. Myślałem, że mogę cię zatrzymać, chociaż pracowałem jak...

Położyła mu dłonie na karku, przyciągnęła go do siebie i pocałowała. Delikatnie pchnął ją w stronę łóżka i posadził na jego skraju. Potem osunął się przed nią na kolana. Rozsunął jej kolana i wsunął się pomiędzy nie. Pochylił się nad nią i znów ją pocałował - tym razem mocniej i dłużej. Poczował, że od bardzo dawna nie smakował jej ust.

Opuścił ręce do jej bioder i przyciągnął ją do siebie. Tym razem nie był już delikatny. Wkrótce poczuł, że jedną dłoń kładzie mu na karku, a drugą rozpina guziki koszuli. Szarpali się z ubraniem, aż rozłączyli się, by każde z nich mogło zdjąć własne. Obydwoje wiedzieli bez słów, że tak będzie prędzej.

Rozbierali się coraz szybciej. Kiedy jednak Pierce ściągnął koszulę, Nicole skrzywiła się na widok sińców na jego klatce piersiowej i boku. Potem wszakże nachyliła się i zaczęła całować go w tych miejscach. Gdy oboje byli wreszcie nadzy, wsunęli się na łóżko i splekli w uścisku, podsycanym w równej mierze *żądzą* jak tkliwo-

ścią. Dotarło do niego, że przez cały czas brakowało mu Nicole. Tęsknił za jej ciałem. Ogarnęło go przemożne pragnienie, by go dotykać.

Wcisnął twarz pomiędzy jej piersi i powoli zsunął głowę niżej. Wiódł nosem po jej skórze, przez chwilę zacisnął zęby na złotym kolczyku w jej pępku, po czym zsunął głowę jeszcze niżej. Odchyliła się w tył; w tym momencie jej odsłonięta szyja sprawiała, że była całkowicie bezbronna. Z zamkniętymi oczyma przyciskała grzbiet dłoni do ust, przygryzając palce.

Kiedy obydwoje byli gotowi, pochylił się nad nią i zacisnął jej dłoń na swej męskości, by mogła wpuścić go w siebie. Był to ich stały rytuał. Powoli wzięła go w siebie, oplótła nogami i skrzyżowała je na jego plecach. Otworzył oczy i popatrzył z góry na jej twarz. Kiedyś zabrał noktowizor do domu i obydwoje przyglądali się w nim sobie na zmianę. Wiedział, że w tej chwili jej twarz miałaaby w goglach cudownie jedwabistą, purpurową barwę.

Znieruchomiła i też otworzyła oczy. Wypchnęła go z siebie.

- Co? - spytał. Westchnęła. Powtórzył: - Co?

- Nie mogę.

- Czego nie możesz?

- Tak mi przykro, Henry, ale nie mogę.

Rozprostowała nogi i wsparła je na łóżku. Wsunęła ręce między siebie i Pierce'a, zaczęła go odpychać. Spróbował się opierać.

- Zejdź ze mnie, proszę.

- Żartujesz, prawda?

- Nie. Zejdź!

Przetoczył się na bok. Natychmiast usiadła na brzegu łóżka, plecami do niego. Złożyła ramiona na piersi i zgarbiła się, jakby próbowała sama się pocieszyć. Wypukłości kręgow pięknie odznaczały się na jej obnażonych plecach. Pierce dotknął lekko jej karku i przesunął kciukiem po kręgosłupie jak po klawiszach fortepianu.

- O co chodzi, Nicki? Co się stało?

- Po tym, o czym rozmawialiśmy na dole, myślałam, że będzie do brze. Że oboje tego potrzebujemy, ale nie. Nie możemy tak, Henry. Nie jesteśmy już razem i gdybyśmy to zrobili... sama nie wiem. Po prostu nie mogę. Przepraszam.

Pierce uśmiechnął się, chociaż odwrócona do niego plecami nie mogła tego zobaczyć. Położył dłoń na tatuażu na jej prawym biodrze - na tyle małym, że zwykle pozostawał niezauważony. Zobaczył go dopiero pierwszej nocy, kiedy się kochali. Zaintrygował go i podniecił w ten sam sposób co kolczyk w pępku. Nicole nazywała go *conji*. Był to *Fu*, chiński ideogram, oznaczający szczęście. Powiedziała mu,

że to przypomnienie, iż szczęście bierze się z wnętrza człowieka, nie z dóbr materialnych.

Odwróciła się i popatrzyła na niego.

- Dlaczego się uśmiechasz? Myślałam, że się zdenerwujesz. Każdy inny mężczyzna by to zrobił na twoim miejscu.

- Sam nie wiem. - Wzruszył ramionami. - Pewnie po prostu cię rozumiem.

Powoli dotarło do niej, co oznaczało jego zachowanie. Wstała i odwróciła się w jego stronę. Sięgnęła po poduszkę, żeby się zasłonić. Znaczyło to jasno, że nie chce pozostać dłużej naga w jego obecności. Wyczytał to w jej ruchach i pozie.

- Co się stało?

- Ty łajdaku.

- O co ci chodzi?

Zobaczył iskry w jej oczach, ale tym razem nie zbierało się jej na płacz.

- To była próba, tak? Jakiś zboczony test. Wiedziałaś, że jeśli dam ci się przelecieć, to wszystko, co powiedziałam na dole, jest kłamstwem.

- Nicki, nie myślę...

- Wynos się.

- Nicole...

- Ty i te twoje cholerne testy i eksperymenty. Wynos się, powie działałam!

Zażenowany swoim postępowaniem, wstał i zaczął się ubierać - wciągnął dzinsy razem ze slipami.

- Mogę coś powiedzieć?

- Nie. Nie chcę tego słuchać.

Odwróciła się i wyszła do łazienki. Po drodze rzuciła poduszkę, lecz szła bez cienia skrępowania, jakby chciała dokuczyć mu widokiem swej nagości. Dać mu do zrozumienia, że już nigdy jej nie zobaczy.

- Przepraszam, Nicole.

Zamknęła za sobą drzwi łazienki, nie obejrzawszy się na niego.

- Idź! - dobiegł zza nich jej głos.

Usłyszał po chwili szum prysznicy i zrozumiał, że Nicole po raz ostatni zmywa z siebie jego dotyk.

Skończył się ubierać i zszedł po schodach. Usiadł na najniższym stopniu i włożył buty. Zastanawiał się, jak mógł się tak rozpaczliwie mylić co do Nicole.

Przed wyjściem wrócił do salonu i stanął przed regałem z książkami. Stały ciasno stłoczone na półkach, wyłącznie wydania w twar-

dej oprawie. Był to ołtarz wiedzy, doświadczenia i przygody. Przypomniał sobie, jak raz wszedł do salonu i zastał Nicole na kanapie. Nie czytała, a jedynie przyglądała się książkom.

Jedna z półek była przeznaczona wyłącznie na książki o tatuażu i projektowaniu grafiki. Podeszedł do regału i przesunął palcem wzdłuż grzbietów książek, aż natrafił na zapamiętaną pozycję. Wyciągnął ją - była to książka o chińskich ideogramach, z której Nicole zaczerpnęła pomysł na tatuaż. Przekartkował ją, aż odnalazł *Fu i* przeczytał opis. Był to cytat z Konfucjusza: „Mając do jedzenia tylko surowy ryż, do picia tylko wodę i włożoną rękę za poduszkę - jestem szczęśliwy”.

Powinien się domyślić. Powinien był wiedzieć, że to nie ona. Nie zgadzała się logika. Nauka sprawiła, że popełnił błąd. Spowodowała, że zwątpił w jedyną rzecz, której powinien być pewien.

Przewracał kartki, aż natrafił na *Shu*, symbol przebaczenia.

- „Przebaczenie to dzieło serca” - odczytał na głos.

Położył książkę na stoliku do kawy, wciąż otwartą na tej samej stronie - z ideogramem *Shu*. Wiedział, że Nicole szybko ją znajdzie.

Zamknął drzwi - zamek zasunął się automatycznie - i wrócił do samochodu. Usiadł za kierownicą, rozmyślając o swoim postępowaniu, o swoich przewinach. Wiedział, że dostał to, na co zasłużył. Tak działo się z większością ludzi.

Wsunął kluczyk do stacyjki i uruchomił silnik. W jego umyśle pojawił się przypadkowo obraz samochodu z pizzerii, który widział, gdy tu parkował. Przypomniało mu to o głodzie.

W tej samej chwili przypadkowe atomy połączyły się w nową całość. Przyszedł mu do głowy pomysł, i to dobry. Zgasił silnik i wysiadł.

Nicole była jeszcze pod prysznicem albo po prostu nie miała ochoty otworzyć. Było to jednak bez znaczenia, bo Pierce miał klucz. Otworzył drzwi i ruszył holem w stronę kuchni.

- Nicole! - zawołał. - To ja. Chciałem tylko skorzystać z telefonu. Brak reakcji. Wydawało się mu, że słyszy niewyraźny szum spływającej wody. Nicole była jeszcze pod prysznicem.

Z telefonu w kuchni zadzwonił do informacji w Venice i poprosił o numer Domino's Pizza. Były tu dwie filie sieci; zapisał oba numery na bloczku, który Nicole trzymała obok aparatu. Wybrał pierwszy z nich i czekał na połączenie, otworzył szafkę nad aparatem. Wyjął z niej książkę telefoniczną firm. Gdyby Domino's nie przyjęło jego zamówienia, był gotów dzwonić do wszystkich pizzerii w Venice, dostarczających swoje wyroby do domu klientów.

- Domino's Pizza. Czym mogę służyć?
- Chcę zamówić pizzę.
- Pański numer?

Pierce podał z pamięci numer Lucy LaPorte. Usłyszał, że jest wpisywany do komputera. Czekał, aż mężczyzna na drugim końcu linii powiedział:

- Pana adres?
- Nie macie go?
- Nie, proszę pana.
- Przepraszam, w takim razie się pomyliłem.

Rozłączył się, wybrał numer drugiej pizzerii Domino's i powtórzył fortel z podaniem numeru Lucy.

- Breeze dziewięćset dziewięć? - spytała kobieta.
- Słucham?
- Pański adres to Breeze dziewięćset dziewięć? Nazwisko LaPorte?
- Och tak, *zgadza się*.

Zapisał adres, czując skok poziomu adrenaliny we krwi. Sprawilo to, że stawiane przez niego cyfry były wąskie i nierówne.

- Z czym ma być?
- Hm, w komputerze nie ma, z czym ostatnio zamawiano?
- Standardowa wielkość, cebula, papryka i grzyby.
- Dobrze. To samo.
- Coś do picia? Chleb czosnkowy?
- Nie, tylko *pizza*.
- Dobra. Trzydzieści minut.

Kobieta rozłączyła się bez pożegnania. Odłożył słuchawkę i zawrócił do drzwi.

Stała w nich Nicole. Miała mokre włosy, a na sobie biały szlafrok frotte. Podarowała go Pierce'owi na pierwszą wspólną Gwiazdkę, ale nigdy go nie nosił, bo nie miał takiego zwyczaju. Korzystała więc z niego Nicole. Był na nią za duży, ale dzięki temu wyglądała jeszcze seksowniej. Wiedziała, jak działa na Henry'ego w szlafroku, toteż z premedytacją go wkładała. Za każdym razem, kiedy nakładała go po kąpieli, znaczyło to, że będą się kochali.

Tym razem już nie. Było inaczej. Jej mina nie miała nic wspólnego z kokieteryą czy ochotą na seks. Popatrzyła na książkę telefoniczną, otwartą na liście pizzerii z dostawą do domu.

- Nie do wiary, Henry. Po tym, co się wydarzyło, co zrobiłeś, wra-
casz tutaj i zamawiasz pizzę, jakby nic się nie stało. Myślałam, że
masz sumienie. - Podeszła do lodówki i ją otworzyła. - Prosiłam cię,
żebyś sobie poszedł.

- Już idę, ale nie jest tak, jak myślisz, Nicole. Próbuję kogoś znaleźć, a to jedyny sposób.

Wyjęła z lodówki butelkę wody i zaczęła ją odkręcać.

- Prosiłam cię, żebyś poszedł - powtórzyła.

- Dobrze, już wychodzę.

Chciał przesunąć się między nią a stołem na środku kuchni. Nagle jednak zmienił zdanie, chwycił Nicole za ramiona i przyciągnął ją do siebie. Pocałował ją w usta. Natychmiast go odepchnęła, oblewając przy okazji obydwójce wodą.

- Do widzenia - powiedział, zanim zdążyła się odezwać. - Wciąż cię kocham.

Po drodze do wyjścia zsunął klucz od domu z breloczka. Upuścił go na mały stolik pod lustrem przy drzwiach. Otworzywszy je, obrócił się w stronę Nicole. Odwróciła się do niego plecami.

^i reeze była jedną z zamkniętych dla ruchu ulic w Venice, co ozna-
I^Pczało, że Pierce musiał zaparkować w pewnej odległości i dostać
się do niej na piechotę. W kilku osiedlach przy plaży małe bungalowy
postawiono frontowymi ścianami do siebie tak blisko, że dzielił
je tylko chodnik; jezdnia nie istniała. Za domami biegły wąskie zaułki,
którymi lokatorzy mogli dostać się do *garaży*, lecz od frontu domy
sąsiadowały ze wspólnym chodnikiem. Było to planowanie typowe
dla Venice, mające zachęcać do dobrosąsiedzkich stosunków, a jed-
nocześnie umożliwiające upchnięcie większej liczby domów na
mniejszych posesjach. Domy przy wspólnych chodnikach były jed-
nak rozchwytywane i cenione *przez* właścicieli oraz najemców.

Pierce znalazł miejsce do parkowania przy krawężniku Ocean
Boulevard obok pomalowanego pomnika upamiętniającego ofiary
wojny. Ruszył pieszo na Breeze. Dochodziła siódma, a niebo *zaczy-
nało* nabierać płowopomarańczowej barwy zadymionego zmierzchu.
Adres podany przez kobietę z Domino's Pizza znajdował się w poło-
wie przecznicy. Henry szedł powoli, jakby wybrał się na spacer po
plaży, by obejrzeć zachód słońca. Mijając dom pod numerem 909,
spojrzał nań jakby od niechcienia. Był to żółty bungalow, mniejszy
od pozostałych domów przy tej ulicy, z szerokim gankiem, na któ-
rym stała stara huśtawka. Od chodnika odgradzał go biały płotek
z furtką.

Zasłony we frontowych oknach były zaciągnięte. Palila się lampa
na ganku, co Pierce potraktował jako zły znak. Było na to za wcześ-
nie; przypuszczał, że zostało włączone od poprzedniej nocy. Zaczął
się martwić, że chociaż wreszcie znalazł miejsce, do którego nie zdo-
łali dotrzeć detektyw Renner ani Cody Zeller, okaże się, że Lucy La-
Porte zniknęła.

Doszedł do skrzyżowania Breeze i Speedway. Znajdował się tu sąsiadujący z plażą parking. Pierce zastanowił się, czy wrócić po samochód i przestawić go tutaj, ale uznał, że nie warto na to tracić czasu. Pokręcił się po parkingu i przez następne dziesięć minut przyglądał się zachodowi słońca. Potem ruszył z powrotem Breeze.

Tym razem szedł jeszcze wolniej i wypatrywał oznak aktywności w kolejnych domach. Wieczór był spokojny, dość cichy. Pierce znów minął dom pod numerem 909. Nic nie wskazywało, by w bungalowie ktokolwiek mieszkał.

Gdy doszedł do końca uliczki, przy chodniku zaparkował niebieski pikap ze znajomym godłem Domino's Pizza na dachu. Niski mężczyzna, najprawdopodobniej meksykańskiego pochodzenia, wyskoczył ze środka z czerwonym pojemnikiem z termoizolacją i szybko ruszył w głąb Breeze. Pierce pozwolił mu znacznie się wyprzedzić, a następnie podążył za nim. Mimo izolacji dochodziła do niego woń pizzy. Pachniała smakowicie. Kiedy mężczyzna wszedł na ganek przed drzwiami domu numer 909, Pierce zwolnił i ukrył się za czerwoną bugenwillą, rosnącą na sąsiednim podwórku.

Doręczyciel zapukał dwa razy - za drugim razem głośniej. Miał minę, jakby zdecydował się już na odejście, kiedy mu wreszcie otworzono. Pierce zorientował się, że wybrał sobie zły punkt obserwacyjny, bo nie mógł z niego zajrzeć do wnętrza domu. Usłyszał jednak kobiecy głos i poznał, że drzwi otworzyła Lucy LaPorte.

- Nie zamawiałam jej.

- Na pewno? Mam tu adres: Breeze dziewięćset dziewięć. - Doręczyciel otworzył boczną klapkę pojemnika, wyjął z niego płaskie pudełko i przeczytał to, co na nim napisano. - La Porte, zwyklej wielkości, z cebulą, papryką i grzybami.

- No, to ja - zachichotała Lucy - i zwykle to zamawiam, ale nie dzisiaj. Może mieliście jakąś awarię komputera i znowu wyrzuciło moje zamówienie?

Mężczyzna opuścił wzrok na pizzę i ze smutkiem pokręcił głową.

- No, trudno. Powiem, że pani nie zamawiała.

Wsunął pudełko z powrotem do pojemnika i odwrócił się od wejścia. Gdy schodził z ganku, drzwi się za nim zamknęły. Pierce czekał na niego przy bugenwilli z dwudziestodolarowym banknotem w ręku.

- Ej, jak ta pani nie chce, to ja wezmę.

- Dobra! - rozpromienił się doręczyciel. - Dla mnie nie ma sprawy.

Pierce podał mu dwudziestkę w zamian za pizzę.

- Reszty nie trzeba.

Doręczyciel rozpromienił się jeszcze bardziej: wpadka przy rożeniu zamieniła się w hojny napiwek.

- Dziękuję! Życzę miłego wieczoru.
- Postaram się.

Pierce bez wahania ruszył w stronę sąsiedniego domu. Wszedł na ganek i zastukał do drzwi bungalowu 909. Z zadowoleniem zauważył, że nie ma w nich judasza - przynajmniej takiego, który byłoby widać z zewnątrz. Dojście do drzwi zabrało Lucy tym razem tylko kilka sekund. Spuściła wzrok - spodziewając się powrotu niskiego doręczyciela. Gdy go uniosła, poznała Pierce'a i zobaczyła jego pokiereszowaną twarz. Na jej gładkiej, niepoznaczonej niczym twarzy pojawił się strach.

- Hej, Lucy. Powiedziałaś, żeby następnym razem przyszedł z pizzą, pamiętasz?
- Co ty tu robisz? Nie powinienes przychodzić. Mówiłam ci, żebyś mi nie zawracał głowy.
- Powiedziałaś, żeby nie dzwonił. I nie dzwoniłem.

Spróbowała zamknąć drzwi, lecz Pierce spodziewał się tego. Wystawił przed siebie rękę i naparł na drzwi. Uchylił je dalej, chociaż Lucy próbowała je przymknąć. Nie wkładała w to zresztą wielkiej energii - albo w gruncie rzeczy nie starała się ich zamknąć, albo po prostu nie miała sił. Zdołał otworzyć drzwi jedną ręką i wystawił przed siebie drugą z pizzą jak kelner.

- Musimy porozmawiać.
- Nie teraz. Musisz sobie pójść.
- Teraz.

Ustąpiła i zrezygnowała z dalszego przytrzymywania drzwi. Nie zdejmował z nich jednak dłoni, na wypadek gdyby był to tylko fortel.

- Dobra, czego chcesz?
- Po pierwsze, wejść do środka. Nie mam ochoty tu sterczeć.

Cofnęła się i wpuściła go do domu. Pokój dzienny był mały; wystarczyło w nim miejsca zaledwie na kanapę, wyściełany fotel i stolik do kawy. Na podstawce stał telewizor; leciał jeden z programów z informacjami o nowościach w rozrywce i plotkami z Hollywood. Mały kominek wyglądał, jakby co najmniej kilka lat nikt w nim nie palił.

Pierce zamknął drzwi. Wszedł dalej do pokoju, położył pizzę na stoliku i wziął w rękę pilota. Zgasił telewizor i położył pilota z powrotem na stół, zawalony magazynami poświęconymi rozrywce i plotkarskimi szmatławcami. Stała na nim również popielniczka, wypełniona po brzegi niedopałkami.

- Oglądałam ten program - powiedziała Lucy, zatrzymawszy się przy kominku.

- Wiem - odparł Pierce. - Może usiądziesz, zjesz kawałek pizzy?

- Nie chcę pizzy. Gdybym miała na nią ochotę, kupiłabym ją od tego faceta. Właśnie tak mnie znalazłeś?

Miała na sobie dzinsy z obciętymi nogawkami i zielony podkoszulek bez rękawów. Była boso. Wyglądała na bardzo zmęczoną, a Pierce pomyślał, że pewnie mimo wszystko tej nocy, kiedy się poznali, nosiła makijaż.

- No, mieli twój adres.

- Powinnam ich podać do sądu.

- Daj im spokój, Lucy, i porozmawiaj ze mną. Okłamałaś mnie.

Powiedziałaś, że cię pobili, że jesteś cała czarnosina i nie nadajesz się do pokazania ludziom.

- Nie kłamałam.

- No to szybko się goisz. Chciałbym poznać ten sekret...

Podciągnęła podkoszulek, odsłaniając brzuch i piersi. Na lewym boku wzdłuż łuku żebrowego miała fioletowe sińce, prawa pierś była zniekształcona. Pokrywały ją małe, wyraźnie od siebie oddzielone sińce, niewątpliwie pochodzące od palców.

- Jezu - szepnął.

Lucy opuściła podkoszulek.

- Nie kłamałam. Pobił mnie. Zepsuł mi też implant. Może nawet przecieka, ale dopiero jutro będę mogła dostać się do lekarza.

Pierce przyjrzał się badawczo jej twarzy. Bez dwóch zdań bolało ją, była wystraszona i czuła się samotna. Henry powoli usiadł na kanapie. Wcześniej rozważał, co najchętniej zrobiłby z pizzą, ale wyleciało mu to z głowy. Teraz miał ochotę uchylić drzwi i wywalić ją na chodnik. Głowę przepęniały mu wizje przytrzymującego Lucy Sześć-Osiem i bijącego ją Wentza. Wyraźnie widział uciechę na twarzy sutenera - już miał z nią do czynienia.

- Przykro mi, Lucy.

- Mnie też. Przykro mi, że w ogóle nawiązywałam z tobą kontakt.

Dlatego właśnie musisz zniknąć. Jeśli dowiedzą się, że tu byłeś, wrócą i potraktują mnie o wiele gorzej.

- Dobrze, w porządku... Pójdę. - Nie wstawał jednak. - Bo ja wiem? - powiedział. - Przegrywam dzisiaj do zera. Przyjechałem, bo myślałem, że brałaś w tym udział. Chciałem się dowiedzieć, kto mnie wrabia.

- Wrabia w co?

- W zamordowanie Lilly Quinlan.

Lucy powoli usiadła na wyściełanym fotelu.

- Na pewno nie żyje?

Popatrzył na nią i przeniósł wzrok na pudełko z pizzą. Przypomniał sobie wewnątrz zamrażarki i pokiwał głową.

- Policja myśli, że ja to zrobiłem. Starają się *znaleźć* dość dowodów, żeby była z tego sprawa.

- Ten detektyw, z którym rozmawiałam?

- Tak, Renner.

- Powiem mu, że starałeś się tylko ją odnaleźć, upewnić się, że nic jej nie jest.

- Dzięki, ale to nie będzie miało znaczenia. Renner twierdzi, że to wchodziło w skład mojego planu. Posłużyłem się tobą i innymi oraz zawiadomiłem policję tylko w tym celu, żeby odwrócić od siebie uwagę. Twierdzi, że mordercy często udają samarytan.

Lucy zamiast odpowiedzieć długo milczała. Pierce rzucił okiem na nagłówek starego wydania „National Enquirer”, leżącego na stoliku. Zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia o bieżących wydarzeniach. Nie rozpoznał ani jednego nazwiska czy zdjęć sław na pierwszej stronie.

- Mogłabym powiedzieć mu, że kazano mi wskazać ci jej dom - powiedziała cicho Lucy.

Pierce podniósł na nią wzrok.

- To prawda?

Pokiwała głową.

- Przysięgam jednak na Boga, nie wiedziałam, że cię wrabiają, Henry.

- Oni - czyli kto?

- Billy i Grady.

Wentz i jego prawa ręka, Grady Allison. Człowiek, z którym Pierce nie miał jeszcze do czynienia.

- Dlaczego kazali ci to zrobić?

- Powiedzieli mi tylko, że zadzwoni do mnie Henry Pierce, czyli ty, i że powinnam umówić się z tobą i zabrać cię do mieszkania Lilly. Kazali mi przypilnować, żeby wyglądało, jakby to był twój pomysł. To wszystko, co miałam zrobić i co mi powiedziano. Nic więcej nie wiedziałam, Henry.

- No dobrze - Henry pokiwał głową. - Rozumiem. Nie jestem na ciebie wściekły, Lucy. Musiałaś robić, co ci kazano.

Zastanowił się nad tym, starając się dojść, czy to istotna informacja.

- Mogę to powiedzieć temu detektywowi - rzekła Lucy. - Wtedy zrozumie, że jesteś wrabiany.

- Nie. - Pierce pokręcił głową. - W ten sposób naraziłabyś się Wentzowi. Poza tym...

O mało nie powiedział, że słowo prostytutki niewiele znaczący dla policjantów.

- Co poza tym?

- Sam nie wiem. Po prostu nie sądzę, żeby to wystarczyło, by Renner zmienił zdanie. - Pomyślał o czymś innym i zmienił temat. - Skoro to wszystko, co ci kazali zrobić, Lucy, a ty ich posłuchałaś, to dlaczego cię pobili?

- Żeby mnie nastraszyć. Wiedzieli, że gliniarze będą chcieli ze mną rozmawiać. Kazali mi, żebym oddzwoniła do tego całego Rennera i powtórzyła dokładnie to, co wymyślili. Musiałam ściśle trzymać się ich scenariusza. Chcieli, żebym na jakiś czas zapadła się pod ziemię. Mówili, że za parę tygodni wszystko wróci do normy.

Parę tygodni, pomyślał Pierce. Do tego czasu intryga osiągnęłaby zamierzony cel.

- Domyślam się, że wszystko, co mi opowiedziałaś o Lilly, należało do tego scenariusza?

- Nie, tego nie obejmował. Co masz na myśli?

- Na przykład to, że wieczorem dnia, kiedy Lilly zniknęła, pojechałaś do niej i nadaremnie na nią czekałaś. To też był wymysł, że bym zechciał tam pojechać, tak?

- Nie, to akurat była prawda. Właściwie wszystko było prawdą. Nie okłamywałam cię, Henry, a tylko tobą pokierowałam. Mówiąc prawdę, popchnęłam cię w kierunku, na którym im zależało. Sam zechciałeś tam pojechać. Klient, samochód i tak dalej - to była prawda.

- Co to znaczy: samochód?

- Mówiłam ci wcześniej. Miejsce na parkingu zostało zajęte, a powinno być wolne dla klienta. Mojego klienta. Cholera, tylko był z tym kłopot, bo musieliśmy zaparkować gdzie indziej, a potem wracać piechotą i facet się porządnie spocił. Nie znoszę spoconych twarzy. Wszystko się schrzaniło.

Pierce przypomniał sobie całą jej wcześniejszą opowieść. Ten szczegół przepuścił za pierwszym razem, bo nie wiedział, o co pytać. Nie zdawał sobie sprawy, że to istotne. Lilly Quinlan nie otworzyła tamtego wieczoru, bo leżała martwa w mieszkaniu. Pewnie nie była jednak sama - ponieważ na parkingu stał samochód.

- Stał tam jej wóz?

- Nie, jak powiedziałam, zawsze zostawiała miejsce wolne dla klientów.

- Przypominasz sobie tamten samochód?

- Tak, przypominam, bo miał zdjęty dach, a ja nie zostawiłabym takiej bryczki ze spuszczoneym dachem w tej okolicy. Za blisko wszelkiego śmiecia pałętającego się po plaży.

- Jakiej był marki?

- Jaguar, czarny.

- Ze spuszczoneym dachem.

- No. Przecież powiedziałam.

Pierce długą chwilę wpatrywał się w Lucy bez słowa. Przez moment poczuł zawrót głowy i przestraszył się, że spadnie z kanapy i runie twarzą na pizzę. Wszystko w jednej chwili ożyło w jego wspomnieniach. Zrozumiał wreszcie całość intrygi; każdy szczegół pasował jak ulał, całość wydawała się wręcz promienna.

- Zorza polarna - szepnął pod nosem.

- Słucham? - zapytała Lucy.

Pierce wstał z kanapy.

- Muszę już iść.

- Nic ci nie jest?

- Teraz już nic.

- Chcesz zabrać pizzę?

Pokręcił głową.

- Nie sądzę, żebym mógł ją zjeść.

inęły dwie godziny, nim Cody Zeller przyjechał wreszcie do Amedeo Technologies. Ponieważ Pierce sam potrzebował czasu na przygotowania, zadzwonił do przyjaciela dopiero o północy. Poprosił wtedy Zellera, żeby przyjechał, bo doszło do naruszenia bezpieczeństwa systemu komputerowego. Zeller protestował, że jest z kimś i będzie wolny dopiero rano. Pierce uparł się, że rano będzie za późno. Powiedział, że nie przyjmuje żadnych wymówek, że potrzebuje Cody'ego, bo to pilna sprawa. Dał jasno do zrozumienia, że jeśli Zeller się nie pokaże, będzie to oznaczało utratę dalszych zleceń od Amedeo i przyjaźni z Henrym.

Dwie godziny po telefonie Pierce czekał w laboratorium, oglądając na monitorze komputera obraz z kamer systemu bezpieczeństwa. Było ich wystarczająco dużo, by mógł ciągle śledzić, jak Zeller parkuje swojego czarnego jaguara w garażu, wchodzi głównym wejściem i dociera do biurka na podwyższeniu. Dyżurujący w pojedynkę strażnik dał Cody'emu kartę szyfrową i poinformował go, że Pierce jest w laboratorium. Henry patrzył, jak Zeller *zjeżdża* windą i wchodzi do śluzy. W tym momencie wyłączył obraz z kamer i uruchomił komputerowy program do dyktowania. Poprawił mikrofon na obudowie ekranu i wyłączył monitor.

- W porządku - powiedział. - Gotowi do drogi.

Zeller mógł dostać się do śluzy wyłącznie za pomocą karty szyfrowej. Wewnętrzne drzwi miały zamek z klawiaturą. Pierce nie miał najmniejszych wątpliwości, że Zeller zna kod dostępu, chociaż zmieniano go co miesiąc i rozsyłano nową kombinację pracownikom pocztą elektroniczną. Gdy jednak Cody znalazł się przy obitych stalową blachą drzwiach, załomotał w nie pięścią.

Pierce wstał i wpuścił go do środka. Zeller wszedł do laboratorium z miną człowieka poważnie wytrąconego z równowagi sytuacją, w jakiej go postawiono.

- No dobra, Hank, jestem. O co tyle hałasu? Właśnie posuwałem łaskę, kiedy zadzwoniłeś, wiesz?

Pierce wrócił do stanowiska komputerowego i usiadł na krześle. Obrócił się na nim tak, iż patrzył wprost na Zellera.

- Cóż, dojazd zabrał ci sporo czasu, więc nie mów mi, że przeze mnie przerwałeś sobie przyjemność.

- Jakże się mylisz, przyjacielu. Zajął mi to tyle czasu, bo jestem dżentelmenem w każdym calu i musiałem odwieźć ją do Do liny, a w drodze powrotnej zatrzymało mnie cholerne osuwisko w kanionie Malibu. Musiałem zawracać i jechać aż do Topangi. I tak dojechałem tutaj najszybciej, jak mogłem. Nieważne, co tak śmierdzi?

Zeller mówił bardzo szybko. Pierce podejrzewał, że jest pijany, naćpany albo i to, i to. Nie wiedział, jak to wpłynie na jego eksperyment, ponieważ dodawało nowy element do warunków wyjściowych.

- Węgiel - powiedział. - Pomyślałem, że w trakcie czekania na ciebie wypalę nową porcję przewodów.

Pierce wskazał kiwnięciem głowy zamknięte drzwi laboratorium okablowania. Zeller pstryknął kilkakrotnie palcami, jakby próbował sobie coś przypomnieć.

- Ten zapach... przypomina mi, kiedy byłem dzieckiem... i podpalałem moje plastikowe samochodziki. Tak, moje modele samochodów. Te, które sklejało się z kawałków.

- Miłe wspomnienie. Wejść do laboratorium - tam jest jeszcze gorzej. Jak się głęboko sztachniesz, to może wszystko stanie ci przed oczami jak żywe.

- Nie, dziękuję. Myślę, że na razie sobie odpuszczę. No dobra, skoro już tu jestem, to o co tyle krzyku?

Pierce poznał, że pytanie Zellera to zapożyczenie z filmu braci Coenów „Ścieżka strachu” - ulubionego przez Cody'ego i stanowiącego bank cytatów, do którego często sięgał. Henry nie dał jednak poznać po sobie, że zidentyfikował cytat. Nie zamierzał bawić się tej nocy z Codym w tę grę. Skupiał się na eksperymencie, przeprowadzanym w kontrolowanych warunkach.

- Powiedziałem ci, że ktoś wtargnął do systemu - odparł. - Twoje rzekomo nieprzenikalne zabezpieczenia są głównie warte, Code. Ktoś kradł wszystkie nasze tajemnice.

Zarzut sprawił, że Zeller natychmiast stał się jeszcze bardziej podniecony. Splótł dłonie na wysokości piersi, jakby jego palce toczyły ze sobą walkę.

- Ej, ej, po pierwsze, skąd wiesz, że ktoś wykrada tajemnice?

- Po prostu wiem.

- No dobrze, po prostu wiesz. Domyślam się, że powinienem przyjąć to na wiarę. No dobra, ale skąd wiesz, że dobrano się do baz danych, a nie po prostu ktoś to wypaplał czy zdradził za pieniądze? Może Charlie Condon? Parę razy piłem z nim i wiem, że facet lubi sobie pogadać.

- Gadanie to jego praca. Chodzi jednak o sekrety, których nawet Charlie nie zna. Wiem o nich tylko ja i kilka innych ludzi z laboratorium. Mówię o tym. - Otworzył szufladę biurka pod komputerem i wyjął z niej niewielkie urządzenie, wyglądające jak wyłącznik automatyczny z dokręconą małą antenką. Położył je na blacie. - Nabrałem podejrzeń, sprawdziłem rejestr konserwacji i porozglądałem się, ale nic nie rzuciło mi się w oczy. Potem obejrzałem oprzyrządowanie centralnego komputera i odkryłem ten drobiazdek. Bezprzewodowy modem. O ile wiem, nazywacie takie niuchaczami.

Zeller podszedł do biurka i wziął modem do ręki.

- My? Chodzi ci o specjalistów od bezpieczeństwa komputerowego wielkich firm?

Obrócił urządzenie w rękach. Służyło do przechwytywania danych: zaprogramowane i podłączone do centralnego komputera, wyłapywało całą pocztę elektroniczną i poprzez modem przesyłało ją do odbiornika. W świecie hakerów nazywano je niuchaczem, bo przechwytywało wszystko, a komputerowy złodziej mógł swobodnie węszyc w tych zbiorach w poszukiwaniu perełek.

Na twarzy Zellera malowała się głęboka troska. Pierce uznał to za doskonałe aktorstwo.

- Domowej roboty - powiedział Zeller, przyjrzawszy się urządzeniu.

- Wszystkie są takie, nie? - spytał Pierce. - Przecież nie można wpaść po nie do Radio Shack.

Zeller zignorował komentarz.

- Jak, do diabła, podrzucono go tu tak, że spec od konserwacji sprzętu go nie zauważył?

Pierce odchylił się na oparcie, starając się rozgrywać sytuację z jak największym opanowaniem.

- Może przestaniesz pieprzyć i sam mi powiesz, Cody?

Zeller przeniósł wzrok z urządzenia w dłoniach na Henry'ego. Zrobił zaskoczoną i urażoną minę.

- Skąd mam wiedzieć? Zbudowałem twój system, ale nie to.
- Owszem, zbudowałeś system. A ten modem był wbudowany w centralny komputer. Konserwatorzy go nie zauważali, bo albo zo stali przez ciebie przekupieni, albo był zbyt dobrze schowany. Znała łłem go tylko dlatego, że wiedziałem, czego szukam.
- Słuchaj, każdy z kartą szyfrową mógł dostać się do sali kom puterowej i to podrzucić. Kiedy projektowaliśmy system, mówiłem ci, że powinien zostać umieszczony w laboratorium. Dla bezpie czeństwa.

Pierce potrząsnął głową, przypominając sobie rozmowę sprzed trzech lat. Nadal uważał swoją ówczesną decyzję za słuszną.

- Centralny komputer powodowałby za duże zakłócenia. Sam 0 tym wiesz, ale to nieistotne. To twój niuchacz. Chociaż przenio słem się na Stanfordzie z nauk komputerowych na chemię, mimo wszystko wiem to i owo. Włożyłem kartę modemu do mojego laptopa 1 posłużyłem się nią jak ustawieniem *dial up*. Przecież modem ma za programowane połączenie. Prowadzi do banku przechowywania da nych, zarejestrowanego pod nazwą Doomsterslnk. - Czekał na reak cję, ale Zeller jedynie minimalnie poruszył gałkami ocznymi. - Dwa słowa w jednym. „Doomsters”, czyli Potępieńcy. „Ink”, czyli atra ment - kontynuował. - Zresztą sam to wiesz. Domyślam się, że to bardzo aktywny bank danych. Pewnie założyłeś niuchacz, kiedy się tu wprowadziliśmy. Od trzech lat nasłuchiwał, węszył i kradł - jak kolwiek zechcesz to nazwać. - Zeller potrząsnął głową i odłożył urzą dzenie na biurko. Nie podnosił wzroku, podczas gdy Pierce mówił dalej: - Mniej więcej rok temu - już po tym, gdy przyjąłem Larra by'ego - zaczęła ci trafiać w ręce nasza poczta elektroniczna, doty cząca programu Proteus. Potem korespondowałem na ten sam temat z Charliem i moim prawnikiem od patentów. Sprawdziłem, człowie ku. Przechowuję całą swoją pocztę elektroniczną. Może to i parano iczne. W każdym razie sprawdziłem: mogłeś się z niej domyślić, o co chodziło. Nie poznałeś samej formuły - nie byliśmy aż tak głupi. Do wiedziałeś się jednak, że wreszcie ją dopracowaliśmy i co zamierza my z nią zrobić.

- No dobrze, no i co z tego, jeśli to nawet robiłem? Podśluchiwa łem - wielka mi sprawa.

- Wielka sprawa to to, że nas sprzedałeś. Wykorzystałeś to, czego się dowiedziałeś, żeby dobić z kimś targu. Cholera, sam pomogłem ci wszystkiego się domyślić. Prosiłem cię, żebyś poszperał w Sieci za plakatem z tego przeklętego filmu. To ci na pewno ułatwiło sprawę.

Zeller pokręcił ze smutkiem głową.

- Coś ci powiem, Henry. Muszę już jechać. Myślę, że się tu zasie działałem. Wiesz, kiedy paliłem te samochodziki, dostawałem naprawdę paskudnego bólu głowy. Chcę powiedzieć, że ten zapach na pewno ci szkodzi. Przesiadujesz tam...

Wskazał laboratorium okablowania. Pierce podniósł się zza biurka. Jego gniew przypominał tkwiący w gardle kamień wielkości pięści.

- Wrobiłeś mnie. Nie wiem, w co zagrywasz, ale mnie wrobiłeś.

- Odbiło ci, człowieku. Nie wiem nic o żadnym wrabianiu. Pewnie, że niuchałem ci po gaciach. Po prostu odzywał się we mnie instynkt hakera. Czym skorupka za młodu nasiąknie - sam wiesz. Owszem, zainstalowałem modem, kiedy zakładałem system. Mówiąc prawdę, prawie do reszty o nim zapomniałem, bo to, co na początku czytałem, było nudne jak flaki z olejem. Przestałem zaglądać do tego banku danych co najmniej parę lat temu. I tyle, człowieku. Nie wiem nic o żadnym wrabianiu.

Nie naruszył swoimi tłumaczeniami pewności siebie Pierce'a.

- Domyślam się, co wiąże cię z Wentzem i jego zbirem. Pewnie zajmowałeś się zabezpieczeniami i w jego systemie. Wątpię doprawdy, żeby cię to żenowało, skoro używasz takiego słownictwa jak „posuwanie laski”. Biznes to biznes, prawda? - Zeller nie odpowiedział. Pierce tego nie oczekiwał. Kontynuował: - Do tego dochodzi numer telefonu. To był zasadniczy element. Najpierw myślałem, że zrobiła to moja asystentka, prosząc o ten numer, by zainicjować intrygę. Po tem jednak dotarło do mnie, że było odwrotnie. Dostałeś mój numer, bo rozesłałem go pocztą elektroniczną znajomym i partnerom w interesach. Dopiero wtedy umieściłeś go w witrynie internetowej. Na stronie Lilly. Wtedy wszystko się zaczęło. - Znow zaczął na odpowiedź i żadnej nie otrzymał. - Mam jednak kłopot z jedną sprawą. Chodzi o moją siostrę. Musiałeś wiedzieć, że ją wreszcie znalazłem, ale puściłem. To stanowiło część mojego psychologicznego profilu. Musiałeś zdawać sobie sprawę, że tym razem nie zrezygnuję. Że za cenę szukać Lilly i bez oporów dam się zrobić.

Zeller nie odpowiedział. Podeszedł do drzwi. Nacisnął klamkę, były jednak zamknięte. Trzeba było wpisać kod zarówno po to, żeby wejść, jak i aby wyjść.

- Otwórz drzwi, Henry. Chcę wyjść.

- Nie wyjdiesz, dopóki się nie dowiem, na czym polega ta gra.

Dla kogo to robisz? Ile ci płacą?

- No dobrze. W porządku. Sam to zrobię.

Zeller wystukał kod. Zamek się odblokował. Cody otworzył drzwi i obejrzał się na Pierce'a.

- *Vaya con dios*, stary.

- Skąd znasz kod?

Zeller znieruchomiał po tym pytaniu. Pierce o mało się nie uśmiechnął. Znajomość kombinacji stanowiła dowód winy. Niewielki, lecz istotny.

- No, mów. Skąd znasz kod? Zmieniamy go co miesiąc - w istocie to był twój pomysł. Rozsyłamy go pocztą elektroniczną wszystkim szczyrom laboratoryjnym, ale sam powiedziałeś, że od paru lat nie sprawdzałeś niuchacza. Skąd zatem znasz kombinację?

Pierce odwrócił się i wskazał ręką urządzenie. Zeller podążył wzrokiem za jego gestem. Następnie skupił spojrzenie nieco dalej; coś najwyraźniej rzuciło mu się w oczy. Zawrócił do laboratorium i pozwolił, by drzwi służby zamknęły się za nim z głośnym „puff”.

- Dlaczego zgasiłeś monitor, Henry? Widzę, że komputer jest włączony, ale zgasiłeś monitor.

Nie czekał na odpowiedź; Pierce zresztą nie zamierzał jej udzielić. Zeller podszedł do biurka i włączył monitor.

Ekran rozjarzył się. Zeller oparł się obydwojema rękami na blacie i pochylił, by się mu przyjrzeć. Na monitorze widniała transkrypcja rozmowy. Ostatni wiersz brzmiał: „Dlaczego zgasiłeś monitor, Henry? Widzę, że komputer jest włączony, ale zgasiłeś monitor”.

Program był dobry - trzeciej generacji system rozpoznawania głosu z wykorzystaniem wysokich częstotliwości, z SacredSoftware. Badacze stosowali go na co dzień w laboratorium do dyktowania notatek z eksperymentów i opisu przeprowadzanych aktualnie testów.

Pierce patrzył, jak Zeller przysuwa sobie klawiaturę i wyłącza za jej pomocą program. Następnie skasował plik.

- Sam wiesz, że nadal można go odzyskać - powiedział Pierce.

- Dlatego zabieram dysk.

Kucnął przy obudowie komputera i odwrócił go, by mieć dostęp do mocujących ją śrub. Wyjął z kieszeni scyzoryk i otworzył końcówkę z krzyżową główką. Wyciągnął kabel zasilania i zaczął odkręcać najwyższą śrubę.

Po chwili przerwał. Zauważył wetknięty z tyłu komputera przewód telefoniczny. Wyciągnął go i przytrzymał w dłoni.

- No, Henry, to do ciebie niepodobne. Do takiego paranoika. Po co włączałeś kabel od telefonu?

- Bo byłem w Sieci. Bo chciałem, żeby plik, który skasowałeś, był na bieżąco rozsyłany. To program SacredSof tu. Sam go polecałeś, pamiętasz? Każdemu głosowi zostaje przypisany kod identyfikacyjny.

Stworzyłem dla ciebie osobny plik. To równie pewne jak nagranie na taśmie. Mogę udowodnić, że to ty wypowiadałeś te słowa, jeśli będę musiał.

Wciąż kucając, Zeller wyciągnął rękę i położył na blacie scyzoryk. Uniósł głowę, nadal odwrócony plecami do Henry'ego. Prawdopodobnie patrzył na pięciocentówkę przyklejoną taśmą do ściany laboratorium.

Powoli wstał i znowu sięgnął do kieszeni. Odwrócił się, otwierając srebrny telefon komórkowy.

- No, wiem, że nie masz w domu komputera, Henry - powiedział.
- Za wielki z ciebie paranoik. Stawiam więc na Nicki. Jeśli pozwolisz, wyślę kogoś, żeby zabrał dysk i od niej.

Pierce'a przez chwilę przeszył strach, ale się opanował. Nie wliczał w swoje kalkulacje groźby wobec Nicole, ale nie była ona całkowicie niespodziewana. W rzeczywistości kabel telefoniczny stanowił jedynie element inscenizacji. Plik z transkrypcją rozmowy nie został nigdzie wysłany.

Zeller czekał na połączenie, które jednak nie nastąpiło. Odsunął telefon od ucha i popatrzył na niego, jakby ten go zdradził.

- Cholerny telefon.
- Ściany są obite miedzią, pamiętasz? Nie dostają się tu żadne sygnały, ale i nie wydostają.
- Świetnie. W takim razie zaraz do ciebie wrócę.

Zeller znowu wystukał kod do drzwi służby i wyszedł z laboratorium. Kiedy tylko drzwi się zamknęły, Pierce podszedł do komputera. Otworzył ostrze scyzoryka Zellera. Ukłękł, wziął w rękę przewód telefoniczny i go przeciął.

Wstał i odłożył scyzoryk na biurko razem z odciętym kawałkiem kabla w momencie, gdy Zeller wrócił przez służbę. Cody miał w jednej ręce kartę szyfrową, a w drugiej - swój telefon.

- Przykro mi - powiedział Pierce. - Kazałem dać ci kartę, za pomocą której można wejść, ale nie można wyjść. Da się je tak zaprogramować.

Zeller pokiwał głową i zobaczył odcięty kawałek przewodu na biurku.

- To była jedyna linia w laboratorium? - spytał.
- Właśnie.

Zeller rzucił sztywny prostokąt w stronę Pierce'a, jakby to była niechciana kartka kolekcjonerska z baseballistą. Odbił się od piersi Henry'ego i upadł na podłogę.

- Gdzie masz swoją kartę?

- Zostawiłem w samochodzie. Musiałem prosić strażnika, żeby mnie tu przywiózł. Jesteśmy w zamknięciu, Code. Bez telefonów i kamer. Nikt nas stąd nie wypuści co najmniej przez pięć-sześć godzin, dopóki nie zaczną się zjawiać szczury laboratoryjne. Możesz się więc rozgościć. Proszę, usiądź i łaskawie opowiedz mi całą historię.

T^ody Zeller rozejrzał się po laboratorium - po suficie, biurkach, ^opoprawionych ilustracjach dr. Seussa na ścianach. Wodził wzrokiem wszędzie, ale omijał Pierce'a. Przyszedł mu widocznie do głowy jakiś pomysł, bo *zaczął* energicznie chodzić po laboratorium. Kręcił głową na boki, najwyraźniej szukając czegoś konkretnego. Pierce wiedział, o co mu chodzi.

- Mamy alarm przeciwpożarowy, ale to bezpośredni system. Jeśli go uruchomisz, to od razu zostanie zawiadomiona straż pożarna i policja. Chcesz, żeby się tu zjawili? Chcesz się przed nimi tłumaczyć?

- Nic mnie to nie obchodzi. Sam możesz się tłumaczyć.

Zeller wypatrzył czerwoną dźwignię na ścianie obok wejścia do laboratorium okablowania. Bez wahania podszedł i pociągnął ją w dół. Potem odwrócił się do Pierce'a z chytrym uśmiechem.

Nic się jednak nie stało. Uśmiech zgasł na twarzy Zellera. W jego oczach pojawiły się znaki zapytania. Pierce kiwnął głową na potwierdzenie, że istotnie wyłączył system alarmowy.

Wobec niepowodzenia swoich starań Zeller podszedł do stanowiska położonego najdalej od miejsca, w którym stał Pierce. Wyciągnął krzesło i osunął się na nie ciężko. Przymknął oczy, skrzyżował ramiona na piersi i położył stopy na stole - zaledwie kilka centymetrów od skaningowego mikroskopu elektronowego za ćwierć miliona dolarów.

Pierce nadal czekał. W końcu miał do dyspozycji całą noc. Zeller zagrał z nim po mistrzowsku. Nadszedł jednak czas na odwrócenie ról. Tym razem Pierce zamierzał poigrać z nim. Kiedy piętnaście lat temu policjanci z campusu zgarnęli Potępieńców, rozdzielili ich i zabawili się z nimi w grę na przeczekanie. Ostatecznie nie mieli żadnych konkretnych dowodów. Pierwszy złamał się Zeller - to on

wszystko wyśpiewał. Nie ze strachu ani wyczerpania. Z chęci mówienia, podzielenia się swoim geniuszem. Pierce liczył, że ta potrzeba odezwie się i teraz.

Minęło prawie pięć minut. Zeller odezwał się wreszcie, nie zmieniając pozycji i nie otwierając oczu.

- Było to wtedy, kiedy wróciłeś z pogrzebu.

Powiedział tylko tyle. Minęła kolejna chwila. Pierce czekał dalej, nie wiedząc dokładnie, jak wycisnąć z niego resztę. Wreszcie zdecydował się na bezpośrednie podejście.

- O co ci chodzi? Po którym pogrzebie?

- Twojej siostry. Kiedy wróciłeś do Paño Alto, nie chciałeś o tym rozmawiać. Trzymałeś to w sobie. Potem jednak pewnej nocy wszystko z siebie wyrzuciłeś. Upiliśmy się, a ja miałem trochę towaru, który mi został po wyjeździe na Boże Narodzenie na Maui. Napaliliśmy się trawki, a potem, człowieku, gadałeś jak najęty.

Pierce sobie tego nie przypominał. Oczywiście, pamiętał wielkie pijatyki i zażywanie najrozmaitszych narkotyków w tygodniach i miesiącach po śmierci Isabelle. Nie przypominał sobie jednak, że rozmawiał o niej z Zellerem czy kimkolwiek innym.

- Powiedziałeś, że pewnego razu, kiedy krążyłeś ze swoim ojczymem, rzeczywiście ją znalazłeś. Spała w opuszczonym hotelu, gdzie we wszystkich pokojach siedziały dzieciaki, które pouciekały z do mów. Znalazłeś ją i chciałeś stamtąd wyciągnąć, ratować, zabrać do domu. Przekonała cię jednak, żebyś tego nie robił i nie mówił ojczymowi. Powiedziała, że coś jej robił, gwałcił ją czy coś w tym rodzaju, i właśnie dlatego uciekła. Mówiłeś, że przekonała cię, że będzie jej lepiej na ulicy niż z nim w domu. - Teraz to Pierce zamknął oczy. Przypomniał sobie tamtą chwilę, chociaż nie moment, kiedy po pijanemu opowiedział o niej przyjacielowi z college'u. - Dlatego ją zostawiłeś i okłamałeś starego. Powiedziałeś, że jej tam nie było. Obydwaj jeszcze przez cały rok jeździliście nocami i się za nią rozglądaliście. Tyle że starałeś się na nią nie wpaść, a on o tym nie wiedział.

Pierce przypomniał sobie swój plan. Dorosnąć, wyprowadzić się i wrócić po siostrę. Odnaleźć ją i uratować. Zginęła jednak, zanim mógł to zrealizować. Cały czas od tej pory miał świadomość, że żyłaby, gdyby jej nie uwierzył i nie spełnił jej prośby.

- Nigdy nie wspominałeś o tym od tamtej nocy - powiedział Zeller. - Ale ja to zapamiętałem.

Pierce'owi stanęła przed oczyma konfrontacja, do jakiej w końcu doszło między nim i ojczymem. Było to wiele lat później. Pierce czuł się przez ten czas jak skuty kajdankami. Nie mógł powiedzieć mat-

ce, co wiedział, bo wyszłoby na jaw, że miał swój udział w śmierci Isabelle, że odnalazł ją, ale pozwolił jej odejść i potem kłamał.

Brzemie stało się jednak w końcu tak ciężkie, że przeważyło obawę przed kłopotami. Do konfrontacji doszło w kuchni - jak zawsze w tym domu. Padały zaprzeczenia, groźby, wyrzuty. Matka mu nie uwierzyła, a przez to wyparła się równocześnie nieżyjącej córki. Od tego czasu Pierce nie odezwał się do niej ani słowem.

Henry otworzył oczy, zadowolony, że może zamienić dręczące wspomnienie na aktualny koszmar.

- Pamiętałeś - powiedział do Zellera. - Pamiętałeś i chowałeś to w zanadrzu na odpowiednią porę. Aż nadeszła.

- Wcale nie tak. Po prostu coś wynikło, a to, co wiedziałem, pasowało. Pomagało.

- Elegancka akcja, Cody. Powieszysz moje zdjęcie u siebie koło nalepek na ścianie?

- To wcale nie tak, Hank.

- Nie mów tak do mnie. Ojczym mnie tak nazywał. Nigdy więcej nie mów tak do mnie.

- Jak sobie życzysz, Henry.

Zeller przycisnął ramiona do ciała.

- A więc o co chodzi w tej intrydze? - zapytał Pierce. - Domyślam się, że musisz przekazać komuś formułę, aby wypełnić swoją stronę umowy. Komu?

Zeller obrócił głowę i popatrzył na niego w wyzywający czy też świadczący o oporze sposób. Pierce nie wiedział, jak ma interpretować jego spojrzenie.

- Nie mam pojęcia, dlaczego się w to bawimy. Wszystko zawali ci się na głowę, człowieku, chociaż nawet o tym nie wiesz.

- Wszystko? Chodzi ci o Lilly Quinlan?

- Wiesz, że tak. Wkrótce skontaktują się z tobą pewni ludzie. Za wrzesz z nimi umowę i skończą się twoje problemy. Jeśli tego nie zrobisz, to niech Bóg ma cię w opiece.

- Co to za umowa?

- Oddajesz Proteusa. Przekazujesz patent. Wracasz do budowania pamięci molekularnej i komputerów. Zarobisz na tym mnóstwo forsy, ale masz trzymać się z dala od zastosowań biologicznych.

Pierce pokiwał głową. Wreszcie zrozumiał. Przemysł farmaceutyczny. Istnienie Proteusa zagrażało któremuś z klientów Zellera.

- Chyba nie mówisz poważnie - odparł. - Proteus to tylko początek. Dzieli nas co najmniej dziesięć lat od jakiegokolwiek praktycznego zastosowania.

- No, dziesięć lat. I tak o piętnaście mniej niż bez Proteusa. Formuła ożywi badania, by zacytować zwrot z twojej poczty elektronicznej. Sprawi, że ruszą z kopyta. Może to dziesięć lat, a może tylko pięć. Może cztery. Trzy. Nieważne - stanowisz zagrożenie, człowieku. Dla wielkiego koncernu przemysłowego. - Zeller potrząsnął głową z niesmakiem. - Wy, naukowcy, wyobrażacie sobie, że macie cały cholerny świat w kieszeni, wolno wam robić odkrycia i zmieniać, co chcecie, a wszyscy będą z tego powodu szczęśliwi. No cóż, w tym świecie panuje pewien porządek i jeśli myślisz, że giganci przemysłu pozwolą podcinać takim chłystkom jak wy gałęzie, na których się dą, to żyjesz złudzeniami.

Rozłożył ręce i wskazał jedną z oprawionych ilustracji z „Horton Hears a Who”. Pierce podążył wzrokiem za jego gestem i zobaczył, że przedstawia ona Hortona, prześladowanego przez zwierzęta z dżungli. Znał podpis na pamięć: „Pośród drzew wierzchołków wieść się pojawiła: Mówi z ziarnkiem pyłu - palma mu odbiła!”.

- Pomagam ci tym, co robię, Einsteinie, rozumiesz? Dostajesz ode mnie dawkę realizmu. Nie spodziewaj się też, że ludzie od półprzewodników będą patrzeć spokojnie, jak podcinasz ich gałąź. Traktuj to, cholera, jako otrzeźwienie!

Pierce o mało się nie roześmiał, ale wykręty Zellera były zbyt żałosne.

- Otrzeźwienie? Rewelacja, człowieku. Dzięki ci, Cody Zellerze, za wyprostowanie moich ścieżek.

- Nie ma za co.

- I co dalej? Zgodzę się na umowę i co dalej?

Zeller przez chwilę siedział w milczeniu, obmyślając odpowiedź.

- Przypominasz sobie miejską legendę o wynalazcy z warsztatem w garażu, który wymyślił gumę nie do zderzenia? Wyszło mu to przy padkiem - starał się zrobić coś zupełnie innego, ale wyszła mu guma.

- Sprzedał wynalazek firmie produkującej opony, żeby cały świat miał koła nie do zderzenia.

- No właśnie. Tak brzmi ta legenda. Nazwa firmy zmienia się w zależności od tego, kto opowiada tę historię. Jej treść i koniec są jednak zawsze takie same. Firma kupiła technologię i zamknęła ją w sejfie.

- I nigdy nie zaczęła produkować takich opon.

- Nie, bo gdyby to zrobiła, to nie naprodukowałyby ich już wiele, prawda? Planowane zużycie, Einsteinie - tak właśnie kręci się ten świat. Pozwól, że cię zapytam: skąd wiesz, że ta historia to tylko miejska legenda? Pomyśl, jakie masz na to dowody?

Pierce pokiwał głową.

- Proteus zostanie pogrzebany. Nikt nie dostanie na niego licencji. Nigdy nie ujrzy światła dziennego.

- Wiesz, że przemysł farmaceutyczny inwestuje w badanie średnio stu różnych substancji, z których ostatecznie tylko jedna zostaje zarejestrowana przez FDA jako lek? Pojmujesz, ile to kosztuje? To gigantyczna, potężna machina, Henry. Ma tak wielką energię i bezwładność, że jej nie powstrzymasz. Nie pozwolą ci na to.

Zeller uniósł rękę, zrobił niedający się zinterpretować gest i opuścił ją ponownie na oparcie fotela. Obydwaj siedzieli *przez* chwilę w milczeniu.

- Zjawią się u mnie, żeby zabrać mi Proteusa.

- Zapłacą ci za niego. I to dobrze. Oferta faktycznie już jest na stole.

Pierce wyprężył się do przodu na krześle, całkowicie tracąc pozory opanowania. Popatrzył na Zellera, który unikał jego wzroku.

- Chcesz powiedzieć, że to Goddard? On za tym stoi?

- Goddard to tylko emisariusz. Figurant. Zadzwoń do ciebie jutro, żeby zawrzeć z tobą umowę. Oddasz mu Proteusa. Nie musisz wiedzieć, kto za nim stoi. Ta wiedza nigdy nie będzie ci potrzebna.

- Zabierze mi Proteusa, a potem dostanie dziesięć procent udziałów i stanowisko cholernego prezesa rady.

- Chyba chcą się upewnić, że będziesz się trzymał z dala od medycyny wewnętrznej. Potrafią się też poznać na dobrej inwestycji. Wiedzą, że jesteś liderem w swojej dziedzinie.

Zeller uśmiechnął się, jakby proponował premię.

- A jeśli tego nie zrobię? - spytał Pierce. - A jeśli i tak zarejestruję patent, a potem powiem, żeby się odpieprzyli?

- Nie będziesz miał szansy, żeby go zarejestrować. Daj spokój, człowieku, widzisz, co się dzieje. Gliniarze są już tak blisko ciebie. - Zeller wystawił dłoń z kciukiem i palcem wskazującym, ułożonymi w odległości paru centymetrów od siebie.

- Lilly Quinlan - powiedział Pierce.

- Kochana Lilly - przytaknął Zeller. - Brakuje im tylko jednego.

Jak ją znajdą, już po tobie. Masz robić, co ci powiedziałem, to skończą się twoje kłopoty z policją. Gwarantuję, że się tym zajmujemy.

- Nie zrobiłem tego i dobrze o tym wiesz.

- Nieważne. Kiedy znajdą ciało i dowody wskazujące na ciebie, nie będzie to miało znaczenia.

- Zatem Lilly nie żyje.

- Och, tak. - Zeller pokiwał głową. - Lilly nie żyje.

W jego głosie brzmiała satysfakcja, chociaż nie wyrażała jej twarz. Pierce opuścił wzrok. Złożył ręce na kolanach i ukrył twarz w dłoniach.

- Wszystko przeze mnie. Przez Proteusa.

Długą chwilę się nie poruszał. Wiedział, że jeśli Zeller ma zrobić ostateczny błąd, popełni go właśnie teraz.

- Właściwie...

I nic więcej - chociaż nie było potrzeby. Pierce uniósł wzrok znad dłoni.

- Co: właściwie?

- Miałem powiedzieć, żebyś tak się tym nie zdręczał. Lilly... można powiedzieć, że okoliczności sprawiły, iż została dokooptowana do planu.

- Nie rozumiem... o co ci chodzi?

- Posłuchaj, popatrz na to z takiej strony: Lilly nie żyłaby bez względu na to, czy chodziłoby o ciebie, czy nie. Nie żyje, i już. My zaś wykorzystaliśmy wszystkie dostępne środki do skłonienia cię do zawarcia umowy.

Pierce wstał i przeszedł w głąb sali, gdzie Zeller wciąż siedział z nogami na stole laboratoryjnym.

- Ty sukinsynu. Wiedziałeś wszystko. Ty ją zabiłeś, tak? Zabiłeś ją i mnie w to wrobiłeś.

Zeller nawet nie drgnął. Podniósł jednak wzrok na Pierce'a, a na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz. Zmiana była subtelna, lecz Henry ją zauważył. Tym razem mina Zellera wyrażała nedorzeczną mieszaninę dumy, zażenowania i wstrętu do samego siebie.

- Poznałem Lilly, kiedy tylko przyjechała do Los Angeles. Można powiedzieć, że dostałem ją od L.A. Darlings w ramach wynagrodzenia. Przy okazji nie obrażaj mnie podejrzeniami, że pracuję dla Wentza. To on pracuje dla mnie, rozumiesz? Oni wszyscy pracują dla mnie. - Pierce pokiwał głową. Właściwie sam do siebie - domyślał się tego. Zeller mówił dalej bez żadnej zachęty: - Człowieku, była z niej doborowa laseczka. Kochana Lilly. Dowiedziała się jednak za dużo na mój temat. Sam byś nie chciał, żeby ktoś znał wszystkie twoje tajemnice. Przynajmniej nie takie. Włączyłem ją więc do planu, o którego opracowanie mnie poproszono. Nazywałem go Planem Proteus.

Jego oczy miały w tej chwili nieobecny wyraz. Oglądał w duchu film, który mu się podobał. Siebie samego z Lilly, być może podczas ostatniego spotkania w kamienicy przy Speedway. Skusiło to Pierce'a, by posłużyć się kolejnym cytatem ze „Ścieżki strachu”:

- Nikt nikogo nie zna, przynajmniej nie tak dobrze.

- „Ścieżka strachu” - Zeller uśmiechnął się i pokiwał głową. - Pewnie domyśliłeś się też, skąd wzięłem moje „o co tyle krzyku”?

- Tak, domyśliłem się, Cody. - Po chwili przerwy Pierce mówił ci cho dalej: - Zabiłeś ją, prawda? Zabiłeś ją, a potem byłeś gotów w razie potrzeby przyczepić to mnie.

Zeller nie odpowiedział od razu. Pierce przyglądał się jego twarzy i czuł, że Cody ma ochotę mówić, opowiedzieć mu o każdym szczególe swojego błyskotliwego planu. Mówienie leżało w jego naturze, zdrowy rozsądek podpowiadał mu jednak, żeby tego nie robić, bo w ten sposób wystawi się na niebezpieczeństwo.

- Ujmijmy to tak: Lilly spełniła swoje zadanie. A potem spełniła je jeszcze raz. Do niczego więcej nigdy się nie przyznam.

- Nie ma potrzeby. Właśnie to zrobiłeś.

Słów tych nie wypowiedział Pierce. Był to nowy głos. Obydwaj mężczyźni odwrócili się w jego stronę i zobaczyli detektywa Roberta Rennera, stojącego w otwartych drzwiach laboratorium okablowania. Policjant trzymał luźno przy boku pistolet.

- A ty kto, kurwa? - zapytał Zeller, opuszczając nogi z blatu i zrywając się z krzesła.

- Policja - odparł Renner. Ruszył w stronę Zellera, sięgając równocześnie za plecy. - Aresztuję pana pod zarzutem morderstwa. To na początek, o resztę pomartwimy się później.

Wyciągnął zza siebie parę kajdanków. Podszedł do Zellera, obrócił go i pchnął na blat stołu laboratoryjnego. Schował broń do kabury i zaczął zakuwać Cody'ego z wprawą i rutyną kogoś, kto robił to co najmniej tysiąc razy. Podczas tej czynności przycisnął Zellera twarzą do stalowej obudowy mikroskopu.

- Ostrożnie - powiedział Pierce. - Ten mikroskop jest bardzo czuły - i drogi. Może go pan uszkodzić.

- Za nic bym tego nie chciał - powiedział Renner. - Robicie tu przecież tyle ważnych odkryć.

Obejrzał się na Pierce'a z wyrazem twarzy, który u niego pewnie odpowiadał szerokiemu uśmiechowi.

Podczas zakuwania w kajdanki *Zeller* nic nie mówił. Odwrócił jedynie głowę i wpatrywał się w *Pierce'a*, który odpowiedział mu obojętnym wzrokiem. Po zakuciu *Cody'ego Renner* zaczął go rewidować. Gdy oklepał prawą nogawkę, natrafił na coś. Podniósł ją i wyjął mały pistolet z kabury na kostce. Pokazał go *Pierce'owi*, a potem odłożył na stół.

- To dla ochrony - zaprotestował *Zeller*. - Cały ten zarzut jest głównie wart. Ni cholery się nie utrzyma.

- Naprawdę? - zapytał dobrodusznie *Renner*.

Odciągnął *Zellera* od stołu i mało delikatnie posadził na krześle.

- Proszę tu zostać. - Podszedł do *Pierce'a* i skinieniem głowy wskazał jego pierś. - Niech pan się rozpina.

Pierce rozpiął koszulę, odsłaniając zasilacz i transponder, przylepione plasterem do żeber po lewej stronie.

- Jak nas było słyhać? - spytał.

- Idealnie. Każde słowo.

- Ty skurwysynu - wysyczał napięty jak struna *Zeller*.

Pierce obejrzał się na niego.

- Och, więc jestem skurwysynem, bo założyłem podsłuch. Wrobiłeś mnie w morderstwo, ale denerwujesz się, że miałem podsłuch. Możesz to sobie...

- No dobrze, już spokój! - powiedział *Renner*. - Zamknijcie się obydwaj.

Jakby dla podkreślenia swojego polecenia jednym energicznym ruchem zdarł mocującą nadajnik taśmę ze skóry *Pierce'a*. *Henry* o mało nie krzyknął, jednak zdołał ograniczyć się do wycedenia:

- Cholera, to bolało.

- Dobrze. Niech pan tu siada, panie porządnicki. Za chwilę będzie już lepiej. - Renner odwrócił się do Zellera. - Zanim pana stąd zabiorę, odczytam pańskie prawa. Niech więc się pan zamknie i słucha. - Sięgnął do jednej z wewnętrznych kieszeni lotniczej kurtki po plik kart. Wyszukał spośród nich kartę szyfrową, którą dał mu wcześniej Pierce. Podał ją Henry'emu. - Niech pan idzie przodem i otwiera. - Pierce wziął kartę w rękę, ale nie wstawał. Wciąż palił go bok. Renner odnalazł kartę, na której mu zależało, i zaczął czytać jej treść Zellerowi: - Ma pan prawo...

Rozległ się głośny metaliczny szcęk otwieranych drzwi służby. Uchyliły się i Pierce stwierdził, że stoi za nimi dyżurny wartownik. Strażnik miał mętne oczy, rozwichrzone włosy i zgiętą w tył rękę, jakby trzymał coś za plecami.

- To mój strażnik - wymamrotał zdziwiony Pierce.

W tym samym momencie wartownik - Rudolpho Gonsalves - został wepchnięty do środka laboratorium przez jakąś niewidzialną siłę. Wpadł na stanowisko komputerowe, przeleciał przez nie na drugą stronę, a strącony po drodze monitor runął mu na pierś. W drzwiach pojawiła się znajoma sylwetka: Sześć-Osiem. Osiłek schylił się, pokonując wejście.

Za nim do środka wszedł Billy Wentz. W prawej ręce trzymał wielki czarny pistolet. Jego spojrzenie stało się ostrzejsze na widok trzech mężczyzn po drugiej stronie laboratorium.

- Co ci tak długo...

- Gliny! - wrzasnął Zeller. -To gliniarz!

Renner sięgał już po broń, ale Wentz miał przewagę. Mały gangster płynnym ruchem wyciągnął przed siebie broń i zaczął strzelać. Równocześnie szedł naprzód, między każdym wystrzałem przenosząc lufę pięć centymetrów w prawo i w lewo. Huk strzałów był ogłuszający.

Renner odpowiedział ogniem, chociaż Pierce tego nie widział. Henry usłyszał wystrzał po swojej prawej stronie i odruchowo odskoczył w lewo. Przetoczył się po podłodze i zobaczył, że detektyw pada, a wachlarz wielkich kropli krwi trafia w ścianę za jego plecami. Pierce obrócił się w drugą stronę. Wentz nadal posuwał się w jego stronę. Henry znalazł się w pułapce: gangster był mniej więcej w połowie drogi między nim i służą.

- Światła!

Laboratorium pogrążyło się w ciemności. Dwa rozbłyski towarzyszyły ostatnim wystrzałom Wentza, po czym zapanował absolutny mrok. Pierce natychmiast przetoczył się jeszcze dalej w prawo, żeby

nie zostawać w zapamiętanym przez Wentza miejscu. Znieruchomił na kolanach, podpierając się rękami i starając opanować oddech. Nasłuchiwał wszelkich odgłosów, nie pochodzących od niego.

W tyle po jego prawej stronie rozległ się gardłowy jęk - Rennera albo Zellera. Pierce zdawał sobie sprawę, że nie może zawołać policjanta, bo w ten sposób Wentz wiedziałby, gdzie ma oddać kolejny strzał.

- Światła!

Wołał Wentz, ale czytnik głosu był zaprogramowany tylko na najwyższych rangą pracowników laboratorium. Głos Wentza nie mógł go uruchomić.

- Światła!

Znowu nic.

- Sześć-Osiem? Gdzieś tu musi być kontakt. *Znajdź go.*

Nie było ani odpowiedzi, ani odgłosu ruchu.

- Sześć-Osiem?

Nic.

- Sześć-Osiem, do cholery!

Odpowiedzi i tym razem nie było. Po chwili przed Henrym po prawej stronie rozległo się łupnięcie. Oceniał, że dochodziło z odległości mniej więcej siedmiu metrów. Wentz prawdopodobnie kręcił się koło drzwi śluzy w poszukiwaniu swojego kompana lub kontaktu. Pierce wiedział, że daje mu to tylko niewiele czasu. Kontakt znajdował się nie bezpośrednio obok drzwi, ale na tablicy rozdzielczej prawie dwa metry od nich.

Pierce obrócił się i szybko, ale po cichu poczołgał w stronę stołu laboratoryjnego. Pamiętał, że Renner zostawił na nim znaleziony przy Zellerze pistolet.

Kiedy dotarł do stołu, wyciągnął w górę rękę i przesunął dłonią po blacie. Natrafił palcami na lepką, ciepłą substancję, a potem na kształt, który dotykiem zidentyfikował jako nos i usta. Zrazu poczuł wstręt, jednak dotknął głowy ponownie i przesunął wzdłuż niej, aż natrafił na węzeł włosów na karku. Był to Zeller. Najprawdopodobniej martwy.

Po chwili Pierce *zaczął* szukać na nowo małego pistoletu. Wreszcie zacisnął na nim rękę i odwrócił się w stronę drzwi do śluzy. Zawadził przy tym stopą o stalowy kosz na śmieci pod stołem, który przewrócił się z głośnym łoskotem.

Pierce zanurkował w bok i przetoczył się, podczas gdy zahuczały dwa kolejne strzały. Zobaczył przez dwie mikrosekundy oświetloną ich błyskami twarz Wentza. Nie odpowiedział ogniem; był zbyt zaję-

ty zejściem z linii strzału Wentza. Usłyszał, jak przeznaczone dla niego pociski uderzają w stalową blachę na zewnętrznej ścianie laboratorium laserowego.

Przypomniało mu to, że mógłby użyć lasera do zlokalizowania Wentza w ciemności, ale natychmiast zwątpił w ten pomysł. Urządzenie było przyśrubowane do stołu laboratoryjnego.

Uznał pomysł z laserem za bezwartościowy, nasunął mu się jednak inny - sensownie j szy. Wsunął pistolet w kieszeń dżinsów, by móc łatwiej się czołgać. Starał się opanować oddech, a równocześnie zaczął się czołgać w lewo.

Wystawił przed siebie rękę, natrafił na ścianę i zorientował się, w którym jest dokładnie miejscu. Wodząc dłonią wzdłuż muru, ruszył w milczeniu dalej. Minął próg laboratorium okablowania - buchała stamtąd wyraźna woń spiekanego węgla - i dotarł do następnego pomieszczenia: laboratorium obrazowania.

Powoli wstał, nasłuchując, czy w pobliżu nic się nie rusza. Przez chwilę panowała cisza, potem zaś rozległo się metaliczne brzęknięcie z drugiej strony sali. Pierce zidentyfikował je jako odgłos wyjmowanego magazynka. Nie miał zbyt dużego doświadczenia z bronią, lecz dźwięk pasował do obrazu, jaki pojawił się w jego głowie: Wentz przeładowywał pistolet lub sprawdzał liczbę naboji w magazynku.

- Ej, cwaniaczku - zawołał Wentz; jego głos przeszył ciemność jak błyskawica. - Zostaliśmy tylko ja i ty. Lepiej się przygotuj, bo idę po ciebie. Czeka cię marny koniec!

Wentz zarechotał głośno w mroku.

Pierce powoli nacisnął klamkę drzwi laboratorium obrazowego i bezszelestnie je otworzył. Wszedł do środka i zamknął je za sobą. Opierając się wyłącznie na własnej pamięci, zrobił dwa kroki do przodu i trzy w prawo. Wyciągniętą ręką dotknął przy następnym kroku ściany. Przejechał po niej rozpostartymi palcami obu rąk, zakreślając ósemki, aż lewą dłonią odnalazł haczyk, na którym wisiał noktowizor, z którego korzystał podczas prezentacji poprzedniego dnia rano.

Włączył urządzenie, nałożył je na głowę i dopasował gogle. Pokój zrobił się niebiesko-czarny z wyjątkiem komputera i monitora mikroskopu elektronowego, lśniących na żółto i czerwono. Pierce wyciągnął pistolet z kieszeni i przyjrzał się mu. On również miał w goglach niebieską barwę. Pierce wsunął czerwony palec za kabłąk spustu i położył go na cynglu.

Otworzył drzwi i zobaczył wewnątrz laboratorium w najprzeróżniejszych barwach. Wielkie ciało Sześć-Osiem leżało wyciągnięte po

lewej, koło drzwi słuzy. Jego tułów stanowił czerwono-żółty kolaż, nabierający na kończynach niebieskawej barwy. Sześć-Osiem nie żył i stygł.

Po prawej stronie głównego komputera kuliła się jaskrawoczerwona i żółta ludzka sylwetka. Pierce wymierzył pistolet w jej stronę, ale przypomniał sobie, że *to* Rudolpho Gonsalves - strażnik, którego Wentz zmusił przemocą do przyprowadzenia go do laboratorium.

Pierce obrócił głowę w prawo i zobaczył jeszcze dwie nieruchome sylwetki. Jedna leżała bezwładnie na stole laboratoryjnym i nabierała niebieskiego koloru - był to Cody Zeller. Drugi człowiek leżał na podłodze. W polu widzenia był czerwony i żółty. Renner żył. Zdołał wcisnąć się tyłem w miejsce na nogi pod biurkiem. Pierce zauważył ostro odgraniczoną strefę wyższej temperatury na lewym barku detektywa, a pod nią kształt zacieku - sączącą się z rany krew.

Powiódł wzrokiem w lewo i prawo. Nie zauważył żadnych jaśniejszych plam z wyjątkiem żółtych konturów monitorów i lamp pod sufitem.

Wentz zniknął.

Ale to przecież niemożliwe. Pierce uświadomił sobie, że Wentz przeszedł do któregoś z bocznych laboratoriów. Może szukał okna, jakiegoś źródła światła albo miejsca, w którym mógłby się *zaczaić*.

Pierce dał krok za próg i nagle za gardło schwyciły go dłonie. Został pchnięty na ścianę i przy niej przytrzymany.

W polu widzenia noktowizora pojawiło się płomiennoczerwone czoło i oczy Wentza, wyglądające jak u zjawy. W podbródek Pierce^{ce} wbiła się ciepła lufa.

- No, cwaniaczku, to koniec.

Pierce zamknął oczy i czekał, aż dostanie kulkę.

Ale nie.

- Włączaj, kurwa, światła i otwieraj drzwi.

Pierce się nie ruszył. Zdał sobie sprawę, że Wentz potrzebuje jego pomocy, nim go zabije. W tej samej chwili zrozumiał też, że niski gangster pewnie nie spodziewa się, że Henry ma pistolet w ręce.

Wentz potrząsnął gwałtownie jego głową.

- Światła, powiedziałem!

- Dobra, już dobra. Światła.

Wypowiadając te słowa, przystawił pistolet Wentzowi do skroni i wystrzelił dwa razy. Nie miał innego wyboru. Prawie zlewające się ze sobą wystrzały rozległy się równocześnie z zapaleniem się światła w laboratorium. Pole widzenia w noktowizorze zrobiło się czarne - Pierce zerwał go drugą ręką z głowy. Gogle upadły na podłogę przed

Wentzem, który w jakiś sposób przez kilka sekund utrzymywał równowagę, mimo że kule Pierce'a zmiotły mu skroń i lewe oko. Wentz wciąż trzymał wystawiony przed siebie pistolet, nie mierzył już jednak wprost w Pierce'a. Henry odsunął lufę na bok, by broń mu nie zagrażała. Wentz upadł do tyłu na podłogę i przestał się ruszać.

Pierce przyglądał się mu przez dziesięć sekund, nim zaczerpnął tchu. Wziął się w garść i rozejrzał wokół. Gonsalves podnosił się z podłogi, przytrzymując ściany.

- Rudolpho, tak?

- Tak, proszę pana.

Pierce przeniósł spojrzenie na biurko, pod które wczołgał się Renner. Dostrzegł w mroku otwarte i przytomne oczy policjanta. Detektyw ciężko oddychał, prawy rękaw i przód koszuli przesiąkły mu krwią.

- Rudolpho, idź zatelefonować na górę. Zadzwoń po karetkę i powiedz, że mamy rannego policjanta. Postrzelonego.

- Tak, proszę pana.

- Potem zadzwoń na policję i powiedz to samo. Później zatelefonuj do Clyde'a Vernona i ściągnij go tutaj.

Strażnik spiesznie wyszedł przez drzwi służby. Musiał wychylić się nad ciałem Sześć-Osiem, żeby dosięgnąć zamka szyfrowego, a potem dać duży krok, by go przestąpić. Pierce zobaczył dziurę po kuli w szyi zbira. Renner trafił go bezbłędnie; osiłek zginął na miejscu. Henry uświadomił sobie, że nigdy nie słyszał ani słowa z ust tego człowieka.

Podszedł do Rennera i pomógł rannemu detektywowi wydostać się spod biurka. Policjant oddychał chrapliwie, ale nie miał krwi na ustach, co znaczyło, że płuco prawdopodobnie pozostało nienaruszone.

- Gdzie pan dostał?

- W ramię. - Renner jęknął.

- Niech pan się nie rusza. Po prostu niech pan czeka na pomoc. Jest w drodze.

- Postrzelił mnie w lewą rękę. Jestem mańkutem i nie trafię w nic z większej odległości prawą. Pomyślałem, że najlepiej będzie się ukryć. - Renner dźwignął się do pozycji siedzącej i wsparł pleca mi o biurko. Wskazał prawą rękę Cody'ego Zellera, zakutego w kajdanki i przewieszzonego przez stół laboratoryjny. - Nie będzie to wyglądało najlepiej.

Pierce przyjrzał się przez długą chwilę ciału swojego dawnego przyjaciela. Oderwał wreszcie od niego wzrok i popatrzył na Rennera.

- Niech pan się nie martwi. Badania balistyczne wykażą, że strzelał Wentz.

- Mam nadzieję. Niech pan mi pomoże wstać, chcę się przejść.
- Nie wstawaj, człowieku! Jest pan ranny. Nie powinien pan.
- Niech pan mi pomoże wstać.
- Pierce spełnił polecenie. Dźwigając Rennera za prawe ramię, wyczuł, że ubranie detektywa przesiąkło zapachem węgla.
- Dlaczego się pan uśmiecha? - zapytał Renner.
- Myślę, że przez nasz plan zrujnowałem panu ubranie, nawet za nim oberwał pan kulę. Nie sądziłem, że zostanie pan tak długo koło pieca.
- Nie martwię się tym. Zeller miał jednak rację: człowiek dostał tu bólu głowy.
- Wiem.
- Renner odepchnął Pierce'a prawą ręką od siebie i podszedł sam do ciała Zeller'a. Przyjrzał mu się długą chwilę w milczeniu.
- Nie wygląda teraz na takiego twardziela, prawda?
- Nie - odparł Pierce.
- Dobrze się pan spisał, Pierce. Naprawdę dobrze. Niezła była ta sztuczka ze światłami.
- Muszę podziękować Charliemu, mojemu partnerowi. Światła to jego pomysł.
- Pierce przyrzekł sobie w duchu, że nigdy nie będzie już narzekał na techniczne bajery.
- Skoro mówimy o partnerach, to mój mnie zabije - powiedział Renner. - Za to, że wlałem w to gówno bez niego.
- Jak kocha, wybaczy.
- Kiedy tu jechałem, wyglądało, że raczej nic z tego nie wyniknie. Nie miałem ochoty go zawiadamiać.
- Renner zrobił kilka kroków i przysiadł na krześle przy biurku. Skrzywił się z bólu. Pierce żałował, że nijak nie może mu pomóc.
- Przestań się kręcić i gadać, człowieku. Wystarczy, że zaczeka pan na karetkę.
- Renner nie zwrócił jednak uwagi na jego słowa.
- Pamiętaj pan, co wygadywał Zeller? Że jako chłopak znalazł pan siostrę, ale nikomu o tym nie powiedział? - Pierce przytaknął. - Niech pan przestanie się tym dobijać. Ludzie sami decydują, co robią. Wybierają sobie drogę, rozumie pan?
- Jasne. - Pierce kiwnął ponownie głową.
- Drzwi służby otworzyły się z hałasem. Pierce wzdrygnął się, Renner jednak nie zareagował. Do środka wszedł Gonsalves.
- Karetka w drodze. Wszyscy inni też. Karetka będzie mniej więcej za cztery minuty.

Renner kiwnął głową i obejrzał się na Pierce'a.

- Wytrzymam.

- Cieszę się.

Pierce popatrzył na Gonsalvesa.

- Dzwoniłeś po Vernona?

- Tak. Już jedzie.

- Dobrze. Zaczekaj na górze na wszystkich i zabierz ich na dół.

Po wyjściu strażnika Pierce o mało nie uśmiechnął się na myśl, jak zareaguje Clyde Vernon na to, co wydarzyło się w laboratorium, którego ochrona należała do jego obowiązków.

Opuścił wzrok na Rennera, który wyglądał na coraz słabszego. Detektyw garbił się, pochylony do przodu na krześle.

- Jak się pan czuje? Może powinien się pan położyć na podłodze?

Policjant zignorował pytanie i propozycję. Nadal pracował w myślach nad sprawą.

- Chyba szkoda, że wszyscy nie żyją - powiedział. - Teraz pewnie nigdy nie znajdziemy Lilly Quinlan. To znaczy jej ciała.

Pierce podszedł bliżej Rennera i oparł się o biurko.

- Hm, nie powiedziałem panu wcześniej o kilku rzeczach.

Renner długą chwilę nie spuszczał go z oka.

- Tak się domyślałem. Wał pan.

- Wiem, gdzie jest ciało.

Renner nadal przyspilał go wzrokiem, aż wreszcie pokiwał głową.

- Powinienem być się domyślić. Od jak dawna?

- Niedawno. Od dzisiaj.

Policjant potrząsnął głową z irytacją.

- Lepiej niech to będzie porządna historia. Niech pan mówi.

Pierce siedział w swoim gabinecie na drugim piętrze, czekając na a ponowne zjawienie się policjantów. Było wpół do siódmej w piątek rano. Ekipa dochodzeniowa z biura koronera okręgowego kręciła się jeszcze po laboratorium. Detektywi czekali na informację od niej, że mają wolne pole do działania, a do tego czasu wyciskali z Pier-ce'a szczegółową relację z tego, co wydarzyło się w podziemiach.

Po godzinie rozmowy Pierce powiedział, że potrzebuje przerwy. Przeszedł z sali konfeicyjnej, w której prowadzono przesłuchanie, do swojego gabinetu. Siedział sam najwyżej pięć minut, po czym głowę do środka wsunął Charlie Condon. Wyrwał go ze snu Clyde Vernon, który z kolei został obudzony przez Rudolpho Gonsalvesa.

- Mogę wejść, Henry?

- Pewnie. Zamknij drzwi.

Charlie wszedł do środka, popatrzył na Pierce'a i lekko potrząsnął głową. Można to było nawet wziąć za drgnięcie mięśni.

- Jeju!

- Właśnie. Dobre określenie.

- Mówił ci ktoś, co dzieje się z Goddardem?

- Właściwie nie. Pytali mnie, gdzie zatrzymali się on i Bechy, więc im powiedziałem. Chyba chcieli tam pojechać i aresztować ich jako współników czy coś w tym rodzaju.

- Nadal nie wiesz, dla kogo pracowali?

- Nie. Cody tego nie powiedział. Domyślam się, że dla kogoś z jego klientów. Dowiemy się albo od Goddarda, albo kiedy policja wejdzie do domu Zellera.

Condon usiadł na kanapie z boku biurka. Nie miał na sobie garnitur z krawatem. Do Pierce'a dotarło, że w powszednim ubraniu wygląda znacznie młodziej.

- Musimy zaczynać od początku - powiedział Pierce. - *Znaleźć* nowego inwestora.

- Żartujesz? - Condon zrobił niedowierzającą minę. - Po tym wszystkim? Kto miałby ochotę...

- Wciąż działamy, Charlie. Nadal liczy się przede wszystkim nauka. Patent. Znajdą się inwestorzy, do których to dociera. Znów będziesz musiał zabawić się w Ahaba i *znaleźć* jeszcze jednego wielkiego, białego wieloryba.

- Łatwiej powiedzieć niż zrobić.

- Wszystko na świecie łatwiej powiedzieć niż zrobić. To, co zgutowano mi przez tę noc i miniony tydzień, też było łatwiej powiedzieć niż zrobić, ale jednak się stało. Udało mi się z tego wyjść i mam po tym jeszcze więcej zapału do pracy niż dawniej.

Condon pokiwał głową.

- Nikt nas teraz nie powstrzyma - powiedział.

- Właśnie. Dzisiaj i pewnie przez kilka następnych tygodni czeka nas burza w mediach. Musimy obmyślić, jak wykorzystać ją na naszą korzyść, żeby przyciągnąć inwestorów, a nie ich spłoszyć. Nie chodzi mi o dzienniki, ale o pisma naukowe i opinię w branży.

- Zajmę się tym. Wiesz jednak, z czym mamy kompletnie przełobane?

- Z czym?

- Z Nicki. Była naszą rzeczniczką. Potrzebujemy jej. Znała tych ludzi - dziennikarzy. Kto zajmie się kontaktami z mediami? Co najmniej przez kilka dni pełno tu będzie reporterów, dopóki nie odciągnie ich jakaś nowa sensacja.

Pierce zastanowił się kilka chwil nad jego słowami. Przeniósł wzrok na oprawiony plakat, przedstawiający łódź podwodną „Proteus”, płynącą przez wielobarwne morze. Wnętrze ludzkiego ciała.

- Zadzwoń do niej i przyjmij ją z powrotem do pracy. Może za trzymać odprawę. Wystarczy, że wróci.

Condon pomilczał przed odpowiedzią.

- Henry, a co będzie z wami dwojgiem? Wątpię, czy pójdzie na to.

Pierce nagle zapalił się do swego pomysłu. Postanowił powiedzieć jej, że przyjęcie do pracy miałooby czysto profesjonalny charakter, że nie chodzi o jakikolwiek osobisty związek poza pracą. Gdyby się zgodziła, wtedy udowodniłby jej, jak bardzo się zmienił - że pieniądze gonił teraz za nim, a nie odwrotnie.

Pomyślał o książce z chińskimi ideogramami, którą zostawił otwartą na stoliku do kawy. Przebaczenie. Uznał, że może się udać. Chciał odzyskać Nicole i zamierzał zrobić wszystko, by tym razem im wyszło.

- Jeśli chcesz, ja do niej zadzwonię. Wezmę...
Zabrzęczał aparat bezpośredniej linii do Pierce'a. Natychmiast podniósł słuchawkę.

- Henry, tu Jacob. Strasznie tu wcześnie. Myślałem, że zgłosi się twoja poczta głosowa.

- Nie, byłem tu całą noc. Złożyłeś wnioski?

- Dwadzieścia minut temu. Proteus ma ochronę. Ty też, Henry.

- Dzięki, Jacob. Cieszę się, że poleciałeś wczoraj wieczorem.

- U was wszystko w porządku?

- Wszystko z wyjątkiem tego, że straciliśmy Goddarda.

- Och, jasny szlag! Co się stało?

- Długa historia. Kiedy wracasz?

- Zamierzam odwiedzić brata z rodziną w Owings na południu Marylandu. Przylecę z powrotem w niedzielę.

- W Owings jest kablówka?

- No, prawie na pewno.

- Oglądaj CNN. Czuję, że dzięki nam dadzą niezłego czadu.

- Czy coś...

- Jacob, jestem teraz zajęty. Muszę już kończyć. Jedź do swojego brata i się wyśpij. Nienawidzę nocnych lotów.

Kaz zgodził się i skończył rozmowę. Pierce popatrzył na Condonę.

- Załatwione. Kaz zarejestrował wnioski.

- No to jesteśmy już nietykalni. - Charlie się rozpromienił. Pierce zastanowił się nad tym przez parę chwil i przytaknął.

- Mam nadzieję, że masz rację.

Dał Condonowi znak, że może już iść. Wiedział, że jest bardzo wcześnie, ale nie chciał czekać. Podniósł słuchawkę i zadzwonił do domu przy Amalfi Drive.



13068

Książka ta nie mogłaby powstać bez pomocy dr. Jamesa Heatha, profesora chemii z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles, oraz Carolyn Chriss, nadzwyczajnej zbieraczki materiałów. Powieść ta to fikcja, ale przedstawiona w niej nauka jest prawdziwa. Wyścig o skonstruowanie pierwszego komputera molekularnego rzeczywiście się toczy. Za wszelkie błędy i niezamierzone przejaskrawienia w tej książce odpowiada wyłącznie autor.

Za pomoc i radę składam również podziękowania Terrill Lee Lankford, Larry'emu Bernardowi, Jane Davis, Mary Lavelle i Lindzie Connelly, jak również Philipowi Spitzerowi i Joelowi Gotlerowi.

Wielkie podziękowania należą się również Michaelowi Pietschowi i Jane Wood za wypełnienie z nawiązką swoich zadań jako redaktorów manuskryptu tej książki oraz Pamela Marshall za doskonałą korektę tekstu.